

lori lansens
opowieść żony



Lori Lansens

OPOWIEŚĆ ŻONY

przełożyła Ewa Krasieńska



Spis treści

dedykacja
ładna buzia
nocny zegar
wież odmieńców
ciężar żałoby
karzący palec
symbioza
ciało zelektryzowane
dalekie pokrewieństwo
wyraży szczerą troski
pewne jutro
jasny piorun
przemieniona i odrodzona
sen czy jawa?
nic zdrożnego
jedni wyjeżdżają, inni zostają
zasada trójki
bóg dla duszy
wymarzona Kalifornia
niespotykana dobroć
wierzby płaczące
jasno wyznaczony cel
nazwisko, które trudno zapamiętać
jak we śnie
obfity jedzenia
stan zamroczenia
spadające gwiazdy
kręć nie do wywabienia
fait accompli
zniszczone dzieło sztuki
cuatro chicas
póki śmierć was nie rozłączy
deszcz meteorów
synowa
strach przed ciemnością
niewidome trzecie oko
miłosierdzie
głuche telefony
swoiste wyzwolenie
dreptanie w miejscu
egzystencja
nocny zegar
podziękowania

Maximowi i Natashy

ładna buzia

W samotne wieczory, kiedy światło spłyneło z dachówek jej małego wiejskiego domku, a mąż pracował do późna, Mary Gooch stawiała w otwartym oknie i wykonywała striptiz dla gwiazd: uwalniała się ze zmiętych spodni, wymykała z luźnej bluzy, wyzwaliała piersi i ściągała majtki, spod których wylewało się jej kremowe ciało, i zostawała całkowicie, doskonale naga. Błagała w ciemności swego kochanka, wiatr, by ją niewolił, aż do chwili, gdy musiała się wesprzeć ręką o parapet. Potem wdychała nocne powietrze, niby dym zapalanego po stosunku papierosa, i zwracała się do lustra, które obserwowało ją od samego początku.

Lustro ukazywało wizerunek dobrze jej znany – czterdziestotrzyletniej brunetki, metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, tak bogato przybranej tłuszczem, że najmniejszy cień kośćca nie wkradał się w jej lustrzane odbicie. Ani śladu obojczyka, zarysu szczęki czy łuku kości biodrowej, nic, co sugerowałoby istnienie łopatki, rzepki w kolanach, kostek kłykciowych czy chrząstki małego palca. A także włókien mięśniowych – jakby spowijała ją podskórna pierzynka.

Mary pamiętała, jak, gdy miała dziewięć lat, schodząc z wagi w gabinecie doktora Ruttle'a, usłyszała to słowo, które pan doktor wypowiedział szeptem do jej filigranowej matki, Army. Było to słowo nieznanne, lecz Mary łatwo je wpisała w znajomy świat bajek. „Tłustoń”. Tak jak istnieją wiedźmy i czarownicy, tak samo muszą istnieć olbrzymy i tłustonie. Diagnoza bynajmniej nie speszzyła małej, grubej Mary. W swym dziecięcym umyśle zrozumiała to tak, że jej ciało stało się jawnym dowodem obecności żarłocznego zwierzęcia w jego wnętrzu.

„Taka ładna buzia”. Wszyscy nieustannie to powtarzali. Kiedy była mała, kierowali te słowa do jej matki, cmokając przy tym, jedni ze współczuciem, inni z wyrzutem, zależnie od swego usposobienia. Jak podrosła, ze swoim współczuciem albo wyrzutem zwracali się bezpośrednio do niej. „Taka ładna twarz”. W słowach tych kryło się milczące potępienie obfitego ciała, żal z powodu zmarnowania zielonych oczu i kształtnych warg, prostego noska, dołeczka w podbródku oraz gładkiej jak dobrze wyrośnięte ciasto, prawie pozbawionej zmarszczek cery, co było doprawdy niezwykle, ponieważ w chwilach wolnych od jedzenia Mary Gooch stale się czymś zamartwiała.

Martwiła się o to, co będzie jadła i czego jeść nie będzie. Kiedy i gdzie będzie albo nie będzie jadła. Martwiło ją, że zjadła za dużo albo nie dość dużo. Martwiła ją możliwość nadciśnienia, cukrzycy typu II, arteriosklerozy, zawału, wylewu, osteoporozy. Pogardliwych spojrzeń nieznanym. Słów dzieci. Nagłej i niespodziewanej śmierci. Powolnego umierania. Zaś w owe bezsenne noce rodziły się coraz to nowe zamartwienia – chodziło o Goocha, jej męża, i zbliżającą się srebrną rocznicę ślubu, o podrzędną posadę w Drogerii Raymonda Russella oraz listę, która z „Listy spraw do załatwienia” zmieniała się w myślach Mary w „Listę spraw zaległych”.

Waga, mówiła sobie, to tylko liczba na skali, a lustro – inny punkt widzenia. Kiedy księżyc przybywało i światło padało pod dobrym kątem, patrząc spod przymrużonych powiek na swoje nagie odbicie, Mary Gooch dostrzegała poetyckie piękno swych kształtów, wyrazistego i ekspansywnego, apetycznego ciała, i rozumiała, dlaczego artysta specjalizujący się w aktach potrafi znaleźć upodobanie w potężnym brzuchu, zachwycić się nierówną granią spadzistego biodra, zafascynować się grą światła i cieni na zwieszających się piersiach i licznych podbródkach. Bujne, zmysłowe kształty, podobne do wielkiej krągłej wazy, przekazywanej w rodzinie Brody z pokolenia na pokolenie, w której na wiosnę układała lilie wodne. Albo do wydym dziewczęcy śniegu na wzgórzach za ich domem na obrzeżach miasteczka Leaford.

Mary chętnie by się zbuntowała przeciwko dyktatowi piękna, w istocie jednak była jego

spragnioną wielbicielką, która chłonęła obrazy z eleganckich czasopism i telewizyjnych programów, zwłaszcza o życiu ludzi sławnych i bogatych. Wpatrując się w fotografie nagich ciał, obrysowywała koniuszkami palców, jak zachwycony kochanek, brzuchy twarde niczym skała, kamienne pośladki, mięśnie trójgłowe i – tak szokujące u kobiety – wypukłe ramiona, cienkie jak u osy talie, lwie grzywy, kocie oczy. Akceptując wyższość piękna, nie mogła nie przyznać, że walenie się przyczyniła do zaprzepaszczenia własnej urody.

Ciężar tego ciała wraz z poczuciem odpowiedzialności za jego wagę stawały się niekiedy nie do zniesienia, więc – naturalnie – szukała winnych. Oskarżenie padało na media, od których też była uzależniona. Przerzucając strony czasopism, syciła się cellulitem sławnych znakomitości, gorszyła widokiem kiedyś zachwycających anorektyczek, łączyła z szydercami wytykającymi katastrofalne skutki mód, aby na koniec zdać sobie sprawę, że skuszona reklamą pod zdjęciem gustującej w nieodpowiednich mężczyznach ślicznotki, opróżniła litrowy pojemnik najwyborniejszych lodów. Mary wiedziała, że winę za to wszystko ponoszą media, ale wskazywanie winnych palcem wymagało zbytniego wysiłku, więc jej oburzenie szybko gasło. Zwłaszcza że tak często stawała wobec głupiego wyzwania, jakim była konieczność powiedzenia zwykłego „nie”.

Jimmy Gooch, którego Mary poślubiła blisko dwadzieścia pięć lat temu, czytywał „Time’a” i „Newsweeka”, „Scientific American” i „National Geographic”. Oglądał cnn nawet w czasach, kiedy Ameryka nie była jeszcze postawiona w stan najwyższego pogotowia, a na kablówce śledził dysputy ekspertów, którzy wybuchali śmiechem w niezrozumiałych momentach. Ponieważ Gooch pracował często do późnego wieczora, a w weekendy grywał w golfa, Mary wyliczyła, że – pomijając godziny snu – czas, jaki ze sobą spędzają, skurczył się do paru godzin tygodniowo; chętnie przerwałaby panujące między nimi milczenie, nie podzielała jednak zainteresowania męża polityką. Małżonkowie znajdowali czasem wspólny temat w rozważaniach na temat kaprysów ludzkiej natury. „Przeczytaj artykuł na ostatniej stronie” – powiedział jakiś czas temu Gooch, stukając ją w głowę zwiniętą w rulon gazetą – żartobliwym, jego zdaniem, gestem, który Mary uznała za agresywny.

Artykuł mówił o bolączkach kultury amerykańskiej, o mylnym utożsamianiu posiadania z sukcesem, zachłanności z samorealizacją. Gooch oczywiście usiłował w ten sposób skłonić Mary do wyciągnięcia wniosków na temat jej własnego upodobania do gastronomicznych ekscesów, i to mu się udało, ale artykuł podsuwał także inne refleksje, stawiał bowiem pytanie: „Czy szybki dostęp do dóbr i rozliczne ułatwienia oraz mnogość kanałów telewizyjnych i marek, spośród których można wybierać, uczyniły ludzi szczęśliwsiymi, niż byli przed nastaniem rewolucji przemysłowej?”. Mary bez wahania odpowiedziała „nie”. Co więcej, podejrzewała, że w szarym, mającym jasno określony cel życiu jej pionierskich przodków nie było czasu ani miejsca na rozmyślanie o szczęściu. Narąbać drewna. Nanieść wody. Trudno było sobie wyobrazić, aby któremuś z dawnych Brodych, którzy oczyścili tereny pod dzisiejsze Leaford od Burger Kinga po stację benzynową, zdarzyła się bodaj jedna bezsenna noc.

Mając za sobą lekturę wielu kolorowych czasopism i wielogodzinne wysiadywanie nad kącikami życiowych porad, Mary wiedziała już, że nie ona jedna cierpi na chorobliwą otyłość oraz nieokreślone poczucie niemocy i niezadowolenia. Symptomy rozpacz widać było na każdym kroku, zaś sposoby na odniesienie sukcesu znajdowały się na wyciągnięcie ręki. Każdy przecież mógł wyspać się do woli i wstać rano pełen energii, bez stosowania diety zrzucić zbędne dziesięć kilogramów, w dwadzieścia minut, albo szybciej, przygotować kolację na sześć osób i w ciągu miesiąca osiągnąć pięć życiowych celów. Ale pomimo szczegółowych instrukcji Mary nie mogła. Kryła się w tym jakaś tajemnica. Mary miała wrażenie, że brakuje jakiegoś kluczowego składnika, czegoś tak prostego i nieuchwytnego jak uczciwość.

Mary nie wpojono w domu przekonań religijnych, lecz instynktownie oddzielała duszę od ciała. Jej duch nie podlegał ziemskiemu przyciąganiu. Jej ciało ważyło trzysta dwa ziemskie funty, czyli blisko sto dwadzieścia jeden kilogramów, przy czym te dwa funty były ważne, ponieważ przyrzekła sobie dawno temu, że po przekroczeniu granicy trzystu funtów popełni samobójstwo. Jeszcze jedno niedotrzymane przyrzeczenie. Kolejny wyrzut sumienia. Siła napędzająca jej głód była czymś równie obecnym i tajemniczym, jak dla kogoś Bóg.

Bestia niewątpliwie tuczyła się smutkami, a wraz z wkraczaniem w wiek średni przybywało okazji do coraz poważniejszych smutków. Każda strata, ale szczególnie strata cielesnej natury, dodatkowo wzbogacała cielesność Mary Gooch. Trzydzieści funtów nabierało się lata temu przez wiele miesięcy, chociaż Irma bynajmniej nie umarła w dosłownym sensie. Dzieci też swoje dorzuciły – pierwsze piętnaście, drugie dwadzieścia funtów. A tej wiosny doszło dziesięć po śmierci ojca. I kolejne dziesięć funtów latem z powodu Pana Barkleya. Przypisywanie wagowych nabytków najbliższym osobom miało dla Mary leciutki posmak miłosierdzia, podobnie jak leciutką pociechę niesło przeliczenie własnej wagi z amerykańskich funtów na czternastokrotnie mniejszą liczbę brytyjskich *stones*.

W trakcie tych bolesnych cykli żałoby i przybierania na wadze Mary przychodziło do głowy, iż byłoby lepiej mieć wiarę i ją stracić, niż od początku nie wyznawać żadnej. Z ułamków wątpliwej wiedzy i zaradczych pomysłów Mary skleciła sobie pewien system przekonań, który stale korygowała i uzupełniała, w zależności od tego, co przeczytała w najnowszym czasopiśmie albo usłyszała z ust elokwentnej znakomitości. Z jednym wszakże wyjątkiem, a mianowicie, wiary w zasadę trójki – nieziennej, choć nie zaczerpniętej z żadnej religii. Śmierć, ciężki wypadek, ruina finansowa. Jedno. Drugie. Trzecie. Mary zadawała sobie pytanie, co dopełni trylogię rozpoczętą odejściem ojca i Pana Barkleya. Kolejna śmierć? Czy jakieś inne nieszczęście, na pozór łatwiejsze do zniesienia?

Pokonując z wysiłkiem parę kroków od stojącej na parkingu furgonetki do wejścia na zaplecze Drogerii Raymonda Russella, nie mogąc złapać tchu i czując rozpaczliwe trzepotanie przeciążonych przedsionków serca, Mary myślała: „To będę ja. To ja dopełnię trylogii. Zaraz padnę na zawał”. I pogrążała się w żalu, doznając poniewczasie, jak to bywa u lekkomyślnych dorosłych, naglej jasności widzenia. Jednakże złe samopoczucie mijało, tak jak wszystko mija, i Mary jednym kliknięciem uruchamiała następne zmartwienie, które – równie intensywne i wszechogarniające jak wszystkie poprzednie, obrosło wieloma absorbującymi linkami – bez reszty zajmowało jej umysł, skutecznie odwracając uwagę od całościowej wizji samej siebie. Zegar odmierzający czas. Machinacje służące wypieraniu niechcianych myśli.

Mary nie tyle modliła się do Boga, ile przekazywała Bogu swoje pragnienia, chociaż zdarzały jej się okresy zwątpienia. Pragnęła, aby Bóg położył kres wojnom. I żeby jej szef, zamykając kasę, przytrzasnął sobie genitalia. Żeby jej matka w spokoju zamknęła na zawsze oczy. Żeby ona sama miała się w co ubrać na kolację z okazji srebrnej rocznicy ślubu. No i było pragnienie najważniejsze, mające pierwszeństwo przed wszystkimi innymi, towarzyszące jej stale, w każdej chwili – marzenie o tym, by udało jej się schudnąć. Pragnienie to Mary przedstawiała swemu nieokreślonemu Bogu najcichszym, najpokorniejszym szeptem. Gdyby tylko zdołała schudnąć, Gooch znowu by mnie kochał. A czasami: pozwoliłabym, żeby Gooch znowu się ze mną kochał. Stan jej ciała był nierozzerwalnie związany ze stanem jej małżeństwa i ze stanem wszechświata.

„Gdyby tylko udało mi się schudnąć”.

Mimo swych niepewności w kwestii istnienia Boga, i niezależnie od zasady trójki, Mary Gooch wierzyła w cuda.

nocny zegar

Nocny zegar Mary nigdy nie tykał. Tej jesiennej nocy, w przeddzień srebrnej rocznicy ślubu, zegar wybijał rytm do taktu z biciem jej serca – niespokojny, alternatywny jazzowy rytm, przypominający nerwowe kiwanie palcem u nogi albo błędzenie oczyma, w oczekiwaniu pierwszych taktów niecodziennej melodii.

Dryfująca w ciemnościach na sprężystym materacu, podczas gdy jej umysł błąkał się po portalach, wyciągał wnioski, mieszał metafory, Mary czuła spływające po jej skroniach strumyki potu. Śliska i gładka jak foka pod wypłowiałym burym szlafrokiem, łaskotana w kroczu trójkątem wilgoci, leżała oszołomiona walczącymi z sobą uczuciami upału i głodu. Gorące powietrze z pieca, który jakiś czas temu bezskutecznie próbowała wyłączyć, nie przestawało buchać przez kratki w podłodze małego wiejskiego bungalowu. Głód, jak zawsze, domagał się głośno swoich praw.

Mary usłyszała daleki szum samochodu i wstrzymała oddech. Może to jej mąż, Gooch? Nie. Gooch jechałby od wschodu. Poderwawszy swe chybocące się ciało i kolebiąc nim na falach odpływu i przypływu, wylądowała wreszcie bez tchu na plecach, i zanuciła melodię dla odwrócenia uwagi siedzącego w środku tłustonia. Usłyszała daleki chór głosów zapewniający ją, że nie jest osamotniona, i zaśpiewała głośniej. Śpiew dodał jej otuchy, dopóki z kuchni nie ozwało się szydercze rżenie głodu.

W korytarzu, w wilgotnym, klejącym się do jej obfitości szlafroku, jedząc wprost z porwanej z kuchennego stołu plastikowej torebki, Mary sprawdziła na termostacie temperaturę i oblizując słony palec, przerzuciła dźwignię z pozycji „wyłączony” na „włączony” i z powrotem na „wyłączony”. Piec zacharczał tylko, ignorując jej polecenie. Z cichym przekleństwem odłożyła jedzenie i otworzyła drzwi do piwnicy. W chwili gdy zapalała światło, drobiny pleśni i stęchlizny wyfrunęły jak stado uwięzionych ptaków, a oczom Mary ukazał się przegniły dolny stopień schodów, który załamał się pod nią poprzedniej zimy. Po krótkim wahaniu zatrzasnęła drzwi, uznała bowiem, że do powrotu Goocha nic nie poradzi na upał.

Spojrzała na zegar i przypomniała sobie, że mąż często wraca do domu wieczorem, czasami bardzo późno. Mary od wielu lat czekała na niego długo w nocy, nigdy jednak nie zapytała, gdzie się podziewał, ani nie wyznała mu, że boi się ciemności. Wróciła do swojej torby frytek, smażonych w tłuszczu skrawków kartofli, które raniły jej podniebienie, niosąc – podobnie jak blues – zarazem ból i ukojenie. Dosyć, mówiła sobie, a zaraz potem – no, jeszcze ta jedna. I jeszcze jedna. I jeszcze ta ostatnia.

Czując suchość w gardle, otworzyła staroświecką lodówkę i – chłepcąc z ogromnej butli coca-cole – przez okno nad zlewem ujrzała światło księżycy prześwitujące zza szybko przepływających chmur. Odrzuciwszy pasmo czekoladowych włosów, przepłynęła połącz kuchennej posadzki, by otworzyć okno i wciągnąć w płuca niesiony wiatrem jesienny zapach dojrzałych czerwonych jabłek i miękkich żółtych gruszek, wilgotnej ziemi i gnijących liści – wonnego rozkładu, który zniknie wkrótce, gdy nadejdzie zima i nasyci goryczą zatrute wyziewami powietrze.

Poczuła muśnięcie wiatru na skórze, zadrżała i pomyślała o Goochu. Usłyszawszy w oddali wrzask zdziczałego kota, odwróciła się i odruchowo rzuciła okiem na stojące pod tylnymi drzwiami srebrne miseczki. Woda i jedzenie Pana Barkleya.

Uklucie bólu. Odszedł. Nie ma Pana Barkleya. Nie musi się już troszczyć o jedzenie i wodę dla Pana Barkleya. O to, że dostał robaków. Że psują mu się zęby. Pan Barkley był jej syneczkiem, którego darzyła prawdziwie macierzyńską miłością. Dziesięć lat temu wyciągnęła

go, małego wtedy kociaka, z dziury za garażem, do której wpadł, a nazwała go imieniem znanego koszykarza, mając nadzieję, że zaskarbi mu względy u Goocha. Przynosiła z drogerii mieszanki dla niemowląt i za pomocą gruszki do polewania pieczeni karmiła nią miauczące maleństwo, otulała je ręcznikiem i głaskała mokrą szczoteczką, mającą imitować lizanie. Kiedy Goocha nie było w domu, Mary mówiła o sobie „Mama”. Mama przyrządziła Panu Barkleyowi indyjskie mięso w śmietanie. Mama pozwalała Panu Barkleyowi sypiać w zagłębieniu między swymi piersiami. I – jak każda matka – wybaczała mu wszelkie podłości, mimo że w ciągu swego dziesięcioletniego żywota ukochany kot zajmował się głównie przesiadywaniem za kotarami w dużym pokoju, zostawianiem kłaków rudej sierści na zielonych obiciach krzeseł albo syczeniem na Mary, jeżeli spóźniała się z jego obiadem.

Pewnego wieczoru w czasie lipcowych upałów Mary zakradła się do kuchni po coś do przekąszenia i zdumiała się, zastawszy Pana Barkleya rozciągniętego na chłodnej posadzce. Trąciwszy go palcem u nogi, przeraziła się, gdy nie parsknął, nie poderwał się i nie uciekł. „Panie Barkley?”

Nie będąc w stanie przykłęknąć, przysunęła do leżącego kota czerwone winylowe krzesło, a następnie, posługując się stopami jak dźwignią, podniosła go na tyle, by chwycić zwierzątko za przednie łapy i wciągnąć jego bezwolne ciało na półkę swego podółka. Widząc, że dogorywa i chcąc mu umilić ostatnie chwile, pogłaskała kota po rudym łebku i szepnęła: „Mama ma dla ciebie przysmaki z tuńczyka”. Krótki spazm. Pan Barkley jest. Pana Barkleya nie ma. I nie wiadomo, dlaczego umarł, mogła się jedynie domyślać, że zjadł otrutego gryzonia. Winylowe krzesło rozpaczało wraz z kiwającą się na boki i całującą pyszczek Pana Barkleya Mary, która za życia swego ulubieńca nigdy tego nie robiła z obawy, że ugryzie ją w nos.

Kiedy Gooch wrócił tamtego dnia późnym wieczorem i zastał zawartość lodówki wywaloną na uginający się pod jej ciężarem stół, w domu paliły się wszystkie światła i pachniało stęchlizną. Mary zlizywała z wielkiej wazowej łyżki resztki rabarbarowego ciasta, nie przejmując się tym, że została przyłapaną na gorącym uczynku. A w odpowiedzi na pytające spojrzenie Goocha z trudem wykrztusiła:

– Pan Barkley.

A ponieważ Gooch nadal nic nie pojmował, wskazała ręką lodówkę:

– Nie chciałam, żeby oblażyły go insekty.

Wstrząśnięty myślą o zdechłym kocie w lodówce, Gooch położył swoje wielkie, kojące dłonie na jej ramionach i obiecał, że jutro z samego rana wykopie dół. Całując Mary w policzek, dodał:

– Na końcu ogrodu, pod tymi wysokimi drzewami. A na grobie posadzimy kwiaty.

– Irysy – żując i przetykając, zgodziła się Mary. – Fioletowe.

Ptaki weseliły się w gałęziach drzew, kiedy Mary, stojąc u boku górującego nad nią Goocha, sypała ziemię na Pana Barkleya, którego sztywne zwłoki owinęła kilkunastoma metrami kuchennej plastikowej folii, zanim Gooch złożył je w głębokim, wilgotnym dole.

Teraz, sięgając wzrokiem w ponurą noc poza drzewa i grób Pana Barkleya, Mary zasmuciła się, widząc, że u żadnego z sąsiadów po obu stronach domu nie pali się światło. Czułaby się mniej samotna, mogąc obserwować pełne cichej rozpaczki życie innych ludzi. Kłótlivi państwo Feragamo ze swoją gromadą dorastających chłopców zajmowali rozpadający się wiktoriański dom za zachodnim poletkiem. Penny i Shawn, młode małżeństwo, które wrzeszczało na siebie, ilekroć ich nowo narodzone niemowlę zaczynało płakać, mieszkali za strumieniem. Dom państwa Merkel za polami kukurydzy stał o wiele za daleko, aby można ich obserwować przez lornetkę, zresztą pewnie niewiele tam było do zobaczenia. A zapadający się w ziemię, pomalowany na pomarańczowo farmerski dom, w którym mieszkały kiedyś bliźniaczki

Darlen (słynne, ponieważ urodziły się zrosnięte głowami), był obecnie siedzibą lokalnego muzeum, czynnego tylko za dnia.

Stara wierzba na końcu podjazdu ugięła się nagle pod naporem wiatru. Na zaparkowaną pod drzewem furgonetkę z dorobionym na zamówienie odsuwającym dachem posypały się liście w kształcie łez. Dach zaciął się wiosną i od tamtej pory nie dawał się zamknąć. „Naprawa dachu” figurowała od miesięcy na jej liście rzeczy niezafatwionych.

Wróć do domu, Gooch! Wróć do domu! Gdzie się podziewasz o tej porze? Gdzie jesteś? Strapienie pobudziło głód i Mary wydobyla pałeczkę suszonej wołowiny, którą schowała przed samą sobą na dnie szafki, wetkniętą za puszki z zupami. Żując mięso, przebiegła w myślach swoją listę: „Naprawić dach. Naprawić piec? Wymienić na nowy? Niezapłacone rachunki z Domu Opieki Św. Jana. Odpracować za Candance dodatkowy dyżur. Odebrać z pralni garnitur Goocha”. Rozpiąwszy guziki szlafroka, poczłapała z powrotem do pokoju, puszcżając ze złością gazy, udreżczona nieznośną listą, składając sobie obietnice na jutro. Jutro uwierzy w siebie. Jutro odzyska nad sobą kontrolę. Umiarkowanie. Powściągliwość. Dobre maniery. Jutro.

Kładąc się do pustego łóżka, Mary poczuła nieprzyjemny zapaszek uzalania się nad sobą i – nie po raz pierwszy – przywołała wspomnienie chłopca, którego znała dawno temu.

wież odmieńców

Jako dorastająca dziewczyna Mary Brody lubiła spędzać letnie wakacje, przesiadując w swoim pokoju, czytając powieści albo słuchając głośnej muzyki, podczas gdy jej rówieśnice, ubrane w bluzeczki na ramiączkach, spotykały się ze sobą, by palić matczyne papierosy marki Peter Jackson i dzielić się swą autentyczną rozpaczą. Przy tej samej ulicy mieszkały Debbie i Joanne, dziewczynki, które też lubiły siedzieć w domu i czytać powieści i z którymi mogłaby pewnie zawrzeć przymierze, ale Mary wołała spędzać czas sam na sam ze swoim głodem.

Nawet oddając się rozkoszom obżarstwa, Mary nie zapomniała, że ubytki w zaopatrzeniu kuchni nie ujdą czujnemu oku Irmy, robiła więc częste wypadki do narożnego sklepu Klika i tam uzupełniała swoje zapasy za pieniądze, które dalecy krewni przysyłali jej na Boże Narodzenie i na urodziny. Kiedy Mary miała pięć lat, Irma poszła do pracy jako pełnoetatowa sekretarka w warsztacie mechanicznym, a córce przykazała, aby w razie nieprzewidzianych kłopotów poszła szukać pomocy u pana albo pani Klik.

Państwo Klik byli poważną parą z szóstką dzieci. U jednego z nich, chodzącego z Mary do jednej klasy Christophera, wykryto groźną odmianę raka, kiedy chłopiec skończył dwanaście lat. I chociaż ich wzajemne kontakty ograniczały się do wymiany zniecierpliwionych spojrzeń, grubą Mary i chorego Christophera połączyła więź odmieńców.

Opuszczając pokryty kurzem sklep państwa Klik, obok umieszczonych pod śmietnikiem stojaków na rowery Mary widywała niekiedy Christophera siedzącego na siodełku niepowtarzalnego motoroweru, który chłopiec otrzymał w prezencie od właścicieli Salonu Rowerowego w Chatham, ponieważ miał umrzeć. Na pierwszej stronie „Leaford Mirror” ukazało się zdjęcie Christophera, który opierał bezwolne palce na kierownicy, podczas gdy zachwyceni własną wspaniałomyślnością właściciele salonu podtrzymywali na siodełku jego wyniszczone ciało. Mary miała nadzieję, że Christopher nie czytał tego, co napisano pod zdjęciem, choć jednocześnie zazdrościła mu życiowych rokowań. Miała wrażenie, że wiszący nad nim wyrok śmierci zaskarbił chłopcu ludzką sympatię.

Pewnego razu, Mary była wtedy w siódmej klasie, wychodząc ze sklepu Klik z bochenkiem chleba, słoikiem miodu i funtem czekoladowej mieszanki, wzdrygnęła się na widok Christophera, który stał skulony obok swego motoroweru, ściskając rękami kostki nóg. Najwyraźniej cierpiał, ale chyba nie spadł z roweru. Mary nie podeszła do niego, zatrzymała się jednak i zapytała:

– Chcesz, żebym zawołała twoją mamę?

Chłopiec łypnął na nią.

– Nie.

Popatrzyli na trzepoczącą nad śmietnikiem wielką czarną wronę. Ptaszysko wylądowało na plastikowej torbie i przyjrzało im się, przekrzywiając głowę.

– Nie cierpię wron – powiedziała Mary.

– One ciebie też.

– Mam to w nosie.

– Podoba ci się mój motorower? – Mary uniosła brwi, jakby wcześniej go nie zauważyła.

Chłopiec wyprostował się, napotkał jej ładne oczy. – Chcesz się przejechać? – Uznała, że tylko się z nią droczy. – Oprócz mnie nikt jeszcze na nim nie jechał.

– Wiem.

– Każdy by chciał.

– Wiem.

– Dam ci pojeździć. – Christopher rozejrzał się po ulicy, aby się upewnić, czy ktoś nie nadjeżdża albo nie nadchodzi. Potem podciągnął koszulę i obnażył swoją zapadniętą pierś. – Zrób tak – powiedział, ściskając palcami różową brodawkę na prawej piersi – to pozwolę ci się przejechać.

Mary tego lata ani razu nie wsiadła na własny rower. Pedałowanie i utrzymywanie równowagi wymagałoby zbyt wielkiego wysiłku od jej ciężkiego, umęczonego ciała, więc nic dziwnego, że perspektywa swobodnego poruszania się w przestrzeni zapałała jej dech w piersiach. Gdyby Christopher był zdrowym chłopcem, pobiegłaby pewnie zadzwonić do Irmy do pracy, ale ponieważ był chłopcem chorym, uznała, że propozycja jest dziwna, ale nie świńska.

Podeszła i wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć jego przezroczyściej skóry. Odepchnął jej rękę z zadziwiającą szybkością i siłą.

– Nie mi, kretynko.

– Przecież powiedziałaś – odparła, krzywiąc się.

– Sobie.

– Aha – bąknęła. – Przepraszam.

– Jak to zrobisz, dam ci się przejechać.

Ucziwa wymiana. Mary podciągnęła prążkowany bezrękawnik, spod którego wypłynęły jej okazałe piersi, uszczypnęła się lekko w lewą brodawkę i szybko obciągnęła bluzkę.

Christopher wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Ekshibicjonistka.

– Czy teraz mogę się przejechać, Chris-to-pher?

Sprawiał wrażenie naprawdę zmartwionego.

– Nie wierzyłem, że naprawdę to zrobisz. Ojciec mnie zabije, jeżeli komuś go pożyczę.

Usiadła obok niego na krawężniku, wrzucając sobie do ust i żując ze smakiem śliskie galaretki w czekoladzie. Przypomniawszy sobie o dobrym wychowaniu, podsunęła otwartą torebkę Christopherowi, ale on oświadczył:

– Nie lubię cukierków.

Mary zdumiała się.

– Przecież to twój sklep. Możesz mieć wszystko, co w nim jest.

Odczekał chwilę dla większego efektu.

– Wiem.

Zamilkli na długą chwilę. Świadomość, że chłopca czeka nieuchronna śmierć, obudziła w nich obojgu wspólne poczucie krzywdy.

– To niesprawiedliwe – odezwała się Mary.

Christopher ściągnął wargi i pociągnął nosem. Zniknął na moment dzielący ich dystans.

– Byłabyś ładna, gdybyś nie była taka gruba – oznajmił rzeczowo.

– E tam – mruknęła lekceważąco, ucieszona komplementem. Spojrzała na chłopca, nie po raz pierwszy zastanawiając się, czy wie, że musi umrzeć. Zdziwiła się, gdy odpowiedział na jej nieme pytanie.

– Nie pożyczę długo, ot co.

Było dla niej rzeczą oczywistą, że Christopher Klik ma w sobie coś magicznego albo mistycznego.

– Jak długo? Kilka tygodni, kilka miesięcy? – Jej rodzice rozważali tę kwestię w trakcie obiadu.

– Jak możesz zadawać takie pytania!

– Przepraszam.

– Zresztą ty też umrzesz. Wszyscy umrą.

Zaintrygowana słuszością uwagi magicznego chłopca, wpatrzyła się w jego bladą, ściągniętą twarz, oczekując kolejnego oświecenia.

– Pokaż mi jeszcze raz ten swój cycek – zażądał.

Patrząc mu w oczy, podciągnęła bluzkę i uniósłszy niepewnym ruchem rękę, dotknęła brodawki, czemu on przyglądał się z otwartymi ustami.

Kiedy skończyła, uśmiechnął się szeroko.

– Opowiem wszystkim, co robiłaś.

Mary wzruszyła ramionami, ponieważ wiedziała, że Christopher Klik nikomu nic nie powie, bo nie ma komu. Odczekawszy, aż znowu spojrzy jej w oczy, nachyliła się i szepnęła:

– Będę twoją dziewczyną, dopóki nie umrzesz.

Chłopiec szybko kiwnął głową i z bolesnym trudem zaczął się podnosić.

Przeraziła się, czując, że w gardle wyrosła jej paląca gula. Przekonana, iż zaraziła się od umierającego chłopca jego śmiertelną chorobą, porwała torbę z zakupami i uciekła, nie oglądając się za siebie. Kiedy była już we własnym, pustym i cichym domu, Mary otworzyła lodówkę w nadziei, że porządny haust soku uwolni ją od dławiącej guli. Zaraz jednak doszła do wniosku, że pomoże jej grzanka z miodem, lody na patyku, garść fistaszków, resztki czekoladowej mieszanki, pozostałe w lodówce skrawki szynki.

Po tamtym dniu Christopher nie wsiadł więcej na swój motorower. Pochowano go trzy tygodnie później. Klikowie sprzedali swój narażony sklepik sieci Quick Stop, która zastąpiła słodczyce papierosami i baterijkami. Irma mawiała: „Jeżeli przyjdzie ci ochota użalać się nad sobą, pomyśl o Christopherze Kliku”.

Mary stosowała się do jej rady.

Bach! – odezwał się stojący przy łóżku zegar. Kwadratowe okno sypialni było otwarte i wiatr wprawiał kotary koloru szalwii w nerwowe drżenie. Wspomnienia o Christopherze Kliku ulotniły się, oszołomiona i zlana potem Mary włączyła telewizor, przeszukując kanały – znalazła jedynie do głębi fałszywe programy z życia, a pomiędzy nimi gładzenie albo bezlitosne reklamy kuszące słodkim tym, rozkosznie pysznym owym. Ani jednego programu o sławnych i bogatych. Zakłócenia na kanale zakupów. Wyłączyła telewizor, a pilota cisnęła jak najdalej od siebie, prosząc Boga o szybki powrót Goocha.

Półka pod oknem ugiwała się pod ciężarem starannie ułożonych w stosy, po wielokroć wertowanych czasopism – zamokane wizerunki luksusowych piękności, wymarzone ozdoby do domu, które dawno temu wyszły z mody, zapowiedzi odwołanych wiele tygodni temu uroczystości weselnych sławnych znakomitości. Źródło swych najbardziej wyuzdanych rozkoszy – brukowe piśmidła – Mary trzymała schowane między materacami.

Gooch i Mary umówili się niedawno, że do czasu spłacania nowej wykładziny Mary zrezygnuje z kolorowych czasopism, a Gooch ze sportowych programów. To Gooch zaproponował wymianę dywanu na nowy, ale Mary wiedziała, że zrobił to, ponieważ nie mógł dłużej patrzeć na wydeptaną przez nią w chodniku między sypialnią a kuchnią koleinę. Nowa wykładzina miała być ich wzajemnym prezentem na rocznicę ślubu, a jej srebrny kolor przynosił Mary pewną pociechę.

Pierwotnie Mary chciała poprosić Goocha, żeby z okazji tak epokowej rocznicy sprawił jej nowy pierścionek ślubny, którego skromny pierwowzór z jednym małym oczkiem został bezceremonialnie przepiłowany przez jubilera wiele lat temu, kiedy pulchny palec Mary zaczął sinieć. Jednakże na pierścionek nie było pieniędzy, a Gooch zwrócił jej uwagę, że pierścionki ślubne to i tak przestarzałe symbole. Sam jednak nigdy nie zdejmował swojej złotej obrączki. Jej obecność na palcu męża dodawała Mary otuchy.

Nie mając niczego, na co mogłaby patrzeć w telewizji ani oglądać w starych

czasopismach, Mary, wzorem wielu osób cierpiących na bezsenność, skierowała wzrok na tonącą w mroku nad jej wyboistym łóżem gładką przestrzeń sufitu. Przypomniał sobie, ile radości czerpała z lektury dobrej powieści, pożałowała, że nie ma w domu książki, w której mogłaby się zatopić, czekając na Goocha. Jako młoda dziewczyna czytywała z upodobaniem romanse i kryminały, później zaś przeszła na oznaczone złotym klubowym znaczkiem powieści dla kobiet. Gooch namawiał ją, aby się wybrała do miejskiej biblioteki, podkreślając mimochodem, że książki są tam wypożyczane za darmo, a Mary wyobrażała sobie nawet, jak wraca do domu obławiana świetnymi, wychwalanymi przez recenzentów książkami, ale podjęcie takiej wyprawy, a potem chodzenie między regałami, oglądanie i wyjmowanie książek z półek wydawało jej się tak wielkim wysiłkiem, że stale odkładała ją pod byle pretekstem. Ostatnio tłumaczyła to zaniechanie przygotowaniami do skromnej kolacji z okazji srebrnej rocznicy ślubu.

Szczegóły przyjęcia poważnie obciążły jej i tak długą listę spraw do załatwienia. A najgorsze było to, że pretensję mogła mieć tylko do siebie, bo sama ogłosiła to wydarzenie kilka miesięcy temu, kiedy w czasie wyprawy na zakupy do Chatham natrafiła na trochę przyciasny, zielony kostium, który – jak stwierdziła w sklepie całkiem postronna osoba – wyglądał na niej wręcz wystrzałowo. Nowy strój nasunął jej myśl o urządzeniu przyjęcia, ale został zakupiony przed utratą Pana Barkleya i związanym z tym przyrostem wagi, w wyniku którego jedwabne spodnie było na dzisiejszą Mary o dwa numery za małe. I znowu, jak zwykle, nie miała co na siebie włożyć.

W przyjęciu miały uczestniczyć tylko trzy inne pary – Erika i Dave, Kim i François oraz Pete i Wendy, których Mary i Gooch znali od czasów szkolnych, to znaczy z wyjątkiem Eriki, a samo przyjęcie miało być skromne. Po kolacji w rybnej restauracji nad jeziorem partyjka pokera i brydża w wiejskiej kuchni państwa Gooch. „Na koncie mamy już tylko trzysta dwadzieścia cztery dolary, Mare” – ostrzegł Gooch i uparł się, że deser podadzą sami po powrocie do domu.

„Proszę, tylko bez żadnych prezentów” – błagała Mary. Ale Wendy i tak na swoich kursach rękodzieła przygotowywała dla Goochów album z fotografiami upamiętniającymi wspólnie przeżyte lata. Mary na myśl o albumie dostawała bólu brzucha.

Ciemność. Podrzut. Obrót. Gorąco. Głód. Oczekiwanie. Niepokój. Dla kogoś takiego jak Mary Gooch wygodne ułożenie się we własnym łóżku nie sprowadzało się do prostej zmiany pozycji – wymagało nadludzkiego, wyciskającego pot z czoła wysiłku, który mógłby poruszyć górę. Naprawa dachu. Rachunki z domu opieki. Odebrać deser na rocznicową kolację.

„O dziesiątej albo coś koło tego – powiedział Gooch. – Ale nie czekaj na mnie”. Z ostatnią partią towaru ciężarówka z napisem „Transport Mebli i Urządzeń” miała pojechać w okolice Windsoru, niedaleko granicy, za którą leżało Detroit. Odległość do pokonania w godzinę, a dla Goocha w czterdzieści minut. Jego partner zwolnił się z pracy z powodu ostrego zapalenia spojówek, ale niespotykane wysoki i silny mąż Mary mógł sobie bez trudu sam poradzić ze zmywarką na wózku i kompletem mebli stołowych na sześć osób.

Jakiś ruch w powietrzu. I ten zapach. Wilgotny. Ostry. Naelektryzowany. W oddali wystrzeliły grzmiące, basowe dźwięki, przez otwarte okno posypały się do sypialni twarde pociski deszczu. Mary rozejrzała się po niebie w poszukiwaniu błyskawicy, pamiętając, jak kiedyś, gdy była małą dziewczynką, stała w strugach deszczu na kwadratowym trawniczku za domem w alei Irokezów, trzymając nad głową metalowy kij od szczotki. Nie chciała wtedy umrzeć, jak to zdarzyło się panu Pline’owi na polu golfowym, zrobiła to, bo pragnęła doznać olśnienia – jak ta kobieta w telewizji, która ujrzała Boga w chwili, gdy uderzył w nią piorun.

Ocierając poduszką pot z czoła, Mary wsłuchiwała się w pomruki burzy; usiłowała zlekceważyć cichy głos, który ostrzegał ją, że dzieje się coś niedobrego. Wyciągnawszy rękę, by

zapalić boczną lampkę, poczuła wgrzyżające się w jej mostek zęby bólu. Tracąc oddech pod przytłaczającym ciężarem własnego biustu, z sercem rozsadzającym piersi od wysiłku siadania, Mary przymknęła powieki. Oddychaj, powiedziała sobie. Oddychaj. Zasada trójki zasadą trójki, ale za nic nie chciałyby umrzeć, leżąc samotnie w łóżku w przepoconym szlafroku, w przeddzień srebrnej rocznicy ślubu.

Podniesienie się do pozycji siedzącej przynosiło zazwyczaj ulgę, ale nie tym razem. Mary nie mogła się pozbyć wrażenia, że powietrze niesie nie tylko ulewę, ale także niejasne, obudzone przez burzę mroczne ostrzeżenie. Wspomnienie twarzy wychodzącego rankiem z domu Goocha wracało uporczywie jak refren piosenki.

Po śniadaniu, kiedy z zewnątrz dochodziło krakanie wrony, Gooch zatrzymał się w drzwiach z czołem porysowanym zmarszczkami, opuszczonymi kącikami spierzchniętych warg, i popatrzył jej w oczy. Wyczytała w tym spojrzeniu podsumowanie ich wspólnego życia i miała ochotę zacząć go przeproszać. Co w nim było? Współczucie? Pogarda? Czulość? Żadna z tych rzeczy? Wszystkie razem? Kiedyś sądziła, że umie czytać w jego myślach.

Mając w tle skrzeczenie hałaśliwego ptaka, Gooch odchrząknął, a potem zapytał:

– Powiedz Mare, czy masz się w co ubrać na jutrzejszy wieczór?

Gooch był dla Mary rodzajem życiodajnego organu, którego funkcjonowanie pozostawało dla niej tajemnicą, ale bez którego – była o tym przekonana – musiałyby zginąć. Był jej pierwszą miłością. Wspólnikiem. Partnerem. Jedyną rodziną, jaka jej pozostała. Swoje życie dzieliła na czas „przed Goochem” i „po Goochu”.

Mary zdawała sobie sprawę ze stronniczości swojej pamięci, wiedziała też, że sama wymyśliła przynajmniej część swoich wspomnień z pierwszego spotkania z Goochem. Przywołując w wyobraźni tamtą scenę, Mary posługiwała się nowoczesną, w jej własnym mniemaniu, metodą odtwarzania wspomnień, czyli metodą stosowaną przez reżyserów filmowych – szerokie ujęcie dla uchwycenia mowy ciała, dwa wyraziste ujęcia obu profili, mocne, szerokokątne zbliżenie, a wszystko to przy akompaniamencie seksownej muzyki Motown. Powolnym, bohaterskim krokiem, z rozwianymi na wietrze włosami, Jimmy Gooch wchodzi przez podwójne drzwi i sunie korytarzami Zbiorczego Gimnazjum w Leaford, zaś tłum uczniów rozstępuje się przed nim jak morze. Szesnastoletni Jimmy Gooch był rodzajem szkolnego bóstwa. Otoczony powszechnym podziwem, promieniejący powodzeniem, celujący uczeń, a do tego wielce obiecujący sportowiec, pierwszy strzelec odnowionej drużyny Kugarów, którego przyjazd z Ottawy poprzedziły szumne zapowiedzi, zawodnik, którym już wtedy interesowali się poszukiwacze talentów z amerykańskich uczelni. Potężne, napięte mięśnie zdobyły imponującą sylwetkę dwumetrowego nastolatka, opinająca twarde mięśnie brzucha i torsu koszulka rockowego zespołu budziła powszechną zazdrość.

Ładne oczy Mary Brody nawet nie mrugnęły, gdy Jimmy Gooch zbliżył się do miejsca, gdzie pod luźnymi, elastycznymi spodniami i zbyt obszernym szkolnym swetrem drżało jej obfite ciało. Zapytał: „Nie wiesz, gdzie się odbywa trzeci zaawansowany kurs literatury?”, a ona poczuła skurcz macicy. Gooch do końca roku się do niej więcej nie odezwał, chociaż chodzili na cztery te same przedmioty, niemniej jednak, w tym pierwszym momencie, kiedy spoczęło na niej przelotne spojrzenie wyrośniętego chłopca-mężczyzny, Mary Brody niejasno wyczuła w nim bratnią duszę, dostrzegła błysk przyszłości i nieprawdopodobne splecenie ich losów.

Czy wszyscy, którzy nie mogą spać, przeglądają nocami wydarzenia z własnego życia, jak powtórki starych filmów w telewizji? – zadała sobie pytanie, po czym, czując bicie własnego serca i zbierając się w kącikach ust ślinę, wróciła myślami do dzisiejszego poranka.

– Powiedz Mare, czy masz się w co ubrać na jutrzejszy wieczór? – Głos Goocha działał jak erotyk. Najłżejsze muśnięcie tenorowymi nutami jej wyczulonego wewnętrznego ucha

wprawiało ją w podniecenie. Dlaczego nigdy mu o tym nie powiedziała? – przemknęło jej przez myśl i poczuła żal, że nie ma to już znaczenia.

Marszcząc czoło, odciągnęła pasek spodni sklepowego uniformu – największego rozmiaru w kobiecej skali, co oznaczało, że następnym razem będzie musiała skorzystać z dużego rozmiaru męskiego i poprosić Raya Russella juniora, właściciela i kierownika drogerii, żeby złożył dla niej specjalne zamówienie. Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze, bo podsłuchiwała niedawno, jak Ray i Candance robili sobie z jej tyłka wcale nieśmieszne żarty: Candance proponowała ogłoszenie zbiórki na wszczęcie Mary gastrycznych bajpasów, na co Ray dodał, że zadek takich rozmiarów powinien prowadzić własnego bloga. Od tamtej pory, wchodząc do pokoju pracowników, Mary głośno chrząkała albo pokasływała.

– Coś sobie znajdę – zapewniła Goocha.

– A ten zielony komplet, który niedawno kupiłaś? – spytał ostrożnie.

– Suwak się popsuł – skłamała.

– Pamiętaj, co się działo, kiedy ostatnim razem musiałaś improwizować? Jeżeli nie masz się w co ubrać, kup sobie coś nowego. To ważne. Poszukaj czegoś ładnego.

Stojący w drzwiach w szytej na miarę roboczej koszuli, brązowym sztruksowym płaszczu, wyblakłych džinsach ze sklepu dla ponadwymiarowych i naciągniętej na czoło baseballowej czapce, spod której wymykały się przyprószone siwizną, falujące włosy, niższy o trzy centymetry niż przed laty, z twarzą zniszczoną niczym wysłużona rękawica łapacza, Gooch był nadal bardzo przystojny, chociaż zmęczony życiem. Zadała sobie pytanie, czy wydaje się bardziej czy mniej znużony niż dowolny inny czterdziestoczteroletni mężczyzna z dowolnego innego małego miasteczka. Przechylając na bok głowę, spytała:

– Powiedz kochanie, nie żałujesz, że urządzamy to jutrzejsze przyjęcie?

Po krótkim wahaniu, przybierając ten swój szczególnie wyraz twarzy, powiedział:

– Dwadzieścia pięć lat, moja pani Gooch. To nie byle co, nie uważasz?

– To prawda – przyznała. – O której wrócisz?

– O dziesiątej albo coś koło tego. Ale nie czekaj na mnie. – Tylne drzwi zamknęły się z trzaskiem, kiedy wypowiadał ostatnie słowa.

Dwadzieścia pięć lat w małżeńskim stanie to rzeczywiście nie byle co, chociaż nikt nigdy nie zapytał Mary o sekret trwałości jej związku. Gdyby ją spytano, odparłaby pewnie: „Nie dzwoń do męża do pracy”.

Oczywiście w ciągu tylu lat Mary zdarzało się dzwonić do Goocha w nagłych przypadkach na jego pager albo komórkę, na ogół jednak jej życie płynęło utartym trybem, a tragedie, jeśli się zdarzały, były zwykle do przewidzenia. Kiedy dowiedziała się o nagłym zgonie ojca, miała już zadzwonić do Goocha do pracy, ale po namyśle uznała, że i ta wiadomość może poczekać – jak wszystkie inne sprawy z wyjątkiem trawiącego ją głodu. Wiele lat temu, czując narastające skurcze macicy, zaczęła wybierać numer jego pagera, lecz dała spokój, gdy zdała sobie sprawę, że ambulans dojedzie szybciej niż Gooch. Zostawiła mu kartkę na kuchennym stole: „Zabrali mnie do szpitala, bo dostałam krwotoku”. Niedawno, kiedy strzałka wagi przekroczyła granicę trzystu funtów, Mary zastanawiała się, czy nie zadzwonić, ale przypomniała sobie o przysiędze popełnienia samobójstwa i zamiast zadzwonić, wyciągnęła z szafki w łazience wszystkie środki przeciwbólowe. Już w trakcie wysypywania tabletek na kuchenny stół, Mary zdała sobie sprawę, że tylko udaje, i powiedziała sobie, że przy jej wadze zebrana dawka leków i tak okazałaby się nie dość mocna. W tym momencie za jej plecami otworzyły się tylne drzwi i do kuchni wszedł Gooch, wypełniając dom zapachem oleju silnikowego i emanującej z silnego mężczyzny energią. „Jeszcze na nogach?” – zawołał. Zajęty zdejmowaniem płaszcza i zzuwaniem butów, nie zwrócił uwagi na rozłożone na stole tabletki

i fiołki, które Mary zgarnęła szybko do plastikowej torby i wyrzuciła do kubła. Nie oparła się wtedy przelotnej myśli, że może sam coś ukrywa i dlatego nie zwraca uwagi na jej dziwne zachowanie.

Nocny zegar. Kołatanie serca. Bum. Bum. Buch. Arterie zapchane kuleczkami strapienia. Wyciągnęła rękę do telefonu, ale ją cofnęła. Dobra żona ufa mężowi, nie sprawdza, gdzie się podziewa, nie wypytuje, dlaczego się spóźnił, nie szpera w jego szufladach. Tak naprawdę – do tego jednak Mary nie przyznawała się nawet przed samą sobą – nie dzwoniła do Goocha, ponieważ bała się usłyszeć, że jest tam, gdzie być nie powinien, a nie chciała brać na siebie ciężaru jego spowiedzi, tak samo jak, jej zdaniem, Gooch wolał unikać jej zwierzeń.

ciężar żałoby

Piętnaście funtów po ojcu. Orin Brody zmarł tej wiosny na zator, podstępny zakrzep, który przewędrował z nogi do mózgu w jakiś czas po tym, jak Mary zamknęła za sobą drzwi jego mieszkania nad rzeką w sąsiednim Chatham. „Do zobaczenia jutro, Murray!” – zawołał za nią, zdrabniając swoim zwyczajem jej imię. Matka mówiła do niej „złotko”.

Śmierć z powodu zakrzepu była pewnym zaskoczeniem, ponieważ Orin od dawna chorował na serce i zapalenie jelita grubego. Pośmiertna waga ojca – liczba, która ubodła ją wtedy i wciąż bzyczała jej w uchu – to dziewięćdziesiąt siedem funtów. Bo też w ostatnim roku życia Orin kompletnie stracił apetyt – na sport w telewizji, na jedzenie, na życie, w ogóle na wszystko. Jego zwłoki ważyły dokładnie tyle, ile ważyła przysadzista, dziewięcioletnia Mary w chwili, gdy pan doktor przekazał szeptem jej eterycznej matce Irmie oczywistą prawdę. Dziewięćdziesiąt siedem funtów. Tłustoń. Mary nadmiernie rozrośnięta. Orin okrutnie pomniejszony. Uporczywy ciężar żałoby budził w niej głód.

W dniu pogrzebu ojca Mary wstała wcześniej rano po nieprzespanej nocy i ruszyła do łazienki, chcąc ufarbować sobie włosy. Z drogeryjnej torby wyjęła pudełko farby do włosów i dopiero wtedy spostrzegła, że chwyciła z półki niewłaściwe opakowanie – pudełko „Intensywnej czerwieni” zamiast „Intensywnego kasztana”. Pogodziona z tym, że zostanie z siwymi odrostami, po wyjściu z łazienki zastała Goocha, jak wielkimi, zgrubiałymi rękami doprowadza się do porannej erekcji. Wyprostował się, ciężko dysząc, z miną przyłapanego na gorącym uczynku.

– Myślałem, że poszłaś farbować włosy.

Bynajmniej nie urażonej jego zachowaniem, raczej nim podnieconej, Mary przemknęło przez myśl, czy by nie usiąść obok niego na łóżku i samej zacząć go pieścić, poczuć, jak jego ręce błądzą po jej gołych plecach, niosąc sobie i jemu, tak jak niegdyś, wzajemne ukojenie. Łaknęła tej potężnej miłości, lecz równocześnie słyszała aż nadto wyraźny głos swego ciała, które nie chciało być dotykane.

– Chwyciłam nie tę farbę – westchnęła. – Czerwoną.

Nieco później Gooch usłyszał jakiś hałas w sypialni i zastał Mary rozciągniętą na łóżku. Nie z powodu śmiertelnego ataku serca ani nawet rozpacz, ale czarnej sukienki ze sztywnego materiału, w której na ostatnim pogrzebie dobrze się mieściła, a która teraz leżała pod zwałami jej ciała. Gooch tylko zacisnął powieki i cicho wyszedł z pokoju.

Zamknięta w łazience, siedząc nago na toalecie, chociaż wcale nie musiała się wypróżnić, Mary bez szczególnego wstydu czy obrzydzenia drapała się po swoich nieowłosionych udach. Inaczej niż głód, który nigdy jej nie opuszczał, nienawiść do samej siebie nadchodziła falami. Ubrania nie zawsze budziły wstręt do własnej postaci, częściej do samej odzieży – ciasnej, szorstkiej, drapiącej. Z całej posiadanej garderoby jeden tylko szary szlafrok nie drażnił jej skóry. Była uszczęśliwiona, kiedy w drogerii wprowadzono jednakowe stroje służbowe: obszerne, jasnogrnatowe spodniemy, przypominające szpitalne uniformy, które obsługującym klientów pracownikom miały nadać profesjonalny wygląd, a w których wszystkie bez wyjątku wyglądały jak półtora nieszczęścia.

Sprzedawczyni drogerii wściekały się na te uniformy – najbardziej narzekała cienka w pasie Candance o okazałym biuście. Tylko Mary nikt nie spytał, co o nich myśli. Pewnej bezsennej nocy przyszło jej do głowy, zresztą bez cienia goryczy, że jest w drogerii, całkiem dosłownie, rodzajem słonia w składzie porcelany. Otaczająca jej ciało zmowa milczenia nadawała mu iluzoryczny charakter. Jej prawdziwa waga? Jej rzeczywiste wymiary? Nikt prócz

niej ich nie znał. Chowanie jedzenia. Najadanie się po kryjomu. Karmienie nienasyconego ciała, któremu została przypisana, podtrzymywanie gorączkowej pasji jedzenia i jeszcze raz jedzenia.

Wierząc się nerwowo na toalecie i zgodnie z właściwą, jak sądziła, wszystkich ludzkim myślom tendencją do przeskakiwania od dawnych wspomnień do aktualnych trosk i z powrotem – zmieniła czas i zaczęła się zastanawiać, jaki nagły wypadek mógłby usprawiedliwić nieobecność córki na pogrzebie własnego ojca. Wtedy rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

– Mary...?

– Przepraszam, Gooch.

– Chyba coś wymyśliłem. Mogę wejść?

Obraz Jimmy'ego Goocha w cienkim krawacie i zaprasowanych w kant spodniach dodał jej odwagi, by podnieść się z toalety. Wręczył jej parę czarnych spodni, pożyczonych od niskiego, grubego sąsiada Lea Feragamo, oraz własną, wykrochmaloną białą koszulę, którą musiała zostawić rozpiętą, wkładając pod spód swój jedyny czysty biały podkoszulek. Siwe odrosty błyszcząły niczym anielskie włosy wokół twarzy okrągłej jak księżyc w pełni. Na głowę nałożyła czarny słomkowy kapelusz z szerokim rondem, ale do lustra już nie zajrzała. Gooch podniósł kciuk i oznajmił, że wygląda zabawnie, a Mary poczuła ściskanie w gardle.

Kiedy jechali w milczeniu krętą drogą wzdłuż rzeki, Mary zastanawiała się, czy żałoba jest całkowicie osobnym stanem, czy też za każdą śmiercią czają się jakieś widma. W śmierci ojca kryło się ich wiele: umysłowa degradacja jej matki; rozpadanie się jej małżeństwa; utrata nienarodzonych dzieci, których nigdy nie znała, choć nadała im imiona.

W dniu pogrzebu panowała nietypowa, jak na wiosenną porę, ciepła pogoda. Na ścieżce prowadzącej do Domu Opieki Św. Jana w Chatham, gdzie jej matka tkwiła od lat w demencji, Mary poczuła zapach fioletowych bzów. Przystanęła, aby nazrywać kwiatów, które postawi na nocnym stoliku matki, chociaż wiedziała, że Irma, nieświadoma tego, co się wokół niej dzieje, nie doceni ani nie zrozumie jej gestu, jednakże jej samej przyniesie to pociechę. Recepcjonistka nabzdyczyła się na widok bukietu i oznajmiła przez zaciśnięte wargi, że zabrakło wazonów.

Irma siedziała w świetlicy, starannie usadowiona na wózku inwalidzkim, z zaczesanymi na tył głowy siwymi kosmykami, bardziej przypominająca zimowy krzew niż ludzką istotę, wpatrzona w dal. Mary wyobraziła sobie, że matka spogląda na nią z uśmiechem, jak to czynili inni pensjonariusze, gdy ich krewni przychodzili z wizytą. Wyobraziła sobie, że Irma obejmuje ją wyschniętymi ramionami. I że słyszy jej szept: „Mary. Kochana Mary”. Pragnęła, aby pocałowały ją te półotwarte wargi, pragnęła dotykać, być dotykana, marzyła o bodaj cieniu kontaktu z dawną Irmą, z matką, która pewnego dnia, ostrożnie rozczesując włosy córki, wyznała: „Moja matka wrywała mi skołtunione włosy. Dosłownie wrywała. Dostawałam szczotkę, jeśli choćby pisnęłam. Ja nigdy nie uderzyłamby mojej córeczki szczotką”. A kiedy indziej rzuciła mimochodem: „Masz, moje złotko, bardzo ładny charakter pisma”.

Orin kochał Mary w podobnie powściągliwy sposób, ona jednak nie obarczała rodziców winą za swój obecny stan ani nie miała do nich pretensji o skąpiecie jej uczuć. Nie były ich mocną stroną, dzielili się tym, co mieli. „Zamiast się dąsać, ciesz się tym, co masz” – lubił ją upominać Orin, kiedy miała muchy w nosie. A kiedy chciał ją uciszyć, wciskał jej do ręki wymaginowany kluczyk i mówił: „Schowaj go do kieszeni. Zaciągnij suwak. Nikomu go nie pokazuj”.

Tata za nic nie chciałby się tutaj znaleźć, powiedziała sobie Mary, wioząc swą nieobecną duchem matkę obok jej dogasających współpensjonariuszy, myśląc z ulgą, że tylko szerokość ulicy dzieli przybytek św. Jana od największego domu pogrzebowego w Chatham. Mozoląc się na podjeździe z rzęzącą matką i własnymi otartymi udami, myślała o stopniowym odchodzeniu Irmy, które zaczęło się, gdy miała pięćdziesiąt kilka lat, o wykruszaniu się kolejnych cząstek jej

istnienia, znikających jak schodzący kolejno z boiska zawodnicy – zanik pamięci długotrwałej, potem pamięci krótkotrwałej, rozpoznawania i rozumowania. Z Orinem zdążyła się przynajmniej pożegnać, i to przyniosło jej pocieszenie. „Do zobaczenia jutro, Murray”.

Ogromny Jimmy Gooch i przygarbieni staruszkowie stali przed domem pogrzebowym, podając sobie z rąk do rąk metalową flaszkę z podejrzaną miksturą, którą jeden z krewnych nadal pędził w swoim garażu. Dostrzegłszy żonę, jak w górę podjazdu popycha wózek z matką, a właściwie z tym, co z niej zostało, Gooch pomachał do niej i lekko podnosząc ramiona, posłał jej słaby uśmiech – był to jego sposób powiedzenia: „Ot, życie”. Mary pokiwała dwa razy i przekrzywiła głowę, swoim sposobem odpowiadając: „Ano”.

„Ot, życie”. Wzruszyła się na myśl o tym, ile to już razy w ciągu wspólnego życia wymieniali te gesty, ale zaraz zezłościło ją, że Gooch nie podbiegł i nie odebrał wózka z jej opuchniętych rąk. Może z daleka nie widzi, że jest złana potem i ledwo dyszy, a on – na podobieństwo rodziców, którzy zawsze ostatni zauważają, jak bardzo ich dziecko wystrzeżiło nagle w górę – jeszcze nie spostrzegł, jak bardzo stała się niedołączna.

Po ceremonii w domu pogrzebowym, a przed obrzędem na cmentarzu, gdzie Orin i Irma mieli dwa złączone groby w sąsiedztwie innych zmarłych Brodych, Mary, złaźniona, by wspólnie z matką oplakiwać ojca, a jednocześnie pełna ulgi, uwalniając się od jej ciężaru – odwiozła wątlą istotę do przybytku św. Jana. Na długo przed śmiercią Orina czy Pana Barkleya Mary spędziła wiele bezsennych nocy, marząc o tym, aby matka umarła i dopełniła jedną grupę trzech nieszczęść, bądź otworzyła następną, jednakże pulsujące ciało Irmy było biologicznym fenomenem, życiem, które nie żyło. Może Irma po prostu się nie liczyła.

Kiedy na krótko przed jego śmiercią Mary zwierzyła się Orinowi, że czuje się uwięziona i równocześnie zawieszona w próżni, że bezskutecznie usiłuje wzniecić w sobie optymizm i widzi tylko pustą połowę szklanki, ojciec odparł ze zniecierpliwieniem: „Daj sobie spokój ze szklanką, Murray. Pij ze szlauchu i rób swoje, na nic się nie oglądaj”.

Ptasi śpiew tworzył muzyczne tło ceremonii pogrzebowej na cmentarzu. Skurcze głodu szarpały żołądek Mary rozmyślającej o wyzwaniu duszy Orina przez pastora, który nie odróżniłby jej ojca od pestki wiśni. Duchowny prosił Boga, aby przyjął duszę Orina Brody’ego do nieba, ona jednak wiedziała, że stary Orin nigdy nie zaryzykuje tak dalekiej wyprawy, nawet gdyby mógł pójść na skróty. Oczami wyobraźni widziała ojca w postaci mglistego obłoku, który ścierając się w powietrzu z cząstkami tlenu, unosi się nad swoim własnym nagrobkiem, zadowolony z miejsca, w którym się znalazł, podobnie jak przez całe życie nie wyściubił nosa poza okrąg Baldoon. Orin i Irma nie widzieli powodu, by dokądkolwiek wyjeżdżać, wpoili też córce podobną nieufność do wszelkich podróżniczych zapędów.

Jeżeli chodzi o religię, to Orin został wychowany w katolickiej wierze, ale ponieważ nigdy jej tak naprawdę nie wyznawał, trudno byłoby powiedzieć, aby się jej wyrzekł, poślubiając Irnę, którą wychowywano wprawdzie jako protestantkę, ale która kierowała się własnymi koncepcjami. Nagabywana przez córkę, Irma wyjaśniła, że rodzice nie uczęszczają do kościoła protestanckiego, ponieważ ona miewa potem koszmarne sny, a do kościoła katolickiego nie chodzą, ponieważ proboszcz jest pijakiem. Kiedyś, jako mała dziewczynka, Mary zwróciła uwagę na grupę pobożniaków, którzy zdrapywali ze ściany K-martu ociekający czerwona farbą, zdumiewający napis: „Gdzie jest Bóg, kiedy jej potrzebujesz?”.

Nie, myślała Mary, nawet opary Orina Brody’ego nie porzucą nigdy Leaford, niemniej jednak, na wszelki wypadek skierowała modlitwę do nieba. Podniosła wzrok, gdy nad grobem przelatywało stado czarnych wron, aż żałobnicy wzdrygnęli się. Jeden ptak zniżył lot, opadł na lśniąca trumnę, po czym, przemaszerowawszy dostojnym krokiem wzdłuż, od jednego do drugiego jej krańca, zatrzymał się i wlepił ślepią w Mary Gooch. Ta odpowiedziała mu równie

nienawistnym spojrzeniem i uznała, że wyszła z pojedynku zwycięsko, bo wrona odfrunęła.

Widząc, jak zza firanek ciemnych rzęs wycierają mokre od łez oczy Goocha, Mary zapragnęła zapłakać razem z mężem. Podobnie czuła się wiele lat temu, gdy zobaczyła, jak sięga on po chusteczkę higieniczną, kiedy kanadyjski hokeista Wayne Gretzky ogłosił swoją decyzję porzucenia drużyny Edmonton Oilers i wstąpienia do Kingsów z L.A. Albo pewnego niedzielnego popołudnia, kiedy łzy popłynęły mu z oczu podczas końcowych scen pokazywanej w ich nowym telewizorze *Mojej zielonej doliny*. A także dawno temu, w dniu śmierci jego ojca, kiedy wypił całą butelkę Poczyszczalnika Spragnionych i rozpląkał się po seksie. Mary podziwiała męża za to, że jest wystarczająco męski, by pozwolić sobie na płacz, ale nie była pewna, co to znaczy dla niej samej.

Wachlując się połamami białej, zwilgotniałej wokół szyi koszuli, skupiła myśli na swoim oddechu, a dokładniej, na własnym zapachu – zapachu sera *fromage*, który jej samej sprawiał dziwną przyjemność, niemniej zaraz po powrocie do domu będzie musiała przemyć i posypać talkiem wąwozy i zagłębienia swego ciała.

Jedzenie. Głód. Błogosławione elementy stypy. Serwetki i plastikowe szklanki na stoliku do kart. Dochodzące w piekarniku na wolnym ogniu zapiekanki. Pete i Wendy są poza miastem, ale Erika z Davem i Kim z François na pewno przyjdą. Rowlandowie, Loyerowie, państwo Feragamo, Wiffenowie, Stielerowie, Nick Todino z żoną, Phil i Judy. Państwa Merkel nie będzie, prawie nie ruszają się z domu. Ze strony Goocha nie zjawi się nikt.

Ojciec Goocha zmarł w wyniku wypadku samochodowego, kiedy byli w ostatniej klasie Zbiorczego Gimnazjum w Leaford, a półtora roku później matka Goocha, Eden, ze swoim nowym mężem Jackiem Asquithem – uzależnionym od papierosów Amerykaninem, którego Gooch nie nazywał inaczej niż Jack Dupas – przeprowadziła się do Kalifornii do miejscowości o nazwie Golden Hills, gdzie Jack miał własną firmę zaopatrującą klientów w zwierzęta domowe. Eden obiecała, że będą się nadal widywać, ale po paru wizytach na Boże Narodzenie przestała przyjeżdżać. Mary prosiła Goocha, żeby nie próbował się skontaktować z Heather, swoją nieszczęsną siostrą, która nie miała stałego adresu.

Głos Goocha stawał się coraz bardziej odległy. Nie tylko podczas powrotnej jazdy z pogrzebu ojca, ale z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok ich małżeństwa. Mary wydawało się, że słyszy, jak Gooch mówi: „Moje prochy rozsyp na polu golfowym, Mare. Przy osiemnastym dołku. Taka jest moja wola”.

Wczesne drzewa zaczęły właśnie wypuszczać liście i kwietniowe deszcze przykryły szarość zielenią. W sielskim krajobrazie nie sposób nie poczuć czyjegoś boga. Zmartwychwstania czarnych pól ziemi. Blasku chwały w nurkujących promieniach słońca. Obietnicy pływających w maśle szparagów i truskawek prosto z krzaka. Obserwując upstrzony plamami słońca profil męża, Mary zadała sobie pytanie, czy Gooch opłakuje teraz własnego, dawno nieżyjącego ojca, od dawna nieobecną matkę, swoje sportowe stypendium. Na pewno myśli o swych nienarodzonych dzieciach, chociaż ich imion, tak jak przekleństw, nigdy na głos nie wymawiano.

Gooch sięgnął ręką nad głowę i mocnym szarpnięciem odsunął utrapiony dach szoferki, który od tamtej pory przestał się zamykać. Zdjął rękę z kierownicy i dotknął Mary przez wełnistą skorupę spodni pana Feragamo. Zesztywniała, kiedy jego ogromne palce wymacały mierzwę jej uda.

– Nie pij dzisiaj za dużo, dobrze, kochanie? Jutro czeka cię kurs do Wawa – upomniała go.

– Jedź ze mną. – Powiedział to bardzo szybko, więc udała, że nie zrozumiała, aby mógł się wycofać. Ale on powtórzył: – Jedź ze mną.

– Jutro?

– To piękna droga, Mare. Oderwiesz się od...

– Jestem umówiona z adwokatem – odparła. – No i nie mogę zostawić mamy. Przykro mi

– dodała, próbując uchwycić jego wzrok.

Tak naprawdę Gooch nie spodziewał się, że powie tak. Już sto razy zadawał jej podobne pytania. Pojedź ze mną do Montrealu. Jedź ze mną do Burlington. Jedź ze mną. Jedź ze mną.

Jedź ze mną. Wcisnął guzik radia, napełniając półciężarówkę muzyką Sly & The Family Stone.

– Będzie mi brakowało starego Orina – powiedział.

Mary przymknęła oczy, pozwalając, by muzyka uniosła ją w wyższe rejony.

karzący palec

Mimo wpadającego do sypialni przez otwarte okno wiatru, który owiewał jej zwilgotniały szlafrok, Mary nadal gotowała się z gorąca. Głód też nie ustępował. Po słonym coś słodkiego. Oczywisty biologiczny imperatyw. Potężne łaknienie wypierało twarz Goocha z jej myśli, żal za utraconymi rodzicami z jej duszy, niepokój o rocznicową kolację z jej pamięci. Dlaczego nie wzięła torebki halloweenowych cukierków z półki przy kasie? Przeklęty głos powściągliwości.

Skupiła się na spisie. Na szczegółach. Kolacji w srebrną rocznicę. Potwierdzić rezerwację nad jeziorem. Odebrać słodycze z Oakland Bakery. Gooch? Jeśli szybko nie wróci i trochę się nie prześpi, będzie zbyt umęczony i niewyspany, żeby jechać na kolację. Już i tak się denerwował, ile to będzie kosztować, martwił się, że goście zamówią zakąski i drogie dania w rodzaju owoców morza albo karkówki. Zwrócił jej uwagę, że Kim i Wendy lubią wymyślne koktajle, a Pete swoje zagraniczne piwo. Będzie myślał ze strachem o rachunku. Mary od tygodnia myślała ze strachem o albumie Wendy, o zdjęciach pokazujących, jak wyglądała przez krótką chwilę i co się z niej zrobiło.

Na prośbę Wendy Mary przejrzała sumiennie pudła ze starymi fotografiami, cierpiąc męki na widok siebie samej z czasów, gdy prezentowała się olśniewająco; a potem przeglądając zdjęcia, na których z roku na rok robi się coraz grubsza, aż po ostatnie, gdzie widać tylko jej odwrócony policzek albo umykające plecy. Wręczając Wendy kilkanaście dawnych fotografii, głównie z niespełna rocznego okresu swojej smukłości, udala, że nie dostrzega zniecierpliwienia przyjaciółki. „No nic – westchnęła Wendy. – Będę musiała wybrać coś z tego, co mam w domu”.

Po wstaniu z łóżka Mary poczuła skurcz serca na myśl o zdjęciach. Czepiając się ścian – kości udowe źle obracały się w stawach – poczłapała wąskim korytarzem do termostatu i jeszcze raz spróbowała, bez skutku, wyłączyć ogrzewanie. Rozpiąwszy szlafrok, podeszła do otwartego okna, po czym zsunęła go z ramion i powiesiła na oparciu krzesła.

W trakcie przeglądania pudeł dla Wendy znalazła fotografię, którą odłożyła na bok, a następnie schowała do szuflady nocnego stolika – zdjęcie Mary Brody z panią Bolt, jej ulubioną nauczycielką, jak stoją obok siebie na schodach Gimnazjum Zbiorczego w Leaford. Mary na fotografii bynajmniej nie jest szczupłą, ma na sobie wypchane spodnie od dresu i opinający fałdy brzucha pulower, a jednak, spoglądając na siebie po latach, Mary pomyślała, że ma na tym zdjęciu wyjątkowo radosny uśmiech.

Oprócz regulaminowych lekcji o społeczeństwie i wiedzy obywatelskiej, pani Bolt wprowadziła do szkoły nadobowiązkowy przedmiot o nazwie „Myśl postępową”. Pani Bolt była najbardziej czarną osobą spośród tych, jakie młodzieńca, nieznająca świata Mary kiedykolwiek oglądała na własne oczy. Zdawała się nie chodzić, lecz płynąć, omiatając podłogę swymi długimi jedwabnymi kaftanami, podzwaniając tuzinem złotych bransolet na każdym przegubie, niosąc wyprzedzający ją, gdy wchodziła do klasy, ogromny biust, za którym z trudem nadążało wielkie siedzenie.

W oczach starszej od siebie kobiety Mary zobaczyła swoje odbicie. Nie grubej, nadąsanej Mary Brody, lecz gorliwej uczennicy, która ma własne zdanie i bardzo ładną buzię. Mary odnosiła wrażenie, że pani Bolt, którą własna cielesna obfitość zdawała się raczej wyzwalać niż więzić, i dla której każdy dzień był niczym święto – wejrzała w jej duszę. Pani Bolt nie kontestowała piękna, była raczej jego niekonwencjonalną wyznawczynią. Ta jej ogładzona wybujałość. Wystudiowana swoboda. Mary była olśniona.

Podpytywana przy kolacji przez Irmę o nową nauczycielkę, Mary spróbowała ją opisać.

– Nazywa się pani Bolt, nie panna, tylko pani – powiedziała z naciskiem, aby nie

pozostawić najmniejszej wątpliwości co do przekonań swojej heroiny.

– Tak, słyszałam – odrzekła Irma.

– Jest piękna. – Miało to zabrzmieć jak wyzwanie. – Jest gruba. Pani Bolt jest gruba.

– Taka jak pani Rousseau?

– Grubsza.

– Grubsza od pani Rousseau?

Mary przewróciła oczami, był to jedyny, nie licząc przejadania się, gest sprzeciwu, na jaki sobie pozwalała.

– Ona siebie akceptuje. To jedna z rzeczy, jakich nas uczy. Akceptowania siebie.

– Moje złotko, jeżeli jest grubsza od pani Rousseau, to musi być chorobliwie otyła.

– No i co z tego? – Mary znowu przewróciła oczami. – Dobrze jest akceptować samą siebie, mamo.

– Co może być w tym dobrego, skoro lekarze na całym świecie uważają otyłość za chorobę? Zastanów się, złotko.

Na nadobowiązkowy przedmiot zapisało się tylko pięcioro uczniów. Nie było wśród nich ani jednej cheerleaderki, ale za to był jeden chłopak – Jimmy Gooch – z koszykarskiej reprezentacji, który zgłosił się, bo podpuścili go do tego koledzy z drużyny. Kiedy Gooch mijał ją niedbałym krokiem, zmierzając w głąb klasy, Mary poczuła pęd powietrza, ale nie odwróciła się, by na niego spojrzeć. Przekonana, że w jej spojrzeniu kryje się niezamierzona groźba, nauczyła się nie zaglądać ludziom w oczy.

Pani Bolt zaklaskała w dłonie i z roziskrzonymi oczyma, pobrzękując bransoletkami, popłynęła między rzędami ławek, jakby miała nie pięciu, ale pięćdziesięciu słuchaczy.

– Na pulpitach każde z was znajdzie kartkę papieru i nożyczki. Wytnijcie papierowe kółka. – Uczniowie zabrali się do roboty, a siedzący w kącie ostatniego rzędu Gooch głośnym westchnieniem zademonstrował swoje znudzenie. – A teraz wpiszcie w kółka czarnym atramentem litery za to. – Odczekała chwilę. – za to. – Uczniowie skończyli pisać.

Zapał pani Bolt był zaraźliwy. Przypominała natchnionego kaznodzieję, któremu nie sposób nie wierzyć.

– Przed wami, moi młodzi piękni przyjaciele, otwiera się życie pełne nieskończonych możliwości wyboru. Urodziliście się w uprzywilejowanym świecie nieograniczonych szans. Wszystko jest dla was osiągalne. A wy macie obowiązek skorzystać z tego. To jest wasza racja istnienia. Żeby kiedyś, kiedy dożyjecie późnego wieku, nie mówić sobie z goryczą: chciałem zrobić studia, ale jakoś nigdy się za to nie wziąłem. Chciałem głosować na przywódców, których popieram, ale jakoś nigdy się za to nie wziąłem. Chciałem nauczyć się hiszpańskiego, ale jakoś nigdy się za to nie wziąłem. Chciałem podróżować – poznać klasyków literatury – wejść na szczyt Mount Everestu – wstąpić do Greenpeace – ale jakoś nigdy się do tego nie zabrałem. Spójrzcie na swoje kółka. Od tej chwili nie macie już żadnego usprawiedliwienia.

Uczniowie wpatrywali się w swoje kółka, zapadło długie milczenie. Osobą, która po długiej chwili podniosła swoją kartkę i po raz pierwszy zabrała w klasie głos, była Mary.

– Weź się za to – powiedziała.

Pani Bolt zaklaskała w dłonie.

– Dziękuję ci, Mary Brody.

Pani Bolt była wielką lesbą, wiedziała o tym cała szkoła i czy to z przyczyny swych seksualnych preferencji, czy nadmiernie postępowego myślenia, a może dlatego, że sama wybrała taką możliwość spośród tysięcy innych, w każdym razie po jednym, pełnym chwale semestrze nie wróciła więcej do szkoły. I chociaż Mary pragnęła poznać feminizm od podszewki i oddać hołd siostrze w walce o prawa kobiet, to jednak jej zapał zgasł wraz ze zniknięciem pani

Bolt, zaś zmięta okrągła kartka z napisem za to wylądowała w koszu. Mary czuła się głęboko zraniona odejściem nauczycielki, zwłaszcza że ta powiedziała jej kiedyś, że ma duszę starą jak świat.

Żegnaj, żegnaj. Ostatnie pożegnanie. Na krótko, na długo, na zawsze. Piosenki, sztuki, powieści i filmy o pożegnaniu. Mary sama czuła się ich bohaterką. Zamknięcie rozdziału – Mary raz była nowoczesność tego wyrażenia na określenie odwiecznego rytuału. Oddanie czci tym, którzy odeszli, tym, którzy pozostali. Odejście. Moment ostatecznego rozstania. Mary miała za sobą wiele nie do końca przeżytych rozstań. Zadawała sobie pytanie, czy przyczyny trawiącego ją głodu nie należy szukać w nagromadzeniu takich właśnie zaniedbań. W karzącym poczuciu winy.

Coś się obok niej poruszyło i Mary szybko obróciła się, myśląc: Gooch! Była to dobrze widoczna, w pierwszej chwili nierozpoznawalna postać, która ukazała się na moment w szybie drzwiowej. Mary znieruchomiała, a gdy postać nabrała wyraźnego kształtu, przekonała się, że jest to kobieta – naga tłusta kobieta. Ach, więc to ja, pomyślała. Zerknęła na zwisający z krzesła szlafrok. Gooch od lat nie oglądał jej nagiej. Wzdrygnęła się na myśl o ostatnim razie. A przecież uwielbiała wspominać ich pierwszy raz.

symbioza

Nikt w całym Leaford, a zwłaszcza sama Mary Brody, nie mógł przewidzieć jej schudnięcia w trakcie wakacji przed pójściem do ostatniej klasy szkoły średniej. Irma przypuszczała, że jej córka zainteresowała się chłopcami. Kim i Wendy, dwie cheerleaderki, które od przedszkola patrzyły na Mary z mieszaniną pogardy i współczucia, uznały, iż zastosowała reklamowaną w kolorowym czasopiśmie grejpfrutową dietę. Koledzy ze szkoły nie zaprzęтали sobie głowy odgadywaniem jej sekretu, niemniej jednak, z głębokim westchnieniem ulgi stwierdzili, że wypiękniała Mary Brody nie utraciła swoich wtc – „wielkich, twardych cycków”.

Truskawki wcześniej dojrzały tamtego roku, więc zgodnie z rodzinną tradycją, troje Brodych – Orin, Irma i Mary – wybrało się na położoną nad jeziorem za Rusholme wielką samoobsługową plantację Kenny’ego, aby napełnić płaskie kobiałki soczystymi owocami, z których miały powstawać smakowite tarty i pierogi albo smażone z przeraźliwą ilością cukru dżemy na zimę. Irma ujęła twarz Mary w swe smukłe dłonie i surowo ją pouczyła:

– Nie jedz, tylko zbieraj!

Orin i Irma, oboje wytrawni zbieracze, ostro zabrali się do pracy – posuwali się naprzód zgięci w pół, zwinnie manipulując rękami, przeczesując wzrokiem nisko rosnące liście w poszukiwaniu rubinowych trofeów. Mary, której trudno było zgiąć się w pasie, usiadła między grzędami, przesuwając się na pupie od krzaka do krzaka, jak krab. Rodzice nie oczekiwali, że dotrzyma im kroku. I ani razu nie obejrzel się za siebie, aby sprawdzić, czy córka nie objada się truskawkami, zamiast wkładać je do koszyka. Każdy aromatyczny owoc był rajem dla zmysłów. Słodycz. Goryczka. Piżmo. Jędrność. Soczystość. Ziarnistość. Dosyć już – mówiła sobie. I zaraz – No, jeszcze tę jedną.

Kilka dni później, mieszając w garnku czerwoną, wulkaniczną substancję (pamiętając o poprzednim roku, kiedy chcąc posmakować gotującego się dżemu, tak dotkliwie poparzyła sobie wargi, że musiała pójść do doktora Ruttle’a po receptę), Mary poczuła gwałtowne skurcze żołądka. Rzuciwszy chochlę, popędziła zlaną potem do łazienki, gdzie wypuściła z siebie gęstą zawiesinę, tak wyraźnie zalatującą truskawkami, że przez cały następny rok nie była w stanie wziąć dżemu do ust. Mary zawsze fascynowały uboczne produkty jej ciała, sądziła przy tym, że wszyscy tę jej fascynację podzielają albo podzielać powinni, toteż nigdy nie omieszkała przyjrzeć się uważnie swoim wyróżnieniom.

Zastanawiała się, dlaczego pływają albo dlaczego idą na dno jak kotwica. Podziwiała ich spoistość. Cieszyła się, kiedy nie rozpadały się, uderzając o wodę, i czuła zawód, gdy siła wyrzutu wysyłała je poza zasięg jej wzroku. Wstydziała się swej obrzydliwej ciekawości, a jednocześnie doceniała jesienno-zimowe odcienie i z zadowoleniem wciągała w nozdrza zmienne wonie.

Tego dnia, podniósłszy się z toalety dla dokonania inspekcji, zobaczyła coś, czego nigdy do tej pory nie widziała, co jednak nie kazało jej się odwrócić i wrzasnąć „Mamo!”, ale odwrotnie, skłoniło do tego, by podejść bliżej, pochylić się jeszcze niżej i uważnie przyjrzeć. Podrygujące. Wijące się. Rój. Wymiana pozdrowień. Rozradowanie. Żywe istoty. Obserwując beznogich najeźdźców, Mary Brody po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie usłyszała głosu tłustonia. Na polach jej fauny i flory rozegrała się cicha, uwieńczona zwycięstwem bitwa. Mary Brody była wolna.

Wyprawa do miejskiej biblioteki potwierdziła jej domysł. Pasożyty. Robaki. Ale nie owsiki. Ani glisty. Coś innego. Grubsze od nici, barwy kurzego tłuszczu. Nie znalazła ich

zdjęcia. Pasożyty występujące w zwierzęcych odchodach, zdolne żyć w glebie, można się nimi łatwo zarazić, jedząc niemyte owoce i jarzyny albo pracując w ziemi bez rękawic.

Po powrocie z biblioteki, kiedy Irma oświadczyła, że kolacja skończona i czas wstać od stołu, Orin zauważył, że Mary ledwo skubnęła pieczeń, a kartofle omaściła wprawdzie masłem, ale nawet ich nie tknęła. Matka przyłożyła jej rękę do czoła, lecz Mary zapewniła ją, że dobrze się czuje. I rzeczywiście nie wyglądała na chorą. Czuła się lepiej niż dobrze. Jej sekret miał symbiotyczny, a nie pasożytniczy charakter.

Całkowicie utraciwszy apetyt, nie odczuwając żadnych złych skutków, z wyjątkiem stałego, ale – jej zdaniem – dającego się wytrzymać swędzenia odbytu, przez parę pierwszych tygodni wakacji Mary przy każdym posiłku skubała odrobinę jedzenia – tyle tylko, jak miała nadzieję, aby wyżywić swoich lokatorów. Z każdą wizytą w łazience łączył się paniczny strach, czy jej wybawcy nie zniknęli. Rejestrowała ich liczebność, odnotowując w pamięci jej wahania, a gdy w okresie dojrzewania kukurydzy dostrzegła wyraźny ubytek swojej kolonii, przeraziła się na myśl, że jej armia mogłaby się całkiem wykruszyć. Zdumiała matkę, proponując jej pomoc w ogrodzie. Przestała myć ręce. Dwa razy w tygodniu odbywała długi spacer do parku nad jeziorem, gdzie zabraną z kuchennej szuflady łyżką nabierała ziemię i jadła ją, w nadziei, że na któreś łyżce znajdzie się zarodek zdolny skolonizować na nowo jej wnętrzości.

Początkowo Mary nie zwracała uwagi na to, że ubywa jej ciała, ani nie podzielała radości Orina i Irmy z powodu jego pomniejszenia. Kiedy gratulowali jej tego osiągnięcia, które – ściśle rzecz biorąc – nie było jej zasługą, uśmiechała się półgębkiem, wydając niewyraźne pomruki.

– Jak tak dalek pójdziesz, Murray – zauważył Orin, gdy Mary odmówiła kokosowej babeczki – to na jesiennym zjeździe rodzinnym żaden z kuzynów cię nie pozna. – Uwaga ta rozbawiła Mary, ponieważ była pewna, że kuzynkowie ze strony ojca nigdy nawet na nią nie spojrzeli, więc nie będą mieli żadnego porównania.

Czerpiąc największą radość ze swego wyzwolenia – uwolnienia umysłu, którego nie zaprzętały dłużej kwestie jedzenia – Mary nabrała ducha i odważyła się pomyśleć o swojej przyszłości. Zaczęła przeglądać czasopisma reklamujące kursy mody i projektowania. Często, wręcz obsesyjnie, spoglądała w lustro, nie po to jednak, aby podziwiać nową siebie, lecz dla potwierdzenia oczywistego, widomego faktu. Nie czuła głodu. Nadal. Nie czuła. Głodu. Wyjawszy swoje oszczędności, pomaszerowała aż do K-martu, gdzie kupiła kilka kompletów ubrań w swoim nowym rozmiarze. Idąc, czuła, jak pracują jej mięśnie. Wydłuża się jej tors. Falują ciemne, lśniące włosy. Nadal jadła ziemię. Postanowiła znaleźć sobie dorywczą pracę.

Ciotka Meg, do niedawna pracownica aptecznego działu Drogerii Raymonda Russella, obecnie na emeryturze, dowiedziała się, że Ray Russell senior poszukuje kasjerki. W sklepie znano Mary. W mieście tak małej jak Leaford, mającej tylko jedną aptekę, pracownicy znali najintymniejsze szczegóły z życia każdego mieszkańca. Mary, która czekając na przepisane rodzicom leki, spędziła przed ladą w głębi sklepu liczbę godzin znacznie przekraczającą średnią, czuła się jak w domu wśród zapachów olejku goździkowego i Metamucilu.

Jeszcze parę miesięcy temu podjęcie się takiej pracy byłoby zgoła nie do pomyślenia, ponieważ Raymond Russell oferował największy wybór czekoladek Laury Secord w całym hrabstwie Baldoon, i Mary Brody – jak przysłowiowy lis w kurniku – w otoczeniu takich smakołyków nie mogłaby sobie zafuć. Teraz jednak, uwolniona od apetytu na marcepanową skórkę i toffi w czekoladowej polewie, włożyła letnią sukienkę na ramiączkach, pożyczyla od matki lekkie sandały i zjawiła się na rozmowę dziesięć minut przed czasem. Miała do końca wakacji pracować na rannych dyżurach, których nikt inny nie chciał się podjąć, oraz w soboty, a po rozpoczęciu się szkoły tylko w soboty. Dawna Mary, obecna Mary, Mary pośrednia – ściany Drogerii Raymonda Russella były, na równi z Goochem, świadkami większości jej życia.

Pewnego sobotniego przedpołudnia w październiku Jimmy Gooch przykuśtykał do drogerii na wysokich, skrzypiących kulach po dwutygodniowej nieobecności w szkole, kiedy to drużyna Kuguarów przegrała z kretesem cztery kolejne mecze. Przeżył straszliwą kraknę, po której jego ojciec trafił do szpitala, i od tamtej pory nikt Jimmy'ego nie widział. Po szkole krążyła plotka, że jego noga została złamana w czterech miejscach. Miał na czole gojącą się bliznę po szwie, a na lewym policzku żółty cień siniaka po najgorszym stłuczeniu. Był ubrany w poplamioną bluzę i luźne koszykarskie spodenki, mogące pomieścić potężny gips na lewej nodze. Siedemnastoletni Gooch stanął w drzwiach, ściskając w wielkich, drżących palcach białą kartkę, i powiódł wokół siebie wzrokiem człowieka, który tonie, dopóki nie spostrzegł sunącej w jego kierunku Mary.

Wyraz, jaki przemknął mu przez twarz, mówił: „Jestem uratowany”. Może w głębi jej oczu zobaczył samego siebie i wydało mu się, że wzięła go już w swoje posiadanie. Albo pojął, że i ona należy do nieznanego mu do niedawna kręgu przegranych. Chyba właśnie ten moment zadecydował o ich dalszym życiu.

Gooch zatrzymał się, po czym, nie odrywając od niej oczu, podniósł lekko ramiona i blado się uśmiechnął, jakby mówił: „Ot, życie”. Mary Brody dwa razy skinęła głową i lekko ją przekrzywiła, jakby przytakiwała: „Ano”. Gestem wskazała, aby szedł za nią w głąb sklepu, co uczynił, podrzucając swój potężny korpus na zgrzytających kulach. Mary wzięła od niego receptę, podała Rayowi Russellowi seniorowi i spytała szeptem, czy może ją zrealizować od ręki, dla jej przyjaciela. Potem zwróciła się do Goocha, który patrzył na nią z miną gorliwie wyczekującego małego psiaka. Bez słowa wskazała mu krzesło i uderzyło w nią ciepło jego ciała, gdy sadowił się na krześle, opuszczając nogę w gipsie na podłogę.

Czuła jego zapachy: skórzanej kurtki, niemytego ciała, łupieżu we włosach. Jego okrągłe, niebieskie oczy błagały o uczucie, o jasność. Mary zrobiła zafrasowaną minę, jakby nie byli parą ludzi, którzy nigdy ze sobą nawet nie rozmawiali, tylko małżeństwem z dwudziestopięcioletnim stażem, i zapytała:

– Jak lekarze oceniają stan twojego ojca?

Ojciec Goocha, też James, równie wielki jak jego imiennik, prowadząc swojego dodge'a, w którym Gooch siedział na prawym siedzeniu, wpakował się w stuletni dąb na najostrzejszym zakręcie nadrzecznej szosy, kiedy wracał do domu z knajpy ze striptizem, dokąd wysłano Goocha, aby go stamtąd wyciągnął. James ojciec uparł się, że to on usiądzie za kierownicą, zaś Gooch, na swoje nieszczęście, bardziej bał się pijackiej furii ojca niż jego prowadzenia po pijanemu. Usiadł więc na miejscu pasażera i zapiął pas, wmawiając sobie, że ojciec ma rację, kiedy twierdzi, że lepiej prowadzi po pijaku niż na trzeźwo. Nie mógł się jednak powstrzymać od mruknięcia: „Dupek!”, na co ojciec zareagował szybkim bekhendem. Stąd wziął się posiniaczony policzek, ale o tym nikt, z wyjątkiem Mary, nigdy się nie dowiedział.

Gooch popatrzył na Mary i powiedział:

– Wciąż mam wrażenie, jakby to był sen.

– Może z powodu lekarstw – odparła rzeczowo.

W zamieszczonym pod zdjęciem roztrzaskanego dodge'a artykule w „Leaford Mirror” przemilczano fakt, że James Gooch wracał ze striptizu, ale odnotowano stan, w jakim prowadził samochód, pisano też, że jest sparaliżowany, ma obrzęk mózgu i najprawdopodobniej nie obudzi się ze śpiączki. Ten sam artykuł donosił, że Jimmy Gooch ma poważnie uszkodzoną nogę i do końca szkolnego sezonu nie wyjdzie na boisko, a dalej wyrażano przypuszczenie, że nadzieja na uzyskanie sportowego stypendium zapewne się oddali, a może nawet całkiem rozwieje.

– Mój tata choruje na zapalenie okrężnicy – powiedziała Mary, jakby odpowiadała na niezadane pytanie.

- Mogę cię odwiedzić do domu? – zaproponował Gooch.
- O osiemnastej trzydziści – odparła. – O tej porze kończę podliczać kasę.

Tego wieczora, kiedy Mary skończyła swój dyżur, Gooch czekał na nią na parkingu. Czuła dziwny spokój, maszerując zamaszystym krokiem w kierunku brunatnego plymoutha dustera, w którym siedział nieśmiało uśmiechnięty Gooch. Chłonęła wieczorne powietrze, osobliwe ciepło późnojesiennego wieczoru. W łazience dla pracowników wyszorowała zęby, ale w lustro zaledwie zerknęła. Nie troszczyła się o to, co powie. Wiedziała, co się wydarzy, jakby już się to stało, a nie dopiero mogło się wydarzyć.

Goocha i Mary połączyła jakaś mistyczna więź, w każdym razie na to wyglądało. Jeżeli nawet Mary dopiero o wiele później zrozumiała, że była jedyną, nie wyłączając samego Goocha, bliską mu osobą, która nie winiła go za to, co się stało, ani nie czuła się w jakiś sposób zdradzona konsekwencjami wypadku, to w każdym razie już tamtego pierwszego dnia wyczytała z jego oczu prawdę o Jimmym Goochu. Zamiast pewnego siebie gwiazdora sportu, miała przed sobą wielkiego, poranionego chłopca, szukającego bezpiecznej kryjówki.

Dojechali w niekrępującym milczeniu nad jezioro, na otoczoną drzewami polanę, do zakątka, który Gooch najwyraźniej musiał wcześniej odwiedzać. Wiedział dokładnie, kiedy skrócić kierownicę, żeby gałęzie nie podrapały mu drzwi. Wysiedli z samochodu, Gooch o kulach, i stanęli tuż obok siebie, wsparci plecami o rozgrzaną kratownicę, obserwując muskające wodę światło księżyca, podnosząc oczy do gwiazd. Mary usiłowała sobie przypomnieć nazwy konstelacji, o których uczyła się w ósmej klasie na lekcjach astronomii. Wielki Wóz. Mały Wóz. Polaris – Gwiazda Polarna.

Po długiej chwili Gooch spojrzał na nią i powiedział:

- Nikt oprócz Pete'a nawet do mnie nie zajrzał.
 - Słyszałam, że nie chcesz nikogo widzieć.
 - Bo nie chcę – burknął, potem zaśmiał się. – Nie chciałem. W każdym razie tak myślałem. Nikogo znajomego.
 - Mnie znasz. Mieliśmy sąsiednie szafki.
 - Serio? – zapytał, przekrzywiając głowę.
- Mary zapiekły policzki.
- Nieważne.
 - Żartowałem – rzekł Gooch. – Pamiętam cię.
 - Myślałam, że ponieważ się zmieniłam...
 - Dokąd się potem wybierasz?
 - No, do domu.
 - Nie teraz. Dokąd się wybierasz po skończeniu szkoły?
 - Myślałam, żeby popracować przez rok i odłożyć trochę pieniędzy. W Toronto jest szkoła mody i projektowania, ale to trochę daleko. Na razie jestem potrzebna rodzicom. Tata nie czuje się najlepiej.
 - A, prawda, choruje na zapalenie okrężnicy – przytaknął Gooch, spoglądając w gwiazdy.
 - Ty podobno wybierasz się do Bostonu – rzekła Mary.
- Wskazał ręką gips.
- Teraz już nie. Nawet mi ulżyło. – Jego głośne westchnienie mogło wystraszyć dziką zwierzynę. – Bardzo mi ulżyło. – Nie wyglądał na kogoś, kto czuje ulgę.

Mary czekała, gdy tymczasem Gooch, wzięwszy głęboki oddech i wypuściwszy następnie powietrze, zaczął jej opowiadać o swoim prawdziwym życiu: o alkoholizmie rodziców, o pijackich furiach ojca, o urządzanych przez matkę awanturach, o dramacie uzależnionej od narkotyków starszej siostry, o paraliżującym go strachu, że nie sprostą wielkim nadziejom, jakie

w nim pokładano. Ludzie tak wiele oczekiwali po wielkim, dorodnym chłopcu.

Mary nie spuszczała oczu z jego przystojnej twarzy, a on mówił dalej, poruszając coraz nowe wątki: o swojej pasji pisania, o tym, jak bardzo podziwia Stany Zjednoczone, że nie znosi malkontentów, że Chińczyków lubi bardziej niż Włochów, że chciałby przeczytać klasyków literatury, o tym, jak go krępuje to, że musi kupować ubrania szyte na miarę. Czekala, kiedy ją pocałuje, była więc zaskoczona, gdy powiedział:

– Teraz twoja kolej.

Mogła mu się wtedy zwierzyć ze swojej własnej historii, opowiedzieć o chorowitych, zrezygnowanych rodzicach, o własnej przejmującej samotności i nienasyconym apetycie. Ale chociaż mogła się była przyznać do romansu z pasożytami, a także do tego, że ją z kolei paraliżuje strach przed tym, iż przerośnie wszelkie oczekiwania, to jednak Mary Brody odsłoniła się wprawdzie, ale w całkiem inny sposób. Zamiast zacząć mówić, odsunęła się nieco od swego towarzysza, czując się jak ucieleśnienie wszystkich uwodzących mężczyznę słynnych bezwstydnic, jakie kiedykolwiek zdarzyło jej się widzieć w akcji.

Sięgnęła do guzików bluzki, a następnie uwolniła się od spódnicy, rozpięła stanik, zdjęła majtki i ściągnęła skarpetki, aż została całkowicie, cudownie naga. Wyciągnęła do góry ręce – nie w teatralnym, striptizowym geście, ale ponieważ w tę ciepłą październikową noc stała nago w uroczystym świetle księżycy i była pewna, że nigdy więcej tego nie zrobi.

– Nie chcę cię skrzywdzić – powiedział Gooch, nie ruszając się z miejsca.

– Nie skrzywdzisz mnie – obiecała.

Gooch oparł swą zagipsowaną nogę na najbliższym pieńku i przyciągnął Mary do siebie, a gdy zadrzała, pogłaskał ją po głowie. Posadził ją na ciepłej masce samochodu dotykając wargami wypukłości jej policzka poniżej rzęs. Mary wstrzymała oddech, gdy jego usta przesuwały się w dół po jej szyi, muskały gładkie ramię, by na koniec odnaleźć piersi. Zadygotała, gdy pod dotykiem jego palców od piersi do krocza przebiegł ją prąd. Usta odnalazły dół brzucha. Język rozsunął wargi. Błysk objawienia. Gooch szepnął chrapliwie znad jej brzucha:

– Uwielbiam, jak pachniesz.

O ile dawniej Mary Brody była całkowicie zaabsorbowana jedzeniem, a potem swymi pasożytami, o tyle po tamtej nocy jedyną jej obsesją stał się Jimmy Gooch.

Pewnego zimowego wieczoru Mary podsłuchiwała, jak na szkolnym spotkaniu z rodzicami panna Lafleur swoim czarującym akcentem frankofońskiej Kanadyjki, uspokajała szeptem zaniepokojoną Irmę: „Mała Mary przemienia się w dorosłą Mary”. Sylvie Lafleur była ładną kobietą o chłopięcej urodzie i rudoblonde włosach splecionych w warkocz, który opadał na jej elegancko wyprostowane plecy. Była oddana swoim uczniom i w trakcie przepoczwarczenia się Mary dodawała jej otuchy. „Oswaja się ze swoim nowym wcieleniem. Faktycznie, nie ma teraz głowy do nauki. Ale to też minie” – zapewniła Irmę panna Lafleur.

Mary zapamiętała sobie, że wszystko mija, i włączyła tę prawdę do swej prywatnej teologii, przyznając jej trzecie miejsce po zasadzie trójki i trwającej nadal wierze w cuda.

Panna Lafleur, daleka krewna słynnego kanadyjskiego hokeisty, mieszkała sama w niewielkim mieszkanku w domu wychodzącym na rzekę Chatham – w tym samym, a nawet na tym samym piętrze, na którym znajdował się apartamencik, gdzie Orin zmarł na udar. Było to prawdziwe błogosławieństwo, ponieważ kiedy Mary nie miała czasu, Sylvie przynosiła mu ze sklepu jedzenie. Wiedząc, że jest stary i osamotniony, wstępowała do niego na pogaduszki.

Szkolna pani psycholog była mądrą kobietą, lecz gorliwość, z jaką Gooch słuchał jej rad, budziła nieufność Mary. Gooch do końca roku szkolnego spotykał się raz na tydzień z panną Lafleur, która pomagała mu nadrobić zaległości spowodowane wypadkiem i doradzała w wyborze studiów. Mary martwiła się, że nauczycielka przekona jej chłopaka, aby wybrał jakiś

odległy uniwersytet, albo wytłumaczy mu, że Mary nie jest odpowiednią dziewczyną dla niego.

Panna Lafleur musiała zdawać sobie sprawę, że Mary nie absorbuje jej własne ciało, lecz ciało Goocha. Jego gładka, ogorzała skóra, koloru drożdżowej bieli pod linią włosów, maślanozłotawa na szyi. Ziarenkowata faktura języka, jędrność policzka, fałdki skóry penisa. Masywność wzrodu. Miękka jak talk skóra na całej jego długości i chrapliwy głos, jakim prosił, żeby go tam dotknęła. Rapsodia zmysłów. Bardziej niezbędna niż jedzenie. Bardziej nieodzowna niż powietrze. W ciągu miesięcy, jakie nastąpiły po śmierci jego ojca, kiedy stało się jasne, że jego sportowa kariera została raz na zawsze przekreślona, Mary i Gooch łączyli do siebie, kojąc nawzajem swoje cierpienia. Rozpaczliwa miłość, gęsta jak złoto.

W początkowych latach swego małżeństwa sobotnie wieczory (i większość poranków w powszednie dni) spędzali na spółkowaniu przy wtórze jazzowych motetów, wsłuchani w gitarowe tło ruchu i woni, zwolnień i przyspieszeń. Zawieszenia i oswobodzenia. „Powiedz coś” – błagała, kiedy ją pieścił. Gooch myślał, że chce, by mówił lubieżne świństwa, lecz jej w istocie chodziło tylko o dźwięk jego głosu.

Kiedy ich małżeństwo weszło w wiek średni, soboty spędzali na grze w karty, na zmianę, według ustalonego porządku, w skromnych domach swoich przyjaciół. Na grę w durnia jeździli do bliźniaka Pete’a i Wendy. Na brydża – do oficyny Kim i François. Na pokera – do starego domostwa Dave’a i Patti (dopóki Patti nie rzuciła Dave’a dla Larry’ego Hoopera). Gooch lubił hazard, ale złościł się, kiedy przegrywał, choćby mu po raz setny przypominano, że to tylko zabawa. „W mojej rodzinie nikt nie umiał przegrywać” – dowcipkował.

Pewnego wietrznego, jesiennego popołudnia wybrali się do położonego za mostem po drugiej stronie rzeki domu Kim i François. Mary zdążyła do tego czasu odzyskać dawną wagę. Nagromadzonych w trakcie dwóch poronionych ciąż kilogramów trzymała się kurczowo, tak jak dotknięci żalobą czepiają się pozostałych po zmarłym pamiątek. Ubierała się twarzowo, powlekała wargi dobraną do zielonych oczu szminką, i co pięć tygodni farbowała siwe odrosty kasztanową farbą do włosów. Nosila gustowne pantofle. Miała jeszcze macicę. Goochowicie byli małżeństwem dotkniętym przez los, lecz nadal pełnym nadziei.

Tamtego wieczoru miotane zimnym wiatrem gałęzie uderzały o rozsuwane, oszklone drzwi domu i Mary, uciekając przed przeciągiem, dwukrotnie przesuwając się ze swoim krzesłem. Wendy pochwaliła się, że spodziewa się dziecka – bliźniaków, a tak! Natomiast Kim, której średni synek poszedł już do żłobka, przyniosła plik najnowszych fotografii nowego niemowlaka w rozkosznych śpioszkach w pieśni. Kolejne wykupywanie biletu na szkolną loterię. Mary pożarła miskę koperkowej pasty. Gooch wygrał osiemnaście dolarów i wypił dziewięć szklaneczek whisky black label.

Kiedy szli po przyjęciu do samochodu, Gooch ścisnął obszerną kibić żony, po czym, pamiętając dobrze, jak bardzo tego nie lubi, nachylił się i ugryzł ją w ucho.

– Pachniesz piklami – powiedział, dając do zrozumienia, że powinna umyć zęby, bo ma ochotę na seks.

Podczas krótkiej jazdy do domu zajęli się obgadywaniem młodzieńczej dziewczyny Dave’a, nie mogąc się nadziwić jej naiwności, kiedy nagle z gęstych zarośli wypadł na drogę wprost pod koła samochodu wielki, wspaniały, płowy jelen. Nie był to sparaliżowany światłem reflektorów jelenek, lecz nieustraszony kamikadze, który po zderzeniu się z kratownicą przetoczył się przez maskę, uderzył w przednią szybę i runął z powrotem na ziemię, w chwili gdy Gooch naciskał hamulec.

Uchwyczone w snop jaskrawych świateł furgonetki rdzawe liście umykały z szelestem z miejsca zdarzenia. Gwałtowne podmuchy rozwiewały sierść na dyszącej piersi zwierzęcia. Gooch patrzył przez rozbitą szybę na rzucającego się w dole jelenia. Wysiadł bez słowa

z samochodu i zbliżył się do rannego stworzenia, które miało wyraźnie złamaną kończynę. Musiał usłyszeć krzyk Mary: „Gooch, co mamy robić?”. On jednak stał tylko, niczym podrzędny aktor, który obserwuje zza kulis, jak wielki gwiazdor odgrywa na scenie wstrząsającą scenę śmierci. Mary czekała, aż jej mąż podejmie inicjatywę. Minęła wieczność. Wycie wiatru. Okropne, podobne do stepowania, stukanie kopytek zwierzęcia. Obłoki pary przy każdym wydechu. Gooch? Gooch?

Mary wrzuciła bieg, oparła stopę na gazie i najechała na leżącego kozła. Głuche uderzenie. Stop. Wsteczny bieg. Nie ma innego sposobu. Zmiana biegu. Głuche uderzenie. Stop. Wsteczny bieg. Zmiana biegu, ciężkie przełknięcie śliny. Nie żyje. Na pewno. Stop. Wiatr zwał jej na kolana grudki rozbitego szkła. Strzepnęła je machinalnie, serce jej waliło, kątem oka, nie śmiejąc na niego spojrzeć, obserwowała, jak Gooch wdrapuje się na miejsce pasażera. Gdyby nie była tak odrętwiała, zimny wiatr pozbawiłby ją czucia.

Oceniwszy w milczeniu rozmiary szkód – oprócz stłuczonej przedniej szyby wgnieciona maska i kratownica – ruszyli w dalszą drogę do domu. Mary zamknęła się na klucz w łazience z blokiem złotawego biszkoptowego ciasta od Sarah Lee, połykając je łapczywie, zlizując z pokrywy kartonowego pudełka kwaskowo-słodkie grudki lukru. Potem umyła zęby, chociaż była pewna, że Gooch stracił ochotę na seks. Z dużego pokoju słychać było włączoną telewizję. Gooch oglądał wieczorne wiadomości.

Budzik na nocnym stoliku wystukiwał rozkazujące: „Zrób to, zrób to”. Mary przyłożyła rękę do swego galopującego serca. Nadszedł czas. Oto pora równie dobra jak każda inna na od dawna odkładane wyznanie, do którego zbierała się tysiące razy, ale zawsze w ostatniej chwili opuszczała ją odwaga albo słowa odmawiały jej posłuszeństwa. Leżąc w łóżku, czekała na Goocha, pewna, że ma idealną okazję do odbycia spowiedzi. Jeleń na drodze. Gooch doskonale ją zrozumie. To też było zdarzenie, za które nikt nie ponosi winy.

Kiedy usłyszała wreszcie skrzypnięcie otwieranych drzwi sypialni i poczuła, jak łóżko ugina się pod jego ciężarem, wyciągnęła ostrożnie rękę i położyła swą ciężką dłoń na szerokim torsie męża.

– Gooch, musimy porozmawiać.

– Nie – powiedział, ale zaraz miększym tonem dodał: – Nie dziś, Mare. Dobrze?

– Muszę ci o czymś powiedzieć – nastawała. Zaskoczył ją pocałunkiem w usta. – Gooch – szepnęła, kiedy wtulił twarz w zagłębienie jej szyi. Poczowała przez kalesony tężenie członka. – Gooch? – Napał na nią, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej, coraz gwałtowniej, uderzając w nią, stękając w rytm objającego się o ścianę wezgłowia, aż na koniec wstrząsnął nim dreszcz, zamarł i opadł na łóżko. Zapadając w sen, uściśnił jej ramię, ale Mary nie umiała powiedzieć, czy był to gest wdzięczności czy też przeprosin.

O szóstej rano poderwało ich na nogi dzwonienie budzika. Wstali i ruszyli do swoich codziennych zajęć – Gooch po gazetę, Mary do rozbijania jajek. Nigdy nie wrócili do sprawy jelenia na drodze – poddali się mocno już utrwalonemu nawykowi omijania tematów zbyt bolesnych albo zbyt oczywistych.

Kotwica jej sekretu zapadła w głąb i spoczęła na mulistym dnie, czekając chwili, gdy poderwie ją kolejna burza, niemniej Mary umiała zawsze dokładnie ją umiejscowić, tak jak zawsze wiedziała, gdzie jest jedzenie, które przed sobą schowała.

ciało zelektryzowane

W oddali przetoczył się pociąg. O szyby dzwonił deszcz. Tarcza stojącego przy łóżku budzika wskazywała trzecią nad ranem. Z kuchni płynęła miłosna pieśń lodówki. Mary zerknęła na stojący koło budzika telefon – równie złowróżbny, jak niesiony wiatrem zapach. Sięgnęła po zszarzały szlafrok, ale przypomniała sobie, że zostawiła go w kuchni.

Człapiąc nago korytarzem, czuła się jak łódź płynąca ku odległemu, chłodnemu lądowi. Byle tylko Gooch wrócił już do domu. Ogrzewanie. Rocznicą ślubu. Martwię się. Umieram z głodu. Popatrzyła na telefon, ale powstrzymała się przed podniesieniem słuchawki.

Mrużąc oczy w rażącym świetle wnętrza lodówki, znalazła słoik oliwek. A jeśli zderzył się z jeleniem? Nie. Nawet wiejskie drogi są na tyle ruchliwe, że najpóźniej po godzinie ktoś by go znalazł. Oparła się o bufet, uderzona nagłą myślą, że nie jest sama, bo należy do wielomilionowej rzeszy łaknionych ludzkich istot, stojących na swoich kafłowych posadzkach przed pomrukującymi lodówkami – ludzie łaknących jedzenia, papierosów, alkoholu, seksu. Miłości. Może to ich chór, pomyślała, dociera niekiedy do jej uszu poprzez bicie własnego serca? Albo – jak miała nadzieję – jest to jednak głos przyzywającego ją Boga? Nie białego, mściwego mężczyzny z dawnych filmów ani czarnego, wyrozumiałego mężczyzny z nowych, ale korpulentnego i pulchnego żeńskiego Boga, który weźmie Mary w matczyne ramiona i wskaże jej drogę ku wybaczeniu Pani Bolt?

To Irma, dawno temu, podsunęła jej tę myśl, kiedy mijały czerwony napis na ścianie K-martu: „Gdzie jest Bóg, kiedy jej potrzebujesz?”.

– Dlaczego Bóg nie miałby być kobietą? – powiedziała Irma. – Bóg, z którym się wychowałam, był bardzo groźny. Zawsze lubiłam tego uśmiechniętego Buddę.

– To o Bogu można myśleć, jak się komu podoba? – zdziwiła się Mary.

– Oczywiście, złotko. Pod warunkiem że nie wyznajesz żadnej religii.

Stojąc przy kuchennym oknie i wpatrując się w noc, zobaczyła, jak wiatr przewraca oparte o ścianę grabie, i usłyszała, jak po drugiej stronie pola poszczekuje pies państwa Merkel. Tknięta nagłą myślą, pospieszyła do tylnych drzwi, żeby wyjrzeć przez brudną szybę.

– Niech to szlag! – mruknęła. Trzy kosztowne, szyte na miarę koszule, w których Gooch jeździ do pracy, wymachiwały w powiewach wiatru rękawami, niby trójka topielców. Wzięła ją na samą siebie złość nie mniejsza niż na burzę, bo owe trzy koszule powiesiła do wyschnięcia całe trzy dni temu. Jeżeli się zniszczą, Gooch będzie miał prawo wytknąć jej lenistwo.

Zapominając w pośpiechu o szlafroku, pchnęła tylne drzwi, a wiatr, jej kochanek, musnął pokryte gęsią skórą ciało Mary i rozwał jej włosy. Nie teraz. Nie teraz. Serce Mary podjęło swój uroczysty łomot. W chwili gdy stanęła w drzwiach, opierając się wiatrowi, wstępujący powiew poderwał najbliższą koszulę wysoko w górę i rozdarł ją o martwą gałąź rosnącego nad grobem Pana Barkleya klonu. A w następnej chwili wiatr pochwycił koszulę szaro-zieloną, zerwał ją ze sznura i poniósł w kierunku domu państwa Feragamo. Koszula, jak Pan Barkley, odeszła na jej oczach.

Gołe, zlodowaciałe stopy zmusiły odporne nogi Mary do zrobienia pierwszego kroku, potem następnego, i następnego, zdecydowane pokonać odcinek mokrej trawy i uratować ostatnią koszulę. Sieczona wiatrem, wyciągnęła rękę i złapała jej rękaw. Nagle klamerka, która przytrzymała koszulę, odskoczyła, trafiając Mary w czoło. Zaskoczona, puściła materiał, a gdy patrząc za odfruwającą koszulą, zrobiła krok w tył, potknęła się o kosz do prania i runęła jak długa na ziemię.

W tę burzliwą październikową noc wiatr porzucił rozciągniętą na golasa wśród mokrych

liści Mary, niczym uciekający z miejsca wypadku kierowca. Przywalona ciężarem własnego ciała, powtarzając: „Och, Gooch! Och, Gooch!”, jak mantrę, Mary powoli odzyskała spokojny, rytmiczny oddech i puściła wodze wyobraźni.

Czyżby właśnie nagość pozwoliła jej zobaczyć samą siebie z nieznaną dotąd perspektywą? Kiedy tak leżała, podczas gdy nad nią szalała burza, a ona dzieliła ciężki los z czułą, wilgotną ziemią, ogarnęło ją osobliwe poczucie wyzwolenia. I głębokiego zjednoczenia. Wyzwolenia od czego? – nie umiałaby powiedzieć. Zjednoczenia z czym? – tego też nie wiedziała. Ale – co najważniejsze – nie miało to chyba żadnego znaczenia. Pomyślała, że może to niedotlenienie ma coś wspólnego z tym stanem przebudzenia, zrobiła kilka głębokich wdechów, które raczej pogłębiły, niż osłabiły wrażenie, jakby za przekręceniem kontaktu coś się w niej nagle włączyło. Każdą jej komórkę przenikała w rytmie pulsu wszechrzeczy elektryczność, która łączyła ją z tulącą jej ciało ziemią i z balansującą na źdźble trawy koło jej ucha mrówką. Była korzeniami smaganej wichrem wierzby i powietrzem, które wypełniało jej płuca. Płaczącym w odległym domu noworodkiem i śpiącym w swoim łóżku panem Feragamo. Każdą kroplą deszczu; psem pani Merkel; szczątkami zdechłego kota. Była więcej niż sobą, a zarazem niczym więcej niż podrywającym ją ku górze powiewem, dopóki jej oczom nie ukazała się własna, rozebrana przez wiatr, wielka, uspokojona i piękna postać, podobna do gigantycznego niemowlęcia. W tym stanie olśnienia, w którym nie było miejsca na żal, spoglądała na własne ciało, dane na dobre i na złe, bez wstydu, bez smutku i bez tęsknoty.

Wiatr przejmował ją zinnem, deszcz kąsał jej uda. Blisko gałęzi przy jej dużym palcu świerszcz pocierał odnóża. Mary wydało się, że słyszy miauczące za garażem rude kociątko. „Czy to ty, Panie Barkley?” Serce Mary zamarło na myśl, że Gooch może w każdej chwili wrócić do domu. Pewna, że wolałaby umrzeć, niż być widzianą w tym stanie, uchwyciła się koszyka na bieliznę i wspierając się na nim, wstała. Ruszyła do tylnych drzwi, falując zwałami tłuszczu, przeklinając furię natury. W odpowiedzi na jej milczącą wrogość, czy też może chcąc ją nauczyć szacunku, wiatr dmuchnął w otwarte okno sypialni i powstały we wnętrzu domu przeciąg zatrzasnął tylne drzwi.

Mary wiedziała wprawdzie, że zamek zatrzaskuje się automatycznie, ale i tak pokręciła galką, licząc na cud. Przerazona, że Gooch przyłapie ją gołą w ogrodzie podczas burzy, poczłapała do garażu, a gdy gwałtownie szarpnęła drzwi, zapalające się automatycznie światło bezlitośnie obnażyło jej opasłe ciało. „He, he, he! – miała ochotę krzyknąć do niewiadomego sprawcy. – A pękaj sobie ze śmiechu!”

Narzędzia Goocha leżały na stole do majsterkowania, porządnie poukładane. Obok stały pudła i skrzynie, nie wiadomo z czym, maszyna do strzyżenia trawy, do pielenia chwastów, rower Goocha. Wzdrygnęła się, słysząc dobrze znany cierpiącym na bezsenność daleki szum samochodu. Chwyciła szufłę i wyrzawszy na drogę, ujrzała dalekie światła reflektorów. Każdym dudniącym krokiem dowodząc siły swojej woli, dotarła, brnąc w mokrych liściach, do tylnych drzwi, uniosła rękę i trzasnęła nią w szybę. W popłochu, gdyż światła reflektorów coraz bardziej się zbliżały, wsunęła rękę i otworzyła drzwi od środka.

W chwili gdy przekraczała próg, jej goła pięta natrafiła na odłamek szkła i Mary przeszyło mroźące zimno, a zaraz potem piekący ból. Przeklinając na wieki wieków wszystko, co szklane, dokuśtykała do kuchennego blatu, by się na nim oprzeć, a tymczasem pojazd minął dom i pojechał dalej.

Wykręciła do tyłu głowę. Zadarła nogę. Przekrzywiła się w bok. Zwały ciała zasłaniały jej widok własnej stopy, bez względu na to, pod jakim kątem próbowała na nią spojrzeć. Rzuciła ścierkę na podłogę, na której zbierała się kałuża krwi i postawiła na niej stopę, zbyt późno zdając sobie sprawę, że odłamek szkła nadal tkwi w ranie. Dowlokła się do jednego z czerwonych

winyłowych krzesła, a tymczasem sączące się z nasiąkniętej posoką ścierki strużki krwi wnikały w niedomyte szpary między kaflami.

Pocąc się i stękając, próbowała podnieść i położyć zranioną stopę na drugim kolanie, by wyjąć z niej szkło. Próbowała podnieść ją rękami, objąć i podźwignąć ramionami, ale zarówno staw kolanowy, jak i staw biodrowy, a nawet obrastający rzepkę tłuszcz uparły się, by do tego nie dopuścić. Z największym trudem zdołała uchwycić koniec nieznośnego odłamka, przy okazji kalecząc sobie palce. Ze zranionej stopy buchnął strumień krwi. Mary postawiła stopę na zakrwawionej ścierce, która ostatecznie uwolniła nogę od szkła.

Ciężko dysząc, ale spokojniejsza, niż można by oczekiwać, ściągnęła z krzesła i włożyła na siebie bury szlafrok, nie bacząc na to, że jej palce zostawiają plamy krwi, nawet tego nie zauważając. Przyglądając się własnemu odbiciu w okiennej szybie, pomyślała o innej Mary Gooch, tej, którą spotkała przelotnie, błakając się na wietrze, której nie definiowało to czy tamto, lecz zarówno to i tamto, jak i wszystko inne, po czym wzięła do ręki wyrwaną z książki kucharskiej kartkę z najpotrzebniejszymi telefonami, podniosła słuchawkę i wybrała numer komórki Goocha. Obcy, automatyczny głos obsługujący wiadomości sieciowe, oznajmił przepaszającym tonem: „Abonent jest niedostępny. Proszę zostawić wiadomość, podać, kto dzwonił i o której godzinie”.

– Chciałam zostawić wiadomość dla Jimmy’ego Goocha – powiedziała. – Proszę mu przekazać, żeby zadzwonił do żony.

Czując wpadający przez rozbitą szybę powiew wiatru, przypomniała sobie mężowskie napomnienia: „Zamknij, bo ciepło ucieka” – kiedy zbyt długo trzymała otwarte drzwi; „Zamknij, bo zimno ucieka” – kiedy stała z nosem utkwionym w otwartej lodówce. Przyszło jej do głowy, że musiała nie domknąć jakichś drzwi, przez które Gooch wymknął się i uciekł z domu.

dalekie pokrewieństwo

Zielone kotary trzęsły się z zimna szturmującego przez szeroko otwarte okno. Mary obudziła się, jak co rano, z uczuciem paniki, wstrząśnięta tym, że w ogóle zasnęła. Zaraz jednak doznała kolejnego szoku, gdy po tym, jak dźwignęła głowę i się rozejrzała, zobaczyła na pościeli brunatne ślady po skaleczonych palcach i zbrązowiałe plamy krwi na narzucie pod zranioną nogą.

Wrony dogadywały z pola za domem, namawiając Mary, by spojrzała na sąsiednią poduszkę, ale ona wiedziała już, że jest sama. Wyciągnęła rękę po leżący na nocnym stoliku obok telefonu spis najważniejszych numerów. Zadzwoiła do Goocha na komórkę. Po wysłuchaniu mechanicznego komunikatu wybąkała w popłochu: „Przepraszam, ale to znowu Mary Gooch. Żona Jimmy’ego Goocha. Proszę mu przekazać, żeby do mnie zadzwonił. Jest siódma. Siódma rano”.

Skradający się lęk. Spirala strachu. Gooch nie wrócił. Ale telefon domowy też milczy. Nikt z komisariatu nie dzwoni, że został aresztowany. Nikt nie stuka do drzwi i nie mówi, że zdarzył się wypadek. Mary przychodzi do głowy, że minioną noc była po prostu nocą dramatycznych wydarzeń, jakie łatwo mogą się zdarzyć po przekroczeniu progu ciemności. Tak jak ona to wczoraj zrobiła. Jak to niekiedy czynił Gooch. Jego nieobecność wkrótce się wyjaśni, znajdzie wiarygodne wyjaśnienie, podane z wyrazami szczerego żalu za przysporzenie jej zmartwienia, a potem pójdzie w zapomnienie, a w każdym razie żadne z nich więcej o tym nie wspomni. I nie zmieni się nic istotnego, o czym świadczył jej własny, przelotny, nocny flirt z ziemią.

Wyłączając budzik, zanim zdążył zadzwonić, Mary poczuła swój nieświeży oddech, a jednocześnie przypomniała sobie mężowskie narzekania na ludzi siedzących przez całe życie w domu jak wrzód na dupie. Do których – rzecz jasna – ona się zaliczała, chociaż Gooch jej tego nigdy wprost nie powiedział. No, może tylko raz, rok temu, kiedy wygrała na loterii rejs po Karaibach, ale wycofała się w ostatniej chwili, i to po tym, jak oboje zaopatrzyli się w paszporty. Uparła się, że z powodu morskiej choroby (na którą faktycznie cierpiała) nie znieśie tak długiej podróży statkiem. W istocie nie wytrzymałaby orgii obżarstwa na statkach wycieczkowych, o których opowiadały jej dwie panie w salonie fryzjerskim, gdzie Mary strzygła sobie włosy raz na pół roku. Był jeszcze jeden problem, ten mianowicie, że – jak zawsze – nie miała się w co ubrać.

Zezłoszczony Gooch ciskał gromy, krzyczał, że świat nie kończy się na Leaford, że jeżeli Mary chce siedzieć w domu jak wrzód na dupie, to proszę bardzo, ale o n z rejsu nie zrezygnuje. Swoje bilety oddali Pete’owi i Wendy. Mary nie mogła zrozumieć, dlaczego nie pojechał bez niej. Co się stało z chóralnym śpiewem? Tremolandem nadziei? Gdzie, u diabła, podział się Gooch?

Wyrzała przez okno, szukając na podjeździe ciężarówka z napisem przewóz mebli i sprzętu agd, którą Gooch parkował zwykle obok furgonetki z otwartym, zablokowanym dachem. Podobnie jak podchodząc do lustra, wiedziała z góry, że nie spodoba jej się to, co zobaczy. Jej świat uległ takiemu rozchwianiu, że nie znajdując własnego środka ciężkości, musiała, dla odzyskania równowagi, oprzeć się obiema rękami o parapet. Miała wrażenie, że jeszcze nigdy nie czuła się aż tak ciężka, ale zaraz przyszła myśl, że jeszcze nigdy nie była aż tak ciężka. A więc dograła się. Tyjąc i tyjąc bez umiarkowania, całkowicie wyparła męża z domu. Na podobieństwo wody przelewającej się przez brzegi wanny.

Słyszając niewyraźny szum motoru, podniosła oczy i zobaczyła na polu zgarbionego nad

kierownicą traktora pana Merkla, w towarzystwie sadzącego wielkimi susami obok ciągnika wielkiego, brązowego psa, który odskakiwał od czasu do czasu w bok, aby rozpedzić stado żerujących na polu wron. Pozbawione nadziei życie innych ludzi. „Wystarczy się dobrze rozejrzeć – mawiała Irma – żeby znaleźć kogoś, kogo spotkał o wiele gorszy los”. Irma miała rację: myśl o nieszczęściu państwa Merkel, pary starych ludzi, którzy podczas tornada w latach siedemdziesiątych stracili czteroletniego synka, swoje jedyne dziecko, przynosiła Mary pociechę. Wściekły wichur porwał chłopczyka sprzed jego własnego domu, poniósł go w sobie tylko wiadome miejsce, i nikt więcej małego nie zobaczył. Widok pana albo pani Merkel, zawsze przywołał Mary na myśl małego Larry’ego, ale ostatnimi czasy prawie ich nie widywała. Jak zresztą nikt.

Smutna historia Larry’ego Merkla stała się w Leaford legendarna, podobnie jak historia połączonych ze sobą bliźniaczek, zrosniętych głowami Rose i Ruby Darlen. Mary rzadko z nimi rozmawiała, ale po ślubie z Goochem często obserwowała z daleka niezwykle dziewczynki przez wychodzące na farmę okno sypialni. Zastanawiała się, o czym rozmawiają, przycupnąwszy razem na chyboczącej się kładce nad przecinającym pola strumieniem. Wzorem Larry’ego, którego duch przemyczał niekiedy w wyobraźni Mary przez wysoko rosnącą kukurydzę, siostry Darlen również nawiedzały okolicę. Dzieci Mary też były duchami, ale duchami spokojnymi, dyskretnymi, tak samo jak Pan Barkley, który nigdy nie wyszedł poza próg domu.

Po narodzinach bliźniaczek Darlen nieszczęsny Christopher Klik przestał spełniać w życiu Mary funkcję barometru, który mierzył jej skłonność do rozczulania się nad sobą; jego miejsce zajęły Rose i Ruby. „Zrosnięte główkami, możesz to sobie wyobrazić?” – mawiała Irma, ilekroć spotkały je na ulicy. Jednakże Mary zbyt blizniaczkom nie współczuła. Patrząc na nie, miała wrażenie, że dobrze się czują w swej osobliwej cielesności. Czułaby się głupio, gdyby miała się do tego przyznać, zresztą nie było nikogo, przed kim mogłaby się wypowiedzieć, ale w gruncie rzeczy zazdrościła siostronom ich nierozzerwalnej więzi.

W ostatnich miesiącach przed śmiercią bliźniaczki napisały swoje autobiografie, które przeczytało całe hrabstwo Baldoon i do których każdy miał jakieś zastrzeżenia. Jedni kwestionowali niektóre szczegóły lokalnej topografii; innych oburzało posługiwanie się prawdziwymi nazwiskami; jeszcze inni nie zgadzali się z charakterystyką osób; a byli i tacy, którzy podawali w wątpliwość opisane wydarzenia, a nawet uważali pewne z nich za czyste zmyślenie, bo przecież rzekomo podpatrzona przez Rose Darlen scena fizycznego zbliżenia między jej wujem Stashem i Catherine Merkel w żadnym razie nie mogła mieć nic wspólnego z prawdą.

Mary przeczytała książkę jednym tchem, drżąc przez cały czas, czy na następnej stronie nie znajdzie skreślonego przez jedną albo drugą bliźniaczkę opisu samej siebie, jako żalostnej, grubej bezdzietnej kobiety z sąsiedniego domu, obserwującej świat przez okienne ramy. A kiedy ani u jednej, ani u drugiej nie znalazła o sobie najmniejszej wzmianki, zadała sobie pytanie, jak to możliwe, aby kobieta tak wielka jak ona mogła tak dalece umknąć ich uwagi.

Wspominanie Rose i Ruby służyło znakomicie jako wypełniacz myśli, dopóki nie wyparło go nowe, przypadkowe wydarzenie. Piec grzewczy wydał z siebie głośny charkot, potem nastąpiła seria krótkich wybuchów, a na koniec z cichym buczeniem wyzionął ducha. Mary poczuła się pomszczona; miała nadzieję, że zmarł w bólach. Podniesiona na duchu tym symbolicznym wydarzeniem, zamknęła okno i wyszła do przedpokoju, starając się oszczędzać zranioną stopę.

O pierwszym brzasku przedpokój przypominał miejsce zbrodni oglądane nazajutrz rano: smugi krwi na ścianach po skaleczonych palcach, mówiące same za siebie plamy na nowym, srebrzystym chodniku. Był to widok wstrząsający, lecz w swej wymowie odpowiadał prawdzie.

Minionej nocy coś tutaj rzeczywiście umarło.

Dotarłszy do kuchni i stwierdziwszy z ulgą, że zraniona pięta chyba już nie krwawi, a jeśli nawet, to znacznie mniej, wyjęła z zamrażalnika paczkę kukurydzy i czując nieodpartą potrzebę zaspokojenia dręczącego głodu, połączoną z obrzydzeniem do siebie, że w takiej chwili jest w stanie myśleć o jedzeniu, wrzuciła do ust garść ziaren, wsysając je językiem, aby szybciej się rozmroziły. Nie była pewna, czy dzwoniąc do Greka, zdradzi Goocha, czy też go uratuje.

Gooch pracował jako kierowca i dostawca towarów u niejakiego Theo Fotopolisa, o którym nikt nie mówił inaczej niż Grek, tak jak o Jimmym Goochu nikt nigdy, w każdym razie odkąd Mary zatrudniła się u Raya Russella, nie mówił inaczej niż Gooch. Kiedy Gooch skończył szkołę, Grek dał mu u siebie posadę w dziale sprzedaży, a kiedy złamana noga całkiem się wygoiła, pokrył mu koszty uzyskania zawodowego prawa jazdy.

Zegar na ścianie wskazywał siódmą. Rozstrzygnięcie kwestii, czy dzwonić do Greka czy też nie, zależało od tego, czy Mary była gotowa przyjąć do wiadomości, że nieobecność męża nie jest przypadkowa. Istniał też pilny problem zamówionych w drogerii czekoladek Laury Secord. Mary zamówiła karton swoich ulubionych smakołyków – orzechowe kartofelki, marcepany w czekoladzie, miniczekoladki oraz dwie mieszanki: z twardym i miękkim nadzieniem – a dostawca dał jej poważny upust. Jeżeli Mary nie zgłosi się po odbiór zamówienia, Ray dowie się, że nawaliła. W najlepszym razie będzie wściekły. W najgorszym rozbawi go do tego stopnia, że o jej niedopatrzeniu opowie wszystkim pracownikom. Na domiar wszystkiego, w każdej regularnej dostawie zdarzało się jedno albo dwa uszkodzone – w transporcie albo celowo – pudełka smakowitych słodczy, które po otwarciu pracownicy podawali sobie z rąk do rąk. Widok raczących się słodkościami kolegów przejmował Mary erotyczną rozkoszą, ale kiedy pudełko docierało do niej, odmawiała poczęstunku.

Gooch miał szczególny stosunek do towarów z defektem. Ich mały domek w rolniczej części Leaford był umeblowany uszkodzonymi w transporcie sprzętami. Stolik do kawy z zarysowanym blatem. Zamrażalnik firmy Kenmore w kolorze spalonej umbry o nieco innym odcieniu niż należący do kompletu piekarnik. Czerwone winylowe krzesła na grubych aluminiowych nogach należały do pierwszych niepełnowartościowych mebli, jakie znalazły się w ich domu w trudnym, pierwszym roku ich małżeństwa.

Pewnego ranka, sadowiąc się na jednym ze starych, kupionych z drugiej ręki drewnianych krzeseł, Mary wyłamała jego rozchwianą nogę. Gooch nie wyraził na głos obawy o to, że któreś z krzeseł w końcu całkiem się załamie pod jego młodą żoną, która od pierwszego trymestru drugiej ciąży gwałtownie przybierała na wadze, i rzecz skończy się tragedią. Ale na pewno tak pomyślał. Tego samego dnia wieczorem pojawiły się cztery czerwone krzesła, jedno z widocznie naderwanym siedzeniem, a stare powędrowały do garażu. Mary nie zapytała swego młodego małżonka, czy to on rozpruł celowo siedzenie.

Gooch usiadł na mocnym czerwonym krześle i podniósł jej sukienkę, aby mogła usiąść na nim okrakiem.

– Spytałaś lekarza? – wyszeptał w jej imponujący dekolt.

– Powiedział, że to niewskazane. – Wcześniej tego dnia, jękając się z zakłopotania, zapytała doktora Ruttle'a, czy ona i mąż mogą przez pozostałe sześć miesięcy ciąży mieć ze sobą stosunki, i doznała szoku, słysząc jego niefrasobliwą odpowiedź:

– Jasne, że możecie. Do samego porodu, jeśli obojgu będzie to pasowało.

To niemożliwe. W każdym razie nie w jej przypadku, biorąc pod uwagę, że wcześniej straciła dziecko (Jamesa albo Lizę), no i wielkość Goochowego organu. Po opuszczeniu gabinetu Mary doszła do przekonania, że pocziwy doktor Ruttle zapomniał o jej poronieniu i wyjątkowych rozmiarach jej męża. Byłoby dobrze, gdyby mogła poradzić się Wendy albo Patti,

ale Mary z zasady nie omawiała z nikim intymnych spraw małżeńskich. Podobnie jak jedzenie, należały one do całkowicie prywatnej sfery jej życia.

Chłodnego październikowego wieczoru, w przeddzień ślubu Mary, cztery przyjaciółki, świeżo upieczone absolwentki Gimnazjum w Leaford – zapisana już na kursy pielęgniarstwa Wendy, wybierająca się do London na studia pedagogiczne Kim, zatrudniona w matczynym biurze nieruchomości Patti, no i Mary – siedziały przy sałatkach i musującym winie w restauracji Satellite w Chatham. Mary, którą dopiero niedawno przyjęto do tego żeńskiego grona, czuła się jak przybyła na wymianę zagraniczną studentka: mogła obserwować zachowanie przyjaciółek, ale nie była w stanie uczestniczyć w rozmowie, ponieważ umykały jej niuanse ich języka.

Pocąc się pod bluzką, rozpakowywała pod stołem otrzymane od przyjaciółek prezenty ślubne, i zdrygnęła się, gdy jedna z nich zawołała: „Wyjmij i pokaż!”. Czerwony pluszowy miś w dobranej kolorze bieliźnie. Zmarszczona pod szyją, czarna, prześwitująca suknia domowa. „Trzeba ją nosić na gołe ciało – poinstruowała Kim. – Strasznie seksy”. Zapinany na plecach niebieski gorset ze stożkowatymi miseczkami na biust. Jedno i drugie w rozmiarze, którym Mary nie miała się długo cieszyć i do którego nigdy nie miała wrócić.

Dobrze już podpite – z wyjątkiem Mary, która źle tolerowała alkohol – dziewczęta przeszły teraz w rozmowie na seks. Patti przyłożyła wskazujący palec do kciuka i zerkając przez powstały otworek, wymamrotała: „Dave rośnie powoli. Powoli, ale skutecznie”. Kim na to, że jej starsza siostra podczas pierwszej ciąży była okropnie napalona, a po porodzie pozwałała mężowi ssać swoje mleko. Mary wydało się to niestosowne i nie spodobało jej się dziko brzmiące słowo „napalona”. Wendy wyznała, że pieprzenie w gruncie rzeczy jej nie bawi, ale Pete gotów jest zrobić dla niej dosłownie wszystko (zdobyć bilety na koncert Supertrampów?) za szybki numer, „wiecie jaki”. „Auuu! – pisnęła Kim i dodała: – Trzeba mu podać chusteczkę higieniczną”. „Albo połknąć” – pisnęła Wendy.

Rozmowa przeszła na ciążę Mary.

– Nie boisz się znowu utyć? – zapytała wprost Wendy. – Ja umieram ze strachu. Chociaż nigdy nie byłam gruba.

– Tycie w ciąży to normalka. Nie słuchaj jej, Mary. Moja siostra straciła po porodzie wszystko, co jej przedtem przybyło – zapewniła ją Kim. – Zwłaszcza jeżeli karmi się piersią.

– Chciałam tylko powiedzieć, że ja wolałabym umrzeć, niż się roztyć – zaznaczyła podchmielona Wendy, przeciągając słowa.

Kim zajrzała do karty.

– Chcecie zamówić na spółkę duże frytki z sosem?

Wendy pociągnęła łyk wina i dalej drążyła:

– Dajcie spokój, dziewczyny. Mary sama wie, jaka była gruba, no nie? No co, nie?

Spojrzała na Mary, która miała wrażenie, że Wendy przewierci ją wzrokiem.

– Uhm.

– Dopóki nie zrzuciła tych swoich kilogramów, Jimmy Gooch nawet na nią nie spojrzał, no co, tak tylko mówię. – Wendy zawahała się. – Mnie po prostu robi się zimno, jak pomyślę, że moje kości policzkowe miałyby zniknąć pod tłuszczem, albo nie mogłabym włożyć na nogi zgrabnych pantofelków.

Olśniewająca, podpita Wendy, która sama podkochiwała się w Jimmym Goochu, powiedziała tylko to, co każda z nich, a przede wszystkim sama Mary, w duchu myślała: że Mary roztyje się w ciąży, po porodzie nie zdoła schudnąć (znane są takie przypadki z każdego środowiska), a wtedy Gooch ją rzuci i będzie sama wychowywała swojego zafajdanego bękarta.

Mary przestała jeść ziemię niedługo po tym, jak ją i Goocha uznano za parę. Gooch był dla niej wystarczającym oparciem. Jednakże po pewnym czasie, kiedy jej pierwsze dziecko było

nie większe od paznokcia, potężne uczucie głodu powróciło, w dodatku, jak to z uzależnieniami bywa – nie w formie początkowej, ale ze zdwojoną siłą. Wymykała się z łóżka, kiedy była pewna, że nerwowa Irma i zrezygnowany Orin zapadli w sen, i biegła do kuchni, gdzie pochłaniała jedzenie wprost z plastikowych torebek, wyjadała z misek resztki makaronu, miażdżyła wielkimi trzonowcami czekoladowe ciasteczka.

– Czy Grek podaruje wam komplet mebli dla dziecka? – zapytała Kim, aby przerwać milczenie.

Gdyby ego Mary nie było utkane z wielometrowych nici oszustw i sekretów, być może potrafiłaby zadać przyjaciółkom niezliczone pytania na temat własnego ciała, współżycia seksualnego, popędu płciowego swego męża. Zanim w jej życiu pojawił się Gooch, Mary nie poświęcała męskiemu ciału wiele uwagi – była zbyt zajęta zaspokajaniem potrzeb własnego. Jej wcześniejsze doświadczenia ograniczały się do pokazania piersi Christopherowi Klikowi przy stojaku na rower i epizodu z Jerrym, pomarszczonym szoferem z drogerii, który w pustym pomieszczeniu dla pracowników zaproponował, że rozmasuje jej ramiona. Nie chcąc być posądzona o niewdzięczność, pozwoliła na trwające dobre dziesięć minut ugniatanie, podczas którego Jerry trykał ją od tyłu swoim starczym, wykrzywionym penisem. Mary nikomu nie powiedziała o nieprzyzwoitym zachowaniu Jerry’ego. W swojej naiwności uznała, że wcale nie chodziło mu o to, co sobie wyobraziła. Zresztą do czasów Goocha skłonna była uważać się za zbyt odpychającą, by stać się obiektem czyjegoś, choćby nawet zboczonego pożądania.

Mary i Goocha roznosiła potężna energia seksualna, a jego niezmożone pożądanie bynajmniej po ślubie nie osłabło. Już w cztery miesiące po pierwszym poronieniu odkryli, że Mary znowu spodziewa się dziecka, ona zaś, w miarę przybierania na wadze, coraz bardziej traciła wiarę w siebie.

Posadzona okrakiem na podołku siedzącego na winylowym krześle męża, postanowiła zignorować rady doktora Ruttle’a. Strach przed utratą drugiego dziecka (Thomasa albo Rachel) nie pozwalał jej wprawdzie zadowolić męża zwykłym u nich sposobem, ale Mary, pomna tego, co Wendy mówiła w przeddzień jej ślubu o swojej metodzie uszczęśliwiania Pete’a, przycisnęła szerokie ramiona męża do oparcia czerwonego winylowego krzesła, które przywiózł tego dnia do domu, po czym szepnęła mu do ucha:

– Doktor Ruttle powiedział, że tego nie wolno. Ale możemy to zrobić inaczej.

Kiedy było po wszystkim, a Gooch pozapinał się i wstał z krzesła, obok nieskrywanego uznania dla jej wyczynu – zwłaszcza że nie podała mu chusteczki higienicznej – Mary dostrzegła w jego spojrzeniu jakby cień podejrzenia. Chwytnąjąc Goocha za rękę, żeby pomógł jej wstać z kolan, pod wpływem nagłego impulsu szepnęła:

– Nigdy dotąd tego nie robiłam.

Gooch podniósł jedną brew, ale o nic więcej nie pytał, zaś Mary, zanim zasnęła tej nocy z ręką opartą na wypukłym brzuchu, doszła do wniosku, że dobrze się ze swego zadania wywiązała. W zadowolenie wprawiała ją myśl, że uwierzyła swemu instynktowi, który podpowiadał, że nasienie Goocha jest jadalne.

wyrazy szczerej troski

Świat tonął w łagodnym porannym deszczu. Czując napływające przez rozbitą szybę tylnych drzwi zimne powietrze, Mary podeszła do telefonu i wybrała numer Goocha. Znowu odezwał się mechaniczny głos należący, jak sądziła, do żywego operatora, który przekaże dalej jej słowa: „Tu znowu Mary Gooch. Jest ósma czterdzieści pięć. Proszę, żeby Jimmy Gooch zadzwonił do żony do pracy. Dziękuję”.

Nabierając masło orzechowe na koniec pulchnego wskazującego palca, którego dotyk sprawił jej wargom przyjemność, usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz cudze ręce dotknęły ją z czułością.

Deszcz rysował smętne wzory na szybie nad zlewem. Odsuwany dach! Napadało do wnętrza furgonetki. Musi pamiętać, żeby przed wyjazdem do pracy zabrać ręczniki i położyć je na siedzeniu. Przemknęło jej przez myśl, że mogłaby zadzwonić do drogerii i zwolnić się pod pozorem choroby, a kiedy Gooch wróci do domu, udać, że właśnie wyrwał ją z głębokiego snu, i zachowywać się tak, jakby w gorączkowym otumanieniu była przekonana, iż był w domu przez całą noc.

Skoncentrowała się na sprawach do załatwienia. Naprawa dachu? Mechanik do pieca? W czym pojedzie na kolację? Kolacja. Odwołać? Zamówione desery.

Łaknienie chwyciło ją za gardło. Czekolada. Koniecznie. Rzecz niecierpiąca zwłoki. Poczula przelotne powinowactwo z siostrą Goocha, Heather, która połowę swej ostatniej wizyty u nich spędziła na przeszukiwaniu pustych kieszeni swego płaszcza. „Zdycham za papierosem. Muszę skoczyć do 7-Eleven”.

Przed wyjściem z domu smukła, długonoga Heather o zapadniętych błękitnych oczach uchwyciła pulchne ramię Mary i – wpijając w nie paznokcie mocniej, niż zamierzała – rzekła: „Masz szczęście, że złapałaś mojego brata”.

Sposób, w jaki to powiedziała, jakby była jego dawną dziewczyną albo zawiedzioną ekszoną, dał Mary do myślenia. Ponieważ Heather była narkomanką i do tego piękną kobietą, Mary odruchowo przypisała jej złe zamiary. Kiedy Heather nie wróciła na kolacyjną pieczeń, ani później, uznali, że zdobyła swoje papierosy.

Mary zabrała się do przeszukiwania szafki pod mikrofalówką, jakby nie wiedziała z góry, że oprócz kuchennych przepisów niczego tam nie wkładała. Nic. Ani kawałeczka. Ani okruszka. Nawet kolorowych cukierków m&m's. Znalazła tylko ślubny segregator – zamiast zdjęć zawierał pokwitowania wszystkich bez wyjątku wydatków, jakie Irma i Orin ponieśli dwadzieścia pięć lat temu, wydając Mary Elizabeth Brody za męża za Jimmy'ego Goocha. Wręczyli go córce na parę dni przed ślubem, opisując szczegółowo każdy kolejny paragon i rachunek, aż doszli do łącznej sumy, którą Irma podkreśliła grubą czarną kreską.

– Nie musisz nam, złotko, tych pieniędzy zwracać – oświadczyła uroczystym tonem. – Ale powinnaś zdawać sobie sprawę, że wszystko kosztuje. Nie ma nic za darmo.

W przeddzień wesela Irma weszła wieczorem do pokoju Mary i – szurając z ociąganiem kapciami – zbliżyła się do jej łóżka. Obrzuciwszy wzrokiem rysujący się pod grubą kołdrą masywny kształt, pomyślała, że – jak na sam początek ciąży – córka stanowczo za szybko przybiera na wadze. Zerknęła na wiszącą w głębi garderoby kremową suknię.

– Mierzyłaś ją od zeszłego tygodnia? – spytała.

– Tak, dzisiaj – odparła Mary. Nie wspomniała o tym, że suknia zrobiła się niebezpiecznie ciasna, a guziki na plecach ledwo się dopięły.

Irma zmarszczyła czoło, ale powiedziała tylko:

– No cóż, złotko, chyba już za późno na omawianie spraw, w które matka powinna podobno wtajemniczyć córkę przed jej ślubem.

Na półeczki Mary wystąpiły rumieńce. Skrzywiła się, ale nie z powodu słów matki. W restauracji Satellite zjadła za dużo chleba. Było jej dziwnie gorąco, źle się czuła.

– Jesteś o wiele za młoda na małżeństwo.

– Wiem.

– Ale nie ma innego wyjścia.

– Uhm.

Irma odchrząknęła.

– Ojciec i ja...

– Ja też – szepnęła Mary, kiedy stało się jasne, że Irma nie chce albo nie potrafi dokończyć.

– Sama nawarzyłaś sobie piwa.

– Wiem.

– I sama musisz je wypić.

Ten ton, jakim Irma wypowiedziała ostatnie słowo!

– Wiem.

– Teraz wszystko będzie zależało od ciebie. Nie licz na to, że mężczyzna zadba o dobre współżycie. Masz na to moje słowo.

– Tak, mamo.

– Nie zaniedbuj się.

– W czym? – spytała bezradnie, i jęknęła: – Och!

– Przed powrotem męża z pracy do domu przebieraj się zawsze w czyste rzeczy, podawaj mu gorące śniadania, a nie jakieś tam płatki śniadaniowe, nawet jeżeli całą noc przesiedziałaś przy dziecku.

– Tak, mamo.

– Odrobina szminki też nigdy kobiecie nie zaszkodzi.

– Niedobrze mi – bąknęła Mary.

– No i wszyscy mają ten paskudny nawyk.

– Nawyk? Jaki?

– Każdy to robi. Bez wyjątku. Nie zmienisz tego. Jak go na tym przyłapiesz, udawaj, że nie widziałaś. To najlepsza rada, jaką dała mi kiedyś moja matka.

– Ja naprawdę źle się czuję.

Irma przysiadła na brzegu łóżka.

– To dobry znak. Kiedy byłam z tobą w ciąży, stale było mi niedobrze. Przy innych dzieciach w ogóle nie miałam mdłości. To dawało mi pewność, że cię nie stracę.

Mary pomacała się po brzuchu, czując podchodzącą do gardła żołąć.

– Ale to mi się nie podoba – powiedziała cicho.

– Jest wiele rzeczy, złotko, które nam się nie podobają.

Mary podciągnęła nogi pod brzuch i poczuła lekką ulgę. Pragnęła, żeby Irma siedziała przy niej i rozmawiała z nią przez całą noc. Ostatnia jej myśl podziałała jak zdmuchnięcie świecy, bo matka wstała nagle i niezamierzenie ostrym tonem oznajmiła:

– No, teraz musisz się trochę przespać.

Ze swego dziecięcego łóżka w małym pokoiku w błękitnym bungalowu, w którym dorastała, Mary wpatrywała się w wiszącą na drzwiach garderoby suknię ślubną, która lśniła w świetle księżycy. Suknia kosztowała trzysta siedemdziesiąt cztery dolary. Plus dziewięćdziesiąt trzy dolary za trzy kolejne poprawki – poszerzanie w szwach. Pantofle za sto pięćdziesiąt

dziewięć. Za dużo zjadła. Nie tylko chleba, ale i prawie całą zamówioną przez Kim podwójną porcję frytek z sosem, którymi miały się podzielić. Do tego dwa kawałki ciasta. Podczas jutrzejszych uroczystości będzie musiała przez cały dzień wstrzymywać oddech i chodzić z wciągniętym brzuchem, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że każdy z gości i tak wie, w jakim ona jest stanie, albo się tego domyśla.

Patti, Kim i Wendy kręciły się wokół niej w przyprawiającym o zawrót głowy balencie. Wyrazy szczerzego zatroskania. Życzliwe rady. Seks bez osłonek. Przyjacielski rytuał, do którego tęskniła, choć wątpiła w jego autentyczność. Nieprzyjemne, boleśnie raniące odzywki: „Wolałabym umrzeć, niż się roztyć”.

Długo po tym, jak w kuchni rozległ się szurgot odsuwanych krzeseł i szcęk odstawianych do zlewu filiżanek rodziców, Mary wciąż nie mogła zasnąć. Leżała pod kocem, na zmianę oblewając się potem albo dygocząc z zimna. Jeść. Musi coś zjeść. Kiedy skradała się do kuchni, przyciągnęło ją zapalone na noc światło w łazience i zatrzymała się przed lustrem, studiując w zadumie swą ładną, pobladłą twarz.

Nagły ból przeszył jej wnętrzości. Gazy. Gwałtowne beknięcie. Wstrzymała oddech, nie mogąc się oderwać od swego odbicia. Mary Gooch. Pani Jamesowa Gooch. Wolałaby nie zmieniać nazwiska, ale nikomu się do tego nie przyznała. Irma podniosłaby oczy do nieba. Matka Goocha byłaby oburzona. A on? Bała się, że poczułby się urażony. Jak może zostać Mary Gooch, prawie nie znając Mary Brody?

Mary wiele się nauczyła, siedząc przy stoliku w głębi miejskiej biblioteki, otoczona książkami na temat ciąży. W jednej z nich natrafiła na wykres przybierania na wadze. Jej waga już teraz przekraczała maksimum. W tej samej książce pisano, że wskutek zwiotczenia rozciągniętych mięśni maciczo-pęcherzowych, w trzecim trymestrze ciąży albo zaraz po porodzie niektóre kobiety przestają w pełni kontrolować swoje czynności fizjologiczne. Wiedziała jednak, że spływający między jej udami gorący strumień to nie siusiu. Krew. Opadła na toaletę.

Mimo iż Mary uważała, że rozpamiętywanie szczegółów zgonu oraz zniknięcia Jamesa albo Lizy obraża pamięć owej niewinnej istoty, to jednak wspomnienie tamtych chwil często wracało nieproszone. Podniósłszy się z toalety dla dokonania inspekcji, Mary nie była w stanie skojarzyć pływających w muszli klozetowej szczątków z własnym wyobrażeniem trzymanego przy piersi, ciemnowłosego, pucułowatego niemowlęcia. Dziecka, któremu nadała imię, w którym była do szaleństwa zakochana, któremu zdążyła już przekazać całą swą życiową mądrość. Chłopczyka, który – jak wspólnie żartowali – będzie popijał drinki z lodówki Goocha. Albo dziewczynki o miękkich kędziorkach, które będzie szcotokowała, tak jak kiedyś Irma szcotokowała jej włosy. Ból utraty miał przyjść dopiero w następnych dniach i tygodniach, natomiast w tamtej strasznej chwili kierowała nią jedynie instynktowna chęć cofnięcia tego, co nieodwracalne.

Wpatrzona w wirującą czerwień, przerażona swoim pospiesznym działaniem, uświadomiła sobie poniewczasie, że nawet się nie pożegnała. „Och, Boże! Przepraszam! Strasznie przepraszam!” W muszli klozetowej zabulgotało i zaraz potem, jakby dla dopełnienia grozy sytuacji, woda zaczęła się wolno podnosić i występować z brzegów, zalewając kaflową posadzkę różową zawiesziną. Mary chwyciła garść ręczników i padła na kolana, aby zatrzymać grożącą wypłynięciem na korytarz falę. Dobrze przynajmniej, że przepychacz był pod ręką.

Wyskrobując, w przeddzień swego ślubu, krew spomiędzy kaflí, zdała sobie sprawę, że nie może nikomu powiedzieć o tym, co się stało, nie przyznając się jednocześnie do tego, co przed chwilą zrobiła. Samą siebie mogła przekonywać, że działała pod wpływem szoku, a od osoby w szoku nie można oczekiwać ani wymagać racjonalnej oceny sytuacji. Nie zmieniło to

jednak niezaprzeczalnego, w jej mniemaniu, faktu, że pod ciężarem swoich wnętrzności niechcący zadusiła swoje dziecko, doprowadziła do „nieumyślnego spowodowania śmierci”, a następnie, pozbywając się jego niewątpliwych szczątków w nieopisanie makabryczny sposób, dopuściła się „rażącego znieważenia zwłok”.

Ślubna suknia na drzwiach garderoby, skoroszyt z rachunkami pod stosem bielizny przygotowanym do zapakowania przed podróżą poślubną do wodospadu Niagara. Zakrwawione papierowe ręczniki wciśnięte na dno kubła na śmieci. Nie ma nic za darmo. Mary przewracała się pod kołdrą, usiłując przetrwać swoją pierwszą bezsenność. Gorączki nie miała, krwawienie wyraźnie się zmniejszyło, tylko dygotanie nie ustępowało.

W dniu swego ślubu, podobnie jak dzisiejszego ranka po dwudziestu pięciu latach, Mary obudziła się w zupełnie innym świecie. Zjadła łączywie podsunięte przez Irmę wafle z jagodami, przytaknęła Orinowi, kiedy oświadczył, że może być problem z pszczołami, nawet gdyby zrobiło się na tyle ciepło, aby jeść na dworze. Bez względu na to, jak bardzo chciała się wypowiedzieć, i chociaż dobrze wiedziała, że utraty dziecka nie da się ukrywać w nieskończoność – nie potrafiła znaleźć słów na opowiedzenie tego, co się stało.

Oblekła w suknię ślubną swoje dygoczące ciało. Minionej nocy utraciła tyle płynu, że mogła bez trudu zapiąć guziki w pasie. Przyglądając fałdy jej spódnicy, Irma powiedziała:

- Mam nadzieję, że o nas nie zapomnisz.
- Ty i papa też wpadajcie od czasu do czasu – zrewanżowała się.

Ubrana i umalowana, z włosami elegancko upiętymi na czubku głowy, Mary wypadła z pokoju, nie zaglądając w lustro. Obżerała się. Dlatego straciła dziecko. Jak powie o tym Goochowi? Za wszystko się płaci. Nie ma nic za darmo.

Na widok wylaniającej się z korytarza córki, Orin zagwizdał przeciągle, zauważyła jednak, że powstrzymuje łzy. Traci swoje dziecko. Ona straciła swoje. To najsmutniejszy dzień w życiu obojga. Ostry, metaliczny zapach zakrwawionej podpaski między nogami przenikał przez fałdy tiulu i koronki. Irma zaklaskała w dłonie.

- No, to do dzieła, musimy mieć ten dzień z głowy!

Prowadząc grubawą, stremowaną córkę do ołtarza, Orin mruknął: „Wyglądasz jak sarna schwytana w światła reflektorów, Murray. Uśmiechnij się, na litość boską!”. O mało się wtedy nie odwróciła i nie uciekła z kościoła, ale urzeczona uśmiechem stojącego przed ołtarzem Goocha, szła dalej przed siebie, aż poczuła dotyk jego dłoni.

Godziny mijały, a ona snuła się jak gość na własnym weselu, przejęta lękiem, że jej występki splamił ślubną suknię i wszyscy, nie wyłączając Goocha, za jej plecami pokazu ją sobie palcami. Nic nie pamiętała. Pocałunku. Fotografii. Obiadu. Tortu. Jedyne, co zostało jej w pamięci, to płaczliwy głos Heather Gooch, czytającej bezbarwny wiersz miłosny własnego autorstwa, i bolesny skurcz na twarzy Goocha, kiedy pociągnął ją na parkiet, a ona domyśliła się, że uraził się w nie do końca wyleczoną nogę.

Tuż przed północą, jadąc pożyczonym od Greka lincolnem continentalem, Mary poprosiła Goocha, żeby zatrzymał się w London, gdzie lekarz szpitalny, po uporaniu się z krwotokiem, powiedział Goochowi: „Żona uroniła dziecko”. Jakby przez nieuwagę upuściła rękawiczkę albo kluczyki do samochodu. Potem doktor poklepał Mary po pulchnej dłoni, nie informując pana młodego, że poronienie nastąpiło dzień przed ślubem.

W dniu, w którym Mary miała być wypisana ze szpitala, Gooch wszedł rankiem do skromnego szpitalnego pokoiku, mocno utykając. Mary czuła się winna jego cierpieniu, choć to nie ona, tylko jego matka kazała mu tańczyć z żoną na weselu. Nie zważając na to, że Gooch przeszedł niedawno trzecią w ciągu minionego roku operację kolana, Eden oświadczyła, iż jeżeli nie zatańczy z panną młodą, ludzie niewłaściwie to zrozumieją. A ona nie życzy sobie, aby

znowu wzięli ich na języki. Nigdy więcej.

Eden – kobietę o niebieskich, przenikliwych oczach, z krótką czarną grzywką, pomalowanymi na czerwono paznokciami, w pantoflach na wysokim obcasie, znaną w Leaford ze swego szyku i urody – trudno było zlekceważyć. Wkrótce po tragicznej śmierci męża odkryła, kolejno: Jacka Asquitha, Jezusa Chrystusa oraz życie w trzeźwości, a nawet odzyskała odrobinę poczucia godności, którego – zdaniem córki Heather – była całkowicie pozbawiona.

Gooch nie cierpiał palącego papierosa za papierosem Amerykanina, który zawrócił w głowie jego matce. Podczas obiadów lubił sobie podkpiwać z jego interpretacji bożych zamysłów. Bóg myśli to. Bóg myśli tamto. „A co myśli Pan Bóg o tym, że gzisz się z moją matką, Jack?”

Tamtego ranka w szpitalu, widząc krzywiącego się z bólu Goocha, Mary zdała sobie sprawę, jak bardzo on cierpi, i zapominając o własnym bólu, rzekła:

– Możesz brać jedną pastylkę raz na cztery godziny, ale tylko jedną. Rozumiesz?

Okazał wyraźną ulgę.

– Wystarczy mi do piątku. Do tego czasu wrócisz do pracy.

Zaalarmowany tempem, w jakim Gooch wyczerpał pierwszą receptę, doktor Ruttle nie chciał mu zapisać następnej porcji środków przeciwbólowych. „Czasami trzeba się po prostu pogodzić z bólem” – pouczył go. Dzisiaj lekarstwa trzyma się w drogerii pod kluczem, lecz w tamtych czasach nadmiar towaru przechowywano na zapleczu sklepu, na najwyższej półce za biurkiem Raya seniora. Mary mogła bezkarnie podkraść środki przeciwbólne, ale na wszelki wypadek, żeby po wykryciu kradzieży nie skojarzono jej z Goochem, brała lek innej marki i o innej mocy niż ten, który przepisał mu doktor Ruttle.

– Przepraszam, Gooch – wyszeptwała, gdy mąż zbliżył się do szpitalnego łóżka.

– To nie twoja wina, Mare.

– Wiem – skłamała. W pierwszej chwili, tak jak wiele razy później, chciała mu wyznać, co było prawdziwą przyczyną poronienia, lecz ból utraty, którego nie musiała już ukrywać, a także głęboka żaloba po niespełnionym macierzyństwie, której on nie umiałby zrozumieć, odwiódły ją od tego zamiaru.

Gooch usiadł obok Mary na wąskim łóżku i objął ją swymi potężnymi ramionami, a gdy się odezwał, jego głos pierwszy raz bardziej przypominał głos chłopca niż dorosłego mężczyzny.

– Chyba lepiej, że tak się stało, prawda? – Sugestia lekarza, iż płód musiał być dalece niedoskonały, więc lepiej, że nastąpiło poronienie, była dla jej dziecka straszliwą zniewagą i rozjuszyła Mary, natomiast Goochowi przyniosła ulgę.

– Uhm – mruknęła.

Podciągnąwszy do góry szpitalną koszulę, przyłożył policzek do jej brzucha. Była pewna, że myśli: „Pobraliśmy się wyłącznie ze względu na dziecko”.

– Pobraliśmy się wyłącznie ze względu na dziecko – powtórzyła na głos. – Gdyby nie ono, nie doszłoby...

– Ale doszło.

– Gooch...

– Daj spokój – przerwał. – Co się stało, to się nie odstanie. Jesteśmy małżeństwem.

– Ślub można unieważnić, twoja matka bardzo by się ucieszyła – powiedziała Mary, zauważając pierścionek z brylancikiem, choć nie była w stanie sobie przypomnieć, kiedy Gooch wsunął go na jej serdeczny palec.

– Wiesz, ile ten ślub kosztował twojego staruszka?

– Wiem – odparła. Wiedziała aż za dobrze.

– Tamtego roku, kiedy mieliśmy sąsiednie schowki...

Wtuliła się w jego ramiona.

– Kiedy mieliśmy schowki obok siebie.

– Znalazłem jedną kropkowaną kartkę. Kartkę w kropki. Nigdy ci jej nie oddałem.

Mary zeszytniała. Od czasu do czasu, jeszcze przed swoim przeobrażeniem w trakcie ostatnich szkolnych wakacji, dostawała kartki w kropki, było ich w sumie siedem, razem z przejętą przez Goocha osiem kartek zapisanych pochyłym pismem z zawijasami, ozdobionych na marginesie komicznymi rysunkami, a ich tematem był zapach, jaki wydzielало ciało Mary Brody, kiedy po torturach na lekcji gimnastyki nie wzięła prysznic.

– Dlaczego mi o tym mówisz? Właśnie dzisiaj?

– Uważałem, że jesteś bardzo dzielna.

– Nie brałam prysznic, bo bałam się, że będą się ze mnie wyśmiewać.

– I tak się wyśmiewali.

Mary spojrzała z westchnieniem w okno, zastanawiając się, czy wszyscy mężczyźni mają równie słabe wyczucie chwili.

– Miałaś odwagę wrócić do szkoły – dodał.

– Nie miałam wyboru.

– Zawsze ma się jakiś wybór.

Mary zastanowiła się nad jego słowami.

– Siadywałaś na huśtawce w waszym ogrodzie i czytałaś powieści. Było cię widać z okna Pete'a. Obserwowaliśmy cię, kiedy nam się nudziło. Z powodu wyrazu na twojej twarzy przeczytałem *Mechaniczną pomarańczę*.

Mary się zaśmiała, ale zaraz spoważniała.

– Drugowie.

– Obserwowałem cię kiedyś z samochodu, czekając, aż ojciec wykupi receptę. Stałaś za ladą z kosmetykami i pomagałaś jakiejś drobnej staruszce wybrać szminkę, a ona śmiała się do rozpuku, więc pomyślałem: „Co ona takiego powiedziała, żeby babinkę aż tak bardzo rozśmieszyć?”

– Zawsze miałam dobre podejście do starszych ludzi – przyznała Mary.

– I było jeszcze coś, niedługo po naszej letniej przeprowadzce do Leaford. Jadąc rowerem do szkoły na trening, zobaczyłem, jak idziesz swoją ulicą. Zacząłem się przyglądać temu, jak idziesz, i wydawało mi się, że już to kiedyś widziałem. Że się znamy. Było coś takiego w twoim chodzie. Miałem wrażenie, jakbyśmy już kiedyś szli razem.

– Żartowaliście sobie ze mnie? Ty i Pete? Kiedy wam się nudziło?

– Że co? Nie.

– Ale uważaliście, że jestem gruba.

– Ja uważałem, że jesteś ładna.

– Ten sposób, w jaki on to powiedział. Że uroniłam. Pańska żona uroniła dziecko.

– Wiem.

– Wydawałoby się, że jak się coś uroni, czyli zgubi, to można to odnaleźć.

Zaczęli mówić równocześnie. Mary:

– Powinniśmy unieważnić ślub, a ty powinieneś pojechać do Montrealu.

A Gooch:

– Popracujemy najpierw, żeby odłożyć trochę pieniędzy, a potem pomyśli się o studiach. I o następnym dziecku.

Gooch ucałował świeżo poślubioną żonę w policzek i przytrzymał jej podbródek, czekając, aż na niego spojrzy.

– Masz najpiękniejsze oczy, jakie u kogokolwiek widziałem – powiedział. – Od razu tak

pomyślałem, jak tylko cię zobaczyłem, kiedy stałaś koło schowków. Popatrzyłaś na mnie, a ja pomyślałem sobie: „Jaka ona ładna!”.

Mary przygryzła wargi.

– I: „Co za szkoda!”? – mruknęła pytająco.

– I: „Co za tyłek!” – Uśmiechnął się.

Wymierzyła mu żartobliwego klapsa.

– Teraz jesteś moją śliczną żoną. Może to oklepane, co powiem, ale nie ma takiego miejsca, w którym bardziej chciałbym być niż tutaj z tobą.

– To ma być wyznanie miłosne?

– Może.

– Jesteś pewien, że nie zapomniałeś wziąć pastylki?

Uściskał jej rękę. Chwile mijały, zegar tykał, z korytarza dochodziło szuranie stóp, zza uchylonych drzwi barwy kości słoniowej dobiegał czyjś szept. Kiedy do końca przerwy na reklamę żadne z nich się nie odezwało, a Gooch nie zrobił ruchu, by wstać z krzesła i wyjść, stało się jasne, że ze sobą zostaną.

Do wodospadu Niagara nigdy nie dojechali.

pewne jutro

Jeśli wypieranie niechcianych myśli uznać za akt świadomy, Mary Gooch nie mogła nie zdawać sobie sprawy, że odrzucając możliwość, iż Gooch w ogóle nie wróci, oszukiwała tylko samą siebie. Jednakże wybór dzisiejszego dnia, dnia ich srebrnej rocznicy ślubu, byłby jej zdaniem gestem przesadnie dramatycznym. Gooch unikał dramatycznych sytuacji, w latach dorastania przeżył dosyć dramatów, które nadal go prześladowały. Jak ten, gdy jego pijana matka, dowiedziawszy się, że James zdradza ją z sekretarką, podpaliła małżeńskie łóżko. A kiedy odkryła, że mąż zdradza ją z babysitterką, zapakowała jego rzeczy, a walizki wrzuciła do Kanału Rideau. A kiedy oznajmił, że podejmuje pracę w małym miasteczku Leaford, cisnęła butelką nowoorleańskiego likieru w grubą okienną szybę.

Jego mniej demoniczna, ale za to niepoprawna siostra Heather wychodziła z aresztu i do niego wracała z regularnością podobną do tej, z jaką Mary podejmowała i porzucała kolejne diety. W okresie dojrzewania dwukrotnie wracała do domu w asyście policji; po ukończeniu szkoły uciekła z mężczyzną dwa razy od niej starszym; po śmierci ojca wróciła do domu z brzuchem, uzależniona od narkotyków; po awanturze z matką, połączoną z rękoczynami, została ponownie wygnana z domu; a kilka lat później aresztowano ją w Toronto za prostytutkę. W chwilach, gdy nie zdychała z tęsknoty za papierosem, piękna, tragicznie szczupła Heather podążała jedną z wielu innych dróg wiodących do samozagłady. Rozgoryczona Mary nie mogła jej darować, że ma bez wysiłku to, o czym ona może tylko marzyć. Ostatni raz, kiedy Gooch miał z nią kontakt, Heather żyła z młodym medykiem, który przywrócił ją do życia po kolejnym przypadkowym przedawkowaniu.

Poplamiony srebrny chodnik. Stłuczona szyba. Zakrwawiona ścierka na podłodze. Wszystko nie tak, jak było, nie tak, jak miało być. Wypierając własny strach, wmawiając sobie, że dodatkowa porcja jajecznicy przyda się na wypadek, gdyby Gooch wrócił głodny do domu, Mary rozbiła resztę jaj, sześć doskonałych okazów, które zostały jeszcze w pojemniku. Siadając przy stole, zamiast swego, zajęła miejsce Goocha, żeby nie patrzeć na puste krzesło i zarazem mieć na oku drzwi.

Wiele lat temu, kiedy po umieszczeniu Army w przybytku św. Jana, Orin wyznał córce, że stracił apetyt, Mary dała mu podobną radę. Przyszło jej do głowy, że nawyk wspólnego spożywania posiłków może być równie silny, i równie trudno się go pozbyć, jak nawyk jedzenia bez świadków. Zgarniając resztę jajecznicy z patelni na talerz, poczuła ściskanie w gardle i przez mgnienie oka bała się, czy nie wybuchnie płaczem. Ulegając jednak innemu, trudnemu do przełamania przyzwyczajeniu, tylko przełknęła ślinę.

Wypłakać się. Zachowanie w jej obecnej sytuacji w pełni usprawiedliwione. Dać upust łzom, usmarkać się, chlipać, łkać, szlochać, skamleć. Ale to nie dla niej. Płacz, podobnie jak podróże, oznaczałby bezcelową wyprawę w nieznane rejony, gdzie ludzie mówią niezrozumiałym językiem i jedzą potrawy, które nie przypadłyby jej do smaku. Nawet po operacyjnym wycięciu macicy Mary nie wylewała łez za dziećmi, których nigdy nie będzie dane jej urodzić. Wytrzymała natychmiastową, przedwczesną menopauzę, zniosła ból i niewygodę, uderzenia gorąca i pocenie się w łóżku, nie uroniwszy ani jednej łzy. Gula żalu utkwiała jej w gardle.

Zajrzawszy do szuflady z niepotrzebnymi rzeczami, wyjęła z niej białe, ozdobione złotą kokardą pudełko, które Gooch podarował jej w marcu na urodziny. Telefon komórkowy. Była na niego zła za ten prezent, bo przecież wiedział, że nie chce żadnego komórkowca. Zamiast podziękować, oświadczyła: „Wiesz, kochanie, że nie będę tego używać. Nie będę pamiętała, żeby

włożyć go do torebki. A poza tym do kogo miałabym dzwonić?”.

Po rozpakowaniu pudełka znalazła w nim, ku swemu zdziwieniu, zaadresowany do siebie, rozkładany kartonik. W środku Gooch wykaligrafował:

Droga Pani Gooch, witaj w nowym świecie. Na osobnej kartce, którą możesz stale nosić w torebce, znajdziesz pełną instrukcję obsługi przeznaczoną dla komórkofobów oraz numer Twojego osobistego telefonu. Telefon trzeba włączyć do kontaktu, żeby się naładował. Noś go zawsze w torebce, na wypadek gdybyś nagle musiała zadzwonić. Wszystkiego najlepszego w Dniu Urodzin życzy Ci Twój ulubiony mąż.

Czytając napisaną przez Goocha instrukcję, dowiedziała się, że telefon trzeba naładować, włączając go do prądu za pomocą specjalnego urządzenia, a bateria musi się ładować przez prawie cały dzień. Podłączyła telefon do kontaktu i ucieszyła się jak dziecko, gdy ten zakomunikował: „Trwa ładowanie”. Gooch byłby ze mnie dumny, pomyślała i natychmiast poczuła ciężar jego zawodu, który uszedł wówczas jej uwagi. Jak mogła być aż tak niewdzięczna? Pozazdrościła francuskiej piosenkarce, która niczego nie żałowała. Mary żałowała wszystkiego.

Wierzba zaszumiała na powitanie, gdy kuśtykająca Mary wyszła z domu przez rzadko używane frontowe drzwi, ubrana w wygnieciony uniform, z włosami byle jak związanymi z tyłu głowy, niosąc pod pachą stos starych ręczników do wyłożenia mokrego siedzenia samochodu. W drodze do furgonetki, na wysokiej gałęzi drzewa zobaczyła powiewający niby chorągiew kawał materiału. Koszula Goocha. Zrobiła parę kroków w starych zimowych butach, które były w stanie pomieścić przyklejoną plastrem do krwawiącej pięty podpaskę, i rozejrzała się po ulicy.

Wciągając w płuca zimne powietrze, uległa dziecinnemu złudzeniu, że jeśli zamknie oczy, Gooch natychmiast nadjedzie. Wiatr chłostał jej twarz, miotał mokrymi liśćmi o jej nogi. Mary wydawało się, że wspina się na strome wzgórze, chociaż w rzeczywistości schodziła niepewnie w dół. Wdrapując się do szoferki, poczuła miazdzące ściskanie w klatce piersiowej i nagły napływ krwi do twarzy. Mrużąc oczy, zajrzała w swoje przewody naczyniowe. Żadnego światła, zatkane na amen. Rozległy zawal? Nastąpiłby w idealnym momencie. Dopełniłby trylogię: Orin – Pan Barkley – Mary Gooch.

Ciekawe, czy Gooch, gdziekolwiek się podziwia, przyjedzie na jej pogrzeb? I momentalnie wpadła w jakże znajomą panikę na myśl o tym, że nie ma się w co ubrać. W tej sytuacji pozostało jej jedynie wybuchnąć śmiechem, co też zrobiła. Ma tylko granatowy strój do pracy. Wyobraziła sobie grubą kobietę z ohydnyymi siwymi odrostami, leżącą w ogromnej trumnie z rękami złożonymi na służbowym uniformie pracownicy Drogerii Raymonda Russella. Gwałtownym ruchem włączyła radio, a zachęcona domagającym się sz-a-c-u-n-k-u wołaniem Arethy Franklin, podniosła głośność, wrzuciła bieg i wytoczyła się na błyszczący po deszczu żwirowy podjazd.

Przyszło jej poniewczasie do głowy, że nie przewidziała, że siedzenie samochodu jest aż tak mokre, i zabrała z domu za mało ręczników. Obiecała sobie, by wchodząc do pokoju pracowników, powiedzieć coś zabawnego na temat swojej mokrej pupy, zanim Ray zdąży ją wyśmiać za plecami. Akceptacja. Odrzucenie. Gniew. Nie pamiętała właściwej kolejności, więc poczuła wszystko naraz. Zastanawiała się, czy ludzie po samym jej wyglądzie poznają, że mąż nie wrócił na noc do domu.

Początkowo Mary często rozmyślała o końcu. Wyobrażała sobie, jak to pewnego dnia, wracając wieczorem po pracy do domu, zastaje list od Goocha z zapewnieniem, że nigdy nie chciał jej skrzywdzić, oraz przypomnieniem, że pobrali się o wiele za wcześniej i już dawno powinni się byli rozstać. Z garderoby znikną jego ubrania. A także narzędzia z garażu. (Była głęboko przekonana, że zabierze ze sobą swoje narzędzia.) Pomyśli zapewne o podziale

wspólnego zadłużenia i wspomni o tym w liście. Bała się, że odejdzie po jej drugim poronieniu, a potem po wycięciu macicy. A na pewno zrobi to po ich jedynej, zajadłej kłótni, kiedy to Gooch stanowczo sprzeciwił się pomysłowi adoptowania dziecka, dodając, jakby to ostatecznie wyjaśniało sprawę, że jego zwariowana siostra narkomanka oddała do adopcji troje swoich dzieci.

Zdobywając się na jedyny dramatyczny gest, jaki utkwiał jej w pamięci, krzyknęła: „Ale ja chcę być matką!”. Gooch okręcił się na pięcie i wyszedł z domu, ale po trzech godzinach wrócił i zastał Mary z nosem w lodówce. Wyjął jej z ręki resztkę pieczeni, mocno pocałował w usta, zaprowadził do sypialni, a potem kochał się z nią, patrząc jej w oczy. Na moment przed szczytem szepnął: „Kocham cię”.

Mijały kolejne rocznice i Gooch nie odchodził. Z czasem przestała oczekiwać pożegnalnego listu. Być może Goochowi, tak jak Orinowi, wystarczyło być tam, dokąd rzucił go los. Albo z upływem czasu małżeństwo z Mary stało się dla niego niezbywalnym nawykiem – jak jedzenie dla niej, alkohol dla jego ojca, a narkotyki dla Heather.

Ni to, ni sio – wpadło Mary do głowy określenie jej obecnego położenia. Jadąc do pracy po linii najmniejszego oporu – okólnym nibyskrótem przez hrabstwo, zamiast przyjemną szosą wzdłuż rzeki – zastanawiała się, czy w jakimś zakątku tej nowej, odmienionej rzeczywistości spotka się ze swoją matką.

Klony zrzucały żółto-czerwone liście na ulicę Główną miasteczka Leaford. Skład Narzędzi Hoopera. Artykuły Sportowe Sprague’a. Należący do państwa Laval sklep z ekskluzywną damską odzieżą. Drogeria Raymonda Russella, gdzie miejsce saturatora zastąpił dawno temu znacznie zyskowniejszy dział kosmetyków. Obserwując, jak Ray wjeżdża na parking drogerii swoim nissanem i ustawia go obok jej furgonetki, Mary wspomniała czasy, kiedy to całe hrabstwo Baldoon jeździło wyłącznie amerykańskimi samochodami. Ray ze złością nacisnął klakson, opuścił szybę i warknął:

– Nie tutaj! Jedź na swoje zwykłe miejsce!...

Opuściła własne okno i odkrzyknęła:

– Ale dziś ma przyjść paczka od Laury Secord!

– Przyspieszyli dostawę – zawołał, przekrzykując wiatr. – Przyszła wczoraj wieczorem, kiedy miałś wolne.

Mając nad głową groźne niebo i czując wiatr zacinający przez otwarty dach, Mary wydobyła się z furgonetki. Odwróciła się ze śmiechem, prezentując swój wielki, mokry tyłek.

– Siedzenie namokło mi wodą – wyjaśniła. – Od deszczu.

Nachmurzony Ray ledwo rzucił na nią okiem.

– Dobra. A co u Goocha?

Zawahała się.

– Ma zapalenie spojówek.

– A ty co masz? – Otworzył tylne drzwi i pstrykając dźwigienkami głównego włącznika, zapalił zawieszony pod sufitem jarzeniówki. – Uważaj! – ostrzegł idącą za nim Mary. Przejście blokowało wielkie kartonowe pudło z namazanym grubym czarnym markerem napisem: „Dla Mary Gooch”. Mary poczuła, jak wywracają jej się flaki. – Zabierz to stąd, zanim ktoś się zabije! – rzucił.

Mary schyliła się, ale oboje wiedzieli, że tylko udaje. Z pogardliwym cmoknięciem podniósł pudło i bez ceregieli rzucił je Mary w ramiona.

– Przepraszam – powiedziała, myśląc, że gdyby to Candance była na jej miejscu, Ray sam zaniósłby pudło do jej samochodu, podtrzymując je na swoim małym sterczącym kutasie.

Gwałtowny podmuch wiatru zatrzasnął drzwi sklepu za Mary, gdy taszczyła przez

parking pakę czekoladek. Wpychając pudło na siedzenie pasażera, skrzywiła się, usiłując bezskutecznie wypuścić gazy. Usłyszała za sobą szum podjeżdżającego samochodu i szybko się odwróciła. Za kierownicą złocistego cadillaca siedział szef Goocha, Theo Fotopolis. Kiedy zobaczyła, że zatrzymuje się obok jej furgonetki, mocno ścisnęła pośladki, żeby nie zepsuć powietrza.

Smagły Theo Fotopolis wysiadł z auta i podszedł do ubranej w granatowy uniform Mary.

– Dzwoniłem do was – powiedział z miłym uśmiechem. – Ale ponieważ nikt nie odbierał, zajrzałem do was do domu. – Mary kiwnęła głową, nie wiedząc, co powiedzieć. – Musicie coś zrobić z tą szybą w drzwiach do ogrodu. Ciepło ucieka.

– Aha.

– Wystarczy zatkać tekturą. – Grek w bezradnym geście podniósł obie ręce. – Co się u diabła dzieje? – Mary wstrzymała oddech. – Co się stało z Goochem? – zapytał. – Pan Chung dzwonił do mnie godzinę temu, że moja ciężarówka blokuje mu dojazd na zaplecze.

– Pan Chung?

– Gooch ją tam zostawił, na tyłach restauracji.

– Zostawił ciężarówkę? Za restauracją Chunga? – Mary potrząsnęła głową, nic z tego nie rozumiejąc. – Kiedy? Dlaczego?

– Po zamknięciu. Według Chunga musiało to być po północy. Ty mi powiedz dlaczego.

– Przecież Gooch miał wczoraj wieczorny kurs do Windsor.

– Ale nie dojechał. Towar jest wciąż w ciężarówce. Nie wrócił wczoraj do domu?

Mary nie odpowiedziała od razu.

– Nie.

– Zadzwoił do ciebie?

Znowu krótkie milczenie.

– Nie.

– To nie moja rzecz, ale... czy to mu się zdarza? Zdarza mu się nie wracać do domu?

– Nie.

– Więc co u diabła?

Zrobił kilka kroków, zataczając kółko; Mary szła za nim.

– Ot tak, odstawił ciężarówkę, i co? Poszedł dokądś? Nie rozumiem. Jadł w restauracji?

– Nikt go tam nie widział.

– Upił się? – spytała.

– Skąd mam wiedzieć? Pił ostatnio?

Zastanowiła się.

– Nie więcej niż zwykle.

Stali we dwoje, nie wiedząc, co myśleć, a wokół ich nóg wirowały liście. Mary nigdy nie brała pod uwagę takiego scenariusza. W kieszeni Greka zadzwonił telefon, więc sięgnęła do kieszeni. Mary zamarła w oczekiwaniu. Może to Gooch?

Grek odczytał numer dzwoniącego. Spojrzawszy na Mary, pokręcił głową i włożył komórkę z powrotem do kieszeni – a więc nie Gooch.

– Ostatnio był taki jakiś, nie wiem, jak to nazwać, ale po śmierci twojego ojca zrobił się jakiś inny.

Jak to możliwe, że niczego nie zauważyła?

– Zaczął opowiadać o swojej rodzinie. O swoim starym.

– Nienawidził swego ojca.

Grek wzruszył ramionami.

– Może powinnaś zawiadomić policję?

– Zawiadomić policję? – przestraszyła się Mary.
– Bo ja wiem, może ktoś go napadł?
– Napadł? Na Goocha? Kto przy zdrowych zmysłach napadałby na Goocha? I po co? Dla dwudziestu pięciu dolarów i paru zdrapek?
– Nie możesz... Przepraszam cię Mary, nie zamierzam wtykać nosa w wasze sprawy, ale czy nie przychodzi ci do głowy, gdzie... Czy jest jakieś miejsce, dokąd mógł pójść? Ktoś, z kim coś go łączyło? – Co on sugeruje? Wie o czymś? Był od początku wtajemniczony? – Zabrał coś ze sobą? Czy coś zniknęło z domu?
– Nie – odparła niepewnie.
– Ubrania? Walizki? – Jego komórka znowu zadzwoniła i Mary wzięła się w garść. Theo popatrzył na telefon i powiedział. – To moja matka. Dzwoni z Aten, jest chora, muszę odebrać. – Odwrócił się i po krótkiej, nerwowej wymianie zdań po grecku zatrzęsła telefon. – Sprawdziłaś konto w banku?
– Jak to, konto w banku? Jasne, że nie sprawdzałam. Po co miałabym to robić?
– Nie wiem. Nieważne.
– Żeby sprawdzić, czy nie wyjął pieniędzy?
– Może.
– Gooch by tego nie zrobił.
– Ja tego po prostu nie rozumiem. – Grek ponownie wzruszył ramionami, czując, że spełnił swój obowiązek, na czymkolwiek miałby on polegać. Jego komórka znowu zadzwoniła. Odebrał ją i powiedział coś szybko w swoim ojczystym języku.
– Powiedz mu, Mary, żeby do mnie zadzwonił – rzekł, chowając telefon. – Niech do mnie zadzwoni, jak tylko wróci. Cokolwiek się stało, jakoś to załatwimy.
Mary postanowiła posłużyć się kwestią Greka: „Cokolwiek się stało, jakoś to załatwimy” – kiedy Gooch w końcu do niej zadzwoni. Patrząc za odjeżdżającym złocistym cadillakiem, wypuściła symfonię gazów i poczuła ogromną ulgę.
Ray, który stał pod drzwiami, wrzasnął za jej plecami:
– Ładna bryka, Mary! Pierwsza klasa!
Gdyby miał odrobinę przyzwoitości, udałby, że nic nie słyszał. Od jak dawna tam stoi? Podniósłszy brwi, otworzył drzwi na oścież.
– Idziemy! Pospiesz się, trzeba zrobić remanent. – Klaszcząc w dłonie, głośno przesyłabizował: – Re-ma-nent!
Mary znieruchomiała, z jej ręki zwisaly podzwaniające kluczyki. Remanent, powtórzyła w myślach. Oto, co powinna zrobić – podsumować dane. Czy dobrze zrozumiała? Gooch zostawił w nocy ciężarówkę z towarem pod Chińską Restauracją Chunga i nikt nie wie, gdzie się podział? Czy tak samo czuła się Irma, kiedy jej życie ostatecznie straciło sens?
– No, Mary, na co czekasz? Idziemy!
Mary podniosła wzrok na pędzące chmury, spoza których słońce wysyłało słabe, zmienne promienie.
– Mary, ja nie żartuję – parsknął Ray. – Od jakiegoś czasu słabo przykładasz się do pracy. Nie ja jeden zwróciłem na to uwagę.
Akceptacja, odrzucenie – te mogą poczekać. Gniew.
– Do roboty, Mary.
– Idź do diabła, Ray!
Wyraz jego twarzy uświadomił Mary, że naprawdę powiedziała to na głos. Wdrapując się na siedzenie furgonetki, przekręcając kluczyk w stacyjce, cofając bez patrzenia za siebie i wyjeżdżając z parkingu, odtwarzała w myślach swoją rozmowę z Grekiem, czując w piersiach

dojmujący ból. Gooch odszedł. Zaparkował ciężarówkę. Znikł. W srebrną rocznicę ślubu.

Podczas bezsennych nocy Mary od wielu lat towarzyszyło poczucie pewności jutra, wynikające z niezmienności następujących po sobie poranków. „Jutro” było jak miłosa kartka – cierpliwe i dobrotliwe. Nieskończenie wybaczące jutro dodawało odwagi. Nie spodziewała się, że jutro, z którym – jak sądziła – łączyło ją ciche, milczące porozumienie, może ją nagle zdradzić.

jasny piorun

Gdyby Gooch był rano w domu, klapnąłby, jak zwykle, naprzeciw Mary na czerwone winylowe krzesło, z głośnym świstem uchodzącego z pękniętego siedzenia powietrza, i pograżył się w lekturze kolportowanych w ich rejonie amerykańskich gazet, czytając na głos fragmenty z „Free Press” albo „News”, a ona udawałaby, że słucha. Gooch uwielbiał Amerykę, amerykańską politykę, sport, muzyków, literaturę, amerykański dar drugiej szansy. Jego podziw dla Stanów Zjednoczonych Ameryki budził w Mary lekkie politowanie. Pałał miłością, a tymczasem przedmiot jego uczuć nie zdawał sobie nawet sprawy z jego istnienia.

Pędząc krętą nadrzeczną drogą pod baldachimem łopoczącego stada gęsi, czuła, jak w jej piersi nasila się i rozrasta palący ból. Gooch. Znikł. Gdzie? Spoglądając na odbite w tylnym lusterku czarne niebo, miała wrażenie, że to nie tyle ona prowadzi, ile jest prowadzona.

Przed zatopieniem się w cichej lekturze sportowych stron Gooch nie omieszkałby poinformować żony o zapowiadanych kapryśkach pogody. Wiedział, jak bardzo Mary lubi prawdziwą burzę. Sama nie miała czasu na czytanie gazet, była zbyt pochłonięta niedotrzymanymi obietnicami, zbyt zaabsorbowana swymi niepowodzeniami, zanadto zajęta zaspokajaniem nienasyconego głodu. To, co działo się poza Leaford, nie było jej obojętne, ale nie miała do tego głowy. Bieżących wiadomości nie traktowała jako podstawowej wiedzy, raczej jako sprawę wyboru, rodzaj rozrywki. „Kryzys na Bliskim Wschodzie” był dla niej grubą powieścią, której wolała nie czytać. „Ludobójstwo w Afryce” – niewyobrażalne, niewiarygodne – marnie napisanym filmem, na którym recenzenci nie zostawili suchej nitki. „Globalne ocieplenie”? – brzmiało niezbyt zabawnie. „Za rogatkami Leaford rozciąga się wielki, szeroki świat”. Czy nie tak mawiał Gooch?

Mary zatrzymała furgonetkę na parkingu w Chatham, na tyłach kamienicy, której okna wychodziły na rzekę. A więc tak smakuje uświadomienie sobie własnego końca? Nie końca życia, tylko małżeństwa. I nie za pomocą narkotyków, dzięki prawdzie. Wiedziała dobrze, co musi zrobić, więc aby bardziej się zmobilizować i dodać sobie odwagi, uciekła się – wzorem rewolwerowca z westernu wychylającego ostatnią szklaneczkę whisky – do słodkich wyrobów Laury Secord.

Czekoladki – ostatnie pocieszenie. Uczucie, jakie towarzyszyło jej podczas rozrywania kartonu, Mary nazwałaby czymś w rodzaju egzaltacji, nagłej błogości, w jaką wprawiał ją boski aromat kakao. Wziąwszy głęboki oddech, wyłuskała z plastikowego opakowania jedno pudełko, potem drugie, i jeszcze jedno, odrzucając pokrywkę, wydłubując palcami smakołyki, wypychając po dwie albo trzy na raz między szalejące zuchwy. Odrzucała na bok karbowane papierki, nie zważając na wysypujące się na siedzenia i podłogę kwadratowe czekoladki. Pojękując i pomrukując w quasi-erotycznym uniesieniu, mówiła sobie: „No, dosyć już”, a zaraz potem: „No, jeszcze ta jedna”.

Ostatni raz szła korytarzami wysokiego, smukłego budynku w dniu swego ostatecznego pożegnania z Orinem. Tak przynajmniej wolała myśleć. W rzeczywistości to on wypowiedział pożegnalne słowa. „Do zobaczenia jutro, Murray”, na co ona, niestety, odparła cierpko: „Jutro mam dodatkowy dyżur, papo. Wpadnę dopiero późnym wieczorem, więc na twoim miejscu nie liczyłabym na gorącą kolację!”. Trudno to nazwać pożegnaniem.

Tamtego wieczoru zatrzymała się, jak zwykle, przed drzwiami Sylvie Lafleur, nie po to jednak, by zapukać, wpaść na chwilę, podziękować starszej kobiecie za okazywaną Orinowi życzliwość, ale po to, by posłuchać. Dźwięków telewizyjnego „Koła fortuny” czy jakiejś innej gry, w której normalni ludzie wygrywali fortuny w gotówce i nagrodach. Piknięcia mikrofalówki.

Szczęku naczyń w zlewie. Szmeru odsuwanych drzwi balkonowych, kiedy Sylvie wyjdzie na papierosa. Znajomych, uspokajających dźwięków samotności, w których rozpoznawała muzykę własnego życia.

Szara wykładzina w wejściowym holu budynku była poznaczona śladami błota, zostawionymi przez czyjeś sportowe buty, ale poza tym nic się tutaj na pozór nie zmieniło. Mijając dawne drzwi ojca, nie poczuła, wbrew swoim przewidywaniom, ochoty, by powieść palcami po umieszczonym na ścianie, obok dzwonka, numerze mieszkania. Z wnętrza dochodziła głośna muzyka – punku? może rapu? – nie była pewna. Słyszała, że mieszkanie zajmuje obecnie samotna matka, którą pewnie wyeksmitują z domu z powodu niesforenego nastoletniego syna.

Doszła do drzwi Sylvie i zatrzymała się. Nadstawiła ucha. W środku panowała cisza. Odczekała chwilę. Nacisnęła dzwonek. Cisza. Zaczęła głośno walić w drzwi, ale tak, jakby chciała się skądś wydostać, a nie dostać do środka. W dawnym mieszkaniu Orina ucichła muzyka i nachmurzony chłopak z fioletowymi włosami i obwiedzionymi czarną kredką oczami gwałtownie otworzył drzwi.

– Co jest?

– Przepraszam – powiedziała. – Szukam pani Sylvie Lafleur. Znasz ją?

– No.

– Nie wiesz, gdzie ona może być?

Chłopiec wzruszył ramionami, cofnął się i zamknął drzwi. Coś w wyrazie jego twarzy przypomniało Mary matkę – jej po kocie ostrożny, powściągliwy uśmiech. Z tym uśmiechem na twarzy Irma wpatrywała się w Jimmy’ego Goocha owego wrześnieowego dnia wiele lat temu, kiedy przyszedł powiedzieć, że ze względu na jej ciążę on i Mary postanowili się pobrać.

Irma zapytała wprost:

– Nie pomyśleliście o innym rozwiązaniu?

– Jest tylko jedno możliwe rozwiązanie – oświadczył Orin, splatając na zapadniętej piersi swoje chude ramiona.

W recepcji u doktora Ruttle’a stały w wazonie prześliczne różowe różyczki, które Irma uznałaby pewnie za zbyt kobiece jak na lekarski gabinet, gdyby tydzień wcześniej czekała razem z Mary na badanie. Mary domyślała się, że jest w ciąży – brak miesiączki, nabrzmiałe piersi, mdłości – niemniej, kiedy doktor Ruttle potwierdził jej podejrzenie, zareagowała zdziwieniem i konsternacją. Przecież Gooch przyrzekał jej, że nie zajdzie w ciążę, jeżeli wyjmie go przed wytryskiem.

Z płonącymi policzkami, złana potem w chłodny wrześnieowy dzień, ssąc słone cukierki, które nosiła w torebce na powstrzymanie mdłości, po wizycie u doktora Ruttle’a pomaszerowała przez starą dzielnicę Leaford do szkoły, gdzie Gooch uczęszczał na dodatkowe zajęcia, by odrobić stracony czas i poprawić obniżoną wskutek wypadku średnią ocen. Miał nadzieję pójść od stycznia na studia. A ponieważ wyniki sportowe przestały się liczyć przy wyborze uczelni, obiecał Mary, że zdecyduje się na uniwersytet w oddalonym o niecałą godzinę drogi Windsor. Mary dowiedziała się o odbywających się niedaleko Leaford kursach mody i projektowania, ale jak dotąd nie zdążyła się zapisać. Zaabsorbowana Goochem, zajęta pracą w drogerii i prowadzeniem rodzicom domu, nie znalazła na to czasu.

Idąc szkolnym korytarzem po raz pierwszy od ukończenia nauki parę miesięcy temu, Mary łamała sobie głowę, jak powiedzieć Goochowi o swojej ciąży. Dostrzegła swego potężnego chłopaka przez otwarte podwójne drzwi: stał na parkingu oparty plecami o swój stary samochód i rozpaczliwie kręcił głową, jakby wiedział z góry, z czym przyszła. Zdziwiła się, widząc, jak tuż koło jego ucha unosi się smużka dymu, a obok niego stoi Sylvie Lafleur, która przy ogromnym nastolatku wyglądała jak dziecko. Podniósłszy wzrok, Sylvie zauważyła ukrytą w cieniu drzwi

Mary i pomachała do niej, zdusiła niedopałek czubkiem buta i ruszyła w jej kierunku.

– Ty porozmawiaj ze swoim chłopakiem – powiedziała, podchodząc bliżej. – Powiedz mu, że to zbrodnia niszczyć własną przyszłość. – Wymawiając „r” w słowie „zbrodnia” grasejowała z francuska. – Cały świat stoi przed nim otworem. Ma tyle możliwości. – Powiedziała to tak, jakby była drobną, mówiącą z francuskim akcentem, białą panią Bolt.

Przyszłość. Mary usiłowała objąć ją wzrokiem w całej jej złożoności, lecz obraz był dziwnie zamazany, poszczególne sceny zachodziły na siebie, jakby poruszone. Widziane pod niewłaściwym kątem. Z pomyloną perspektywą. Krajobraz tam, gdzie powinien być portret. Wszystkie widoki zabazgrane tym samym, ociekającym czerwoną farbą, powtarzającym się napisem „Gooch”. „Wybierz jeden, Murray – powiedział Orin, podając jej garść różnokolorowych lizaków. – Wybieraj. Jeden”.

– Piekli się, bo nie chcę iść na McGill – wyjaśnił Gooch, kiedy panna Lafleur zniknęła w drzwiach szkoły. – Sama mnie zapisała. Wcale jej o to nie prosiłem.

– Och.

– Ja tam nie pojedę.

– Dobrze.

– Gdybym miał jechać, to tylko z tobą.

– Ze mną?

– Tak, z tobą. Albo gdybyśmy mogli widywać się w weekendy.

– McGill jest w Montrealu. Siedem godzin jazdy w jedną stronę.

– Nie mogę zostawić matki. Nie w tej chwili. Ta historia z Dupasem szybko się skończy.

Nie mogę jej zostawić samej z Heather.

– Nawet nie mówisz po francusku.

– Mają kapitalny wydział dziennikarstwa. „Kapitalny”. Bardzo amerykańskie słowo.

– I co?

– Mówi, że może mi załatwić jakieś stypendium. Są pieniądze z ubezpieczenia po ojcu, ale ona uważa, że powinienem je zachować.

– To dobrze.

– Mówi, że mam literackie zdolności.

– Tak mówi? – zapytała Mary z większym zdziwieniem, niż zamierzała. Wiedziała wprawdzie, że jego eseje dostają najwyższe oceny, ale sama nigdy żadnego nie przeczytała. Wstydząc się trywialności zarówno formy, jak i treści swego wyznania, ukryła twarz na jego ramieniu.

– Och, Gooch – wyszeptwała. – Jestem w ciąży.

Kilka dni później, podczas zbiorowej popijawy wokół ogniska nad jeziorem, Mary i Gooch ogłosili gronu przyjaciół swoje zaręczyny. Dziewczyny zapiszczały z zachwytem, przymilając się do Mary i zazdroszcząc jej tak wielkiego szczęścia; chłopcy, a właściwie młodzi mężczyźni w wieku uprawniającym do picia alkoholu, głosowania, pójścia na wojnę – skwitowali wiadomość krótkimi kiwnięciami głowami i klepięciami w szerokie plecy Goocha.

Nikt się nie zastanawiał, czy pobierają się z powodu ciąży Mary. Było to oczywiste. Nikt też nie uważał ich decyzji za szczególnie nieudaną. Prawdziwa tragedia, w każdym razie zdaniem tych młodych ludzi, zdarzyła się znacznie wcześniej. Wypadek raz na zawsze przypieczętował los Goocha. Nigdy nie dostanie sportowego stypendium na amerykańskim uniwersytecie. Nigdy go nie zobaczą grającego w meczu transmitowanym przez telewizję. Na najostrzejszym zakręcie nadrzecznej drogi stracił szansę stania się kimś wyjątkowym. Tamtego wieczoru Gooch, który alkohol znosił jeszcze gorzej niż swoją tragedię, upił się w sztok i kiedy zbierali się do domu,

rzucił Mary kluczyki do samochodu.

Zdając sobie sprawę, że jej rozbiegane wspomnienia nie przynoszą pociechy ani niczego nie uczą, Mary nie rozumiała, dlaczego nie potrafi się oderwać od swojej przeszłości. Jakby powściągliwość była równie obca zarówno jej chaotycznemu umysłowi, jak i zachłannemu gardłu. Nawet teraz, wychodząc z kamienicy, miała w głowie nie to, co jest, ale to, co było. Brakowało jej głosu ojca.

Przez szum wiatru przedarł się do jej uszu dzwonek telefonu. Tocząc się chodnikiem, odczuła ten dźwięk niczym smagnięcie biczem. Było w nim oskarżenie. Gdyby zamiast łądować się na stole w kuchni, komórka znajdowała się w jej torebce, Gooch mógłby do niej zadzwonić. Właśnie teraz dzwoni, była tego pewna. Pewnie zostawił dla niej wiadomość w drogerii. Albo próbuje dodzwonić się do domu. Wyobraziła sobie, jak szuka jej nerwowo, dzwoniąc, gdzie się da, jakby to nie on, lecz ona nie wróciła do domu.

przemieniona i odrodzona

Kiedy Mary wyszła z kamienicy, jej uwagę przykuła neonowa reklama sklepu spożywczego po przeciwnej stronie ulicy. Smak tkwiących między zębami resztek orzechów i czekolady uświadomił jej, że musi się czegoś napić. I mieć do pojadania coś słonego, jeżeli zamierza tkwić w furgonetce na straży, czekając na powrót Sylvie Lafleur. Rozważyła odległość, popatrzyła na ciemniejące chmury, pomyślała o swoich umęczonych nogach i skaleczonej pięcie, zastanowiła się, czy w tym stanie powinna prowadzić. Zmierzywszy wzrokiem odległość dzielącą ją od furgonetki, z ciężkim westchnieniem pokuśtykała nierównym krokiem przez jezdnię na drugą stronę ulicy.

Mary z zasady nie lubiła robić zakupów w ogólnospożywczych sklepach z konsumpcją na miejscu, w których wystawiano na pokaz trochę warzyw i owoców albo pudełka bogatych w błonnik płatków zbożowych, mających zamaskować istnienie całej kopalni jej ulubionego, pysznego śmieciowego jedzenia. Nie cierpiała tego, jak patrzyli na nią obcy sprzedawcy, kiedy pomarańczowym serem posypywała czerstwe tortille, wypijała gigantyczne kubasy gazowanych płynów albo kładła na ładzie paczki chrupek, ponieważ w ich uśmiezkach dopatrywała się kulturalniejszej wersji upomnienia: „Droga pani, to wszystko jest pani potrzebne jak dziura w moście”.

Kiedy Mary weszła do sklepu, zobaczyła Sylvie Lafleur, jak płaci przy ladzie za paczkę papierosów king-size – na jej widok powinna doznać szoku, tak się jednak nie stało. Spotkanie grubej żony ze smukłą kochanką w jaskrawo oświetlonym sklepie w burzowy dzień było w małym Leaford rzeczą normalną, a nie dziełem przypadku. W narzuconym niedbale na pizamę, błyszczącym płaszczu przeciwdeszczowym, ze skręconymi od wilgoci włosami, mała Francuzka sprawiała wrażenie, jakby wkroczyła w fazę zimowego zaniku. Kiedy zobaczyła, że Mary Gooch stoi przed nią w granatowym uniformie, uśmiechnęła się do niej, jak to robiła zawsze, ilekroć przypadkowo się spotkały.

– Mary!

Mary odchrząknęła.

– Dzień dobry pani.

– Dawno cię nie widziałam. Jak się miewasz? – wychrypiała, jakby odpowiedź sama się nie narzucała.

Mary pomyślała o Goochu, który na pytanie, jak się miewa, zwykł odpowiadać: „Jak senne marzenie. Moje życie to sen”. Czarował ludzi tą odpowiedzią, a jeszcze bardziej zdumiewał, jeśli padała w momencie, kiedy targał rozkładaną kanapę schodami na drugie piętro.

– Dziękuję, świetnie. A pani?

Sylvie otworzyła karton papierosów, zrywając folię zniszczonymi, pożółkłymi palcami, i smutno się zaśmiała.

– Spędzam dni w pizamie na paleniu papierosów. Emerytura mi służy, nie uważasz?

Przyglądając się uważnie twarzy starzejącej się kobiety, Mary nie doszukała się w niej najmniejszego śladu poczucia winy. Ani cienia skruchy. Ani przeprosin. Żadnego *mea*, żadnego *culpa*. Chuda, bezwstydną dzira, uznała w duchu.

– A co u Goocha? – zapytała niewinnie Sylvie. A jednak – jej powieka lekko drgnęła.

Nieznaczne mrugnięcie. Poruszenie. Mimowolny odruch. Mary słyszała od Goocha o nerwowych odruchach: mimowolnym podrapaniu się, ściągnięciu brwi, kaszlnięciu, które pozwala złapać kanciarza na oszustwie. Gooch chwalił się, że zawsze potrafi taki zdradliwy odruch wypatrzeć, i dlatego zwykle wygrywa w karty. Dostrzegłszy u Sylvie drgnięcie powieki, Mary odetchnęła,

jak cierpiący na tajemniczą chorobę człowiek, który usłyszawszy diagnozę, uspokaja się, że nie jest chory z urojenia.

Mary nie miała innego wyjścia, niemniej własna szczerść wprawiła ją w dumę.

– Gooch nie wrócił wczoraj do domu. Pomyślałam, że może pani wie, gdzie jest.

Starsza kobieta zacisnęła powieki i skurczyła się w sobie. Mary poczuła się przy niej jak wielka, tłusta awanturnica atakująca niepozorne dziecko.

– Wyjdźmy stąd. Czy możemy wyjść na dwór, żebyśmy mogła zapalić?

Mary przez moment delektowała się myślą, że druga kobieta nie może wytrzymać bez papierosa.

– Czy pani wie, gdzie on jest?

– Nie, Mary. Nie wiem, gdzie jest Gooch.

– Nie był u pani wczoraj wieczorem?

Stojący za kontuarem Koreańczyk otworzył skrzynkę z hot dogami. Wiele razy obsługiwał Mary i pilno mu było przyjąć zamówienie.

– Trzy? Pasuje?

Mary, nie patrząc na niego, pokręciła głową.

– Dzwonił do pani?

Sylvie zerknęła na sprzedawcę, po czym spytała szeptem:

– Chcesz to załatwić tutaj? W porządku. Ale wiedz, że nie widziałam się z Goochem od lat. Od lat.

Co, ściśle rzecz biorąc, nie było prawdą. Nie dalej jak miesiąc temu natknęli się na Sylvie, kupując u Kinsmena prażoną kukurydzę. A wcześniej widywali się nie raz we trójkę, na korytarzu kamienicy, kiedy Gooch razem z Mary odwiedzał Orina. Mary wiedziała jednak, co Sylvie ma na myśli, i była skłonna jej wierzyć.

– Ale to się zdarzyło tylko raz. Tylko raz. Powinnaś o tym wiedzieć.

Jej wyznanie zaskoczyło Mary o wiele bardziej niż wizja gorącego romansu, o który od dawna ich podejrzewała.

– Owszem, odwiedzał mnie, ale to było wiele lat temu, i tylko po to, żeby trochę odetchnąć i przespać się na kanapie. I porozmawiać. Wyjdźmy na dwór.

– Rozmawialiście?

– Tak. O polityce. O filmach. Doprawdy nic szczególnego. – Oczy starszej kobiety wzbierały łzami, podbródek drżał jak u dziecka. Czy dlatego, że aż tak bardzo brakuje jej papierosa, czy z autentycznej skruchy? – Czasami pieklam dla niego cytrynowe ciasteczka – wyznała.

A więc to tak. Sylvie Lafleur była głęboko przejęta losem swego młodego, nielegalnego przyjaciela, dzieliła jego zainteresowanie światem, jego zafascynowanie wielką polityką, starym kinem. Głaskała go po głowie, kiedy drzemał na kanapie, i karmiła grzankami, kiedy musiał wracać do nieszczęsnej żony. To nie kochanki rozpaczliwie potrzebował, ale matki, którą znalazł w osobie dawnej opiekunki naukowej.

– Tylko raz?

– Przysięgam.

Przysięga nie zabrzmiała tak pusto, jak by mogła, czy nawet powinna.

– Kiedy?

– Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Ponad dziesięć lat temu. Powiedziałam, żeby więcej nie przychodził. To wszystko. Ostatni, jedyny raz.

– Dlaczego?

– Dlaczego?

– Tak, dlaczego? Dlaczego raz? Dlaczego wtedy?

Sylvie nie odpowiedziała od razu.

– To było zaraz po śmierci mojej matki. Zbliżały się moje czterdzieste piąte urodziny.

Czułam się taka stara. Od lat nie byłam z mężczyzną. Trochę za dużo wypiałam. Pomyślałam: to może mi się już nigdy więcej nie zdarzyć. Pożałował mnie. Czułam się potem jak ostatnia idiotka.

Podczas gdy Sylvie bawiła się nerwowo papierosem, mieniając się na twarzy i boleśnie się krzywiąc, Mary przypomniała sobie wyczytaną nie wiadomo gdzie informację, że każda Francuzka musi po osiągnięciu pewnego wieku dokonać wyboru między twarzą a jej odwrotnością. Było to poparte wcale sensowną argumentacją: dla wygładzenia zmarszczek i nadania twarzy młodego wyglądu potrzeba pewnej dawki tłuszczu, natomiast ta sama warstwa tłuszczu odłożona na pośladkach obciąża jej tułów niby wór kamieni. Widząc zapadnięte oczy i pergaminową cerę Sylvie Lafleur, wiele mówiącą siatkę pionowych bruzd w kącikach jej ust i poziomych zmarszczek wokół oczu, łatwo było odgadnąć, że dawna nauczycielka poświęciła twarz dla ratowania swojej pupy.

– Przepraszam cię, Mary. To dla mnie ulga, że mogłam ci powiedzieć. Strasznie mi przykro. – Znowu się wzdrygnęła, spoglądając ponad ramieniem Mary na ciemniejące niebo. – Wyjdźmy już na dwór, żebym mogła zapalić. Proszę.

– Nie – odparła Mary, sama się sobie dziwiąc. – A ja? Czy rozmawiałaś o mnie z moim mężem?

– Właściwie nie. On mówił czasami, jak bardzo by chciał, żebyś była szczęśliwa.

– Więc gdzie od tamtej pory spędzał wieczory? Gdzie przesiadywał do późnej nocy? –

Mary w gruncie rzeczy nie oczekiwała odpowiedzi. Ze swoim pytaniem mogła się równie dobrze zwrócić do koreańskiego sprzedawcy.

– Minęło tyle lat. Przestałam go widywać. Nie wiem, gdzie jest. – Zrobiła pauzę. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Mary zdała sobie sprawę, że stoi w drzwiach i nie ma nic więcej do powiedzenia, więc cofnęła się, pozwalając Sylvie przejść. Zbita z tropu, musiała stracić poczucie czasu, bo gdy znowu wyjrzała na ulicę, stwierdziła ze zdziwieniem, że mała Francuzka rozplynęła się jak dym z jej własnych zabójczych papierosów, znikła tak szybko, że Mary zadała sobie pytanie, czy ich rozmowa nie była tylko snem. Napotkawszy pytające spojrzenie Koreańczyka, podniosła rękę i pokazała trzy palce.

Czekając na swoje hot dogi, oparła się o bankomat i przywołała w pamięci swoje spotkanie i rozmowę z Grekiem – kilka godzin, dni, a może całe lata temu? Niewidoczny zegar. Całkowicie niekontrolowany ruch wskazówek. „Czy sprawdziłaś stan konta?”

Poszukała w torebce karty płatniczej, z której jeszcze nigdy nie zrobiła użytku. Chociaż miała w nosie to, czy żywi kasjerzy są rzeczywiście zbędni, czy nie, wiodła o to zajadłe spory z Goochem. Była po prostu za leniwa na to, by uczyć się nowych rzeczy. Po paru nieudanych próbach wetknięcia srebrnej karty do bankomatu poczuła dumę, gdy karta została przyjęta. Gooch miał rację, bankomaty są dla idiotów. Z zapamiętaniem kodu nie miała problemu – miesiąc i dzień ich ślubu. Dzisiejsza data.

Stosując się do wskazówek, poprosiła maszynę o dwadzieścia dolarów i nacisnęła „tak”, kiedy automat uprzejmie zapytał, czy chciałaby poznać stan konta. Wyjęła kartę i wyszarpnęła potwierdzenie. Odczytała liczby. Sprawdziła jeszcze raz. Wiedziała, ile jest pieniędzy na wspólnym koncie – trzysta dwadzieścia cztery dolary. Gooch ostrzegł, że to wszystko, co im zostało. Na dole cienkiej białej kartki papieru widniała nieprawidłowa liczba. Jeszcze raz wsunęła w szparę srebrną kartę – Koreańczyk akurat wybijał na kasie rachunek – i zażądała

kolejnych dwudziestu dolarów oraz kolejnego potwierdzenia. Suma wolnych środków, pomniejszona o dwadzieścia dolarów, była znowu niewłaściwa. Mary wpatrywała się w nią, szukając wyjaśnienia. Coś się nie zgadza. Prawdę mówiąc, nic się nie zgadza. Dlaczego ze stanem konta miałyby być inaczej?

Mary zignorowała Koreańczyka oraz gotowe hot dogi, i jeszcze raz wsunęła plastikową kartę, ze świeżo nabytą wprawą naciskając bez patrzenia guziki, ale zamiast standardowej, poprosiła o inną kwotę. Czy życzysz sobie większej kwoty? Tak. Górny limit to czterysta dolarów. Dobrze, niech będzie czterysta. Potwierdzenie? Tak.

Czekała z niepokojem, aż maszyna się wymruczy, zatrwożona, że lada chwila do sklepu wpadnie policja, aby ją aresztować. Ostatecznie zażądała sumy przewyższającej prawdziwy stan jej konta. Czy to nie to samo, co wypisanie czeku bez pokrycia? Kiedy maszyna wypluła czterysta dolarów dwudziestodolarowymi banknotami, chwyciła pieniądze i pospiesznie poupychała je w głębokich kieszeniach sklepowego uniformu, zanim Koreańczyk, albo Bóg, zobaczy, co ona robi. Sięgnęła po potwierdzenie. Wypłata – dwadzieścia. Wypłata – dwadzieścia. Wypłata – czterysta dolarów. A saldo końcowe znowu nieprawidłowe.

Wyszła ze sklepu, porzucając Koreańczyka, hot dogi i gazowany napój, z blankietem wypłaty w zaciśniętych palcach. Uderzył ją nagły podmuch porywistego wiatru. Ciekawe, jak lekka niczym piórko Sylvie dotarła do domu, pomyślała Mary, po czym rozejrzała się po czarnym niebie, spodziewając się zobaczyć jej delikatną postać, fruującą w powietrzu, tak jak unoszą się na wietrze bezbarwne, plastikowe torebki.

Gooch odszedł. Nadwyżka dwudziestu pięciu tysięcy dolarów na koncie. „Gdzie jest Bóg, kiedy jej potrzebujesz?” – przemknęło jej przez głowę.

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie – czyżby Bóg czekał za kulisami i właśnie otrzymał znak? – w powietrzu wybuchł nagle ogłuszający aplauz i mściwa, zygzakowata błyskawica rozświetliła czarne niebo. Bez efektów wodnych, jedynie budząca grozę pirotechnika. Przedostawszy się na drugą stronę ulicy, Mary ruszyła okalającym kamienicę, nadal zielonym pasem trawy, ściskając wydruk z bankomatu między wskazującym palcem a kciukiem, tak samo jak klienci Drogerii Raymonda Russella trzymali swoje recepty. Tajemnica nieoczekiwanych pieniędzy kusiła, a jednocześnie rosła w niej obawa, że zniknięcie Goocha nie było przypadkowe.

Tuż obok tylnego wejścia do kamienicy siedział w kucki nastolatek w naciągniętym na głowę ciemnym kapturze, spod którego wystawały fioletowe włosy – w pierwszej chwili Mary nie rozpoznała w nim chłopca z dawnego mieszkania jej ojca. Ubrany na czarno, pojawił się nagle, jak gigantyczna, ponura wrona, wykluczona z klanu prześmiewczych pobratymców, którzy obsiedli gałęzie rosnącego nieopodal drzewa. W górze, w grafitowych chmurach następowały gwałtowne wyładowania, wirowały elektryczne prądy, przecinały niebo oślepiające błyski. Nie skromne, rozjaśniające niebo światła, ale szalone, rozwidlone błyskawice, świetliste, strzępiaste groty, wtórne eksplozje, huk grzmotu, roziskrzona biel cofających się, powracających na nowo macek. Zionący ogniem, gniewny bóg dzieciństwa Armii.

Ani Mary nie zamierzała spojrzeć na chłopca z fioletowymi włosami, ani on na nią, niemniej ich spojrzenia spotkały się i w tym samym momencie chłopak burknął:

– Niech mnie diabli!

A Mary szepnęła:

– Niech to cholera!

Chłopak naciągnął kaptur z powrotem na czoło i opuścił wzrok. Minęła krótka chwila, ulotna jak orgazm, nieuchwytna jak pani Bolt. Gooch. Siedzące na nagich konarach wrony zatrzepotały i zaskrzeczały: „Odszedł, odszedł, odszedł”.

Mary otworzyła drzwi furgonetki i wdrapała się do szoferki, gdzie zaatakował ją

agresywny zapach czekolady. Złożyła głowę na oparciu siedzenia i zamknęła oczy, niezdolna, by stawić opór szepeczącym jej do ucha głosom rodziców. „Może faktycznie nie romansował z Francuzicą, ale z kimś musiał mieć romans” – powiedziałaaby Irma. Orin bardzo Goocha lubił, ale na jego zniknięcie zareagowałby niemniej rzeczowo: „Nie ma innej rady, trzeba go odnaleźć. Zażądać wyjaśnień. Jeżeli uważasz, że nie możesz się bez niego obyć. Dzwoniłaś do jego matki?”.

Do jego matki? Po co dzwonić do jego matki? Mary nie chciała niepotrzebnie niepokoić Eden, gdyby się okazało, że nie miała ku temu powodu. A poza tym wołała nie przyznawać się do tego, że jej teściowa – do której przez pierwszych dziesięć lat po ślubie dzwoniła sumiennie w każdą ostatnią niedzielę miesiąca o dwunastej w południe zachodnioamerykańskiego czasu i która za każdym razem z tym samym zdziwieniem i zawodem wykrzykiwała: „Ach, to ty, Mary!” – miała od początku rację. Zresztą i tak nie mogła do niej zadzwonić. Telefon komórkowy był wciąż w domu i ładował się.

Kiedy Gooch wręczał jej komórkę, Mary oświadczyła, że nigdy nie będzie pamiętała, aby przed wyjściem z domu włożyć ją do torebki. Wiedziała ponadto, że nie nauczy się nią posługiwać, ponieważ bała się nawet najprostszycy nowych urządzeń w rodzaju bankomatu, które w jej mniemaniu niosły ze sobą zapowiedź kolejnych niepowodzeń. Każda maszyna z wyjątkiem kasy fiskalnej w sklepie była w oczach Mary gadżetem, który tylko na to czyha, by zbić ją z tropu. Z podobnych powodów sprzeciwiła się propozycji Goocha, kiedy ten oświadczył, że i oni, „jak wszyscy mieszkańcy wolnego świata”, powinni sprawić sobie komputer. Uzasadniała swój sprzeciw brakiem pieniędzy, chociaż faktycznie, naczytawszy się w działach porad mnóstwa alarmujących ostrzeżeń, bała się Internetu, jako paszportu w świat pornosów i innych karygodnych nawyków. Gooch w odpowiedzi nazwał ją luddystką. Mary nie wiedziała, co to znaczy, ale wołałaby nią nie być. Mogłaby wtedy mieć komórkowy telefon i do kogoś zadzwonić.

Z głęboko uspiętymi nogami, które lubiły drętwieć, kiedy siedziała zbyt długo bez ruchu, popatrzyła w górę przez otwarty dach. Wciąż nie pada. Powoli, zmartwiały mi z zimna palcami, wsunęła kluczyk do stacyjki, czując miłe mrowienie w łydkach, gdy do zgłodniałych mięśni zaczęła napływać krew.

Wrzuciwszy wsteczny bieg, odnotowała w tylnym lusterku obecność stojącej za furgonetką latarni, ale jeszcze nie ruszyła. Przed oczami mignęła jej twarz Goocha, w chwili gdy wychodząc do pracy, zagadnął swoim jedwabistym głosem o jej ubranie na rocznicową kolację. Warto było przeżyć w małżeństwie dwadzieścia pięć lat, żeby usłyszeć autentyczną troskę w jego głosie. I to, jak poprosił, żeby kupiła sobie coś ładnego. Unoszona falami odwiecznej nadziei, mając nogę mocno opartą na hamulcu, nie zauważyła nadlatującej wrony. Kiedy ptaszysko zanurkowało do szoferki przez otwarty dach po kolejną porcję orzechowych skarbów, które jego pobratymcy podkradali wcześniej pod nieobecność Mary, złodziejaszek był tak samo przerażony jej pojawieniem się, jak ona nieoczekiwaną wizytą intruza.

Mary wrzasnęła. Przerażony ptak podfrunął z głośnym skrzeczeniem, ale nie w górę, w kierunku otworu w dachu, ale prosto na przednią szybę i – obłąkańczo trzepocząc skrzydłami – na Mary, ona zaś, odganiając się od napastnika, zdjęła niechcący stopę z hamulca i nacisnęła gaz samochodu, który ruszył do tyłu i uderzył prosto w latarnię. Czarne. Pióra. Czarne.

Podnosząc głowę znad żłobkowanej kierownicy, Mary spodziewała się zobaczyć krew. Ptak zniknął. Dopiero teraz zauważyła, że rozsypane na prawym siedzeniu czekoladki są podziobane i pokruszone. Czy to dzieło wrony, czy jej samej? Bolało ją czoło, ale nie wyczuła stłuczenia ani najmniejszego śladu guza. Z boku mignął jakiś cień, więc odwróciła oczy. Znajomy nastolatek. Poznała po jego twarzy, że był świadkiem całego zdarzenia.

– O kurwa! – powiedział, otwierając drzwi. Sięgnął ręką ponad jej brzuchem, przerzucił dźwignię zmiany biegów na luz i wyłączył pomrukujący cicho silnik. – Nic się pani nie stało? To było niesamowite. Jak ta wrona... – Gwałtownie zamachał rękami. – A pani robiła tak. – Zaczął zabawnie tłuc rękami powietrze. – Niesamowite.

– Uderzyłam się w głowę.

Chłopak sięgnął do kieszeni jak po broń, wyciągając komórkę. Mary powstrzymała go.

– Nie, nic mi nie jest. Co z furgonetką?

Chłopak cofnął się i obejrzał tył uszkodzonego forda.

– Solidna robota – uśmiechnął się.

Mary wzięła głęboki oddech i jeszcze raz obmacała czoło. Miejsce między oczami.

Zabolało, kiedy nacisnęła.

– Na pewno nie chce pani, żebym wezwał ambulans?

– Na pewno. Przepraszam.

Chłopak dopiero teraz zauważył rozsypane na prawym siedzeniu szczątki wyrobów Laury Secord.

– A niech mnie! – burknął.

– Dobrze się czuję.

Z pewnym wahaniem zatrzasnął drzwi furgonetki.

– Nie wygląda pani dobrze – zauważył.

Kochany dzieciak, ni to chłopak, ni dziewczyna. Nie wie, że ona nigdy nie wygląda dobrze. Opuściła szybę.

– Dziękuję. Naprawdę. I przepraszam.

Ulewny deszcz zaskoczył ich oboje, mimo że nie był nieoczekiwany. Chłopak naciągnął kaptur i pobiegł ku domowi. Mary przekręciła kluczyk w stacyjce, a mruczenie silnika i uległość dźwigni zmiany biegów dodały jej otuchy. Patrzyła przez chwilę na mizernego chłopca, który zdążył przykucnąć na nowo pod osłoną wejściowych drzwi, i pomachała na pożegnanie, życząc mu, aby jego czekanie nie trwało długo i nie okazało się równie daremne, jak jej własne.

Ulicami Leaford nikt nie jeździł. Na drzewach Leaford nie widać było ptaków. Ani ludzi z parasolami na chodnikach miasteczka wokół biblioteki czy centrum handlowego. Wszyscy przeczytali gazetę. Prowadząc w szalejącej burzy samochód, którego wycieraczki miarowo dudniły o szybę, a rozsierzony deszcz siekł ją po głowie, Mary pomyślała, że Goochowi mógł się zdarzyć wypadek. Mógł się poślizgnąć na parkingu Chunga, kiedy szedł po swoje combo numer 5 – minionej nocy też było mokro. Mógł się przewrócić, uderzyć w głowę i stracić pamięć albo rozum. Mary wypatrywała na ulicach swego fantasmagorycznego męża. W dniach, kiedy powinna mieć miesiączkę, wciąż odczuwała fantomowe bóle. Tak jak wcześniej, w ostatniej klasie szkoły średniej, w szczytowym okresie swej życiowej szczupłości, nosiła w sobie fantomową otyłość.

Walczący z grzmotami i błyskawicami ulewny deszcz wpadał do środka przez otwór w dachu, smagając twarz Mary. Naprawa ogrzewania. Dach samochodu. Rocznicowa kolacja. Nowe leki dla matki. Wyjaśnić sprawę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów na koncie. Miejsce pobytu Goocha? Zapomnieć o liście – wyplakać się. Otworzyć się. „Dobrze by ci zrobiło, Mare – doradzał jej Gooch – gdybyś się otworzyła”.

Uświadomiwszy sobie, że poza słodyczami od rana nic prawie nie jadła, a jest już dobrze po południu, wyciągnęła rękę w kierunku czekoladowego pobjowiska. Kiedy jednak podniosła do ust słodki kwadracik, poczuła obezwładniające mdłości i rzuciła go z powrotem na siedzenie.

W banku było cicho i pusto, w głębi sali siedziała tylko jedna, samotna kasjerka, kiedy Mary weszła do środka, otrząsając się na podgumowanej wycieraczce jak zmokły pies. Młoda

kobieta w beżowym kostiumie powitała ją zza biurka lekkim zmarszczeniem brwi.

– Paskudnie, co?

Mary uznała to za komentarz na temat ogólnego stanu rzeczy i skinęła głową. Ale ponieważ była w banku osobą nikomu nieznaną, urzędniczka zmierzyła ją wyczekującym wzrokiem.

– Chciałabym tylko sprawdzić stan mojego konta – odezwała się Mary.

Urzędniczka uśmiechnęła się, wzięła od Mary kartę i wstukała numer do komputera. Uzyskawszy odpowiedź, podała Mary papierowy wydruk, podnosząc nieznacznie brwi. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów więcej, niż mieli. Mary bała się zwrócić uwagę, że to pomyłka, na wypadek gdyby nie było żadnej pomyłki. Jeżeli wpłaty dokonał Gooch, pieniądze musiały pochodzić z podejrzanego źródła i mieć coś wspólnego z jego zniknięciem.

Kiedy dotarła z banku do domu, nie pamiętając, jak tam dojechała, po zaparkowaniu furgonetki ruszyła ciężkim krokiem w stronę frontowych drzwi, rozmyślając o zagadkowych pieniądzach i o tym, że Gooch najwyraźniej postradał rozum i obrabował bank. Albo Greka.

W powietrzu unosił się zapach ostygniętego pieca. Przez rozbite okno wpadało kłujące zimno. Mary przemierzyła mały salonik, w którym Gooch lubił oglądać golfowe rozgrywki i czarno-białe filmy, i znalazła się w korytarzu z widocznymi śladami krwi. Popatrzyła na kuchenny stół, z lękiem, a jednocześnie z nadzieją, że znajdzie na nim list od Goocha.

Przy akompaniamencie lodówki, współbrzmiałym z jej bólem głowy, sięgnęła po aspirynę do wiszącej szafki nad piekarnikiem i wytrząsnęła na rękę najpierw dwie, potem trzy tabletki, zadając sobie ze złością pytanie, po kiego licha oboje z Goochem uparcie przechowują lekarstwa „poza zasięgiem dzieci”, których nie mają i nigdy mieć nie będą. Połknęła tabletki bez popijania, nie chciało jej się wyjmować szklanki i nalewać wody. Zatrzęsła się, zdając sobie sprawę, że przemokła do suchej nitki.

Począpała do telefonu, rozżalona, że mimo sugestii Goocha nie sprawili sobie automatycznej sekretarki, bo przecież ktoś mógł wydzwaniać przez cały dzień, mając ważną wiadomość do przekazania, ale jednocześnie perwersyjną satysfakcję sprawił jej fakt, że w tej chwili telefon bynajmniej się nie urywa. Poczekwała na sygnał, po czym wystukała z kartki numer Goocha. „Mówi Mary Gooch. Jest za dwadzieścia pięć czwarta po południu. Przepraszam za kłopot. Jeszcze raz dzwonię do męża. Proszę łaskawie przekazać Jimmy’emu Goochowi, że jestem teraz w domu. I poprosić, żeby do mnie zadzwonił. Dziękuję. Jeszcze raz przepraszam”.

„Jeżeli uważasz, że nie możesz się bez niego obejść” – powiedział wyimaginowany Orin. Precisnęła się przez zaplamiony krwią korytarz. Popatrzyła tęsknie na rozbabrane łóżko. Odpocząć, pomyślała. Zasnąć. Śnić. Żałując, że tak ostro potraktowała piec, umościła swe ogromne ciało na łóżku i nakryła się po szyję zakrwawioną narzutą.

sen czy jawa?

Dzwonek telefonu wdarł się w niespokojną przestrzeń snu Mary Gooch, ścigając ją, niczym złośliwa osa polatująca nad jałowym widnokretem Leaford. Obudziła się z przerażeniem i w oszołomieniu podniosła słuchawkę. Dzwoniła Joyce z Domu Opieki Św. Jana, by przypomnieć o niezapłaconym rachunku, powiedzieć, że nowe lekarstwa Armii wymagają jej podpisu, a wspólny posiłek przełożono na wtorkowy wieczór. Mary wybąkała uprzejme zapewnienia, odłożyła słuchawkę, a gdy otrząsnęła się ze snu, napadły ją niejasne wspomnienia: Gooch nie wrócił do domu? Sylvie Lafleur nie jest zdradliwą zdzirą? Czy wypadek na parkingu naprawdę się zdarzył? Nadwyżka na koncie? Minione godziny układały się w senną sekwencję, ale w rzeczywistym świecie stawały się tak bulwersujące, jakby były częścią scenariusza filmowego.

Kiedy telefon zadzwonił po raz drugi, postawiła go sobie na brzuchu.

– Tak, Joyce? – rzuciła do słuchawki. Joyce zawsze o czymś zapomniała i dzwoniła drugi raz. – Dobrze, Joyce. Upiekę ciasto na loterię.

Gooch, gdzie jesteś? I skąd wzięło się na koncie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów? Wybrała numer Goocha, którego zdążyła już się nauczyć na pamięć, i poczekała na znajomy głos nieznajomego. Rozmyte niebo wskazywałoby północ, ale na zegarze było dopiero kwadrans po siódmej. Spała tylko parę godzin. „Dzwoni Mary Gooch. Znowu. Przepraszam. Proszę powiedzieć mężowi, że bardzo się niepokoję i bardzo proszę, żeby oddzwonił. Jest teraz piętnaście po siódmej wieczorem”.

Od czasu do czasu, przeglądając ankiety przeprowadzane wśród sławnych osobistości, Mary próbowała podsumować swoje życie, odpowiadając na pytania w rodzaju: „Twój najszcześniejszy moment?” albo „Twoje największe osiągnięcie?”. Na pytanie o „Najczęściej używane wyrażenie” bez wahania odpowiadała: „Przepraszam”. Ze swego obżarstwa tłumaczyła się z godnym pożałowania brakiem rozsądku. „Czego najbardziej żałujesz?” – tego, że nie powiedziała Goochowi o swoim poronieniu w przeddzień ślubu. „Co najbardziej lubisz?” – wiadomo. „Najbardziej ekstrawaganckie upodobanie?” – wiadomo. „Najgorszy nawyk?” – wiadomo. Mary zazdrościła pijakom i karciarzom, którzy swoich ekscesów nie musieli nosić na sobie jak ubrania. „Najatrakcyjniejsza cecha fizyczna?” Musiałaby chyba wybrać oczy. „Największa przygoda?” – żadna przygoda nie przychodziła jej do głowy, ani wielka, ani mała. Pomijała również pytanie o „Twoje największe osiągnięcie”, ponieważ nie określiła jeszcze, co chce w życiu osiągnąć. I wzdrygała się na myśl o tym, jak Gooch odpowiedziałby na te same pytania, gdyby potrafił się zdobyć na uczciwość.

Wzdłuż kanału zakrwawionego korytarza płynął kuszący śpiew lodówki, więc Mary, odpowiadając wzorem nieopatrznych żeglarzy na syreni śpiew, zsunęła stopy z łóżka i zamachnąwszy się nimi, opuściła z łomotem nogi na podłogę. Lodówka zaśpiewała głośniejsz, biorąc górne C, lecz Mary nie była w stanie skłonić pozostałej części ładunku do pójścia w ślady oczekujących nóg. Dała więc spokój, a jej świszczący oddech zagłuszył dochodzące z kuchni wołanie. Zadzwonił telefon, a ona podniosła słuchawkę i powiedziała:

– Tak, Joyce? – Cisza. Czyjś oddech. – Gooch, to ty? – wyrwało jej się. Czula jego ucho po drugiej stronie, ciężar jego smutku, głębię jego miłości. Przez głowę przebiegały jej tysiące rzeczy, które chciała mu powiedzieć, ale ani jednej nie potrafiła przenieść z mózgu do ust. Wreszcie wybąkała: – Wróć, Gooch, proszę cię! Cokolwiek się stało, wszystko sobie wyjaśnimy.

Chwila ciszy, czyjś płytki oddech, potem znajomy, podstępny kobiecy głos:

– Mary? – To Wendy. Dzwoni z restauracji nad jeziorem. – Mary?

Teraz Mary długo nie odpowiadała. Odchrząknęła.

– Nic z tego, Wendy, musimy odwołać. Nie możemy dzisiaj przyjechać.

– Jak to, nie możecie przyjechać? – powtórzyła Wendy. – Przecież to wasza rocznica. Jesteśmy tutaj dla was. Co się dzieje z Goochem? Pokłóciliście się? Czy to coś poważnego? Uważam, że macie wobec nas...

Wendy miała jeszcze wiele do powiedzenia, nadal nie przestawała mówić, ale Mary odłożyła słuchawkę. Wyobraziła ich sobie, jak siedzą w sześcioro wokół stolika, który zarezerwowała wiele miesięcy temu, skąd rozpościerał się widok na wielkie, wzburzone jezioro. Domyślała się, że po skwitowaniu wiadomości paroma „No nie!” i „A niech to diabli!” oraz kilkoma ostrzejszymi uwagami, zdecydują się zostać w restauracji i zjeść kolację bez nich. Wendy będzie się sycić nieszczęściem Goocha i użalać do znudzenia, ile to czasu straciła na przygotowanie swojego albumu. Pete będzie się zastanawiał, dlaczego Gooch o niczym mu nie powiedział, tylko raz zapytał od niechcenia: „Czy jesteś szczęśliwy?”, na co jego kumpel odparł: „Naćpałeś się, czy co?”. Przy deserze Kim zacznie rzucać wściekłe spojrzenia na François, który ma dziedziczną skłonność do oglądania się za obcymi kobietami. Nikt nie będzie się dziwił rozpadowi związku Jimmy’ego i Mary Gooch. Prędzej czy później musiało do tego dojść.

Mary patrzyła na telefon, zastanawiając się, czy zawiadomić policję. Ale co miałyby im powiedzieć? Że dwadzieścia pięć tysięcy dolarów pojawiło się na koncie, nie wiadomo skąd, a mąż nie wrócił do domu? Był to nazbyt obciążający scenariusz. Odwołując się do swej sporadycznej wiary, zaapelowała do Boga o cud, który wszystko rozwiąże. „Spraw, żeby Gooch wrócił!” – błagała.

Zadzwoił telefon. Modlitwa została wysłuchana. Mary zabiło serce. Zaraz potem usłyszała w słuchawce baryton Greka, więc zebrała siły w oczekiwaniu wiadomości. Jednakże Grek nie miał żadnej wiadomości i był, na równi z Mary, coraz bardziej zaniepokojony i zdezorientowany. Odpowiadając na jego pytania, które brzmiały jak przesłuchanie, Mary miała wrażenie, że ją obwinia. Kiedy Grek zapytał, czy sprawdziła konto w banku, powiedziała, że nie, zdając sobie sprawę, jakiego piwa sama sobie nawarzyła.

Wstała i otworzyła wnękę na ubrania. Niczego nie brakowało. Skromna garderoba Goocha ze sklepu dla wysokich mężczyzn w Windsor wisiała po jednej stronie, a skotłowana masa jej własnych ponadwymiarowych ubraniowych katastrof – po drugiej. Mary wprawdzie jeszcze nigdy nie poszukiwała dowodów małżeńskiej zdrady, ale przeczytała wystarczającą ilość poradników i obejrzała dosyć telewizyjnych programów dla kobiet, aby wiedzieć, za czym się rozglądać. Ślady szminki na kołnierzach. Nie. Zapach perfum? Nie czuła żadnego zapachu. Zabłąkane blond włosy. Nie. Sięgnęła w kąć garderoby za zimowymi paltami, gdzie trzymali pudła z pocztówkami, zdjęciami i kasetami wideo, ale i tam było wszystko na swoim miejscu. Zamknęła garderobę i rozglądając się po pokoju, wypatrzyła na toalecie pudło po butach z napisem „Inf. biznes”. Pudło było otwarte, z odrzuconą pokrywą, a w środku piętrzyły się pomięte karteluszki. Popatrzyła na masę rachunków za benzynę i obiady, za które Grek zwracał Goochowi pieniądze.

Znalazła rachunek z adresem restauracji w Toronto i zwróciła uwagę na datę oraz godzinę – w minionym miesiącu, wczesnym popołudniem. Właściciel karty, James Gooch, zjadł na lunch w knajpie przy Queen Street *zup. dn. i kurcz. z gr. z dod.* i wypił dwa piwa. Mary nie wiedziała, że Gooch jeździł ostatnio do Toronto.

Mignęło jej w przelocie własne odbicie w lustrze i przypomniała sobie nieskończone ilości oglądanych w telewizji programów o policyjnych śledztwach, zbieraniu dowodów, budzącym dreszczyk wymierzaniu sprawiedliwości. Rozsiadłszy się na łóżku, zabrała się do systematycznego przeglądania papierów. Nic niepokojącego. Żadnych rachunków ani kwitów

z moteli, sklepów z biżuterią albo damską bielizną. Najbardziej zbulwersowały Mary rachunki za benzynę. Nie miała dotąd pojęcia, ile kosztuje napełnienie baku ciężarówki. Nic dziwnego, że planecie grozi zagłada! Znalazła pokwitowanie ze stacji naprawy samochodów w Leamington – Gooch wspominał o kłopotach z ciężarówką dostawczą. Zdziwiła ją niezrealizowana recepta od doktora Ruttle’a na tabletki nasenne, bo Gooch spał zawsze jak niemowlę. Reszta to były rachunki z restauracji, potwierdzające przywiązanie Goocha do zdrowego jedzenia oraz jego upodobanie do zimnego piwa przy południowym posiłku.

Pod koniec swoich poszukiwań znalazła drugi rachunek z restauracji w Toronto. Z tej samej restauracji, o tydzień wcześniejszy – za omlet z białek i piwo. I jeszcze jeden, z poprzedniego tygodnia – ryba szefa kuchni z sałata i piwo. Jeszcze jeden i jeszcze jeden – dwa rachunki z tego samego tygodnia. I jeszcze jeden. Gooch ani razu nie wspominał, że w ciągu ostatnich paru miesięcy sześciokrotnie jeździł do Toronto. W minionych latach Gooch jeździł nieraz do tamtejszych wytwórni, skąd Grek zamawiał luksusowe artykuły dla swego sklepu. Nie znalazła najmniejszego dowodu, który mogłaby rzucić Goochowi w twarz, kiedy wreszcie wróci do domu. No dobrze, lubił jadać w knajpie pod nazwą Bistro 55, i co z tego?

Lodówka zamruczała, ale jej głos zagłuszyło tykanie zegara. Proszę. Zadzwoń. Proszę. Zadzwoń. Wpatrzyła się w sufit, jak to robiła tysiące razy, i spostrzegła głębokie pęknięcie nad samym łóżkiem. Rysa musiała powstać dawno temu, zmieniając się z biegiem czasu z cienkiej w grubą, z krótkiej w długą, a ona jej dotąd nie zauważyła. Czyżby rysa pojawiła się w tajemniczy sposób minionej nocy, wraz ze zniknięciem Goocha?

Kolejny raz podniosła słuchawkę i wybrała numer Goocha. Po sygnale powiedziała: „Tu znowu żona Jimmy’ego. – Po sekundzie dodała: – Proszę mu przekazać... Najlepsze życzenia z okazji rocznicy ślubu”.

Wpatrując się w rysę na suficie, przypomniła sobie moment, kiedy porzuciła swoje ciało wśród mokrych liści. Jednakże we wspomnieniu dusza Mary unosiła się nie nad jej własnym ciałem, lecz nad ciałem Goocha. Mając ten obraz przed oczami, Mary porzuciła chaos świadomości, przenosząc się w klarowny świat snu.

nic zdrożnego

Wyprawy do toalety i żeby napić się wody z kranu. Aspiryna na ból między oczami. Doświadczenia senne. Przebłycki światła. Ciężar ciemności. Woda z kranu. Mocz. Szum wody w klozecie. Twarz Goocha. Światło. Ciemność. Woda. Sikanie. Szum wody. Gooch. Mary. Nocny zegar. Krzyk do Wendy, żeby – na litość boską – zostawiła ją w spokoju. Nieustające tykanie, potem żadnego tykania, wyjęte baterie rzucone na podłogę. Gorąco – piec jednak nie przestał działać.

Automatycznie włączające się światło bursztynowej lampy zakradło się z korytarza do sypialni jak tajemny kochanek. Czując, jak światło adoruje jej wzgórza, jak oblizuje lukrecjowe brodawki jej piersi i całuje oszronione stopy, Mary swobodnie wyciągnęła nogi. Rozwarłszy powieki, rozejrzała się po pokoju. Zaciągnięte zasłony nie pozwalały odróżnić dnia od nocy.

Usiłując pojąć ostatnie wydarzenia oraz ich związek z jej snami, wstała z łóżka i poczuła ból skaleczonej stopy. Mrugająca tarcza zegara, który stał po drugiej stronie łóżka, zwyczajowej stronie Goocha, wskazywała, że w nocy nastąpiło wyłączenie i ponowne włączenie prądu. Jej własny, hałaśliwy budzik milczał. Czyli to nie był sen: o drugiej – nie była pewna czy o drugiej w nocy, czy w dzień – wyjęła z niego baterie. Przejierające przez szparę w zasłonach gęste, szare chmury nie pozwalały ustalić położenia słońca. Mary ogarnęło paniczne uczucie, że jest spóźniona. Bardzo spóźniona. Z jakiegoś powodu.

Kiedy odsunęła zasłony, poraziła ją ostra biel śniegu, który pokrył wszystko dokoła, tak że nie mogła dostrzec granic podwórza ani grobu Pana Barkleya. Wierzba uginająca się pod ciężarem grubej warstwy śniegu, biały puch na zamrożonych ręcznikach w szoferce furgonetki. W październiku tyle śniegu? To jakiś cud.

Zerknąwszy odruchowo na telefon na nocnym stoliku, zauważyła, że słuchawka spadła z aparatu. Odłożyła ją na miejsce, podniosła, poczekała na sygnał i wybrała numer Goocha. Tym razem głos zakomunikował: „Przepraszamy. Numer został odłączony”.

Mary odsunęła aparat, wzięła kilka głębokich oddechów i dopiero potem zadzwoniła do Greka, którego numer znajdował się również na liście najniezbędniejszych telefonów. Kiedy się okazało, że na tej linii Fotopolis nie odbiera, zadzwoniła do jego sklepu i zdziwiła się, słysząc, że Grek również wyjechał – poleciał tydzień temu do Aten, aby być przy swojej umierającej matce. Musiała odchrząknąć, zanim spytała:

– Czy przed swoim wyjazdem pan Fotopolis porozumiał się z moim mężem?

Odpowiedź sekretarki była profesjonalnie uprzejma, jakby została poinstruowana, jak odpowiadać na pytania dotyczące zniknięcia Goocha.

– Niestety, nie wiem nic na ten temat – powiedziała przeproszającym tonem, po czym zadała kłam swej dyskrecji, dodając: – Mam w biurze jego komórkę. Pan Fotopolis znalazł ją w ciężarówce. Czy zechce ją pani odebrać? Halo? Słyszysz mnie pani?

Dopinając po drodze poplamiony krwią szlafrok, Mary wyszła frontowymi drzwiami na dwór. Kuśtykała w obszernych zimowych butach przez śnieg opadającym, długim podjazdem, starając się nie następować na opuchniętą piętę. Na drodze widniał pojedynczy, świeży ślad ciężarówki, a na ziemi leżała przysypana śniegiem gazeta. Schyliła się po nią, ale mimo wysiłku nie zdołała jej podnieść. Kiedy zaczęła czubkiem buta usuwać z niej śnieg, wyłoniła się leżąca pod nią kolejna gazeta, a pod nią jeszcze jedna, i następne. Obchodząc w kółko opakowane w cienką, przezroczystą folię gazety i odczytując ich daty, nie wierzyła własnym oczom. Pomijając owe półsenne wyprawy na siusiu albo żeby napić się wody, zapadła w tygodniowy sen; niby kochankowie, którzy po gorącej kłótni muszą się na pewien czas rozstać, zostawiła

swoje ciało własnemu losowi i przespała cały tydzień.

Widząc, że skrzynka jest zapchana pocztą, wygarnęła naręcze najprzeróżniejszych przesyłek reklamowych i listów i poczłapała z nimi do domu. Weszła od frontu i zmierzając do kuchni, poczuła, jak przez rozbitą szybę w tylnych drzwiach płynie zimno. Wzięła stojącą obok kubła na śmiecie szczotkę, po czym zamiotła odłamki szkła do kąta na schludną kupkę. Potem za pomocą „zwariowanej taśmy”, jak nazywał ją Gooch, oraz kawałka tektury, który pozostał po próbach sortowania odpadów, załatwiła sprawę zimnego przeciągu.

Ożywiona tym wysiłkiem, dzierżąc w ręce szczotkę jak szykujący się do skoku tyczkarz, zabrała resztę taśmy i kartonu oraz kilka zielonych worków na śmiecie i ponownie pokuśtykała na podwórze, aby zatkać dziurę w dachu furgonetki. Wymiotła z szoferki zalegający na siedzeniach i podłodze śnieg, a zgarniając do worka resztki czekoladek, wzdrygnęła się na wspomnienie przygody z wroną.

Przy wymiataniu śmieci spod przedniego siedzenia, sfrunęło na ziemię kilka małych, połyskujących kart. A kiedy – dygocząc na całym ciele – sięgnęła szczotką jeszcze głębiej, spod siedzenia wyłoniło się o wiele więcej podobnych kart – złotych i srebrnych plastikowych kartoników. Przegranych kuponów „szybkiej” loterii. Całe dziesiątki kuponów. Pomieszanych z setką zmiętych opakowań po czekoladowych batonikach. Sekrety męża i żony – jakże żałośnie skrywane. Wdrapała się do szoferki i zabrała do naprawiania dziury w dachu.

Brodząc w mokrym śniegu, wróciła do domu, podeszła do zlewu, odkręciła kran i wypila kilka wysokich szklanek wody, po czym zbliżyła się do stołu i opadła na czerwone winylowe krzesło. Jej wzrok prześlizgnął się po zimnych kafłach podłogi ku lodówce. Od tygodnia nic nie jadła, a jednak głos lodówki – z czego nie bez satysfakcji, ale i z pewnym niepokojem zdała sobie sprawę – dochodził jakby z daleka.

Zabrała się do przeglądania leżącej na stole poczty. Nie była do tego przyzwyczajona, ponieważ według niepisanej umowy to do Goocha należało zajmowanie się pocztą, a faktycznie rachunkami, albo może on sam zdecydował, że jest za nie odpowiedzialny, nie mogła sobie przypomnieć, jak do tego doszło. Oddzieliła druki reklamowe i kupony, a rachunki odłożyła na osobną kupkę – Gooch zajmie się nimi później. Otworzyła spóźniony list z kondolencjami od dalekiego krewnego i dwukrotnie przeczytała miłe słowa na temat Orina, ignorując przez cały czas niewielką kwadratową kopertę, zaadresowaną niedbałym pismem Goocha do „Pani Mary Gooch”, choć od pierwszej chwili rzuciła się jej w oczy. Przerwała na moment, by spojrzeć na lodówkę, lecz ta umknęła wzrokiem, jak wzgardzony kochanek.

Na koniec wzięła do rąk kwadratową kopertę. Po otwarciu znalazła w niej oczekiwany liścik, którego przestała już oczekiwać, nieoczekiwanie dostarczony za pośrednictwem miejscowej poczty. Powstrzymując się od stereotypowego drżenia rąk, przeczytała skreśloną na srebrzystym papierowym kwadraciku wiadomość od Goocha:

Droga Mary,

przepraszam Cię. Nic więcej nie potrafię powiedzieć. Na koncie w banku są pieniądze. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Wygrałem je w „zdrapkowej” loterii. Nie zrobiłem niczego drożnego. Zaufaj mi, Mary, możesz z nich spokojnie korzystać. Nie planowałem tego. Potrzebuję czasu do namysłu. Nienawidzę się za to, że jestem takim tchórzem, ale to dla Ciebie niewielka pociecha. Będę z Tobą w kontakcie, obiecuję.

W podpisie użył zwrotu Twój, którego normalnie nigdy nie używał i po którego przeczytaniu Mary miała wrażenie, że pomyłono ją z jakąś inną osobą. Złożyła karteluszek i wsunęła z powrotem do koperty. „Niczego drożnego”. Komu przyszłoby do głowy użyć takiego słowa? I do tego „Twój”! Po co pisze „Twój”, kiedy z samego faktu napisania tego listu jasno wynika, że jest zdecydowanie nie jej?

Nie było nic, absolutnie nic, w co Mary mogłaby bez zastrzeżeń uwierzyć. Wydawało jej się absolutnie niemożliwe, a przynajmniej mało prawdopodobne, żeby jej mąż wygrał tak ogromną sumę pieniędzy w grze w zdraпки i podarował jej wygraną na dwudziestą piątą rocznicę ślubu, i jeszcze, że będzie „w kontakcie”, niemniej jednak tak właśnie napisał tanim długopisem na papeterii, pewnie specjalnie w tym celu kupionej w pierwszym lepszym sklepiku. Mary podniosła się z krzesła, nadepnęła pedał kubła i wyrzuciła list do śmieci.

Ruszyła do łazienki, słysząc w tle głos Goocha, podobny do głosu filmowego narratora, który mówił: „Nie planowałem tego. Potrzebuję czasu do namysłu”. Szum prysznica zagłuszył jego słowa, Mary zdjęła szlafrok i zsunęła z nóg zimowe buty. Pozbywszy się ubrania, przytrzymując się uchwyty, który Gooch specjalnie dla niej zainstalował wiele lat temu, weszła do wanny, utrzymując równowagę dzięki gumowej macie, na którą spływała strużka krwi ze skaleczonej pięty.

Jej spojrzenie padło na kosztowny płyn do kąpieli, który dostała od Goocha na ostatnią Gwiazdkę, i wylała na siebie całą butelkę. Z zaróżowionymi od szorowania policzkami sięgnęła po ręcznik, a w trakcie wycierania się zauważyła, że jest jej jakby mniej niż parę dni temu. Nie chcąc wkładać na siebie zaplamionego krwią szlafroka, stanęła nago przed lustrem, grzebiąc w szufladzie z przyborami do włosów, dopóki nie znalazła dużego grzebienia. Wsunęła go we włosy i zaczesywała je do tyłu tak długo, że na koniec widać było tylko siwe odrosty i po raz pierwszy w życiu przeraziła się swego podobieństwa do matki. Nie było to podobieństwo rysów, kształtu nosa ani oznak starzenia się. Dostrzegła je w wyrazie oczu, wyrazie zastygłego zagubienia, który wyczerał z oczu Irmy, odkąd straciła zdolność rozumienia własnej egzystencji.

Gooch zniknął tydzień temu. W liście napisał, że potrzebuje czasu do namysłu. Ale dokąd się udał? Ile czasu będzie potrzebował? A jeśli w ogóle nie wróci? Czy naprawdę wygrał te pieniądze na loterii? Zastygłe zagubienie. Mimo dostrzeżonego podobieństwa Mary nie obawiała się, że dosięgła ją ta sama co matkę choroba. Czeką ją bardziej poetyczny kres, była o tym przekonana. Przewidywała rozległy zawał, a ten najwidoczniej czyhał na nią pod nieobecność Goocha. Sięgając po suszarkę, zauważyła pudełko czerwonej farby do włosów, które leżało w łazience od czasu pogrzebu Orina.

Zegar nie tykał, ale czas płynął. Mary stanęła w łazience przed lustrem i zdjęła ręcznik, którym wcześniej owinęła głowę. Potrząsnąwszy grzywą czerwono-kasztanowych włosów, pomyślała, że jej matka odradzałaby farbowanie włosów na tak wyzywający kolor, uznała jednak, że w sumie wygląda odrobinę lepiej niż z tymi okropnymi siwymi odrostami.

Po powrocie do sypialni wydobyła z jednej z szuflad komody świeży uniform, znacznie teraz luźniejszy w pasie niż tydzień temu, tak że musiała ciasniej związać podtrzymujący go pasek. Otworzyła garderobę i po dłuższych poszukiwaniach znalazła jeszcze jeden czysty uniform, który zapakowała do wielkiej brązowej winylowej torby razem z nigdy dotąd nieużywaną podrózną kosmetyczką, zawierającą przybory do mycia zębów i pielęgnacji włosów. Do kosmetyczki dołożyła telefon komórkowy oraz zasilacz.

Z kuchennej szuflady na różne różności wyjęła długopis i kartkę papieru, po czym usiadła na jednym z winylowych krzesel. „Gooch, wyjeżdżam, żeby...” – napisała, ale zdania nie dokończyła. Żeby co? W tej chwili sama nie bardzo wiedziała po co.

jedni wyjeżdżają, inni zostają

Nie będzie fioletowych bzów, jest październik i krzewy przy ścieżce przed przybytkiem św. Jana stoją nagie, niemniej Mary chciała koniecznie przynieść Irmie kwiaty. Kwiaty wiążą się z rytuałem, a ten miał szczególne znaczenie. Wjechała na pokryty śniegiem parking sklepu ogólnospożywczego, stwierdzając z zadowoleniem, że prowizoryczny dach spełnia swoje zadanie. Stojące wysoko słońce wychynęło na moment zza szarych chmur i ogrzało twarz kuśtykającej przez parking Mary, zdziwionej tym, że ledwo wyczuwa dolatujący z sąsiedniego lokalu zapach piekących się na grillu burgerów. Weszła do sklepu, ale wózka nie wzięła.

Ładna kasjerka, z wypisanym na identyfikatorze imieniem sharla, ledwo rzuciła okiem na podaną jej przez Mary kartę klienta i nie podnosząc oczu, powiedziała:

– Dzień dobry, pani Gooch.

Mary irytował panujący w detalicznych sklepach zwyczaj zwracania się do klientów po nazwisku. Może była przewrażliwiona, ale w trakcie zakupów wolałaby zachować anonimowość. Na nic się jednak nie zda udawanie, że nie rozumie. Kasjerka widywała ją codziennie.

– Cześć, Sharla. – Położyła na taśmie wiązkę słoneczników.

– To wszystko, pani Gooch? Żadnych artykułów spożywczych?

– Przykro mi.

Sharla podniosła wzrok i wyrwało jej się:

– O rany, pani jest ruda!

– Ano – mruknęła Mary, czerwieniąc się pod kolor.

– Ładnie. – Sharla pomachała szafranowymi kwiatami nad skanerem. Zniecierpliwiona, nacisnęła guzik stojącego przy kasie urządzenia. – Skaner nie odczytuje ceny. Muszę poczekać na kierownika.

Mary zrobiło się gorąco ze wstydu: „Gdybyś nie była taka gruba, skaner odczytałby cenę”.

– Właściwie to chciałam wziąć coś mniejszego – powiedziała.

Kasjerka postukała w mikrofon:

– Dick, jesteś mi potrzebny przy kasie. Czekam na ciebie, Dick. – Zerknęła na Mary i konfidencjonalnym tonem szepnęła: – Naprawdę ma tak na imię.

– Przepraszam.

– To nie pani wina. – Sharla nacisnęła guzik, wspięła się na palce i napinając swoje rzeźbione łydki, rozejrzała się po sklepie. Nagle rozdzwoniły się basowe nuty „Dumnej Mary”. Okrzyk Mary przestraszył Sharlę, ale w następnej chwili młoda kasjerka pomogła klientce wydobyć telefon komórkowy z dna wielkiej brązowej torby. A ponieważ Mary najwyraźniej nie miała pojęcia, jak się go używa, sama otworzyła telefon i przyłożyła go Mary do ucha.

– Halo – powiedziała zdyszana Mary. Była to tylko informacja sieciowego nadawcy, lecz ona dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, że słucha nagrania.

– A teraz wystarczy go zamknąć – z uśmiechem pouczyła ją Sharla. – Zamknąć. Po prostu... zamknąć.

Mary złożyła telefon.

– Może pani zmienić melodię na inną – rzekła Sharla, i znowu nacisnęła guzik. – Boże, jak ja nienawidzę swojego szefa!

Mary skinęła głową.

– Ja też.

– Też fiut?

– Uhm. Chociaż na imię ma Ray.

Sharla wcisnęła Mary kwiaty do ręki i wskazała głową wyjście.

– Zapiszę je na własny rachunek, z rabatem dla pracowników, a pani zwróci mi pieniądze przy okazji.

– Ale ja mam pieniądze.

– Proszę je zabrać, pani Gooch – nie ustępowała Sharla, odganiając Mary od kasy. –

Przecież przychodzi pani do nas codziennie.

– Przepraszam.

– Wystarczy podziękować.

– Dziękuję – powiedziała Mary, przyciskając wielki bukiet do piersi. Wychodząc ze sklepu, zadała sobie pytanie, czy ktoś z mieszkańców Leaford już wie, że Gooch zniknął z miasta, zostawiając ciężarówkę pod restauracją Chunga. Może Sharla też już wie i jej gest był gestem współczucia. Albo solidarności.

Weszła frontowymi drzwiami do Domu Opieki Św. Jana i wytarła buty o leżący na dywanie kawał mokrej tektury, o co apelowało ręcznie napisane ogłoszenie. Zatrudniony niedawno młody recepcjonista wydawał się niezadowolony z wielkości bukietu, który trzymała w ramionach. Podała mu kwiaty, nie przepraszając za ich rozmiary, tym bardziej że miała ze sobą wypisane czeki na pokrycie kosztów pobytu matki przez następne pół roku. Poprosiła młodego człowieka, żeby był łaskaw zapisać jej nowy numer telefonu, pod którym w nagłym wypadku można się z nią skontaktować.

– To moja komórka – powiedziała od niechcienia, odczytując z karty numer telefonu.

Dumna z tego, że w sklepie Raymonda Russella znana jest ze swej umiejętności „dogadywania się ze staruchami”, przystanęła przed wejściem do świetlicy, aby się przywitać z trzema starszymi kobietami. Nieco dalej dwóch wysuszonych Williamów grało z dziobatym Paulem w pokera o kubek groszaków. Mary nie pamiętała już o swoich płomiennych włosach, przypomniała sobie dopiero, kiedy najstarszy William gwizdnął przeciągle.

– No, no, Ann-Margaret, witamy! – zawołał wesoło.

Stary Joe DaSilva, niegdyś ulubiony klient drogerii, powiedział:

– Cześć, Ruda. Jak ci się podoba mój nowy szlafrok?

– Cześć, Joe, wyglądasz jak Hugh Hefner – odparła, muskając palcami jedwabisty materiał na jego ramionach i doprowadzając staruszkę do śmiechu.

Zaczerwieniła się, kiedy drugi William poklepał ją po białym biuście zamiast, jak zamierzał, po ręce, i poprosił:

– Zostań na to rozdanie. Przyniesiesz mi szczęście.

– Lepiej wyglądasz – zauważyła.

– Przepisali mi nowe lekarstwa.

– To wiele wyjaśnia. Ale trzymaj się z daleka od mojej matki – zażartowała, zostawiając staruszków przy kartach.

Mary odnalazła matkę w świetlicy, usadowioną obok nowej pensjonariuszki, równie jak ona kruchej, białej kobiety, Roberty, której nikt nie znał, bo pochodziła z Kitchener, i której nikt nie odwiedzał. Pochrapujące jedna obok drugiej, w swoich inwalidzkich wózkach, opatulone naciągniętymi pod szyję kocami, przypominały widywane w parku niemowlęta w wózkach. Patrząc na nie, Mary zrozumiała, dlaczego matki mówią o swoich dzieciach, że kiedy śpią, wyglądają jak aniołki. Usiadła na krześle między matką a Robertą, kładąc rękę na śmiertelnie kościstym ramieniu Army.

– Mamo?

Tą jednak, która otworzyła oczy, była dotknięta jakąś tajemną starczą chorobą Roberta.

– Tak? – zapytała, Mary zaś była zbyt zaskoczona, by odpowiedzieć. – Tak? – powtórzyła Roberta, podchwytyjąc spojrzenie Mary i nie pozwalając jej odwrócić oczu. – Co się stało?

Mary zawahała się.

– Przyszłam się pożegnać. – Staruszka wzruszyła ramionami. Mary uściśnęła zimne palce Irmy i ścisząc głos, żeby Roberta nie mogła jej usłyszeć, szepnęła: – Przyszłam się pożegnać.

– Chcesz, żebym ci wybaczyła? Teraz, kiedy umieram? Po to przyszłaś? – zapytała Roberta.

Mary znowu się zawahała, ale widząc tęskne spojrzenie staruszki, odparła:

– Tak.

Roberta wolno skinęła głową.

– Długo kazałaś na siebie czekać.

– Wiem.

– Tyle czasu na marne.

– Tak – zgodziła się Mary.

– Na marne.

– Na marne.

– Jak będziesz mnie wspominała? – spytała stara kobieta, szukając oczu Mary. – O czym będziesz myślała?

– Będę wspominała, jak szciotkowałam mi włosy – odparła Mary, nie puszczając ręki Irmy. – Będę myślała o tym, jak szciotkowałam mi włosy.

– I co jeszcze?

Mary przez chwilę milczała.

– I to... jak bardzo podziwiałam twoją odwagę.

– Zawsze mówiłam to, co myślałam, i myślałam to, co mówiłam.

– Wiem, że mnie kochałaś. – Mary ucałowała matkę w pergaminową skroń i razem z dwiema kobietami zapatrzyła się w przestrzeń.

Nie wiedząc, jak długo tak siedziała – od śmierci zegara czas stracił kierunek i było zarazem teraz, wtedy i przedtem – Mary uściśnęła kościste palce Irmy gestem pożegnania, które okazało się smutniejsze, choć bardziej naturalne, niż to sobie wyobrażała.

Kiedy wychodziła z przytułku, przystanąła przy stoliku grających w karty mężczyzn, żeby się z nimi pożegnać, a potem przypomniała młodemu recepcjonście, że jeżeli będą potrzebowali się z nią porozumieć, będzie osiągalna pod numerem telefonu komórkowego.

Alejka zakołysała się pod jej stopami. Ozwało się dalekie wołanie o posiłek – nie bolesne ściskanie w trzewiach, lecz mózgowie przypomnienie o jedzeniu. Piekarnia Oakwood znajdowała się w odległości dwóch przecznic od przytułku.

Odkąd wiele lat temu sieć kawiarni firmy Tim Hortons wyrugowała z rynku niemal wszystkie konkurencyjne lokale, Oakwood było w hrabstwie Baldoon jedyną niezależną piekarnią, a Mary pozostała jej lojalną klientką, zwłaszcza odkąd otworzyli okienko dla kierowców, dzięki czemu nie musiała tracić energii na odstawianie samochodu ani znosić potępiających spojrzeń pozostałych klientów, mimo że myślała w zasadzie to samo co oni: „Po co takiej grubej babie pudełko racuchów z miodem?”.

Otwierając drzwi piekarni, miała w pamięci częste wizyty w Oakwood w czasach swego dzieciństwa. Przed piątkowymi zakupami, ponieważ Irma nigdy nie kupowała jedzenia na pusty żołądek, miały zwyczaj zaglądać do piekarni, gdzie zasiadały na stołkach przy kontuarze w kształcie litery „U”, a matka sto razy upominała Mary: „Nie machaj nogami”, zanim wymierzyła jej klapsa w kolano. Irma zamawiała dla siebie babeczkę z otrąb z rodzynkami i mocną czarną kawę, podawaną, zawsze na spodku, w białych, przysadzistych filiżankach.

„Podoba mi się światło, jakie tu panuje o tej porze dnia” – mawiała Irma. Albo: „Uwielbiam ten lokal, bo nic się w nim nie zmienia”.

Mary musiała wybierać między oszałamiającą ilością różnego rodzaju ciastek, przy czym ostateczna decyzja przysparzała jej więcej udręki niż rozkoszy, bo i tak nie mogła potem odżałować, dlaczego wzięła pączek z kremem zamiast pączka nadziewanego marmoladą, albo naleśnik na słodko zamiast słodkiej fantazji. Irma odłamywała i wrzucała sobie do ust małe kawałki babeczki, które żuła z namysłem, i chociaż prawie się do siebie nie odzywały, Mary miała poczucie łączącej ją z matką więzi zmysłowej przyjemności.

Rankiem w dniu pogrzebu Christophera Klika rodzina Brodych wstąpiła do Oakwood na śniadanie. Czarna odświętna spódniczka i ciasna biała bluzka nie nastrajały do machania nogami, toteż Mary siedziała spokojnie między rodzicami na stołku przy kontuarze niedaleko wejściowych drzwi. Kelnerka czekała z zastygłym na twarzy uśmiechem na wahającą się między tęczowym rajem a cytrynowym ptysiem Mary, która zdecydowała się ostatecznie na pączka w czekoladowej polewie. Przed spałaszowaniem niewiarygodnie małego czekoladowego ciastka, które nie mogło w żaden sposób zadowolić tłustonia, poprosiła matkę, by dała jej spróbować swojej babeczki, a ojca o kawałeczek jego drożdżówki. Spróbowała, naśladując matkę, podzielić pączka na małe kawałeczki, ale tylko pobrudziła sobie palce czekoladą. „Jedz porządnie!” – upomniwała ją Irma.

Patrząc na jedzących bez apetytu rodziców, pomyślała z radością, że zaabsorbowani codzienną walką o przetrwanie, pewnie nie zauważą, kiedy ona pożywi się także ich śniadaniem. Wepchnąwszy do ust ostatni kawałek pączka, odwróciła głowę ku drzwiom, w których ukazała się oszałamiająco atrakcyjna Karen Klik, ubrana na pogrzeb młodszego brata w wąską czarną sukienkę, z wyprostowanymi suszarką długimi blond włosami i uczernionymi wodoodpornym tuszem rzęsami, obracająca w smukłych palcach kluczyki do samochodu. Jej pojawienie musiało mieć związek z przygotowaniami do stypy. Ich oczy spotkały się.

– Pobrudziłaś sobie bluzkę czekoladą – powiedziała Karen.

Mary panicznym ruchem dotknęła swej wykrochmalonej bluzki, zostawiając na ramieniu kolejną plamę.

– Och, Mary! – wykrzyknęła Irma, po czym rzuciła się na ratunek, zanurzając serwetkę w szklance z wodą i pocierając nią materiał bluzki. – Och, Mary!

Kiedy Mary odważyła się wreszcie podnieść wzrok, Karen Klik nadal jej się przypatrywała. Mary nie znalazła słów na określenie tego, co zobaczyła w oczach siostry zmarłego. Później zaś, co jeszcze pogłębiło jej poczucie upokorzenia, wśród obecnych na stypie pań rozgorzała dyskusja na temat najlepszych sposobów usuwania plam z czekolady, zakończona oświadczeniem szwagierki pani Klik: „Mary i tak ledwo się mieści w tej bluzce. Najlepiej ją wyrzucić”.

Odsunąwszy od siebie zawstydzające wspomnienia tamtego dnia, Mary otworzyła drzwi piekarni i weszła do środka. Sprzedawczyni rzuciła jej zza kontuaru zdziwione spojrzenie.

– Witamy, pani Gooch! – powiedziała, rozpoznając klientkę samochodowego okienka.

Gwar rozmów przy kontuarze raptownie ucichł i wszystkie oczy skierowały się na Mary. Jaka ja byłam głupia, zastanawiając się, czy ktoś wie, pomyślała. Wszyscy już wiedzą, że Jimmy Gooch wygrał na loterii pieniądze i porzuciwszy swą grubą żonę, wybrał się na poszukiwanie spóźnionego objawienia.

Mary spuściła oczy na chromowaną ladę, a ujrawszy w niej swoje odbicie, pomyślała, że ciemnorude włosy nieźle pasują do jej cery.

Ostatni raz, kiedy siedziała przy kontuarze w kształcie litery „u”, była małą dziewczynką, a przy nowym, o takim samym kształcie, w ogóle nigdy, ponieważ niedługo po pogrzebie jej

szkolnego kolegi wewnątrz lokalu zostało poważnie uszkodzone wskutek drugiego w jego historii pożaru i Irma przestała do niego przyjeżdżać w piątki przed zakupami. Pewnie dlatego, jak domyślała się Mary, że nie mogła już mówić: „Lubię to miejsce, bo nic się w nim nie zmienia”.

– Pomyślałam, że napiję się kawy – powiedziała, żeby przerwać milczenie, ruszając w kierunku kontuaru. Pozostali goście piekarni zbili się z powrotem w osobne grupy: czterech farmerów, matka z dziećmi, trzy emerytowane nauczycielki, które Mary pamiętała ze Zbiorczego Gimnazjum w Leaford, ale które zdawały się jej nie poznawać. Kasjerka, która pracowała kiedyś u Zellersa, podała jej kawę.

– Przepraszam panią – zwróciła się do niej Mary. – Jak najszybciej dotrę stąd do autostrady?

Zanim kelnerka zdążyła otworzyć usta, odpowiedział jej jeden z farmerów.

– Dalej tą ulicą dojedzie pani do szosy numer dwa. Pierwsza w lewo od dwójki prowadzi prosto do autostrady numer czterysta jeden. Mam nadzieję, że ma pani dobre opony. Zapowiadają kolejne opady śniegu.

– Dokąd się pani wybiera? – zaciekawiał się farmer, który nie miał na głowie baseballowej czapki.

– Do Toronto – zdecydowała Mary, zdając sobie sprawę, że poza rachunkami z restauracji nie dysponuje żadną realną wskazówką.

– Nienawidzę Toronto – wychrypiał farmer, ściągając wargi.

– Pani zamówienie, pani Gooch, które miało być odebrane tydzień temu, włożyliśmy do zamrażarki – zawołała do Mary sprzedawczyni zza kontuaru. – Czy teraz je pani zabierze?

– Przepraszam, co takiego?

– Mówię o tortach z zeszłego tygodnia. Chyba po nie pani przyjechała? Miały być cztery, prawda? I mieszane ciasteczka.

Mary zamarła, gdy w lokalu zapadła cisza i wszyscy na nią spojrzeli. Czerwona na twarzy, wstała ze stołka i uregulowała rachunek.

– Czy mogę prosić o dostarczenie tortów i ciastek do Domu Opieki Świętego Jana? – zapytała cicho.

– Za dostawę należy się dopłata.

Sięgając niezdarnie po pieniądze, usiłowała opanować drżenie rąk.

zasada trójki

Pędząc autostradą wielkim fordem, przy dźwiękach muzyki Motown, którą Gooch dawno temu nagrał dla niej na taśmę, Mary obserwowała pejzaż płaskich farmerskich pól i strzelistych silosów na tle leśnej gęstwiny. Niektóre, co bardziej wytrzymałe, drzewa nie zrzuciły jeszcze jesiennej szaty, większość jednak stała naga, poczerniała od topniejącego śniegu. Na widok znaku zapowiadającego zjazd do centrum obsługi, przypomniała sobie, że powinna się wysiusiać i coś zjeść. Miała nadzieję, że nawet robiąc krótką przerwę w podróży, dotrze do restauracji w Toronto w porze kolacji, kiedy będzie więcej osób z obsługi, aby mogła zapytać o Goocha. Był niewątpliwie człowiekiem łatwo wpadającym w oko. Może wspomniał komuś w rozmowie o celu swojej podróży. Albo gdzie chciałby zamieszkać. Dając pośrednio do zrozumienia, dokąd się wybiera. Dawniej krytykowała tego rodzaju podchody w emitowanych w porach największej oglądalności telewizyjnych dramatach, ale dziś rozumiała, że w realnym życiu trzeba korzystać z najdrobniejszych wskazówek, jeśli poza mglistymi domysłami niczym się nie dysponuje.

Mając stawy zeszytniałe od długiego prowadzenia, po wyjściu z furgonetki odczekała chwilę dla złapania oddechu, po czym ruszyła do centrum, utykając na lewą stopę, która zdrętwiała aż do kostki. Spojrzała na niebo, zastanawiając się, czy śnieg rzeczywiście zacznie padać, czy też potrzebuje czasu do namysłu.

Ponieważ do kawowego barku była kolejka, a ona jak najszybciej chciała wrócić na autostradę, kupiła w automacie proteinowy batonik i pogryzając go bez pośpiechu, zauważyła stojący nieopodal bankomat. W swoim kłamliwym liście Gooch napisał: „Korzystaj z pieniędzy”. Raptem jednak ogarnęła ją niepewność – no bo czy Goochowi można wierzyć? – czy pieniądze nadal znajdują się na koncie. Stanęła więc w długiej kolejce, a gdy dotarła w końcu do bankomatu, wyszarpnęła z portfela kartę i wykonała przepisane ruchy, zastanawiając się, czy Gooch nie chciał jej powiedzieć: „Korzystaj z pieniędzy, ale nie z karty”. Normalnie nie znosił, kiedy używała karty, ponieważ burzyło to porządek jego rachunków. A w ogóle to ile pieniędzy mogła wydać? Wszystko? Połowę? I na co? Taki brak konkretnych instrukcji ze strony człowieka lubiącego panować nad finansami był doprawdy irytujący. Zażądała od maszyny kolejnych stu dolarów, które wetknęła do wypchanej już pieniędzmi kieszeni, i poczekała na potwierdzenie. Oprócz wyjętej sumy z konta nic nie ubyło.

Przyzwyczajona do patrzenia pod nogi, nie zwróciła uwagi na niechlujnego młodego człowieka, który stał za jej plecami mniej więcej w połowie kolejki. Dopiero odchodząc od bankomatu, zauważyła, że mierzy ją wzrokiem w wiadomy sposób. Dobrze знаła te spojrzenia. Było ich kilka rodzajów i – rzecz ciekawa – występowały niezależnie od wieku, rasy czy płci patrzącego. Jedno mówiło: „Ale ona gr-u-u-ba!”. Inne: „Co za rozrzutność skóry!”. Albo: „Ciekawe, ile ta baba musiała zjeść, żeby tak się roztyć”. W ostatnich latach zaobserwowała pojawienie się nowego typu spojrzenia, mającego charakter porównawczego studium, mówiącego na przykład: „Jest równie gruba jak moja kuzynka, ciotka, matka, najlepsza przyjaciółka”. Widocznie w miarę rozprzestrzeniania się amerykańskiej epidemii otyłości coraz więcej ludzi miało wśród swoich bliskich jakiegoś grubasa albo grubaskę.

Jej niemrawy marsz przez parking nie mógł się mierzyć ze sprężystym sprintem młodego człowieka, toteż w momencie gdy usłyszała za sobą tupot stóp, on był już przy niej. Młody mężczyzna z kolejki do bankomatu. Rzucił się ku niej, wyciągając z rękawa niewielkie srebrzyste ostrze. Mary zamknęła oczy. Gwałtowna śmierć. Zasada trójki.

Nie czując w brzuchu zadanego ciosu, dziękowała w duchu tworzącemu warstwę ochronną nadmiarowi swego ciała, po czym otworzyła oczy i stwierdziła ze zdumieniem, że

mężczyzna nie trzyma w ręku noża, tylko srebrzystą kartę do bankomatu. Wciskając jej bez słowa kartę do ręki, pokazywał palcem budynek, z którego wyszli, chociaż wszystko i tak było jasne.

– Przepraszam – wybąkała.

Skinąwszy szybko głową, mężczyzna odwrócił się i oddalił. Odprowadzając go wzrokiem, zobaczyła, że potyka się na śliskiej jezdni, a jednocześnie zza zakrętu wyjeżdża ciężarowy samochód. Kierowca nacisnął klakson. Okrzyki widzów bynajmniej nie przstraszyły mężczyzny, któremu udało się w ostatniej chwili umknąć na chodnik niemal spod kół ciężarówki. Przystanął na chodniku, ale nie dlatego, że usłyszał ciężarówkę albo zauważył spowodowane przez siebie zamieszanie, ale po to, by pomachać, bez uśmiechu, do Mary, po czym zniknął we wnętrzu budynku. Widząc przez wielką szklaną szybę, jak staje na końcu kolejki do bankomatu, w której stracił poprzednie miejsce, zadumała się nad całym ryzykiem, na jakie swoim gestem dobroci naraził się obcy mężczyzna.

– Dziękuję! – zawołała, choć wiedziała, że jej nie usłyszysz.

Nowy rodzaj matematycznych kalkulacji, jakie zaczęła prowadzić, próbując obliczyć możliwy termin powrotu męża do domu, utrudniał Mary równomierne prowadzenie samochodu. Jeżeli, jak przypuszczała, wygrał pięćdziesiąt tysięcy, to pieniądze kiedyś się skończą. Za kilka tygodni? Miesiące? Zależy, gdzie jest, i na co je wydaje. A jeżeli wygrał sto tysięcy i oddaje się teraz trudnym do odgadnięcia hulankom, w niczym nie przypominając człowieka, za którego go uważała? Albo może wygrał milion, a wówczas Mary najprawdopodobniej nigdy więcej go nie zobaczy. Zdawała sobie zarazem sprawę, że obliczanie, kiedy Gooch mógłby dobrowolnie wrócić do domu, stanowi czysto zastępcze zajęcie, pozwalające nie zastanawiać się nad tym, czy ma jakąkolwiek szansę na to, aby go odnaleźć.

W miarę zbliżania się Mary do wielkiej metropolii liczba pasów ruchu wyraźnie rosła, a wraz z nią prędkość jazdy oraz skłonność pozostałych kierowców do śmigania jej przed nosem w dowolnych kierunkach. Wyjechawszy zza ostatniego zakrętu, zwolniła, oczarowana jarzącą się światłami panoramą miasta. Znała ją tylko z fotografii i telewizji, niemniej miała nieodparte wrażenie czegoś znajomego. Nie chodziło przy tym o uczucie, że już kiedyś tutaj była, ale raczej o to samo, dokładnie to samo uczucie, jakiego doznała ponad dwadzieścia pięć lat temu, w chwili gdy przechodząc z działu środków przeciwbólowych do działu dentystycznego, ujrzała Jimmy'ego Goocha, jak idzie o kulach, z tamtym wyrazem w oczach.

Na prowadzącym do ścisłego centrum odcinku autostrady ruch wyraźnie zwolnił, ona jednak postanowiła się tym nie przejmować. Przypatrywała się ludziom spacerującym alejką nad szarym, połyskującym jeziorem. Cali okutani przed jesiennym chłodem, grzali się w życiodajnych promieniach zachodzącego słońca. Obserwowała snujące się mostami zakochane pary nastolatków i przemykających chodnikami młodzików na łyżworolkach. Tylu ludzi. Nikt jej nie zna. Ona nie zna nikogo. Poczula się przyjemnie mała.

Kiedy samochody niemal przestały posuwać się do przodu, a światło straciło swe romantyczne zabarwienie, oblewając szarością zziębnięte rodziny, skromnych biegaczy, popisujących się wrotkarzy i nieostrożnych cyklistów, Mary zrozumiała, o czym mówił Gooch, relacjonując jej artykuł wstępny z lokalnego dziennika Toronto na temat debaty o wiecznie zakorkowanych drogach szybkiego ruchu, blokujących mieszkańcom dostęp do jeziora. Przypomniała sobie, jak ją irytowało, kiedy Gooch zabierał się do czytania na głos wybranych artykułów, zamiast skończyć śniadanie i pojechać do pracy, żeby ona mogła się wreszcie dorwać do resztek brzoskwiowego placka. Oświecona mrokiem zapadającej nocy, zdała sobie sprawę, że jej pragnienie wreszcie się spełniło. Gooch odszedł i ona może się teraz do upadłego obżerać brzoskwiowym plackiem.

Odnalezienie restauracji nie było trudne. Queen Street była oddalona od drogi szybkiego ruchu o rzut kamieniem i teraz Mary jechała nią powoli, śledząc kolejne numery na wąskich wystawach sklepików, aż natrafiła na niewielką, wyłożoną mozaiką, kwadratową witrynę z napisem „Bistro 555”. Pamiętała, że Gooch szukał zwykle restauracji ze słowem „grill” w nazwie, i gdyby miała upodobanie do hazardu, założyłaby się o wszystko, że jej mąż nigdy nie jadł w tym lokalu. Ale nie miałyby racji. Jadał tutaj, i to nie raz czy dwa, ale – jak wynikało z rachunków – aż sześć razy.

Rozejrzawszy się za miejscem do zaparkowania samochodu, stwierdziła, że wszystkie są zajęte, więc pojechała dalej. I jeszcze dalej. Jechała i jechała, przeciskając się wąskimi ulicami, mijając ubogie wiktoriańskie domki z miniaturowymi trawniczkami od frontu, strzelające w górę nowoczesne kamienice, sklepy etniczne albo należące do wielkich sieci handlowych, błędząc w labiryncie jednokierunkowych ulic i trafiając z powrotem w te same jednokierunkowe ulice, nigdzie nie znajdując wolnego miejsca.

Domyślała się tylko, mając słabe wyczucie czasu, że krąży już chyba od pół godziny. Kiedy tak błędziła ciasnymi, tętniącymi życiem ulicami, wydało jej się, że rozumie, dlaczego ludzie kochają to miasto – i dlaczego go nienawidzą. Na koniec, w odległości kilku przecznic w bok od Queen Street, dostrzegła oznakowany parking publiczny. Wjechała nań, ale kiedy znalazła wolne miejsce, przestraszyła się na widok zarośniętego mężczyzny, który pojawił się nagle obok jej furgonetki.

– Dwadzieścia dolarów – oznajmił.

Nie zauważyła takiego napisu.

– Za parkowanie? – zdziwiła się, podając mu banknot.

– Kluczyki, proszę – zażądał, wyciągając umazaną olejem rękę.

– Kluczyki do mojego samochodu? – zapytała zaskoczona.

– Kluczyki – powtórzył niegrzecznym tonem.

– Muszę zostawić swoje kluczyki?

– Bez tego nie ma parkowania.

Oddawszy mu niechętnie kluczyki, ruszyła piechotą do restauracji. Szybko okazało się, że nie może, swoim zwyczajem, iść ulicą ze spuszczoną głową, a to z powodu rojących się na chodniku pułapek – ludzie uprawiali tu jogging i robili zakupy, przemykały psy i wrotkarze, pod ścianami z wyciągniętymi nogami siedzieli żebracy. Nigdy nie widziała tyłu istot ludzkich różnych kolorów skóry i różnego pochodzenia, w dodatku nie potrafiła odgadnąć, z jakiego kraju połowa z nich może pochodzić. Zarazem jednak, idąc z podniesioną głową, w witrynie każdej mijanej restauracji i każdego sklepu napotykała własne odbicie. Zapomniała zabrać z samochodu kurtkę, ale nie było jej zimno. Wręcz przeciwnie, na jej sklepowym uniformie pojawiły się plamy potu, a twarz i szyja aż błyszczały. Uświadomiwszy sobie istnienie nikłej, ale jednak możliwości, że w restauracji zastanie Goocha, przystanęła dla nabrania tchu. Wyobraziła go sobie siedzącego przy barze z kuflem piwa, wołała się jednak nie zastanawiać, kto mógłby siedzieć obok niego, głaszcząc smukłą dłonią jego napięte udo.

Otworzyła torebkę, wyjęła koralową szminkę i pociągnęła nią wargi. Potem sięgnęła do plastikowej torby i natrafiwszy na zapasowy uniform, wytarła bluzą spoconą twarz i szyję. Ruszyła dalej zatłoczoną ulicą, obserwując obładowanych paczkami i torbami ludzi, którzy przepychali się obok niej do staroświeckiego tramwaju. Przypatrując się, jak bezdomni napastują zagonionych przechodniów. Trzem prostytutkom, które w zacienionej alejce wsiadały do rdzawoczerwonego forda grand marquis.

Zobaczyła kafelkową mozaikę nad udrapowaną witryną. „Bistro 555”. Zmobilizowała się i nacisnęła klamkę. Pociągnęła, ale drzwi nie ustąpiły. Przeczytała ogłoszenie w oknie. Lokal

zamknięty do godziny szóstej. Do szóstej?

W zasięgu głosu znajdowało się kilkanaście osób, ale żadnej z nich nie mogła zapytać o godzinę. Za szybko się poruszali. Byli zbyt zajęci swoimi sprawami, by mogła ich zaczepić. Unikali kontaktu wzrokowego. Odwróciwszy się, napotkała smętne spojrzenie żyłastego młodego mężczyzny o ciemnych oczach i oliwkowej cerze, z małą, rzadką bródką – zagradzała mu drogę.

– Na tramwaj czeka się tam – powiedział, wskazując zatłoczoną wiatę przystanku.

– Czekam na otwarcie restauracji – grzecznie odparła Mary, widząc, że mężczyzna wyciąga klucz i otwiera drzwi.

– Otwieramy za pół godziny – powiedział, wślizgując się do środka.

Mary oklapła, nie wyobrażając sobie półgodzinnego dreptania tam i z powrotem przed restauracją, a tym bardziej błakania się po ciemnych, nieznanym ulicach. Stercząc przed wejściem do Bistra 555, gdzie w każdym mijanym przechodniu rozpoznawała twarz Goocha, podsumowała w myślach ostatni odcinek swojej historii oraz poprzedzające go wydarzenia – podobnie jak to się dzieje w telewizji na początku nowego odcinka serialu.

Jak to możliwe, żeby restauracja otwierała się dopiero o szóstej? Wielkomiejskie pozy, uznała. Pretensjonalny kaprys i przesada, o czym tyle gadano w Leaford. Ach, ci ludzie z wielkiego miasta z ich wielkomiejskim stylem życia, patrzący z góry na wiejskie społeczności, pozbawione własnych muzeów, parków rozrywki, rządowych budynków i teatrów!

Otwiera się o szóstej. Nawet w mieście muszą być ludzie, którzy odczuwają głód przed szóstą. Nagle uświadomiła sobie, że ona nie czuje głodu. Wciąż nie jest głodna. Zniknięcie Goocha postawiło jej świat na głowie, toteż nic dziwnego, że jej ciało radzi sobie z nową sytuacją, radykalnie zmieniając swoje obyczaje. Pamiętała, jak w magazynowych ankietach zawsze zwracała uwagę na odpowiedzi na pytanie: „Czy objadasz się, kiedy jesteś w stresie?”. Zazdrościła tym, którzy – jak jej matka – przestają jeść w sytuacjach stresowych.

W rodzinnym domu Mary obiad podawano punktualnie o piątej – w każdym razie do czasu, kiedy Irma przeszła na pół etatu i porę obiadu cofnięto o godzinę, na czwartą, kiedy Orin wracał do domu z popołudniowej zmiany. Po przejściu ojca na emeryturę obiad stał już na stole, kiedy Mary wracała ze szkoły i zanim zdążyła dobrać się do drugiego dania, talerze jej pozbawionych apetytu rodziców były już sprzątnięte i umyte. Irma nie nazywała ich posiłków jedzeniem obiadu. Mówiła: „Miejmy obiad z głowy”. W pewnym sensie, przemknęło Mary przez głowę, Irmie przez całe życie pilno było mieć to czy tamto z głowy, jakby znała od początku koniec swojej historii i uważała, że szkoda czasu na czytanie środkowych rozdziałów.

Czas. Nic nie tyka, nic nie stuka. Nie ma rytuału ani ustalonego porządku. Dreptania do kuchni i z powrotem. Nic nie reguluje czasu. Ani Raymond Russell. Ani Gooch. Uwolnienie od czasu sprawiło Mary zaskakującą ulgę, kiedy więc drzwi restauracji otworzyły się, uderzając ją w zadek, a mężczyzna z kozią bródką powiedział: „Może pani poczekać w środku, jeżeli ma pani ochotę”, nie zaprzętała sobie głowy tym, jak długo stała na ulicy.

Podziękowała, podejrzewając, że mężczyzna zaprosił ją do środka, ponieważ widok stojącej pod drzwiami otyłej, płomiennie rudej kobiety w przepoconym uniformie sklepowej sprzedawczyni i znoszonych zimowych butach psuł wizerunek eleganckiego lokalu. „Jedząc u nas obiad, będziesz taki jak ona”.

Kiedy jej oczy oswoiły się z półmrokiem, zauważyła, że w bistro są tylko małe, delikatne krzeselka, więc bardzo ostrożnie umieściła w jednym z nich swego umęczonego ciała. Popatrzyła na krzątającego się za barem młodego człowieka i wzięwszy głęboki oddech, postanowiła z miejsca chwycić byka za rogi.

– Szukam kogoś. Wiem, że nie tak dawno jadł kilkakrotnie w tym lokalu, więc pomyślałam, że może ktoś go zapamiętał. Nazywa się Jimmy Gooch.

– Nie przypominam sobie.
– Wysoki. Nawet bardzo wysoki. Ma ponad sześć stóp wzrostu, falujące włosy. Lekko posiwiiałe skronie. Barczysty. Przystojny. Łatwo rzuca się w oczy.
Mężczyzna wzruszył ramionami.
– Poważnie ograniczyłem swoje dyżury.
– Och.
– Tak naprawdę to jestem aktorem.
– Och.
– Jestem podobny do młodego Ala Pacino – powiedział, odwracając się do niej profilem.
– Faktycznie.
– Wielu ludzi tak mówi.
– Czy jest ktoś jeszcze, kogo mogłabym zapytać?
– Czy ten, którego pani szuka, wpadł w jakieś tarapaty? – Mary zrobiła przeczący ruch głową. – Niech pani zapyta Mary. – Uśmiechnął się do siebie. – Przyjdzie lada moment.
– Mary? – powtórzyła Mary, nieprzyjemnie dotknięta.
– Nasza hostessa. Nazywa się Mary Brody. Z tego, co pani mówi, wygląda na kogoś, kogo Mary będzie pamiętać.

W chwili gdy z ust sobowtóra Ala Pacino padło jej panieńskie nazwisko, w drzwiach restauracji ukazała się kobieta w czerwonej opiętej sukience i czarnych pantoflach na zabójczo wysokim obcasie. Jej ciemnoblonde włosy falowały wokół pięknej twarzy, muskały ramiona. Gdy weszła w krąg światła, z ciemności wynurzyły się jej mocno podmalowane czarnym tuszem błękitne oczy i pełne, pociągnięte błyszczącym wargi. Ostro zarysowane kości policzkowe. Z łabędziej szyi zwieszał się duży, chybotający na piersiach srebrny wisior. Kobieta popatrzyła na Mary, Mary popatrzyła na kobietę i razem wykrzyknęły:

– Mary?
– Heather?
Aktor wyjrzał zza baru.
– Jaka Heather?
– Przydomek. – Kobieta mrugnęła do Mary, robiąc po kryjomu zrozpaczoną minę. – Ja i Mary znamy się z dawnych lat.
– Obie macie na imię Mary?
– Dasz nam minutkę? Dosłownie minutkę? Bądź tak miły i przygotuj za mnie stoisko z kawą, dobrze? – zamruczała słodko Heather.

Patrząc na swoją szwagierkę, na trzepot jej rzęs i kołysanie biodrami, Mary uznała, że Heather jest o dwadzieścia lat za stara na takie filuterne manewry. Heather była od niej starsza o kilka lat, ale wyglądała o dobre dziesięć lat młodziej niż ona. Mary nie widziała jej od sześciu lat, co równało się czterdziestu trzem funtom wagi. Kolejny skomplikowany rachunek.

– Posługujesz się moim panieńskim nazwiskiem? – Mary nie była na nią zła, tylko zdziwiona.

Upewniwszy się, że wahadłowe drzwi do kuchni są zamknięte, Heather pochyliła się, by usiąść, przy czym jej ciężki wisior zakolysał się i potracił stojącą na stole szklankę. Bez słowa tłumaczenia czy przeprosin odparła:

– To było pierwsze nazwisko, jakie przyszło mi do głowy, kiedy wynajmowałam obecne mieszkanie. Od kiedy farbujesz się na rudo?

– Ale po co?

Heather wzruszyła ramionami.

– Nie chcę, żeby mnie znaleźli. Niektórzy dawni współpracownicy. Stałam się inną

osobą, tak jest łatwiej. Po co przyjechałaś?

– Rachunki z restauracji – rzekła Mary. – Przyjeżdżał tutaj do ciebie. Dlaczego ukrywał to przede mną?

To już nie była dawna, rozdarta między pragnieniami Heather. Heather tragiczna. Heather wyobcowana. Była trzeźwa i pozbierana. Mary patrzyła na szwagierkę, która swymi wypielęgnowanymi palcami otworzyła skórzaną torebkę i wydłubała z folii nikotynową gumę do żucia.

– Przyjechał tutaj. Zjadł obiad. Pogadaliśmy. Przecież to mój brat. – Położyła dłoń na pulchnym nadgarstku Mary. – Teraz wiesz przynajmniej, że z nikim nie romansuje.

– Dał ci jakieś pieniądze? – zapytała Mary, starając się obudzić w sobie obłudne oburzenie.

– To ja dałam mu pieniądze. Spłacam stary dług. Ten lokal należy do mojego przyjaciela. Ma forsę jak lodu.

– Gooch pożyczał ci pieniądze? Kiedy?

– Ach, to stare dzieje. – Heather poprawiła się na krześle, obracając w palcach srebrny wisior. – Posłuchaj, Mary, przykro mi, że jechałaś taki kawał drogi, ale cokolwiek dzieje się między wami, to wyłącznie wasza sprawa. Najlepiej będzie, jak wrócisz do domu i załatwicie to między sobą.

– Gooch wyjechał, Heather. – Ponieważ cisnął jej się na usta szyderczy uśmiech, przygryzła wargę. – Dobrze o tym wiesz.

– Wyjechał? Dokąd? – rzeczowym tonem spytała Heather.

Mary czekała na jakiś odruch, który ją zdradzi, lecz piękne oczy Heather lśniły autentyczną troską. Chcąc, nie chcąc, zamiast wytknąć jej kłamstwo, musiała wziąć na siebie rolę dostarczycielki złej wiadomości.

– Zniknął. Odszedł. Wygrał pieniądze na loterii. Może milion, nie mam pojęcia ile. Tego nie powiedział. No i zostawił mnie.

– Wygrał pieniądze? – Heather gwałtownie zamrugowała.

– Wysłał mi list. Poczta. Napisał, że wygrał na loterii. Napisał, że potrzebuje czasu do namysłu. I że będzie w kontakcie.

– Coś takiego!

– Ano.

– Znalazłam rachunki z restauracji, więc pomyślałam... sama nie wiem.

– Coś takiego! Dzwoniłaś do naszej matki? – spytała Heather.

– Nie chcę jej martwić.

– Nie chcesz, żeby się dowiedziała – poprawiła ją Heather. – Zresztą, nie sądzę, żeby pojechał do niej. Nie cierpi Jacka.

– To gdzie mam jechać?

– Wracaj do domu.

Mary pokręciła głową.

– Wspominał kiedyś o miejscowości o nazwie Myrtle Beach. Są tam pola golfowe, bardzo chciał je odwiedzić. I zobaczyć Biały Dom. Pomniki w Waszyngtonie. Las Vegas? Wiesz, jak lubi hazard.

– Tego by nie zrobił.

– Może siedzi teraz w Las Vegas i przepuszcza fortunę? Albo w tym wielkim kasynie w rezerwacie pod Montrealem.

– Tego by nie zrobił.

– Albo popłynął w rejs po Karaibach. Miał wielką ochotę na tę wycieczkę, którą

wygrałam rok temu.

– Dlaczego na nią nie pojechaliście?

Mary z przyzwyczajenia spuściła oczy, ale zmusiła się, żeby je podnieść.

– Pomyśl, czy o czymś nie wspominał? Coś, co mogłoby wskazywać, dokąd pojechał?

– Skoro napisał, że potrzebuje czasu, to może po prostu zostaw mu trochę czasu? –

Heather zerknęła na wiszący nad nimi ścienny zegar. – Wszystko się w końcu ułoży, Mary. A jeśli nie, to może wyjdzie wam to na dobre.

„Wyjdzie na dobre”. Tak samo mówili lekarze o jej dzieciach. Dodatkowo poczuła się dotknięta sugestią, że jej małżeństwo może być nie do uratowania.

– Podoba mi się ten rudy kolor – zauważyła Heather. – Podkreśla twoje zielone oczy.

Mary skinęła głową, odwracając twarz do okna. Ubrany z wyszukaną elegancją stary mężczyzna – gdyby Mary miała inne usposobienie, nazwałaby go „glizdą” – wkroczył do restauracji, a Heather szybko ją przeprosiła i podeszła do przybysza, nim ten zdążył pstryknąć palcami. Pozwoliła pocałować się w szyję i szepnęła mu coś w zdeformowane ucho. Mężczyzna rzucił Mary lekceważące spojrzenie, pchnął wahadłowe drzwi i zniknął w kuchni. Wszystko kosztuje. Nie ma nic za darmo.

Heather wróciła do Mary zaczerwieniona ze wstydu, bez słowa wyjaśnienia. Nie usiadła jednak, tylko zatrzymała się przed stolikiem, dając w ten sposób do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną.

– No tak... – powiedziała.

Sapiąc z wysiłku, jakiego wymagało wydostanie nóg i reszty ciała z pułapki ciasnych i niskich mebli, Mary w końcu się podniosła.

– Mary, na litość boską, co się z tobą stało? – zapytała Heather, jakby to coś stało się przed chwilą.

– Skaleczyłam się w stopę.

– Spójrz na siebie, Mary. Ledwo możesz podnieść się z krzesła.

– Od naszego ostatniego spotkania trochę mi przybyło.

– Doprawdy, Mary, jak mogłaś się tak zaniedbać?

W pierwszym odruchu Mary chciała powiedzieć: „Tylko nie praw mi kazań, Heather. Sama jesteś narkomanką”. Ale po namyśle rzekła:

– Wiem.

Zerkając na kuchenne drzwi, Heather zniżyła głos. Gdy odprowadziła Mary do drzwi wyjściowych, złągodniała.

– Dam ci znać, gdyby się do mnie odezwał – szepnęła.

Mary zatrzymała ją.

– Zapisz numer mojej komórki.

Wyrecytowała numer, a Heather wstukała go do małego telefonu, który wyjęła z torebki.

– I nie martw się. Przecież napisał, że będzie w kontakcie.

– Może wtedy będzie za późno?

– Na co?

Dla mnie, pomyślała Mary.

Heather stała w milczeniu, patrząc, jak masywna postać Mary Gooch znika za drzwiami restauracji. Wtopiwszy się na chodniku w tłum przepychających się ludzi, skonsternowana nienaturalnym stanem świadomości, ale przekonana, że musi patrzeć w przyszłość, jeżeli chce odnaleźć Goocha, Mary wyruszyła w powrotną drogę do swojej furgonetki. Miała wrażenie, że idzie już bardzo długo, zaniepokoiła się nawet, czy nie poszła w złą stronę.

Uliczny gwar zagłuszał wołania Heather. Biegła, przepychając się przez tłum, a srebrny wisior podskakiwał na jej piersiach. Zabójczo wysokie obcasy i skutki wieloletniego palenia papierosów nie ułatwiały zadania, toteż ledwo dyszała, gdy zbliżywszy się na odległość głosu, zawołała:

– Mary! Zatrzymaj się!

Mary z wdzięcznością usłuchała rozkazu, i dwie szwagierki, obie pięknookie, z rozkosznie długimi włosami, stanęły naprzeciw siebie z boku chodnika. Heather – o wiele wyższa na swoich wysokich obcasach, Mary – zajmująca miejsce trzech osób. Narkomanka. Grubaska. Mary obwinała naukę, chemiczne procesy mózgowe, metabolizm, odpowiedzialną za apetyt ghrelinę, leptony, wady genetyczne, media, przestała jednak, kiedy dotarło do niej, że jej przodkowie, pionierzy hrabstwa Baldoon, którzy swoje przetrwanie zawdzięczali wyłącznie samym sobie, muszą się teraz przewracać w grobie.

– Jimmy pojechał do Golden Hills – wysapała Heather. – Chciał zobaczyć mamę.

Mary zamknęła uszy na uliczne hałasy, koncentrując spojrzenie na błękitnych oczach szwagierki.

– Jest w Kalifornii?

– Nie wiem, czy wciąż tam jest, ale się wybierał. Nie miałam od niego wiadomości po tym, jak tydzień temu przyjechał do Toronto autostopem, żeby podjąć wygrane na loterii pieniądze.

– Wpłacił na moje konto dwadzieścia pięć tysięcy – rzekła Mary. – Nie wiesz, ile wygrał?

– Nie chciał mi powiedzieć. – Heather lekko wzruszyła ramionami. – Powiedział tylko, że dosyć.

„Dosyć”, powtórzyła w duchu Mary.

– No i miał dziesięć kawałków, które mu zwróciłam.

– Gooch pożyczył ci dziesięć tysięcy dolarów?

– To było dawno temu, Mary. Z pieniędzy po ojcu.

– Rozmawiałaś ze swoją matką?

– Wiesz, że z nią nie rozmawiam.

– Mam do niej zadzwonić?

– Będzie kłamać, żeby go osłonić. Tak jak ja.

– Muszę się z nim zobaczyć.

– Jeśli chcesz go zobaczyć, to jedź. Zwyczajnie jedź.

– Do Kalifornii? Do Eden? Mam tak po prostu zapukać do jej drzwi? Przyjechałam.

Gdzie jest Gooch?

– A masz lepszy pomysł? Słyszałam, że przeprowadzili się kilka lat temu. Masz ich nowy adres?

Mary skinęła głową.

– Willow Drive 24, w Golden Hills. Nadal wysyłam im kartki na święta.

– Masz pieniądze, więc wsiadaj w samolot i leć.

– Nigdy nie leciałam samolotem.

– To mówi samo za siebie.

– Fakt – zgodziła się Mary, nie bardzo wiedząc, co szwagierka miała na myśli.

Heather zlustrowała ulicę, może chcąc się upewnić, czy nie jest obserwowana przez kogoś ze swych dawnych współpracowników, zanim rzekła:

– Coś ci pokażę. – Podniosła srebrny wisior, który okazał się medalionem, otworzyła go długimi, polakierowanymi paznokciami i nachyliła wnętrze do światła, by pokazać Mary ukrytą w środku fotografię. Gooch, kiedy miał szesnaście lat, pomyślała Mary – falujące włosy,

zadziorna mina, piękny aż do bólu.

– To mój syn – powiedziała Heather. – Odnalazł mnie latem zeszłego roku, przez jedną z agencji, które się tym zajmują. Ma na imię James. Jest niemal tak wysoki jak Gooch. Aż trudno uwierzyć!

Chłopak był ładząco podobny do swego wuja.

– Cieszę się, Heather, to dla ciebie wielka radość. Czy Gooch wie o nim?

– Tak – odparła Heather. – Poznali się. – Mary poczuła ciarki na plecach, odezwało się w niej coś dawno pogrzebanego. – Parę razy grali ze sobą w kręgle w pobliskim parku. Studiuje medycynę. Mieszka dwie przecznice ode mnie. Wygrałam los na loterii, no nie, Mary?

To przeszywające ukłucie. Nie głodu. Teraz na Mary przyszła kolej, by wykrzyknąć:

– Aż trudno uwierzyć!

– Mam twój numer, na wypadek gdyby się odezwał. – Heather zwlekała z odejściem, przypatrując się twarzy Mary w niebieskawym świetle ulicznej lampy. – Mam nadzieję, że zdobędziesz to, czego pragniesz.

– Dziękuję.

– A jeśli ci się nie uda, no to wiesz, nie poddawaj się, tylko rób swoje.

Mary przypomniała sobie praktyczną radę, jakiej udzielił jej kiedyś Orin: „Pij ze szlauchu i dalej rób swoje”, i poczuła nagle pragnienie.

Ruszyła dalej chodnikiem, przetwarzając w głowie nowe informacje, gdy nagle podskoczyła na dźwięk telefonu komórkowego, który rozdzwonił się w jej torebce. I to ma być dzielna Mary, pomyślała, drżąc ze zdenerwowania.

– Czy to pani Gooch? – odezwał się głos w słuchawce.

– Tak, ja.

– Mówi Joyce. Z Domu Opieki Świętego Jana. – Mary poszukała wzrokiem ławki, w poczuciu, że reszty powinna wysłuchać na siedząco. Ławki nigdzie nie było, więc oparła się plecami o witrynę sklepu. – Pani Gooch, pomyślałam, że powinnam panią zawiadomić, że pani Shrewsbury zmarła dziś wieczorem.

– Pani Shrewsbury?

– Roberta Shrewsbury.

Aha, ta druga staruszka.

– Ale dlaczego dzwoni pani do mnie?

– Nasz nowy recepcjonista widział dzisiaj rano, jak rozmawiała pani z nią w świetlicy, a ponieważ nie możemy się skontaktować z jej rodziną... Nie wiedziałam, że zna pani panią Shrewsbury.

– Nie znam jej.

– Ale ona pytała o panią.

– O mnie?

– Pytała o panią tuż przed śmiercią. Jej ostatnie słowa brzmiały: „Powiedzcie Mary, że ją kocham”. Sądziłam, że miała na myśli panią.

– Nie.

– Według naszych danych nikt z jej rodziny nie ma na imię Mary.

– Musiało chodzić o jakąś inną Mary. – Pomyślała o Heather, która pożyczyła sobie jej imię i nazwisko, i dodała: – Co druga kobieta ma na imię Mary.

Śmierć pani Shrewsbury była częścią zasady trzech nieszczęść jakiejś innej osoby, podobnie jak dla Greka jego matka umierająca w Atenach. Ale chociaż stanowiła część całkiem osobnego trójkąta żałoby, to jednak jej odejście zasmuciło Mary.

Teraz, odkąd zagadka zniknięcia Goocha częściowo się wyjaśniła, Mary mogła sobie

powiedzieć, albo przynajmniej mieć nadzieję, że w Kalifornii zdoła odnaleźć męża, z którym przeżyła dwadzieścia pięć lat. „Realizuje swoje marzenie”. To nie Gooch dopełni trójkę. A ona i Irma idą łeb w łeb.

Wybaczenie. Stara pani Shrewsbury wybaczyła swojej Mary, kimkolwiek ona była – siostrą, może córką? – i chociaż ubolewała nad zmarnowanym czasem, to jednak wydawała się podniesiona na duchu. Czy to wszystko, czego pragnie umierający? By komuś wybaczyć? By uzyskać czyjeś wybaczenie? To dobrze, myślała Mary, że obca kobieta z przybytku św. Jana mogła się pożegnać. Z kimś się pożegnać.

Rozpoznając z daleka publiczny parking, przystanęła dla nabrania tchu. Miała nadzieję, że kudłaty mężczyzna, który siedzi w oszklonej budce i spogląda w jej stronę, sam podejdzie z kluczykami, oszczędzając jej dodatkowych kilku kroków. Podszedłszy bliżej, zauważyła, że mężczyzna szuka czegoś na ogromnej tablicy obwieszanej dziesiątkami kluczyków do samochodów.

– Oddała mi pani swoje klucze? – zapytał podejrzliwie.

– Tak – odparła. – Od tamtej czerwonej furgonetki – wskazała gestem.

– Nie mam. Nie dała mi pani. – Wyrzucił ręce w górę, dając do zrozumienia, że to nie jego zmartwienie.

– Powiedział pan: „Nie ma kluczy, nie ma parkowania”, więc je oddałam.

– Nie przypominam sobie – burknął. – Niech popatrzy. – Odwrócił tablicę w jej kierunku, żeby mogła ją dobrze obejrzeć, ale wśród wiszących na niej błyszczących przedmiotów nie było charakterystycznego uchwytu do jej kluczyków z umocowaną na łańcuszku niewielką latarką.

– Nie ma ich tutaj – stwierdziła.

– Nie dała pani.

– Na pewno panu oddałam – upierała się.

Znowu rozłożył ręce. Mary ciężko westchnęła.

– Ma zapasowe kluczyki? – zapytał.

– Nie.

– Ktoś może przywieźć?

– Nikt nie może przywieźć.

Mężczyzna uśmiechnął się ze współczuciem.

– Pani jedzie do domu po kluczyki. Ja dobry człowiek, nie wezmę za parkowanie. No, chodźmy. – Nie tylko wspaniałomyślny, ale do tego rycerski, wziął Mary pod ramię i poprowadził jak oblubienicę do krawężnika, gdzie zagwizdał na taksówkę i pomógł jej wtłoczyć obfite ciało na popękane tylne siedzenie.

– Dokąd jedziemy? – zapytał taksówkarz.

bóg dla duszy

Mary, która w ciągu czterdziestu trzech lat swego życia jeszcze nigdy nie postawiła nogi na lotnisku, nie miała porównania, które pozwoliłoby odczuć zmiany nastroju panującego podczas powietrznych podróży. Z telewizyjnych wiadomości, których szum stanowił nieodłączne świadectwo, że Gooch jest w domu, wiedziała o wzmożonej kontroli pasażerów, o tym, że czas oczekiwania wydłuża się, ceny paliwa odrzutowego rosną, a usługi ulegają ograniczeniu. Nie spodziewała się natomiast, że kupno biletu do Los Angeles w Kalifornii uszczupli jej konto aż o siedemset dolarów. I nie wiedziała, że będzie musiała zdjąć buty.

Perspektywa lotu samolotem, jak zresztą każdej dalszej podróży, budziła w niej niechęć i lęk, była jednak zanadto zajęta myśleniem o Goochu – o tym, co mu powie, i jak to powie, kiedy go zobaczy, i czy go zobaczy – aby móc się skupić na czymkolwiek poza ich spotkaniem. Podczas przechodzenia przez kontrolną bramkę podniosła oczy, doskonale świadoma łatwych do przewidzenia ludzkich spojrzeń, ale ponieważ nie identyfikowała się z ich przyczyną, bynajmniej się tym nie przejęła, i wcale nie stropiła, kiedy po obejrzeniu jej paszportu skwaszony funkcjonariusz oświadczył: „Trzeba zmienić zdjęcie, jeżeli zamierza pani zostać przy rudych włosach”.

Gdy tak kuśtykała do wyjścia, przed którym miała czekać na swój lot, zrobiło się jej słabo, wstąpiła więc do sklepu, gdzie kupiła sobie pełnoziarnisty baton do zjedzenia od razu i jabłko na drogę. Jedną ze ścian zajmował regał z czasopismami – sportowymi, poświęconymi urządzaniu domu, opisującymi życie znanych osobistości, na temat zdrowia i utrzymywania formy fizycznej – które zaledwie obrzuciła wzrokiem, bo doszła do wniosku, że nie musi wiedzieć, czyje ciało najlepiej prezentuje się na plaży, i nic jej nie obchodzi, która para sławnych ludzi adoptowała kolejną sierotę z egzotycznego kraju. Przeszła do działu książek i wybrała trzy powieści, kierując się urodą okładek i pochwalnymi peanami recenzentów.

Gdy po długim oczekiwaniu ogłoszono przez megafony, że odlot samolotu opóźni się o kolejną godzinę, nie przyłączyła się do zbiorowego jęku pozostałych pasażerów. Jakie to ma znaczenie? Godzina. Dwie godziny. Dzień. Nikt na nią nie czekał. Ani ona nie miała wyraźnie określonych oczekiwań. Czyż podróż w nieznaną nie jest sama w sobie przygodą? Mary nigdy dotąd nie przeżyła przygody. Najwyższy czas. Chyba właśnie to miała na myśli jej szwagierka.

Mary przetoczyła się korytarzem do samolotu i zaczęła się przeciskać między rzędami siedzeń do swego miejsca w tylnej części. Domyślała się, jakie myśli chodzą współpodróżnym po głowach: oni muszą płacić za nadwagę, a jej uchochodzi to na sucho. I jakby tego było mało, nie dość, że samolot ma wielogodzinne opóźnienie, to jeszcze jakaś tłusta pielęgniara dodatkowo opóźnia odlot. T a k, myślała, odpierając oskarżycielskie spojrzenia. Jestem spóźniona. Jestem gruba. „Cieszcie się, że łaska boska oszczędziła wam podobnego losu”.

Gdy dotarła wreszcie do swego rzędu, stwierdziła, że przypadł jej środkowy fotel, w dodatku o wiele za ciasny dla kobiety o jej tuszy. Będzie się z niego wylewać, nie dając odetchnąć ponuremu młodzieńcowi pod oknem i egzotycznie wyglądającej kobiecie o gładkiej brązowej cerze, z wpiętym w nozdrze diamencikiem. Kiedy dotarła do swego fotela, młody człowiek przesunął swą schludną postać ku pochylej ścianie samolotu i szybko wetknął w uszy białe słuchawki. Przy zapinaniu pasów doszło do sporego zamieszania, ponieważ Mary usiadła na jednym pasie, a drugiego nie mogła znaleźć, bo sama sobie zasłaniała widok. Brązowoskóra kobieta, która wstała, żeby ją przepuścić, przesunęła na bok trzymane na kolanach atlasowe zawiniątko w kolorze lawendy i odszukała oba pasy, które jednak nie dawały się zapiąć, ponieważ osoba, która poprzednio zajmowała miejsce Mary, nie była chorobliwie otyła. Mary

nerwowo próbowała połączyć za krótkie pasy.

Uważając, by nie upuścić spoczywającego na jej kolanach zawiniątka, smagła kobieta nachyliła się nad Mary i maksymalnie wydłużyła pasy, które z trudem, ale jednak się spotkały. Kiedy okucia kliknęły, kobieta błysnęła olśniewająco białym kompletem zębów. Odpowiadając uśmiechem na jej uśmiech, Mary zwierzyła się szeptem: „Lecę pierwszy raz w życiu”. Ze sposobu, w jaki kobieta skinęła głową, łatwo było się domyślić, że nie rozumie po angielsku.

Kapitan powitał pasażerów na pokładzie samolotu, co bardzo się Mary spodobało, niestety w następnej chwili ogłosił kolejne opóźnienie, a z jakiego powodu, tego już nie dosłyszała w gwarze jęków i narzekań reszty podróżnych. Brązowoskóra kobieta patrzyła przed siebie z błogim spokojem, obejmując rękami lawendową poduszczkę, która leżała na jej kolanach. Siedzący po drugiej stronie Mary młody mężczyzna wyjął z kieszeni marynarki jakieś elektroniczne urządzenie – pewnie to BlackBerry albo iPhone, pomyślała – i zaczął gorączkowo naciskać guziki.

Mary zajrzała do winylowej torby i wyjęła jedną z trzech powieści, których okładki obiecywały zarówno śmiech, jak i łzy. Zabrała się do czytania i już za chwilę, uwiedziona narracyjnym kunsztem autorki, przeniosła się z uczuciem wdzięczności w inny świat. Nie zdawała sobie sprawy, jak długo siedzi już w samolocie – znajdowała się w całkiem innej rzeczywistości, towarzysząc perypetiom rodziny poszukującej zbawczej siły miłości, kiedy samolot drgnął nagle i ruszył z miejsca.

W trakcie kołowania na pas startowy Mary zdała sobie ze zdumieniem sprawę, że bynajmniej nie czuje się zdziwiona tym, iż siedzi oto ściśnięta na mikroskopijnym fotelu samolotu, który ma ją przenieść w całkiem inny, bynajmniej nie powieściowy świat, i odłożyła książkę, gdy samolot po nabraniu prędkości oderwał się od ziemi. Podczas wznoszenia się w ciemną, nieznaną przestrzeń, poczuła ściskanie w żołądku, a kiedy maszyna zatoczyła szeroki łuk ku szklistej tafli jeziora, przeszedł ją rozkoszny dreszcz. Mary nigdy nie jeździła na diabelskiej karuzeli, ale wyobraziła sobie, że musi ona dostarczać podobnie ekscytujących wrażeń, jak te, które przeżywa w tej chwili, gdy widząc opadające w dół miasto, ma ochotę krzyknąć jednocześnie „Tak!” i „Nie!”. Mary Gooch po raz pierwszy w życiu zostawiała za sobą nie tylko Leaford, ale i rodzinny kraj. „Żegnaj Kanado!” – usłyszała wewnętrzny głos i zamarła na myśl, że mogłaby jej nigdy więcej nie zobaczyć.

Mój dom i ojczyzna. Mary nigdy się nie zastanawiała, czym jest dla niej Kanada, niezawisły kraj, którego część mieszkańców, wskutek bliskiego sąsiedztwa Stanów Zjednoczonych, cierpiała (jak twierdził Gooch) na często omawiany kompleks niższości, podobny do zawiści młodszego brata albo urazy niedocenianego pomocnika.

Hokej. Kontrola posiadania broni. Język francuski. Chudy bekon. Piwo. Państwowa służba zdrowia. Niewygasłe przywiązanie do monarchii. Przebiegła w myślach długą listę słynnych sportowców i celebrytów, pochodzących z Great White North, chociaż nie ulegało wątpliwości, że wielu z nich sławę i pieniądze zdobyło poza przyjaznymi granicami swego kraju. Gooch zapewne mógłby wymienić o wiele więcej charakterystycznych cech swojej ojczyzny, pomyślała, zdając sobie z pewnym wstydem sprawę, że z braku szerszych zainteresowań ma o kraju, który opuszcza, równie blade pojęcie, jak o tym, do którego zmierza. Kanada była dla niej czymś równie oczywistym, jak niezłomna niezmiennność jutra.

Westchnąwszy, przyjrzała się twarzom pasażerów siedzących po przeciwnej stronie przejścia. Kobieta azjatyckiego pochodzenia z nastoletnim synem; wytworna, chuda jak szczapa blondynka, pewnie aktorka albo modelka zmierzająca do Hollywood – wszyscy ze słuchawkami w uszach, marzycielsko wpatrzeni w przestrzeń. Razem. Osobno. Są już gdzie indziej.

Kiedy samolot osiągnął właściwy pułap lotu, a w przejściu pojawił się popychany przez

dwie szykowne stewardesy srebrzysty wózek z napojami, kobieta o egzotycznym wyglądem dotknęła ramienia Mary i wskazała palcem znajdującą się za nimi toaletę. Spojrzała znacząco na poduszeczkę, która spoczywała na jej kolanach, dając wyraźnie do zrozumienia, że prosi Mary, aby pottrzymała ją pod jej nieobecność. Dziwiąc się w duchu, dlaczego kobieta nie odłoży po prostu podusieczki na siedzenie, Mary wyciągnęła ręce, poczuła ciężar i ciepło zawiniątka, a zaraz potem dostrzegła maleńkie, nie większe od pieczonej szynki, ciemnoskóre niemowlę, śpiące smacznie w atłasowych powijkach.

Kobieta pospieszyła do toalety, a Mary drżącymi rękami złożyła niemowlę na wzdórku swego brzucha. Jeszcze nigdy nie trzymała niemowlęcia – ani białego, ani kolorowego, kręcącego się, śpiącego, płaczącego ani spokojnego. Podobnie jak w drogerii, kiedy podawano sobie uszkodzone pudełka czekoladek, z uśmiechem machała odmownie ręką, ilekroć podawano jej do potrzymania małe dziecko. „Nie potrafię”. Wszystkie przyjaciółki – Wendy, Patti i Kim – podsuwały jej do potrzymania swoje zaślinione pociechy, ale nawet Wendy zbyt nie naciskała. Zakładały, że Mary cierpi i do tego pewnie im zazdrości. Tylko Gooch znał prawdziwą przyczynę; wiedział, że Mary odmawia ze strachu przed kruchością malutkich istot. „Przestaniesz się bać, jak będziesz miała własne”, zapewniał ją.

W swoim czasie nadzieją natchnęła Mary mnogość publikowanych w damskich magazynach opowieści o otyłych kobietach, które urodziły dziecko, nie zdając sobie sprawy z tego, że były w ciąży. Po dwóch wczesnych poronieniach i mimo często odbywanych stosunków, jej piersi nie obrzmiewały, nie pojawiały się mdłości. Nic się nie działo, nie licząc częstych wizyt u doktora Ruttle'a i wypraw do specjalistów w London, którzy zgodnie twierdzili, że oprócz stale rosnącej wagi nic jej nie dolega. A ponieważ miała od dawna nieregularny cykl menstruacyjny, co też przypisywano otyłości, fakt niepojawienia się kolejnego krwawienia niczego nie dowodził. Kiedy jednak w wieku trzydziestu kilku lat zaczęła odczuwać ostre bóle w podbrzuszu, i obliczyła, że od siedmiu miesięcy nie miała okresu, błysnęła jej nadzieja na dołączenie do grona owych legendarnych otyłych kobiet, które idąc jak gdyby nigdy nic ulicą albo przymierzając w K-marcie buty, chwytają się nagle za brzuch i rodziły absolutnie zdrowe, choć zupełnie nieoczekiwane niemowlę. Wyobrażała sobie swoje zdjęcie na pierwszej stronie „Leaford Mirror”. Wątpliwe wyróżnienie, ale to nie miałyby znaczenia.

Przyczyną bólów, jak miało się okazać, nie był płód, lecz wielki kłęb włókniało-mięśniaków. Dokuczliwych, choć nie złośliwych, zaś po dalszej obserwacji uznano, że trzeba je usunąć. Wraz z jej ostatnią nadzieją. „Miałam krwotok i zabrano mnie do szpitala”. Utrata „tych urządzeń”, o czym specjalista poinformował Goocha, myśląc, że Mary śpi, była ciosem nie mniej bolesnym niż wcześniejsze poronienia. Pocieszenie znajdowała w lodówce. Gooch, który nie znajdując słów, cierpiał w milczeniu, przez trzy dni przynosił wieczorami do domu eklery z Oakwood i pieczone kurczaki od Coloneła albo namawiał Mary na cheeseburgery w nadziei, że żona wreszcie się uśmiechnie.

Rozsunąwszy lawendowe powijaki, odsłoniła maleńką rączkę i pogłaskała pulchną łapkę dziecka, i aż drgnęła, gdy delikatne paluszki zacisnęły się na jej kciuku. Ciemne przylizane włoski, długie rzęsy, płaski nosek, wydęte wargi. Wpatrywała się w falujące lekko w rytm jej oddechu, idealnie ukształtowane, ciemnoskóre niemowlę, otaczając je sobą, sama w nim zatopiona. Przypomniała sobie fotografię, którą pokazała jej Heather. James.

Drobne nóżki dziecka wyprężyły się pod kołderką i malec poruszył się energicznie. Dziecko otworzyło oczy – nie jak człowiek dorosły, który po przebudzeniu stopniowo podnosi powieki, ale rozwierając je szeroko w jednej chwili. Popatrzyła w czarne, przejrzyste źrenice, nie zdając sobie sprawy, że się uśmiecha, dopóki malec nie odpowiedział jej uśmiechem.

Po długiej nieobecności – malec zrobił się tymczasem bardzo niespokojny – ciemnoskóra

kobieta wróciła na swoje miejsce, usiłując oporną apaszką zakryć okrągłe plamy wilgoci na froncie bluzki i niosąc w ręku małą buteleczkę mleka, które wypompowała w toalecie ze swoich piersi. Podziękowała Mary uśmiechem i wyciągnęła rękę po dziecko.

Jednakże Mary, która nie umiała się rozstać z brązowoskórym maleństwem, tak samo jak nie potrafiła zrezygnować z męża, z którym przeżyła dwadzieścia pięć lat, poprosiła spojrzeniem, aby matka pozwoliła jej potrzymać dziecko jeszcze przez parę minut. Kobieta chętnie skinęła głową i podała jej butelkę. Mary nie bardzo wiedziała, jak umieścić tak duży smoczek w malutkich ustach, ale roześmiała się radośnie, kiedy malec, trącony w nosok czubkiem gumowego smoczka, otworzył buzię szeroko jak karp, na co jego matka niepewnie powiedziała po angielsku: „Głód”.

Głód. Jedzenie. Odżywianie. Jasne i proste, doskonale zrozumiałe, gdy trzyma się butelkę ciepłego mleka przyłożoną do ust łapczywie ssącego niemowlęcia. Woda dla roślin. Słońce dla ziemi. Oddychanie dla płuc. Gooch dla Mary. Bóg dla duszy. Myśląc o Irmie, która też trzymała kiedyś podobną butelkę (wiedziała, że matka nie karmiła jej piersią) przy jej malutkich wargach, Mary zadała sobie pytanie, w jakim momencie jedzenie utraciło swą cudownie prostą celowość, nie tylko dla niej, ale dla wszystkich jej podobnych osób, nie wyłączając jasnowłosej anorektyczki siedzącej po drugiej stronie przejścia. Kiedy jedzenie przestało odżywiać i zmieniło się w torturę?

Spoczywające na podolku Mary niemowlę zamknęło oczy, nie przestając ssać butelki. Myślała o dzieciach Wendy, Patti i Kim, jak w trakcie urodzinowych przyjęć, posadzone razem w jednym końcu pokoju, opychały się ciastem i łapczywie pochłaniały kolejne hot dogi. Ich rodzice nie wydawali się zawstydzeni żarłocznością swego potomstwa, odwrotnie, raczej byli z tego dumni. Szczycili się, że to czy tamto „dobrze je”, i ubolewali, jeżeli któreś z dzieci było „niejadkiem”. „To dziecko żywi się powietrzem”, mawiała Wendy o swoim najmłodszym.

Żywiąca się powietrzem i w powietrzu unoszona Mary, gdy zobaczyła, że maleństwu opadły powieki, a smoczek wysunął mu się z buzi, odłożyła butelkę i podniosła lawendową kołderkę z gładkiej, ciepłej skóry niemowlęcia, czując zachwyt na widok ciała, które to dziecko otrzymało w darze. Jeść. Spać. Kochać.

Zerknąwszy na boki, przekonała się, że matka dziecka zasnęła, a młodzieniec pod oknem też ma zamknięte oczy. Anorektyczka z sąsiedniego rzędu przerzucała czasopismo, które – jak Mary zauważyła w sklepie na lotnisku – głosiło na pierwszej stronie: „Jak w jeden dzień pozbyć się tłuszczu na brzuchu!”. Młoda kobieta nie miała na sobie grama tłuszczu – ani na brzuchu, ani gdzie indziej. Mogłaby na lekcjach anatomii służyć za szkielet. To kręgi szyjne. Tu mamy kość promieniową. A to kość łokciowa. Oto wygięte żebra. Kobieta ssała paznokieć kciuka. Głodna.

Jak to jest z tą akceptacją samego siebie? Chudzi chcą schudnąć, starzy odmłodnieć. Brzydcy zmienić się w pięknych. Czy samoakceptacja jest dostępna tylko osobom mądrym w rodzaju pani Bolt, albo żyjącym złudzeniami, w rodzaju Heather, która ze wzruszeniem ramion oświadczyła kiedyś swemu zatroskanemu bratu: „Ja bez haju nie umiem żyć, Jimmy. Taka już jestem”.

Mary przypomniała sobie niedokończoną rozmowę z Goochem, który jakieś pięćdziesiąt funtów temu powiedział jej ostrożnie, że Grek stracił dwadzieścia funtów, ponieważ z polecenia lekarza przez dwa tygodnie żywił się wyłącznie kapuśniakiem. Wręczając jej z pewnym zakłopotaniem kartkę z przepisem na kapuścianą zupę, Gooch zaproponował, aby spróbowali nowej diety. Skłamał przy tym w żywe oczy, dodając, że i jemu przybyło ostatnio parę kilo.

– Mam dosyć tych wszystkich cudownych diet. Skończyłam z tym – oświadczyła pokonana Mary, wyrzucając starannie wykaligrafowany przepis do śmieci. – Jestem gruba i już. Chyba powinnam się wreszcie z tym pogodzić.

Gooch objął ją i przytulił, aby nie widziała jego irytacji, po czym powiedział:

– Ja tylko chcę, żebyś była...

Odepchnęła go.

– Szczupła?

– Nie.

– Zdrowa? Przecież wiesz, że grubi też mogą być zdrowi.

– Wiem, Mary.

– Po prostu chciałbyś, żebym była inna, niż jestem.

– Tak.

– A widzisz?

– Chciałbym, żebyś była szczęśliwa. – Dodał jeszcze, że tusza nie pozwala jej żyć pełnią życia, więc nie powinna się na nią godzić, powinna się od niej uwolnić. Jak od uzależnienia od narkotyków. Albo papierosów. Albo hazardu.

– Ale ja już taka jestem – upierała się.

– Jesteś nieszczęśliwa.

– To przez innych, przez to, jak na mnie patrzą. Jak ty na mnie patrzysz.

– Nie możesz wejść na schody, żeby się nie zadyszeć. Jesteś stale zmęczona. Nie masz się w co ubrać. Bolą cię stawy.

– Kocham jeść – mruknęła bez przekonania.

– Nienawidzisz jeść.

Kiedy zapadła cisza, Gooch usiadł z gazetą i zatopił się w lekturze. Mary zastanawiała się, czy nie miał racji. Wyjęła z kubła przepis na kapuśniak i otrzepała kartkę z resztek kawy.

– Gooch?

Zaledwie na moment oderwał wzrok od kolumny sportowej.

– Rób, jak chcesz – mruknął.

– Nie mówię, że całkiem zrezygnowałam – powiedziała. – A ty, Gooch?

Kiwnął głową, ale najwyraźniej nie słuchał. Mary doskonale rozumiała, że Gooch bynajmniej nie wymaga, aby dążyła do jakiegoś ideału szczupłości i gdyby była po prostu tęga, pucułowata, pulchna, zaokrąglona, a nie chorobliwie otyła, niczego by od niej nie wymagał, niemniej jednak, jego obojętność sprawiła, że poczuła się odrzucona. Od tamtej pory przestał jej się narzucać także pod innymi względami.

Po tej niecodziennej, chwilami prawie szczerzej rozmowie, Mary i Gooch kochali się coraz rzadziej, a okresy abstynencji coraz bardziej się wydłużały. W odróżnieniu od swoich rówieśników, Gooch nie odziedziczył po ojcu nieodpartego pociągu do kobiet, w każdym razie nie okazywał go w obecności żony, chociaż wiedziała skądinąd, z jakim upodobaniem przygląda się innym kobietom – smukłym, nagim, o gigantycznych cyckach i starannie wygolonych łonach – w czasopiśmie, które ukrywał w łazience na najwyższej półce, pod ręcznikami. Na początku ich małżeństwa natrafiła na nie pod materacem wspólnego łóżka i oświadczyła:

– Nienawidzę tych szmatławców. Upredmiotowiają kobiety.

– Mężczyźni upredmiotowiają kobiety. Kobiety upredmiotowiają mężczyzn. Mężczyźni i kobiety upredmiotowiają sami siebie. Taki jest naturalny porządek rzeczy. Nie powinnaś brać tego do siebie, Mary. – Jej matka mówiła to samo, robiąc aluzję do masturbacyjnych nawyków swego męża.

Mary wyjrzała przez okno samolotu, próbując przebić wzrokiem czerń nocy. Przyszły jej na myśl słowa Sylvie Lafleur na wytłumaczenie, dlaczego uwiodła Goocha. „Bałam się, że to mi się nigdy więcej nie zdarzy”. Była ciekawa, czy Sylvie jeszcze się to zdarzyło. I czy zdarzy się jej samej.

Dla zabicia czasu wybiegła myślą w przyszłość. Za kilka godzin znajdzie się w Kalifornii. Będzie późno, za późno na to, żeby zapukać do domu Eden w Golden Hills, podmiejskiej dzielnicy Los Angeles, położonej po drugiej stronie Gór Santa Monica. Znalezienie środka transportu też zajmie trochę czasu, a Mary wiedziała, bo Eden kiedyś o tym wspomniała, że z lotniska jedzie się do nich około godziny. Będzie musiała przenocować w hotelu, wypać się i odświeżyć, zanim dotrze do celu. I zobaczy Goocha. Albo nie.

Popatrzyła na oddychające na jej podołku dziecko. Początek życia. Ma przed sobą wiele dni i wiele lat, drogę, która mu przypadnie albo którą sam sobie wykuje, wymuszone przez prawo prawdopodobieństwa i statystykę ustępstwa, nadzieję na trwałą miłość. Może okaże się kimś wyjątkowym, kto zostawi po sobie trwałe ślad. Mary zadumała się nad własną drogą od dnia narodzin do dziś. Dożyła połowy swoich dni, ale jak dotąd żyła tylko połowicznie.

Małeństwo poruszyło się, ziewnęło i znowu zapadło w spokojny sen. Rozmyślając nad jego jeszcze nie napisanym życiem, uświadomiła sobie, że jej własna, dalsza historia jest równie niewiadoma, jak tego dziecka. Dawną, głęboko wyżłobioną koleinę zostawiła za sobą; dokonawszy gwałtownego zwrotu, wstępowała oto na nową drogę. Otuchy dodawała jej nadzieja na cud nowego początku, a także ciepło pogrążonego we śnie niemowlęcia, miarowy rytm własnego serca, które nie waliło ani nie tłukło się w piersiach, ale biło równo i pewnie. Nie wiedziała, czyj Bóg to sprawił, więc uznała, że nie ma to znaczenia, miała natomiast nieznaną dotąd pewność, że nie jest sama.

W obawie, by we śnie nie upuścić dziecka, siedziała nieruchomo z otwartymi szeroko oczyma pomiędzy dwójką obcych ludzi, rozmyślając o swoim małżeńskim życiu aż do chwili, gdy podwozie samolotu podskoczyło na pasie startowym po drugiej stronie kontynentu. Zostawiła za sobą nie tylko dom, miasto, kraj, swoje dotychczasowe życie, ale i odrzuciła ciężar dawnych trosk, ponieważ odkryła przed sobą cel najważniejszy – odnalezienie Goocha. Nie tyle męża, który ją porzucił, ile mężczyznę, w którym zobaczyła teraz człowieka zagubionego.

Brązowoskóra kobieta po obudzeniu się jęła obmacywać gorączkowo swoje puste kolana, po czym odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła, że jej dziecko spoczywa bezpiecznie w ramionach otylej sąsiadki. Nastąpiło kolejne oczekiwanie, gdy pilot ogłosił, że z powodu opóźnienia na lotnisku nie ma w tej chwili wolnego wyjścia dla pasażerów, ale ludzie byli zanadto zmęczeni, aby głośno okazać swoje niezadowolenie, i zbyt zajęci wyjmowaniem komórek i wysyłaniem wiadomości do swoich bliskich.

Jedzenie. Odżywianie. Jedząc wyjęte z torby jabłko, Mary zdziwiła się, dlaczego nie ma ono żadnego smaku.

wymarzona Kalifornia

Mary wysiadła z samolotu i nie tylko nie spuszczała głowy, ale spoglądała na świat z optymizmem, ciesząc się, że nie musi, jak inni pasażerowie, czekać na lotnisku w Los Angeles na walizki ani taszczyć do wyjścia ciężkich bagaży. Miała ponadto setki dolarów w portfelu oraz tysiące dolarów na koncie. Gotówka poprawia samopoczucie.

Wychodząc z hali bagażowej, zauważyła małego łysego człowieczka w garniturze, ze spaloną słońcem czaszką, który mierzył ją podejrzliwym wzrokiem. Zawołał za nią, ale uznała, że pomylił ją z kimś innym albo co gorsza krzyknął coś obraźliwego, więc poszła dalej, nie odwracając się. Łysy mężczyzna pobiegł za nią i wprawił ją w osłupienie, kładąc jej, grzecznie, ale stanowczo, rękę na ramieniu. Dobitnie wymawiając sylaby, jakby mówił do głuchej, zapytał:

– Miracle?

– Co takiego? – zdziwiła się, nie pojmując, o jaki cud może mu chodzić.

– Miracle? – Kiedy, wyraźnie zaniepokojony, podsunął jej przed oczy tabliczkę, Mary zorientowała się, że jest na niej czyjeś nazwisko. – Pani...?

Nie potrafiłaby tego nazwiska wymówić.

– Ja? – spytała. – Nie, to nie ja.

Zawiedziony, odsunął się, wyjął z kieszeni telefon komórkowy i przepaszającym tonem zaczął coś mamrotać w niezrozumiałym języku.

Mary przemierzała dalej salę przylotów, gdy nagle w rytmie swoich kroków wyczuła jakąś zmianę, jakby nowe tętno, inną orkiestrację własnego ciała. Wydawało się mniej jej ciężyć i chociaż nie zastanawiała się nad tym, ile w ostatnich dniach mogła stracić na wadze – liczba funtów była bez znaczenia – to jednak miała takie poczucie, jakby stała się mniejsza.

Kiedy przed wielu laty jej ciało zmalowało dzięki zadomowionym w niej pasożytom, Mary nie celebrowała swojego pomniejszenia; także i teraz bardziej zastanawiała ją przyczyna takiego stanu. Istotniejsza nieobecność. Apetytu? Jedyne, na co miała apetyt, to na odnalezienie Goocha.

Cud? Tak, nadal wierzyła w cuda. Czyż cuda nie są po prostu przypadkowymi zbiegami okoliczności, które tym tylko różnią się od innych przypadkowych zbiegów okoliczności, że nie przynoszą bólu, tylko wprawiają w zadziwienie? A zasada trójki? Gooch wyśmiewał ją, tłumacząc: „Tragedie możesz sobie grupować równie dobrze w trójki, jak w trzydziestki, Mare. Z istnieniem ludzi nierozzerwalnie wiążą się tragedie. Z faktu, iż twojej babce i ciotce Peg zdarzyło się umrzeć, wcale nie wynika, że nasze dziecko też musi umrzeć”.

Mimo że z za wielopiętrowego parkingu wyglądało już słońce, na dworze było nadspodziewanie chłodno i Mary lekko zadrżała z zimna. Idąc, stwierdziła, że ból pięty znacznie zelżał. Oto jest jutro, pomyślała, witając poranek jak starego przyjaciela, który niedawno przestał się domagać zwrotu pokaznego długu.

Po opuszczeniu budynku ruszyła, zgodnie ze strzałkami, w kierunku pętli komunikacji miejskiej, uznała jednak, że musiała skrócić w złą stronę, ponieważ nie dostrzegła żadnych pojazdów, taksówek czy autobusów, które mogłyby ją dowieźć do Golden Hills, a w pobliżu nie było nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc. A ponieważ była niedożywiona, zaś w samolocie nie zmrzyła oka, usiadła na najbliższej ławce, aby odsapnąć i zastanowić się, co robić dalej. Przypomniawszy sobie, że ma komórkę, postanowiła zadzwonić do informacji i zapytać o numer, pod którym mogłaby zamówić taksówkę. Otworzyła telefon, nacisnęła trzycyfrowy numer informacji i przyłożyła komórkę do ucha. Cisza – żadnego sygnału. Zresztą nie była pewna, co powinna przycisnąć, żeby uzyskać połączenie.

Okazało się przy okazji, że jej paszport, który powinien znajdować się w zamkniętej

przegródce, leży luzem w wielkiej winylowej torbie, więc wyjęła go i przyjrzała się zdjęciu, którego wcześniej nie oglądała. Gooch chwycił fotkę, zanim zdążyła się jej przyjrzeć. Złe oświetlenie, siwe odrosty, twarz jak księżyc w pełni – stwierdził z dobrodusznym rozbawieniem. „Wyglądasz jak skazaniec”. On na swoim zdjęciu wyglądał, jak zwykle, bardzo przystojnie, ale Mary odparła: „Ty też”. Zaśmiał się, kiwając głową. Mary nie udzieliła się ekscytacją Goocha w związku ze zbliżającym się rejssem po Karaibach, odwrotnie, myśl o wycieczce była dla niej torturą, ponieważ od początku wiedziała – nawet w trakcie zastanawiania się, co ze sobą zabrać, albo planowania wypadów na ląd – że nie będą sączyć na pokładzie pinacolady ani spędzać wypełnionych zabawą dni na wyszukiwaniu słomianych mat na targach w Negrilu.

Gdy przy krawężniku zatrzymała się długa, czarna limuzyna, Mary zadała sobie, naturalne w tym miejscu, pytanie, która z tysięcy sławnych osobistości ukrywa się za przyciemnionymi oknami. Czekala na otwarcie drzwi samochodu, mając nadzieję, że osobą, która się z nich wyłoni, będzie jakaś gwiazda sportu albo muzyki, a ona będzie mogła podzielić się tą wiadomością z Goochem. Jednakże drzwi się nie otwierały, a limuzyna wciąż stała z pracującym cicho na jałowym biegu silnikiem. Mary przyszło do głowy, że pasażerowie nie wysiadają z jej powodu, ponieważ się na nich gapi. Opuszczono szybę i kierowca limuzyny spojrział na nią spod daszka czapki. Zdawał się czekać, aż sobie pójdzie, gdyż oprócz niej nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby zakłócić prywatność siedzących w jego samochodzie słynnych bogaczy albo pstryknąć komórką niepożądane zdjęcie. Mary na tę myśl głośno się roześmiała.

– Halo, proszę pani! – zawołał kierowca. Postanowiła zaprotestować, jeśli poprosi, by sobie poszła. – Halo! – zawołał ponownie, a Mary odpowiedziała tym samym. – Dokąd jedzie?

Mary, której wydawało się, że zapytał: „Kiedy odejdzie?”, wparła nogi w chodnik.

– Nigdzie nie idę.

– Dokąd?

– Nigdzie nie idę – odkrzyknęła. – Będę tu siedzieć, dopóki nie wymyślę, jak wezwać taksówkę do Golden Hills.

Mężczyzna wysiadł z limuzyny i zbliżył się do ławki. Po łysej, opalonej czaszce, która wychynęła spod uchylonej czapki, rozpoznała w nim człowieczka, który parę minut temu zadał jej pytanie o cud. Mężczyzna otworzył tylne drzwi samochodu. Głębokie, obite skórą fotele były puste.

– Moja pasażerka nie przylecieć – wyjaśnił. – Pani wsiada, zawiozę do Golden Hills. – A ponieważ Mary zwlekała, dodał: – Wezmę tyle samo, co zwykła taksówka. Pani wsiada.

Tylne siedzenie, identyczne jak siedzenie naprzeciwko, rozmiarami i wygodą przewyższało wszystkie kanapy, na których Mary odsiadywała dotąd przyjęcia. Na małych stolikach stały butelki schłodzonej wody oraz kryształowe naczynie z opakowanymi – każda osobno – miętówkami, była też miniaturowa lodówka, a przez jej oszklone drzwi widać było baterię butelek z alkoholami.

Mężczyzna ruszył od krawężnika, zerkając we wsteczne lusterko.

– Jak pani się nazywa?

– Mary – odparła. – Mary Gooch.

– Pani napije, jak ma ochotę. W koszyku jest jedzenie.

Spostrzegła, że na podłodze stoi wiklinowy koszyk z różnymi przekąskami – były tam torebki orzeszków makadamii, których nigdy jeszcze nie próbowała, starannie opakowane na tackach plastry sera i krakersy oraz świeże owoce. Otworzyła butelkę mrożonej wody i wychyliła ją z ulgą, po czym wyjrzała przez okno, nie mogąc się nadziwić liczbie samochodów. Była dopiero szósta rano.

– Jestem Big Avi – powiedział szofer, uśmiechając się szeroko.

Duży Avi, ze spaloną słońcem łysą czaszką, nie był duży. Był mały. O połowę chudszy od Mary i o kilkanaście centymetrów niższy. Roześmiał się, widząc jej zakłopotanie.

– Mój syn jest Little Avi – wyjaśnił. – Tam leży wizytówka z moim nazwiskiem i nazwą firmy: Miracle Limousine Service. – Mary głośno ją odczytała. – Kiedy mój szwagier rozkręcał interes, trzeba było cudu, żeby bank dał kredyt. Dzisiaj jeżdżenie po Los Angeles wymaga cudu.

Mary kiwnęła głową, machinalnie wzięła wizytówkę i nie mogąc dosięgnąć torby, włożyła ją do kieszeni. Przypomniała sobie swoją niemrawą jazdę po Toronto – wiele godzin, a może wiele dni temu. W poprzednim życiu.

– Wie pan, jak dojechać na Golden Hills?

– Pewnie – odparł. – Też mieszkam w dolinie. Skończyłem na dziś robotę. Jadę do domu. Nie jadę na pusto. Pani korzyść. Moja korzyść.

Zadzwońnię jego komórka, wydobyl ją z kieszeni i zaczął szybko trajkotać w obcym języku. Po skończonej rozmowie zwrócił się do Mary, spoglądając we wsteczne lusterko.

– Pani pierwszy raz w Los Angeles?

Skinęła głową, że tak; ruch samochodów i brak jedzenia przyprawiły ją o zawrót głowy. Spojrzała na koszyk na podłodze.

– Po ile te banany? – spytała.

Big Avi machnął ręką.

– Nic nie płaci. Niech pani je.

Kiedy obierała banana, ślinka nie napłynęła jej do ust. Dawniej aromat owoców, jedzonych na surowo, w formie bananowego ciasta ze śmietaną, mrożonego kremu, albo na gorąco, wprawiał Mary w ekstazę. Czula rozkoszną błogość, która sprawiała, że nie mogła się powstrzymać od pokusy zjedzenia trzeciego, a nawet czwartego kawałka, całej blachy albo całej kiści. Teraz jednak czula tylko słabą woń, a smak i zapach banana straciły moc oddziaływania na zmysły. Myśląc o ostatniej wizycie w Oakwood, o jabłku i wieloziarnistym batonie, Mary doszła do przekonania, że to stresująca sytuacja pozbawiła ją zmysłu smaku oraz powonienia i dlatego nie ma apetytu.

– Następnym razem niech pojedzie trasą nad Pacyfikiem. Jest bardziej dłuższa, ale bardziej piękniejsza. Dzisiaj pojedziemy drogą ekspresową – wyjaśnił kierowca. Mary znowu kiwnęła głową, obserwując mglisty pejzaż.

– Zgubili pani bagaż?

– Nie, nie. Nie miałam żadnego bagażu. Wyjechałam dosyć niespodziewanie.

Zaintrygowany mężczyzna podniósł brwi.

– Ot tak, wyszła z pracy i pomyślała: „W porządku, pojedziemy sobie do Kalifornii”?

– Coś w tym guście.

– Dzielna z pani kobieta. I jak to się mówi – spontaniczna?

– Ja, spontaniczna? Nie. A czy dzielna? Może.

Mary wpatrywała się jak urzeczona w migający za oknami świat, w którym wszystko, może z wyjątkiem gęsto rosnących białych oleandrów, pąsowych bugenwilli i chyłących się na wietrze wyniosłych palm, wyglądało inaczej, niż sobie wyobrażała. Po obu stronach szosy ciągnęły się bloki z betonu, które zdawały się podtrzymywać wyrastające za nimi wzgórza, obrośnięte ludzkimi siedzibami – niektóre z nich zbite w gromadkę, inne potężne, samotnie wyrastały ze zboczy.

– Tutaj piękna pogoda – zauważył Big Avi. – W dolinie gorąco. Ma pani szczęście, że akurat nie ma pożarów.

Mary pokiwała głową, nie bardzo wiedząc, o jakich pożarach mówi. Ani o jakiej dolinie.

Wyczulony na nastroje pasażerów kierowca zaproponował:

– Mogę podnieść szybę, jeżeli chce być sama. – To powiedziawszy, nacisnął guzik i znajdująca się za jego plecami ciemna tafla szkła zaczęła się podnosić.

– Nie! Proszę tego nie robić. Nie chcę być sama.

Uśmiechnął się szeroko.

– Moi klienci zwykle wolą być za szkłem. Staram się zachowywać profesjonalnie.

Mary ze zdziwieniem stwierdziła, że nic ją w gruncie rzeczy nie obchodzi, z czym znakomitym tyłkiem dzieli obite skórą siedzenie, ani nie jest ciekawa ploteczek, jakie mogły przypadkiem dojść do uszu kierowcy.

– Nie miałam pojęcia, jak tutaj naprawdę jest. Tyle samochodów.

– Ja też na początku nie mogłem się nadziwić, ale teraz jest tego dwa razy więcej. Może nawet trzy. Myślałem, że Los Angeles to Hollywood. Malibu. – Zaśmiał się. – Los Angeles to zbiorowisko wielu miejscowości. Golden Hills jest w pierwszej dziesiątce najbardziej bezpiecznych miast Ameryki. Ja mieszkam niedaleko, w Westlake.

– A te wszystkie gangi? Przystępstwa i mordy, o których stale się słyszy?

– Tam nikt nie jeździ. Tak to jest. – Pokazał palcem kierunek. – Wschód. Rejon południowo-środkowy. Nie dla turystów.

Mary przetrwała przez chwilę informację o tym, że w obrębie jednego obszaru wybrana część mieszkańców mieszka w jednym z najbezpieczniejszych miejsc w kraju, podczas gdy inna część toczy ze sobą, jak by to nazwał Gooch, haniebną wojnę domową.

– Tam jedzie się do Glendale. Mieszkają tam Ormianie.

– Aha.

– Centrum to biznes. I Azjaci. Każde skupisko jest inne.

– Jak w filmach – w zamyśleniu mruknęła Mary. Zamknięta w samochodzie, który pędził wśród mrowia innych pojazdów płataniną krzyżujących się dróg, czuła się nieskończenie mała, a jednocześnie ciekawa, czy zdoła stąd wypatrzeć Grauman's Chinese Theatre, świątynię scjentologów albo którąś z kilkunastu innych, znanych z kina i telewizji, charakterystycznych budowli.

– No świetnie. Dobrze się dzisiaj jedzie – ucieszył się Big Avi, kiedy udało mu się przedrzeć swą elegancką limuzyną do zjazdu z jednej autostrady i ponownie włączyć się w ruch na następnej, która zdaniem Mary, była równie zatkana jak poprzednia, niemniej kierowca wydawał się wręcz uszczęśliwiony. – Na tamtej stoi się czasami jak na parkingu. Nic się nie rusza. Ma pani szczęście. Istny cud.

Limuzyna przemykała jak rekin między pasami autostrady, wokół której wyrastały miejscami nowe betonowe bloki, a miejscami rozpościerały się gęste skupiska zabudowań. Niczym główny pasaż wielkiego centrum handlowego, autostrada zdawała się przecinać nieskończenie długi konsumencki raj sklepów niezliczonych sieci handlowych i popularnych restauracji szybkiej obsługi, niektóre reklamujące się dobrze znanymi złotymi łukami, inne o nieznanym nazwach. Wypatrzyła bawole oko firmy Target, amerykańskiego magazynu, do którego Kim i Wendy chciały ją zawieźć w któreś jej urodziny i który Kim łagodnie zachwalała, mówiąc: „Mają bardzo ładne rzeczy w dużych rozmiarach”.

– Pollo Loco – przeczytała Mary.

– Poyo – poprawił ją Big Avi. – To hiszpańska nazwa. Szalony kurczak.

– Szalony kurczak?

– Teraz przejeżdżamy przez Woodland Hills.

– Calabasas – odczytała napis na tablicy informacyjnej.

– To po hiszpańsku dynia – poinformował ją kierowca. – Źle napisane.

– Pan jest Hiszpanem?

Zerknął w lusterko, sprawdzając, czy nie żartuje.

– Ormianinem?

– Izraelczykiem. Mieszkam w Stanach od siedmiu lat. Little Avi urodził się w rok po moim przyjeździe.

Mary pomyślała o swoim pierwszym nienarodzonym dziecku. On albo ona miałyby teraz dwadzieścia cztery lata.

– Ja jestem Kanadyjką – zakomunikowała Mary, po raz pierwszy w życiu składając taką deklarację.

Twarz mu się rozjaśniła.

– Mam kuzyna w Toronto. My byli z wizytą dwa lata temu. Zabrałem małego Aviego na mecz hokeja. Klonowe Liście niech żyją – dodał z uśmiechem.

Mary nie przyznała się, że jej mąż, podobnie jak większość mieszkańców Leaford, kibicuje Czerwonym Skrzydłom z Detroit, ponieważ w obecnej sytuacji mogłoby to zostać poczytane za brak patriotyzmu.

– Mary Gooch, niech pani patrzy. Już mamy wzgórze.

I rzeczywiście, gęsta zabudowa została z tyłu, a przed nimi otworzyła się panorama płowożółtych, porośniętych gęstą roślinnością oraz kępami dębów wzniesień, między którymi wiała się wdzięcznie autostrada. Długie cienie nadawały życie wzgórzom, które zdawały się miarowo oddychać, niby drzemiące w półleżących pozach, nagie kobiety o złocistej skórze.

– Na wiosnę wszystko jest zielone jak stół bankietowy, mówię pani – powiedział Big Avi, wyrzucając w górę ręce. – I złote od kwitnących kwiatów. Zwykłego zielska. Ale jest pięknie.

Mary miała do mleczy identyczny stosunek. Zobaczyła napis na tablicy.

– Golden Hills – przeczytała.

– Już niedaleko. Za kilka minut. Mogę zapytać, jaki adres?

Gooch. Może w odległości paru minut drogi. Mary popatrzyła na siebie. Zapach nie był silny, niemniej wyczuła kwaśny odór własnej skóry, i uznała, że musi przynajmniej wziąć prysznic i przebrać się w czysty uniform, zanim wybierze się na poszukiwanie domu przy Willow Drive.

– Właściwie to chciałabym się zatrzymać w jakimś motelu – rzekła.

– Ma być dobry czy tani?

Już miała powiedzieć: „Dobry i tani”, ale przypomniała sobie, ile ma pieniędzy na koncie, a przecież w motelu zapłaci tylko za jeden dzień, bo Eden na pewno zaproponuje, żeby została u nich tak długo, jak zechce; wobec tego powiedziała:

– Dobry.

– Znam jeden bardzo dobry.

– Wystarczy dobry. Bardzo panu dziękuję.

– Pleasant Inn – zdecydował Avi. – Jest naprawdę dobry. – Dodając gazu na zjeździe do Golden Hills, machnął ręką w lewo. – Tam. Może z kwadrans jazdy. Malibu.

– Och. – Zaproponuje Goochowi, żeby tam pojechali. Wyobraziła sobie, jak w podwiniętych do kolan spodniach idą brzegiem oceanu, ona wyciąga do niego rękę i ścisła jego dłoń z wdzięczności za to, że może się z nim podzielić swoim zachwytem. „Cokolwiek się stało, wszystko jakoś się ułoży”.

– Widziała pani Ocean Spokojny? – zapytał kierowca, wyciągając przed siebie rękę.

– Nigdy nie widziałam żadnego oceanu.

– Musi pani zobaczyć. Porusza do głębi. Nie do opisania.

Stanął przed serią świateł, na skrzyżowaniu trzech ulic, złożonych w sumie z dwunastu

pasów ruchu, przy którym nieco z boku, na pustym, piaszczystym placu zobaczyła gromadę niewysokich, ciemnowłosych mężczyzn w wypłowiałych ubraniach i baseballowych czapkach. Stali wokół leżącej na ziemi góry termosów, rozglądając się dokoła z wyciągniętymi szycami jak patrolujące okolicę surykutki.

– Co to za ludzie? – spytała.

– Meksykanie.

– Co oni robią?

– To robotnicy do wynajęcia. Czekają.

– Na co?

– Aż ktoś przyjedzie.

– Ludzie tak po prostu po nich przyjeżdżają?

– Jak ktoś akurat potrzebuje pomocników na budowie. Albo przy zbiorze owoców. Do wszystkiego.

– I oni tak po prostu czekają?

– Rano jest ich jeszcze więcej. Ale teraz – zerknął na zegarek – byłby cud, gdyby ktoś się zatrzymał. Dzisiaj już nie zarobią.

– To co zrobią?

– Wrócą jutro. Może ktoś się zatrzyma. – Wzruszywszy ramionami, odjechał, skręcając w boczną ulicę.

– Mam nadzieję, że ktoś jeszcze przyjedzie – powiedziała Mary, napotykając wzrok jednego z oczekujących – barczystego mężczyzny z przyszywaną brodą, który stał trochę z boku i wyraźnie różnił się od pozostałych. Kiedy limuzyna mijała plac, oczy barczystego mężczyzny zatrzymały się na jej oknie i Mary wzdrygnęła się, zapominając w pierwszym momencie, że jest niewidoczna za przyciemnioną szybą.

– Okropne być biedakiem. Życie mnie tego nauczyło – westchnął Avi, trąbiąc na lśniącego suwa, którego kierowca zagapił się na zielonym świetle.

– Ma pan krewnych w Izraelu? – zagadnęła Mary.

– Nikogo. Wszyscy nie żyją.

– To smutne.

– Żyją już tylko tutaj – odparł, przyciskając zwiniętą pięść do piersi.

– Moi też już nie żyją. Został mi tylko mąż.

Avi zerknął w lusterko.

– A dzieci?

James, Thomas, Liza, Rachel. Pokręciła przecząco głową, odwracając się do okna. Nie zauważyła, że stanęli przed wybranym przez Aviego zajazdem, zorientowała się dopiero, gdy zdjął z głowy czapkę i odwrócił się twarzą do niej.

– Mary Gooch? – powiedział łagodnie. Podniosła wzrok, ale nie mogła dojrzeć ani jego twarzy, ani budynku, przed którym stali. Paliły ją mokre policzki. Big Avi wyciągnął rękę ponad oparciem siedzenia i podał jej papierową chusteczkę, którą przycisnęła do oczu, jakby cienka bibułka – a nawet całe ich pudełko – była w stanie powstrzymać powódź łez.

Kiedy za limuzyną rozległo się niecierpliwe trąbienie, Avi odjechał na parking, wysiadł z samochodu i przeszedłszy na jego tył, usiadł naprzeciw Mary.

– Przepraszam – powiedziała, wycierając nos. – Nie wiem, co mi się stało. Nigdy tak się nie zachowuję.

– Czasem trzeba sobie ulżyć – odparł z uśmiechem.

– Jesteśmy w hotelu? Powinam... – Wyciągnęła rękę po torebkę, ale powstrzymał ją delikatnie, dotykając jej dłoni.

– Proszę jeszcze nie wysiadać. Nie w tym stanie. Proszę się napić wody.

Napiła się wody z napoczętej butelki, próbując nad sobą zapanować.

– Pani nie jest spontaniczna. Ucieka pani przed czymś?

Popatrzyła na spaloną na czerwono twarz kierowcy, po czym powiedziała krótko: – Mąż mnie opuścił. Przyjechałam, żeby go odnaleźć. Jest tutaj. W Golden Hills. U mojej teściowej. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Rozumiem.

– Nie powinnam była przyjeżdżać. Po prostu... Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Jest inna kobieta?

– Nie sędzę.

Avi zawahał się.

– Mężczyzna?

– Nie – odparła z przekonaniem.

– Nie może mu się pani tak pokazać – zdecydował Big Avi, ściągając wargi. Puścił jej rękę, wysiadł z tylnej części limuzyny i usiadł z powrotem za kierownicą. Wyjechali z parkingu na ulicę.

– Dokąd jedziemy? – zdziwiła się.

– Zawiozę panią do Frankie.

niespotykana dobroć

Wielka limuzyna mogłaby sunąć ulicami dowolnego wielkiego miasta, wcale niekoniecznie przez spalone na brąz wzgórze północnej doliny San Fernando. Mary, oczyszczona do głębi swej istoty, opuściła nie tylko wnętrze samochodu, ale i swoje ciało – jak wtedy, gdy leżała na trawie pod burzliwym niebem Leaford. Wraz ze strumieniem łez uwolniła się od ciężaru niezliczonych tragedii, tysięcznych upokorzeń, nieprzebranych krzywd. Czuła się lekka. I miała dość rozumu na to, aby zdać sobie sprawę, że to nie sam płacz pozwolił jej się uwolnić od tamtych ciężarów, ale sprawił to cały ciąg zdarzeń, składających się na jej „życie po Goochu”.

Nie przyszło jej na myśl zapytać, kim jest Frankie, dlaczego do niego jadą ani w czym jakiś Frankie może jej w tej sytuacji pomóc. Kierowca zdawał się wiedzieć, co robi, jakby mówił: „Wiozę panią do mieszkającego na wzgórzu mędrca. On powie pani, jak postąpić”. Mary nie tyle poddała się jego woli, ile podporządkowała dziwności świata poza granicami Leaford. Zresztą nie czuła się gotowa na spotkanie z Goochem, jeśli rzeczywiście go spotka, i miała ochotę pofruwać jeszcze przez chwilę w ciepłym i suchym powietrzu nad dachem limuzyny, wiedząc dobrze, że i to uczucie minie. Jak wszystko.

Tak też się stało, bo kiedy limuzyna wjechała w pasaż handlowy, zaskakująca różnica między nim a podobnymi centrami, jakie znała z Leaford, Chatham czy nawet z Windsor, sprowadziło Mary z chmur z powrotem do wnętrza limuzyny. Rozległy parking zdobiły palmowe oazy, skupiska olśniewającej zieleni i imponujące fontanny, a wszystko odbijało się w lśniących przednich i bocznych szybach samochodów, wśród których nie było ani jednej furgonetki ford z zepsutym dachem. Stały za to hummery, których dotąd nie znała, choć w mrowiu mijanych po drodze z lotniska pojazdów widziała ich tyle, że w końcu przestała liczyć, a obok nich land-rovery i escalade’y, mercedesy i lexusy, corvetty i jaguary. Gooch byłby w siódmym niebie, pomyślała, będąc pod wrażeniem błyszczących nowością chromów i wyszukanych zderzaków, konturów i kształtów, kolorów i symetrii. Może za wygrane na loterii pieniądze kupił sobie nowy samochód. Ciekawe, czym teraz jeździ.

Ani jednej Dollaramy z zaśmiecającymi chodnik pudłami przecenionych towarów przed wejściem. Ani jednego baru z gotowymi kanapkami czy zapyziałego wielobranżowego sklepiku. Tylko rwące oczy wystawy salonów ekskluzywnej damskiej odzieży, jubilerskie sklepy i eleganckie biura nieruchomości. Wycierając sobie po raz ostatni nos, Mary chłonęła to wszystko wzrokiem, podziwiała pierwsze sceny z życia wysypujących się ze swych pojazdów Kalifornijczyków. Opalone dzieci w dobranych kolorem ubrankach i nowiutkich tenisówkach. Świetnie zbudowani, wysportowani mężczyźni w szykownych garniturach albo zenująco obcisłych szortach. No i kobiety – smukłe, zadbane, o lśniących włosach, w drogich dzinsach i uroczych pantofelkach z kokardkami, trzymające w rękach skórzane torebki ozdobione połyskującymi okuciami.

Big Avi zaparkował limuzynę naprzeciwko kawiarni, gdzie w ogródku stały cedrowe krzesła i olbrzymie parasole z grubego płótna, nienaruszone przez ptaki ani żywioły. Mary nie przyszło do głowy, że zawartość limuzyny może zainteresować przechodniów albo sączących kawę z mlekiem klientów lokalu, toteż przeraziła się, gdy wszystkie oczy skierowały się na Aviego, który – włożywszy na głowę swoją służbową czapkę – otworzył tylne drzwi i pomógł jej wysiąść. W oknie kawiarni rozpoznała odbicie swoich długich włosów, które w oślepiającym kalifornijskim słońcu przybrały płomiennorudą barwę. Pewnie biorą ją za aktorkę wracającą z próbnych zdjęć do roli ekscentrycznej pielęgniarki o złotym sercu albo wypuszczoną na przepustkę pensjonariuszkę szpitala psychiatrycznego, przemknęło Mary przez głowę.

Big Avi podał jej z uśmiechem ramię i poprowadził w stronę głównej alei.

– Po wizycie u Frankie nabierze pani sił. Wtedy zawiozę panią do męża – powiedział.

Może filiżanka o wiele za drogiej kawy nie uleczy jej cierpienia, pomyślała Mary, ale na pewno nie zaszkodzi.

– Przepraszam, że ma pan ze mną tyle kłopotu – odezwała się, ujęta jego niespotykaną dobrocią – ale myślę, że kawa dobrze by mi zrobiła.

Jednakże Big Avi minął ogródek z parasolami, podszedł do sąsiadujących z kawiarnią wielkich błękitnych drzwi i wprowadził Mary do złocistego, przepastnego ula, który Irma nazwałaby salonem piękności. Po obu stronach pomieszczenia siedziało na obrotowych fotelach stadko kobiet w różnym wieku, poddających się fryzjerskim zabiegom gromadki odzianych w białe kitle kobiet w różnym wieku. Zostawiwszy Mary w poczekalni, zanim zdążyła spytać, kto to jest Frankie i co robi w salonie piękności, Big Avi zniknął za srebrnymi wahadłowymi drzwiami, prowadzącymi na zaplecze salonu.

Mary obrzuciła wzrokiem cztery kobiety, które czekały na miękkich skórzanych fotelach – dwie z nich przestały przerzucać strony czasopism, a pozostałe podniosły wzrok znad trzymany w rękach komórek, by ocenić nowo przybyłą. Opanowawszy instynktowną chęć ucieczki, Mary zajęła miejsce obok długowłosej blond nastolatki, starając się nie sprawić przykrości swoim oddechem. Niepewna, czy jej lęk ma przewagę nad nadzieją, że to wszystko jest jedynie snem, oczekiwała momentu przebudzenia, widoku rysy na suficie, śniegu za oknem, pustej drugiej strony łóżka. Z zamyślenia wyrwało ją elektroniczne buczenie, spojrzała więc na młodziankę sąsiadkę, od której dźwięk zdawał się dochodzić.

– To chyba u pani – powiedziała dziewczyna.

– Przepraszam?

– To u pani – powtórzyła dziewczyna. – Pani telefon.

– Mój? – Buczenie nie przypominało „Dumnej Mary”.

– Pewnie dostała pani wiadomość.

– Ach. Ach. – Mary wyjęła komórkę z torebki. Jeżeli wiadomość, to pewnie coś ważnego. Może od Goocha. Mary wpatrywała się w komórkę. Buczenie nie ustawało. Pozostałe kobiety podniosły oczy, obserwując Mary, która naciskała kolejne guziki, w równym stopniu zakłopotana buczeniem telefonu, jak i własną nieudolnością. Z westchnieniem powiedziała:

– Przepraszam. Nie wiem, czy mam wiadomość. A jeśli nawet, to nie wiem, jak ją odebrać.

Wstrzymała oddech, nadal naciskając guziki, aż wreszcie siedząca naprzeciw niej młoda kobieta odłożyła czytane pismo i zauważyła:

– Może to bateria. Trzeba ją po prostu wyłączyć. – Kobieta wyciągnęła rękę i wzięła od Mary komórkę, a otwartą ją, oświadczyła: – Nie ma żadnej wiadomości. Musi ją pani po prostu doładować.

– Bardzo pani dziękuję – rzekła Mary, odbierając od niej telefon. Zastanawiała się, czy nie poprosić uprzejmej kobiety o ekspresową lekcję obsługi telefonu komórkowego, ale podniósłszy oczy, zobaczyła Aviego, który szedł w jej kierunku z szerokim uśmiechem na opalonej twarzy, a za nim sunęła kobieta o obfitych kształtach, z upiętymi na czubku głowy platynowymi włosami; agresywny makijaż podkreślał egzotyczne rysy nieznaną jej. O wiele młodsza od Mary, choć niemal dorównująca jej tuzą, kobieta z obwiedzionymi czarną kredką migdałowymi oczami i wydatnymi, krwistoczerwonymi ustami, obrzuciła Mary rzeczowym spojrzeniem mechanika oceniającego wrak samochodu.

– To jest Mary Gooch? – zapytała z amerykańskim akcentem, który zdawał się zdradzać cudzoziemskie pochodzenie mówiącej.

– Mary, pozwól, że przedstawię ci Frankie – ceremonialnym tonem odezwał się Avi. – Jest właścicielką tego gabinetu.

Zamiast białego kitla Frankie miała na sobie powłóczystą turkusową bluzkę z długimi rękawami w orientalny wzorek, narzuconą na identyczną spódnicę, która zdawała się pieścić kołyszące się fałdy jej pośladków i ud. Była piękna. Gruba i piękna. Oto akceptacja samej siebie, pomyślała Mary. A może pozorna swoboda, z jaką Frankie nosi swoje ciało, to jeszcze jedna mistyfikacja, podobna do tej, jaką uprawiają gwiazdy filmowe, które na okładkach magazynów pyszną się swą obfitością, a potem wynajmują się do reklam środków odchudzających.

Mary podniosła się nie bez pewnego trudu, wyciągając na powitanie dłoń, którą Frankie przyjęła, ale jej nie uściśnęła.

– Chodźmy, kochana – rzekła, pociągając Mary za sobą.

Big Avi klepnął ją po ramieniu.

– Frankie pomoże – powiedział. Zerknąwszy na zegarek, dodał: – Wrócę za godzinę.

Jeszcze chwilę temu, siedząc w poczekalni salonu, Mary nie domyślała się, że Frankie okaże się kobietą, a celem jej wizyty mają być zabiegi upiększające. Gdyby wiedziała, co ją czeka, na pewno by się sprzeciwiła, ponieważ pogardzała takim powierzchownym wspomaganiami urody. Z zasady nie oglądała telewizyjnych pokazów nakładania makijażu, ponieważ błyskawiczne transformacje brzydkich kaczątek w łabędzice wprawiały ją w przygnębienie, a sprzeczne przesłania mąciły jej w głowie. No bo, z jednej strony, wmawiano ludziom, nie tylko kobietom, że powinni akceptować swą niepowtarzalność, że ich wygląd zewnętrzny nie ma w istocie znaczenia, a z drugiej przekonywano, że modne uczesanie plus parę odpowiednich akcesoriów mogą radykalnie odmienić całe ich życie.

Obserwując spod półprzymkniętych powiek fałdy tłuszczu podrygujące na szyi Frankie, gdy ta wcierała w jej długie włosy kremową odżywkę, skurczyła się w sobie, gdy kobieta powiedziała nagle:

– Mnie też rzucił pierwszy mąż. Sześć lat temu.

– Och – odparła Mary, uznając, że powinna być wdzięczna Aviemu za to, że opowiedział Frankie jej historię i ona nie musi już tego robić.

– To było najlepsze, co mogło mnie spotkać. Dwa tygodnie później poznałam Boba i przysięgam na Boga, że nigdy więcej nie obejrzałam się za siebie.

– Och.

– Stoję sobie, jak gdyby nigdy nic, w magazynie przed ladą z wypiekami, żeby zamówić tort na urodziny siostrzeńca, a Bob stoi obok, no i zaczynamy gadu-gadu o korkach na ulicach i takich tam. Prawdę mówiąc, trochę mnie wkurzył, bo nie dalej jak może po dwóch minutach, pyta, czy się z nim umówię. – Frankie pochyliła się i ściszyła głos. – No to, myślę sobie, nie będę się obcyndalać, no i odpaliłam: „Jesteś jednym z tych seksmaniaków, co to lubią pieprzyć tłuste kobiety?”. A on patrzy mi prosto w oczy i wali: „Jeżeli jesteś jedną z tych tłustych kobiet, co to lubią się pieprzyć z seksmaniami?”. Myślałam, że nie pozbieram się ze śmiechu. Jestem z nim od tamtej pory.

Mary była zgorszona słownictwem i brakiem skrępowania Frankie, niemniej jej opowieść miała niezaprzeczalny urok.

– Bardzo ładna historia – powiedziała. – Pani też przyjechała z Izraela?

Stylistka, która przy sąsiedniej umywalce myła jakiejś brunetce włosy, parsknęła śmiechem.

– Frankie jest Iranką – powiedziała takim tonem, jakby każdy powinien o tym wiedzieć.

Po odejściu od umywalk, mając przed oczami drzwi salonu, Mary znowu ogarnęła chęć ucieczki, ale ponieważ Avi odjechał, a jej głowa ociekała wodą, nie pozostało jej nic innego, jak

usiąść na wskazanym przez Frankie obrotowym fotelu i pozwolić rozczesać sobie splątane włosy. Irma, pomyślała Mary, ale mimo udręki, jaką była dla niej świadomość, że matka nie rozpoznaje własnej córki, znalazła pewną pociechę w tym, że matka nie zdaje sobie sprawy z jej nieobecności. Mocno zacisnęła powieki.

– Ciężko ci, kochanie, wiem – odezwała się Frankie, sięgając po butelkę zmiękczającego płynu o mlecznym kolorze. – Słyszałam od Aviego, że zgubili ci bagaż. – Mary nie miała odwagi zaprzeczyć. – Znalazł sobie inną?

Znajdujące się w pobliżu kobiety, zarówno klientki salonu, jak i stylistka, wyraźnie nadstawiły uszu.

– Nie sądzę – odparła.

Frankie westchnęła, przypatrując się pasmom rudych wilgotnych włosów.

– Końce są kompletnie zniszczone, zresztą ta długość postarza panią o jakieś dziesięć lat. Myślę, że dobrze będzie skrócić o tak, do ramion.

A ponieważ Mary milczała, odezwała się kobieta z sąsiedniego fotela:

– Ma pani taką ładną twarz. Prawda, że ma ładną twarz?

Mary uśmiechnęła się w lustrze do obu kobiet.

– Niech pani tnie – rzekła do Frankie. – Według własnego uznania. – Frankie zebrała w dłonie ściągnięte w koński ogon włosy i ciachnęła je nożyczkami jak uprzykrzony chwast. Rudy ogon spadł na podłogę, a Mary spojrzała nań obojętnie, jakby należał do kogoś innego.

– Dzielna dziewczyna! – zawołała klientka z drugiego rzędu foteli.

Mary spłoniła się i podniosła oczy, gdy tymczasem Frankie odwróciła się i wymachując nad głowami klientek nożyczkami jak czarodziejską różdżką, oznajmiła:

– Moje panie, proszę o chwilę ciszy. Przedstawiam wam Mary Gooch z Kanady. Rzucił ją mąż. – Rozległy się współczujące cmoknięcia. – Który jest teraz u swojej matki w Golden Hills. Zaraz po wyjściu z mojego salonu Mary pojedzie tam i powie mu, co o nim myśli.

Ze wszystkich stron odezwały się zachęcające pomruki kobiet, których jednomyślne zainteresowanie mile zaskoczyło Mary. „Tylko łaska boska oszczędziła mi podobnego losu”.

– Może proste do ramion i trochę podwinięte przy twarzy – ciągnęła Frankie, jakby pytając o zdanie.

Stojąca za nią stylistka zawołała na to, przekrzykując hałas suszarki:

– Bez grzywki. Lana Turner z zaczesaniem na bok i lekko podniesione na czubku.

Mary waliło serce. Pozbawiono ją prywatności. Obcięto włosy. Nigdy nie była całkiem pewna swojej tożsamości, a teraz jeszcze mniej. Nie powinnam była tutaj przychodzić – szepnęła bezgłośnie do lustrzanego odbicia grubej kobiety z mokrymi rudymi włosami do ramion. – Czuję się zupełnie zagubiona.

Kobieta, która wcześniej pochwaliła jej twarz, pochwyciła w lustrze wzrok Mary.

– Oj, znamy to, znamy, moja droga. Wszystkie przeszłyśmy to samo.

Jeszcze inna, siedząca w kącie, której Mary dotąd nie zauważyła, podniosła oczy spod najeżonej aluminiowymi kwadracikami, dziwacznej peruki.

– Długo byliście małżeństwem?

– Dwadzieścia pięć lat.

– Musiałaś być dzieckiem.

– Miałam osiemnaście lat.

– Nieważne, co się stało. O dwadzieścia pięć lat życia warto zawalczyć – zdecydowała ta sama kobieta. Podniosła się i przeszła przez salon, szurając nogami, żeby usiąść w fotelu obok Mary. Czy miała uwiecznione w gładko napiętej skórze twarzy, której śmiertelny spokój, połączony z wargami jak po ukąszeniu pszczoły i wypełnionymi kolagenem małżowinami nosa,

stał się niemal powszechną modą, lecz Mary nigdy nie widziała czegoś takiego na własne oczy.

Wiele lat temu, w trakcie jednej z bolesnych dla Mary rozmów telefonicznych z teściową, Eden wspomniała mimochodem, że robi sobie lifting. Mary zachnęła się w duchu, miała ochotę spytać: „Po co?”, ale się powstrzymała. Zdziwiła ją reakcja Goocha, który wzruszył tylko ramionami i powiedział:

– Niech sobie robi, jak jej to sprawia przyjemność.

– A co ze starzeniem się z godnością? – obruszyła się Mary. – Nie oburza cię, że twoja matka jest taka próżna? Nie uważasz, że to nie w porządku?

– Moja matka jest próżna. Ale kim my jesteśmy, żeby ją osądzać? – odburknął zgryźliwie.

– Operacje plastyczne nie są bezpieczne, Gooch, zdarzają się wypadki śmiertelne. Moim zdaniem to głupota narażać się na takie ryzyko. – Jej otyły tułów zakołysał się w kącie pokoju i na tym zakończyli dyskusję o liftingu Eden.

Teraz Mary nie tylko sama poddawała się upiększającym zabiegom, ale siedząc z zamkniętymi oczyma, z przyjemnością chłoneła pieszczotę ciepłych podmuchów suszarki. Sprawiały jej rzadko spotykaną zmysłową rozkosz. Mary uświadomiła sobie, że jakkolwiek ona i Gooch ostatni raz kochali się sześć i pół roku temu, to ich fizyczne współzycie już od wielu lat, i wielu kilogramów, straciło walor intymnego doznania.

Kiedy minęły pierwsze lata ich małżeństwa, gdy sama myśl o jego wargach burzyła w niej krew, Mary zaczęła coraz częściej odpowiadać wykrętami na mężowskie próby zbliżenia, stając się niewolnicą hamującej wszelkie fizyczne pożądanie wiary we własną fizyczną nieatrakcyjność. Kiedy zabiegi Goocha stawały się szczególnie namiętne, nigdy nie brutalne ani natarczywe, ale gdy gorącymi pocałunkami pokrywał jej szyję albo czule pieścił jej piersi, Mary poddawała mu się, czekając niecierpliwie, jak Irma na zakończenie obiadu, kiedy będzie miała to wreszcie za sobą.

Kiedy Mary otworzyła oczy, z trudem się rozpoznała w siedzącej naprzeciw niej kobiecie z ładną twarzą, otoczoną sięgającymi ramion rudymi włosami.

– Och! – Nic więcej nie potrafiła powiedzieć.

Frankie uśmiechnęła się – artystka po ukończeniu arcydzieła.

– Ależ ekstra pani wygląda – odetchnęła przy wtórze zgodnych westchnień pozostałych kobiet. Mary zamruwała oczami w podziękowaniu, szukając na ich twarzach nieświadomych oznak, które zdradzą ich brak szczerości. Czy ta, tak jawnie demonstrowana wielkoduszność jest aby autentyczna? – zapytywała samą siebie. Wyczuwając jej krzywdę i zagubienie, wszystkie te kobiety weszły w jej buty, w tym przypadku w ciężkie zimowe obuwie, i zobaczyły przed sobą nie grubą czy chudą, starą czy młodą, biedną czy bogatą kobietę, ale porzuconą i zagubioną istotę, w której ujrzaly siebie.

Kiedy Mary uniosła się, plastikowa peleryna, którą Frankie okryła jej ramiona, ale zapomniiała zapiąć na karku, zsunęła się na podłogę.

– Nie może pani chodzić w czymś takim – orzekła jedna ze stylistek, wskazując oczami granatowy uniform. Frankie ściągnęła brwi. Pomogła Mary podnieść się z fotela, po czym ta piękna irańsko-amerykańska grubaska wzięła ją za rękę, wyprowadziła przez srebrne wahadłowe drzwi na zaplecze salonu i wciągnęła do bogato wyposażonej łazienki.

– Pani jest pielęgniarką? – zapytała, otwierając drzwi wielkiej szafy na ubrania.

Mary pokręciła głową, nie wyjaśniając pochodzenia swego uniformu, po czym zajrzała do szafy, w której wisiały najprzeróżniejsze suknie wielkich rozmiarów, opatrzone metkami z ceną. Frankie wybrała dwuczęściową suknię w ten sam, jak jej własna, drobny wzorek, ale w kolorze zielonym, i podała ją Mary razem z wieszakiem.

– Niech pani to przymierzy. Proszę się nie krępować. Mój mąż handluje odzieżą.

Odstąpię ją pani po hurtowej cenie. Niech się pani przebiera. – A ponieważ Mary nie zareagowała, Frankie szepnęła: – Wiem, chce pani zostać sama. Ale jedno pani powiem, tak między nami, puszystymi kobietami. Jeżeli pani zdaniem mąż odszedł z powodu pani tuszy, to powinna pani dziękować Bogu za drugą szansę w życiu.

– Czy dlatego pani mąż odszedł?

– Odszedł, bo byłam nieszczęśliwa. Stale się odchudzałam. A Bob uwielbia moją tuszę. Dzięki niemu poczułam się dobrze we własnym ciele. Jeżeli człowiekowi coś się w nim samym nie podoba, powinien to zmienić. A jak nie, to powinien się z tym czymś zaprzyjaźnić. Jedno albo drugie.

– Rozumiem.

Wychodząc z łazienki, Frankie dodała:

– Niedaleko stąd, w sąsiednim centrum handlowym, jest sklep z obuwem. Nie można chodzić po Kalifornii w takich butach.

Kiedy pięknie ubrana Mary stanęła w wahadłowych drzwiach i zobaczyła Aviego, zdała sobie sprawę, że cały salon czeka na jej wielkie wejście. Czując się niczym wypchnięta przemocą na scenę uczestniczka konkursu piękności, okręciła się wokół siebie i spłonęła rumieńcem. Zatrzymała się przed lustrem i poczekała, aż Frankie skończy coś poprawiać przy pasku nowej spódnicy.

– Ile jestem pani winna? – zapytała, wyjmując z torebki kartę kredytową.

Frankie wpisała kwotę i podała jej rachunek. Była to suma trzykrotnie wyższa od tego, co Mary wydawała w Leaford przez tydzień na utrzymanie domu.

Z głębi salonu wybiegła inna stylistka, niosąc zapakowany w plastikową torbę granatowy uniform.

– W Kalifornii nie można chodzić w takich butach – szepnęła.

Pokrywając zniecierpliwienie uśmiechem, Big Avi wziął Mary pod rękę, wyprowadził ją z salonu na oślepiające słońce i pomógł skryć się na powrót w skórzanym kokonie czekającej limuzyny.

wierzby płaczące

Big Avi popatrzył z szerokim uśmiechem w tylne lusterko.

– Pięknie pani wygląda. Czuje się silna? Czy tak?

– Tak – przytaknęła. Czuła się silna, ale nie za sprawą upiększających zabiegów. Chociaż niewątpliwie uległa powierzchownej przemianie, to jednak nie utożsamiała się z rudowłosą, elegancko (pomijając buty) odzianą kobietą, której odbicie zobaczyła w wysokim lustrze salonu piękności. Jej umocnienie się w sobie nie było dziełem owej zewnętrznej transformacji, lecz wynikało z mocy, jaką obudziły w niej kobiety, które uzbroiły ją w zieloną suknię w drobny wzorek i wysłały na bój, jaki miała stoczyć w imieniu ich wszystkich.

– Nie wiem doprawdy, jak panu dziękować – powiedziała. – Rzadko spotyka się ludzi gotowych zrobić tak dużo dla zupełnie obcej osoby.

– Nie ma o czym mówić – odparł, machając rękami. – Zapłaci mi pani za normalny kurs i sprawa załatwiona.

– Dziękuję.

– Nie ma pani pojęcia, ilu ludzi mi pomogło, kiedy pierwszy raz przyjechałem do Ameryki. Teraz ja służę innym, to moje podziękowanie. Tylko tyle. Rozumie pani? Zna pani to uczucie?

Mary nie знаła tego uczucia, ponieważ większość życia upłynęła jej na służeniu własnemu głodowi, i przez większość swoich dni, zboleła i udręczona, chodziła ze spuszczoną głową, zbyt przygnieciona własnymi niepowodzeniami, aby móc się zmierzyć z cudzą niedolą. Mogłaby powiedzieć, że służyła Goochowi, lecz byłaby to nieprawda. Poświęcenie się domowi uznawała za antifeministyczny wymysł, toteż gdyby nawet Gooch pracował o wiele dłużej i wpłacał na wspólne konto dwa razy tyle pieniędzy, nigdy nie polubiłaby domowych zajęć w rodzaju sprzątnięcia czy gotowania, nigdy też nie odczuwała dumy z powodu wypucowanego na glanc piekarnika, podobnie jak widok starannie poskładanych koszul Goocha, które prasowała w sobotnie poranki, nie przynosił jej zadowolenia.

– Wiem, gdzie jest Willow Drive – oznajmił Big Avi. – Na przedmieściu, przed Oak Hills.

Leaford nie posiadało niczego, co zasługiwałoby na miano przedmieścia. Składało się z historycznego centrum z jego okazałymi, wiktoriańskimi kamienicami oraz powstałymi w czasie wojny parterowymi domkami na peryferiach, zaś pozostała ludność mieszkała na wsi, uprawiając własne pola albo dzierżawiąc cudze domy i cudze grunta. Mary widywała przedmieścia Windsoru, o których Gooch mówił, że są nudne, bo architektonicznie mało urozmaicone, ale w porównaniu z tymi, przez które teraz przejeżdżała, mogłyby uchodzić za wzór różnorodności. Tutejsze podmiejskie domy były ogromnymi budowlami mieszkalnymi, monstrualnej wielkości siedzibami w sześciu powtarzających się wersjach: jedno albo dwa piętra, garaż po prawej albo po lewej stronie, wielki wykusz okienny albo niewielki łuk – pomalowanymi na jeden z trzech odcieni beżu, z grupą palm albo fontanną jako głównym elementem przestrzennym.

– Witamy w Willow Highlands – oznajmił Big Avi.

Usadowiona na szczytach falujących pagórków, zabudowana jeszcze większymi domami, z szerokimi, brukowanymi ulicami i takim mnóstwem miejsca do parkowania, że mieszkańcy Toronto albo Nowego Jorku zazgrzytaliby z zazdrości zębami, dzielnica Willow Highlands zrobiła na niej wrażenie malowanego na płótnie filmowego prospektu, złudnej wizji rajy, gotowej zniknąć za dotknięciem albo lekką zmianą perspektywy. Było wczesne popołudnie, więc

mieszkańcy byli zapewne w pracy albo w szkole, niemniej Mary wydawało się, że ich dusze snują się po domach, śniąc swój amerykański sen.

Nielicznymi żywymi istotami, które dostrzegła z okien samochodu, byli pracujący w pocie czoła, niscy, brązowoskórzy osobnicy.

– Czy ci ludzie to Meksykanie? – zapytała.

Avi zerknął w tylne lusterko, aby sprawdzić, czy nie żartuje, a upewniwszy się, że nie, wyjaśnił:

– Tutaj wszyscy mają służbę. Ogrodnika. Gosposię. Opiekunkę do dzieci.

– Pracują nielegalnie? Nawet u nas w Kanadzie dużo się słyszy o pracujących u was na czarno Meksykanach.

Avi wzruszył ramionami.

– Niektórzy. Na temat imigrantów każdy ma inne zdanie. Ja przyjechałem legalnie. Nie było łatwo. Kosztowało to masę pieniędzy, nie mieści się w głowie. Ale widzę, że oni przyjeżdżają szukać lepszego życia. Rozumiem ich. Chcą pracować.

Mary przyglądała się przez chwilę meksykańskiemu robotnikowi, dźwigającemu na plecach jakieś ogromne urządzenie, który grubą, podobną do karabinu maszynowego rurą zdmuchiwał liście z chodnika.

– U was drzewa też tracą liście – zauważyła.

– Niektóre. Tak. Oczywiście. Też mamy pory roku. W zimie nie jest zimno, ale sweter się przydaje.

– My w Kanadzie mówimy, że mamy tylko dwie pory roku: zimę i sezon budowlany – powiedziała Mary, ale widząc w lusterku stropioną minę Aviego, dodała: – Bo lato to jedyna pora, kiedy można przeprowadzać roboty drogowe.

– Aha, to dowcip. – Uśmiechnął się, skręcając w boczną ulicę. – Jeszcze dwie przecznice i jesteśmy w Willow. Który numer?

– Dwadzieścia cztery. – Mary przełknęła ślinę. Wyjrzała przez okno limuzyny i stwierdziła, że opuścili rejon okazałych domów i wjechali w znacznie skromniejszą okolicę u podnóża wzgórz, która – na jej rozum – powinna się nazywać Wierzbową Równiną. Mniejsze, białe tynkowane domy, otoczone mniej okazałymi trawnikami, mieszały się tutaj ze skupiskami piętrowych kamieniczek. A ponieważ jej teściowie byli ludźmi majątymi, Mary przestraszyła się, że przyjechała pod zły adres. Albo do niewłaściwego miasta.

– Muszę szybko wracać – powiedział Big Avi, spoglądając na zegarek. – Little Avi ma mecz futbolu. – Zatrzymał samochód przed skromnym białym domem o łukowym frontonie i wąską, nierówną ścieżką prowadzącą do drzwi, wzdłuż której stało kilka rachitycznych palm w glinianych donicach. – Numer dwadzieścia cztery.

Na przysypanym opadłymi liśćmi podjeździe stały dwa samochody: czerwone poobijane camry, na jej oko z końca lat dziewięćdziesiątych, i nowsze, białe hybrydowe auto typu prius, którym Gooch zachwyił się, ale potem je zdyskwalifikował, uznając za zbyt małe dla wysokiego mężczyzny.

– Ktoś będzie w domu, prawda? – spytał Avi, wsuwając do maszyny jej kartę kredytową.

– To nie może być ich dom – powiedziała niepewnie Mary. – Moi teściowie są bardzo zamożni.

– W Kalifornii inaczej liczy się bogactwo – zauważył Avi. – Ten dom musi kosztować z milion dolarów.

– Niemożliwe!

– Słowo daję. – Wysiadł z szoferki, by pomóc Mary wydobyć się z tylnego siedzenia. Ucisnąwszy jej rękę, popatrzył Mary w oczy i szepnął: – Proszę iść i rozmówić się ze swoim

mężem.

Mary skinęła głową, a gdy ruszył, z uśmiechem pomachała mu ręką. Boże – modliła się w duchu – pomóż mi znaleźć właściwe słowa. Poczowała trzepotanie serca i zbeształa się w duchu, że nie przyszło jej do głowy, aby lepiej wzmocnić swe siły zawartością wiklinowego koszyka. Zmierzając do drzwi białego domu, miała nadzieję, że wyczuje obecność Jimmy’ego Goocha, tak jak wyczuwała obecność Boga.

Jednakże naklejony na szybę wejściowych drzwi zakaz palenia utwierdził ją w przekonaniu, że trafiła pod niewłaściwy adres. Nie pamiętała, aby kiedykolwiek widziała Jacka, zarówno na żywo, jak i na zdjęciu, bez zwisającego z kącika ust papierosa.

Weszła po schodkach i nadstawiła uszu, usiłując, mimo skrzeczących na sąsiednim drzewie wron, pochwyć jakieś dźwięki z wnętrza domu, ale nic nie usłyszała. To nie tu. Musi być inny numer dwadzieścia cztery przy Willow Drive w innym Golden Hills w Kalifornii. Pamiętała, że teściowie mieli w swym poprzednim domu długi basen sportowy i kort tenisowy. Kilka lat temu Eden przysłała im zdjęcie siebie i Jacka, oboje mieli na sobie identyczne markowe dresy i stali na podjeździe wspaniałej rezydencji, oparci o srebrzystą acurę. Pamiętała, jak Gooch mruknął wtedy: „Po diabła im siedem sypialni?”.

Nie ten dom. Co teraz?

Nagle drzwi otworzyły się i stanęła w nich niewysoka kobieta o ładnych czarnych oczach, z zaczesanymi w kok czarnymi włosami, która zmierzyła Mary podejrzliwym spojrzeniem.

– *Hola* – powiedziała.

– Mary – poprawiła ją Mary.

– *Hola?*

– Nie, Mary – powtórzyła Mary. – Mary.

Kobieta powiedziała coś po hiszpańsku, czego Mary nie zrozumiała, po czym zawołała przyciszonym głosem w głąb domu:

– *Señora*.

– Zdaje się, że pomyliłam adres – usprawiedliwiła się Mary. Jednakże po krótkiej chwili zobaczyła wyłaniającą się niepewnym krokiem z mrocznego holu kruchą staruszkę i serce mocno jej zabiło. Nie widziała Eden od dwudziestu lat, lecz rozpoznała ją natychmiast po niepowtarzalnej czarnej grzywce.

Jeżeli nawet twarz teściowej została kiedyś poddana renowacji, to od tamtego czasu dolna jej część zdążyła na powrót oklapnąć. Kąciki po kocjemu ukośnych, kaprawych oczu sięgały zewnętrznych końców grzywki, zaś policzki i podgardle obwisły jak susząca się na sznurze bielizna. Jej ciało było zniekształcone i łamliwe, jak pozostawiona na deszczu gałąź drzewa. Patykowate ramiona kończyły się powykręcanyymi przez artretyzm dłońmi. Eden albo nie poznała swojej synowej, albo nie dopisywał jej wzrok.

– O co chodzi, Chita? – zapytała.

– Eden – szepnęła Mary.

– Tak – odparła, mrużąc oczy, stara kobieta, wyraźnie zbita z tropu.

– Eden, to ja, Mary.

Cień świadomości przemknął przez zniszczoną twarz.

– Mary?

– Przepraszam, że zjawiam się w ten sposób.

– Nigdy bym cię nie poznała – rzekła Eden.

Mary dotknęła odruchowo swych rudych, falujących włosów, ale natychmiast pojęła, że teściowa nie ma na myśli radykalnej zmiany jej wyglądu, tylko niebywałe rozmiary jej ciała. Stała na ganku, czekając, aż Eden zaprosi ją do środka.

Słyszając pikanie mikrofalówki, Meksykanka wycofała się do domu, a zmęczona stanem i poirytowana najściem Eden oparła się o framugę drzwi.

– Nie, Mary, nie ma go tutaj – powiedziała.

– Ale Heather mówiła...

– Heather? – powtórzyła Eden, podnosząc brwi. – Owszem, był u nas, ale już go nie ma.

Mary pociągnęła nosem, mając nadzieję, że wyłowi zapach Goocha. Eden z ciężkim westchnieniem zgodziła się wreszcie szerzej uchylić drzwi.

– No trudno, wejść – powiedziała. – Ale zachowuj się cicho. Jack śpi.

W domu unosił się słaby, ale znajomy zapach – lekki odór moczu z domieszką zgnilizny – jak w przybytku św. Jana w Leaford. I w domu Christophera Klika w dzień pogrzebu.

Wchodząc za teściową do małego, zastawionego zbyt wielkimi meblami saloniku, Mary poczuła, że drży na całym ciele. Tak niewiele brakowało. Gdybym przyszła parę godzin albo parę dni wcześniej, zastałabym go, przemknęło jej przez głowę, choć wiedziała, że w istocie spóźniła się o wiele lat. Zrobiło jej się słabo i nie tyle usiadła, co opadła na obity materią fotel.

– Strasznie mi przykro, Eden, nie chcę robić ci kłopotu, ale dzisiaj prawie nic nie jadłam. Boję się, żebym nie zemdlą.

Eden podniosła oczy ku niebu i ściszone głosem zawołała w głąb domu:

– Chita! Przynieść ciastka i szklanę mrożonej herbaty! – Usiadłszy na kanapie na wprost Mary, z nieskrywaną pretensją w głosie oświadczyła: – Nie powinnaś tu przyjeżdżać. I na litość boską, co ci przyszło do głowy, żeby jechać do Kalifornii w zimowych butach?

– Musiałam przyjechać.

– Został z niego wrak człowieka. Dobrze wiesz. Wrak człowieka.

W ciągu dwudziestu pięciu lat małżeństwa Mary ani razu nie słyszała, żeby Gooch odmalowywał swoje życie w aż tak żalonych barwach. To ona była zawsze wrakiem człowieka, nieszczęśnicą albo nieudacznicą. Ale nie Gooch. Gooch nigdy się nie poddawał. Gooch był zwycięzcą. Akceptował koleje swego losu, podczas gdy ona, podparwszy pamiętnik swego życia na wypukłym brzuchu, przerzucała na chybił trafił jego kolejne strony, ubolewając, że autor inaczej nią nie pokierował.

– Heather powiedziała, że wygrał pieniądze na loterii.

– Wiem. – Eden pierwszy raz się uśmiechnęła, ukazując komplet śnieżnobiałych zębów, dłuższych i bardziej kwadratowych niż oryginalne. – Bóg wysłuchał moich modlitw.

– Kiedy tu był? – spytała ostrożnie Mary, bojąc się, że Eden schowa się raptem w kącie jak dziki kot, albo będzie po dziecinemu udawać głuchą.

– W zeszłym tygodniu. We wtorek albo w środę. Czasami tracę poczucie czasu.

W innych okolicznościach Mary odniosłaby się ze zrozumieniem do kwestii utraty poczucia czasu. Zamiast tego powiedziała:

– Martwiłam się.

– Nie chciał cię zranić, Mary.

– Mieliśmy ostatnio zły okres – cicho powiedziała Mary, przyjmując zimną szklanę z rąk meksykańskiej służącej, która wniosła właśnie talerzyk ciastek i mrożoną herbatę.

– Mówił, że to jego wina.

– Naprawdę?

– Ale wina nigdy nie leży po jednej stronie, czyż nie? – ciągnęła Eden. – Tak mi powiedziałam. Powiedziałam mu: „Przestań się zadręczać, Jimmy. Mary na pewno nie jest bez winy”. Nie powiedział na ciebie złego słowa. Ani, ani. Nie wspomniał nawet, jak bardzo utylaś. – Eden podniosła wysoko brwi. – Z trudem cię poznałam. Jesteś dwa razy grubsza niż wtedy, kiedy widziałyśmy się ostatni raz.

Mary popatrzyła na talerzyk z ciastkami, ale nie była w stanie wyciągnąć po nie ręki. Myśl o wzięciu do ust słodkiego, zakalcowatego ciasta wywołała kolejną falę mdłości i obudziła na nowo ostry, pulsujący ból między oczami.

– Mogę się tylko domyślać, co przeżywał przez te wszystkie lata. Taki utalentowany chłopak! Powinien zostać pisarzem – ciągnęła Eden, a niewykorzystany potencjał Goocha zawisł w wilgotnym, smrodliwym powietrzu wraz z oczywistym podtekstem jej wypowiedzi.

To prawda, myślała Mary. Gooch powinien być zostać pisarzem. Powinien być zostać wszystkim, byle nie tym, czym się stał.

– Tylko, broń Boże, nie rozlej herbaty – ostrzegła ją Eden. – Te obicia kosztowały dwa tysiące dolarów.

– Och! – rzekła Mary, podnosząc szklankę do ust.

– Jak się ma twoja matka?

– Bez zmian.

– Wiem, Mary, że tobie też los nie szczędził rozczarowań.

– To prawda.

– Ale to niczego nie usprawiedliwia.

– Dokąd pojechał po wizycie u was? Proszę, powiedz mi, jeżeli wiesz. Jestem jego żoną – błagała Mary. – Jestem jego żoną.

– Wspominał, że chce zobaczyć sekwoje. Mówił o wielkiej wyprawie w nieznaną. Pieszej wędrownicy albo czymś w tym rodzaju. Miał jakiś przewodnik. Powiedział, że nie ma dokładnych planów, ale po prostu potrzebuje czasu do namysłu.

Czas do namysłu.

– Nie mówił, jak długo to potrwa?

– Nie, nie mówił. I nie myśl, że pytał mnie o zdanie, zresztą nigdy w żadnej sprawie nie pytał o moje zdanie, ale ja i tak mu powiedziałam, że powinien wystąpić o rozwód i zacząć wszystko od nowa. Oboje powinniście zacząć od nowa. Jest jeszcze młody. Mógłby przeżyć dobre trzydzieści lat z inną osobą. Spójrz na mnie i Jacka.

Mary odchrząknęła.

– Naprawdę nie wiesz, dokąd pojechał?

– Siedział tutaj nie dłużej niż godzinę, ale i tak zdążył się pokłócić z Jackiem – prychnęła Eden. – Taka jest cena, którą musimy płacić. Mąż musi być zawsze na pierwszym miejscu. Tak należy postępować. Ty powinnaś była o tym pamiętać.

Mary nie zapytała, czy utrata dzieci nie była za wysoką ceną, gdyż z potępiającego spojrzenia teściowej wyczytała, że jej zdaniem to one zostały pokrzywdzone.

– Chcę mu pomóc. Chcę... – Załączniki do jej chęci były zbyt osobiste i skomplikowane, aby mogła je ująć w słowa.

– Zaprosiłabym cię do nas, ale za pół godziny przychodzi sześć osób na spotkanie modlitewne.

Gdyby nie ból głowy, Mary palnęłaby się wnętrzem dłoni w czoło i zawołała: „Co mi przyszło do głowy? Jak mogłam sobie wyobrażać, że zastanę tutaj Goocha, który będzie się zastanawiał nad sobą w toksycznej obecności Jacka Asquitha?”.

– Bardzo mi przykro, Eden. Przepraszam, że pokłócili się z Jackiem. Rozumiem, co musiałyś przeżywać.

Eden złagodniała.

– Obiecał, że przed wyjazdem z Kalifornii jeszcze raz się ze mną zobaczy. Powiedziałam mu, że spotkamy się w barze w delikatesach.

– Jeszcze się odezwie?

– Obiecał, że przyjedzie, żeby się pożegnać.

Pożegnanie. A więc on też rozumiał sens rytuału. Chciał się pożegnać, ponieważ zdał sobie sprawę ze śmiertelności swej matki. Albo własnej. Wygrana na loterii była impulsem, który wytrącił go z inercji. Mary wyobraziła sobie Goocha, jak siedzi w ciężarówce na zapleczu restauracji Chunga, oblizując się na myśl o wymarzonej combo numer 5. Widziała wyraz jego twarzy w chwili, gdy wyciągniętą z kieszeni monetą zdrapuje srebrne pola na loteryjnym bilecie i w trzech pasujących liczbach odnajduje bodziec oraz środki po temu, by porzucić żonę i przemyśleć własną egzystencję. Wolność.

– Myślę, że powinnam na niego poczekać.

– Ale nie tutaj – oświadczyła Eden. – Poza tym nie wiemy, kiedy się pojawi.

– Kiedyś skończą mu się pieniądze.

– Pewnie tak.

– I będzie zmuszony wrócić do pracy.

– Kiedyś tak.

– Przecież nie wygrał miliona. Powiedział ci, ile wygrał?

– Dosyć. Powiedział, że dosyć.

„Dosyć”. Co za słowo! Sugerujące stan równowagi. Dokładnie wyważoną sumę.

Rozkoszne słowo – dopóki ktoś nie wrzaśnie do ciebie: Dosyć!

Podejrzewając, że Eden nie mówi prawdy, powiedziała:

– Skoro obiecał wrócić, to na pewno dotrzyma słowa. A ja powinnam być wtedy na miejscu.

– Rób, co chcesz, Mary, ale ja nie mogę zaprosić cię do domu, a u nas nawet tanie motele sporo kosztują. Zresztą to może potrwać dłużej niż dzień czy dwa, a nawet tydzień. A jeżeli wyjechał na miesiąc? Albo na dłużej?

– Tego by nie zrobił. – Popijając mrożoną herbatę, Mary kalkulowała, ile może ją kosztować miesięczny pobyt w hotelu plus inne wydatki.

– No i co będziesz robić, Mary? Siedzieć w hotelu i oglądać telewizję? Zamawiać do pokoju niezdrowe jedzenie? Nie mówiąc już o tym, że jeśli zostaniesz, będziesz przez cały czas potrzebowała samochodu. Bez samochodu nie zrobisz u nas ani kroku. Czym przyjechałaś?

– Ktoś mnie podwiózł. – Po dodaniu do swoich rachunków opłaty za wynajęcie samochodu, której wysokości mogła się jedynie domyślać, Mary zaniepokoiła się. Siedzieć w obcym kraju, czekając na Goocha, dopóki nie wyczerpią się pieniądze? Wrócić do Leaford i podjąć dawne życie? Jakże? Pan Barkley odszedł. Orin odszedł. Matka jest już tylko cieniem samej siebie. Nie ma nawet pracy, do której mogłaby wrócić. To ostatnie przypomniało Mary, że to kolejna rzecz, o którą będzie się musiała kiedyś zatroszczyć.

– Zostanę – oświadczyła.

– No cóż, ja swoje powiedziałam – odparła Eden, rozkładając ręce.

Sięgnąwszy do torebki, Mary wyjęła pióro i kartkę papieru.

– Dam ci numer mojej komórki, a ty zadzwoń do mnie, dobrze? Jak się odezwie.

Eden wzięła od niej kartkę i położyła ją na stole.

– Uważam, że robisz błąd. Naprawdę tak uważam.

Wstały obie i pokonując opór swych niedoleźnych ciał, skierowały się ku drzwiom. Będąc już jedną nogą na ganku, Mary przypomniała sobie o torebce i plastikowej torbie z granatowym uniformem. Cofnąwszy się, usłyszała szmer dobiegający z pokoju na końcu korytarza. Gooch.

A więc Eden okłamała ją – jak Heather, i jak wszyscy okłamujący tych, których kochają; albo tych, którym są coś winni. Gooch jest w domu i zaraz wyjdzie z pokoju, myśląc, że jego

żona już sobie poszła.

– Gooch? – rzuciła bez namysłu.

Jack Asquith – zapuchnięty, pokonany, skurczony i pomarszczony cień człowieka w masce tlenowej, wciśniętej na twarz o wygarbowanej skórze – wyjechał z pokoju na małym elektrycznym wózku inwalidzkim. Uosobiona śmierć, wymizerowana i sama sobą przerażona, sunęła ku znieruchomiałej pod drzwiami Mary.

– Jack! – wyszeptała.

– Wróć do pokoju, Jack, i przygotuj się na spotkanie modlitewne – zarządziła Eden.

Jednakże Jack jechał dalej po terakotowej posadzce, mierząc Mary podejrzliwym spojrzeniem przymrużonych oczu, jak intruza, który bez pozwolenia wdarł się za kulisy w trakcie przedstawienia. Zahamował tuż przed nią, niemal dotykając kołami wózka jej butów, zsunął z twarzy maskę i wychrypiał:

– Kto?

Eden zamachała rękami.

– Nikt, kochanie. Jedź do siebie i przygotuj się. – Wypchnęła Mary na ganek, zamykając za sobą drzwi, żeby Jack nie słyszał, co mówi, i rzekła błagalnie: – Proszę, nie denerwuj go.

– Boże, jak on okropnie wygląda! – wyszeptała Mary.

– W naszym domu nie wzywamy Boga nadaremno.

– Przepraszam. Ja tylko...

– No cóż, wiedziałaś, że ma rozedmę płuc. – Mary milcząco zaprzeczyła ruchem głowy. –

Z dnia na dzień jest coraz gorzej.

– Strasznie mi przykro.

– Możesz sobie wyobrazić mnie, zebrzącą u własnego syna o pieniądze?

– Dlaczego?

– Jak to, dlaczego? Ubezpieczenie Jacka nie pokrywa nawet połowy kosztów leczenia.

– Nie wiedziałam.

– Musiałaś wiedzieć.

– Nie rozmawialiśmy ze sobą od długiego czasu, Eden.

– Ale wiedziałaś, że straciliśmy firmę. Wiedziałaś, że straciliśmy dom. – Mary pokręciła przecząco głową. – Tracę poczucie czasu. Może faktycznie nie mówiłam ci o tym – dodała Eden. – Przestałaś dzwonić.

To prawda. Mary przestała dzwonić do Eden w każdą ostatnią niedzielę miesiąca. Zbyt często natrafiała na automatyczną sekretarkę i zastanawiając się w panice, co powiedzieć, zdawała sobie sprawę, że ona i Eden nie mają sobie nic do powiedzenia. W końcu zrezygnowała z udawania nieistniejących relacji z teściową. Gooch zrobił to samo znacznie wcześniej niż ona. Mary przyszło do głowy, że poddając się rytuałowi pożegnania, Gooch szukał wybaczenia. Albo go udzielał.

– Mam pieniądze, Eden. Mogę...

– Jimmy dał mi pięć tysięcy. I mam obligacje, których termin upływa w tym miesiącu, więc jestem na jakiś czas zabezpieczona. Reszta jest w Jego rękach.

– Goocha?

– Pana Boga. Zresztą nie mogę ci odbierać twojej części wygranej. Będziesz jej potrzebowała, żeby ułożyć sobie życie na nowo.

A więc *fait accompli* – przypomniawszy sobie Mary fraza ze szkolnych lekcji francuskiego. Sprawa zakończona. Zamknięta. Dokonana. Martwa. Oto jak Eden widziała małżeństwo Mary. Ale sama Mary miała wystarczające zabezpieczenie finansowe, by nie tracić nadziei. Chociaż w stan niepewności wprowadzała ją niewiedza, ile Gooch wygrał w sumie na swojej loterii oraz ile

pieniędzy znajduje się nadal na jej koncie. Musi pójść do jakiegoś banku i sprawdzić, czy amerykańskie bankomaty honorują kanadyjską kartę kredytową.

– W centrum, niedaleko autostrady jest motel o nazwie Pleasant Inn, gdzie zamierzam wynająć pokój.

– I...

– Poczekam. Będę czekać na Goocha.

– Jak długo?

– Nie wiem.

– Nie mogę cię tam zawieźć.

– Pójdę piechotą.

– To ponad mila drogi – zaśmiała się Eden.

– Umieć chodzić – zapewniła ją Mary. – Zadzwońisz do mnie? – spytała, usiłując zmusić Eden, żeby spojrziała jej w oczy.

– Zadzwońię – odparła Eden, po czym zatrzasnęła drzwi, zamykając siebie, Jacka i czarnooką Meksykankę w grobowcu cuchnącego domu, aby tam, w modlitewnym kręgu, oczekiwać boskiego zmiłowania.

jasno wyznaczony cel

Słońce podnosiło się na niebie, centymetr po centymetrze, ale Mary wciąż stała na podjeździe, mając nadzieję, że Eden oszukała ją i zaraz wybiegnie, jak przedtem zrobiła to Heather, i zawoła: „Znajdziesz go tam i tam!”. Albo: „Zatrzymał się w takim a takim miejscu!”.

Jednakże drzwi pozostawały zamknięte, a Mary uświadomiła sobie, że nie dojdzie piechotą do oddalonego o pełną milę motelu Pleasant Inn. Nie mogła również tkwić na słońcu, które paliło jej jasną cerę, zmieniało w pochodnię jej rude włosy, przypalało białą skórę czaszki. Mary nigdy nie używała ochronnych kremów, ponieważ nigdy się nie opalała i rzadko wystawiała ciało na działanie promieni słonecznych. Jeszcze parę minut na tej spiekocie i zacznie skwierczeć.

Śmiech i łzy, których obietnicę niosły powieści w jej ciężkiej torbie, walczyły ze sobą w gardle Mary, gdy zdecydowała się rozpocząć wędrówkę chodnikiem do centrum Willow Highlands. Pamiętała, że po drugiej stronie wzniesienia widziała duże centrum handlowe. Zajrzy do banku sprawdzić stan konta, a potem ruszy do hotelu. Pół mili. Za wzgórzem. W drogę!

Wzgórze nie tyle wznosiło się, ile pięło pionowo w górę, toteż w trakcie powolnej wspinaczki, w boleśnie ocierających stopy zimowych butach, z trudem łapiąc oddech, Mary zadała sobie ni stąd, ni zowąd pytanie, jakim cudem dzieci z Golden Hills mogą się nauczyć jazdy na rowerze. Nieco wyżej zauważyła Meksykanina w średnim wieku, który obok opustoszałego placu zabaw wyładowywał z małej czerwonej furgonetki kosiarkę do trawy. Pomachała mu i nie zważając na jego zmieszanie, przekrzykując szczęk metalu, zawołała niemądrze:

– Ale upał, co?

Goniąc resztkami sił, dotarła do połowy stromego wzgórza, po czym zatrzymała się, by odsapnąć na brzegu skrzącej się w słońcu, kamiennej fontanny, w cieniu monstrualnie wielkiego garażu. Willow Highlands, pomyślała, chwytając oddech i rozglądając się dokoła. Królestwo obfitości, do którego aspiruje wszechświat. Pewnego razu Gooch powtórzył jej swoją rozmowę z imigrantem z Afryki Zachodniej, którą odbył kiedyś w knajpie przy autostradzie, podczas jednego ze swoich kursów w okolicy London. Mężczyzna ów zwierzył mu się, że marzy o tym, aby jego dzieci wychowały się w Ameryce, bo dzięki temu wyrosną w przeświadczeniu, że wszystko im się należy.

Gooch marzył wprawdzie o corvettach i śnił o lincolnach, nie był jednak – może z natury, a może za sprawą okoliczności – materialistą. Brakuje mu nie nowych rzeczy, ale nowych doświadczeń, wyznawał w rzadkich momentach szczerości, w owych wczesnych latach małżeństwa, kiedy Mary sekundowała jeszcze jego marzeniom. „Musimy wybrać się samochodem na wycieczkę do Kolumbii Brytyjskiej”, mówił, albo: „Trzeba by pojechać kiedyś nad Rzekę Świętego Wawrzyńca, żeby zobaczyć migrujące wieloryby”. I jeszcze: „Chciałbym cię zabrać na ślizgawkę na Kanale Rideau”. Nigdy nie wspominał o sekwojach czy Big Sur jako o celu swoich marzeń, choć mogły nim być. Równie dobrze jak Waszyngton w Dystrykcie Kolumbia. Albo Yellowknife. Albo Nowy Jork. Albo Sztambuł. „Pojeźdź ze mną, Mary. Jedź ze mną”.

Przysiadłszy na brzegu tryskającej za jej plecami fontanny, oddychała głęboko, słuchając szumu kosiarki i dmuchaw do usuwania liści. To robotnicy trudzą się dla bogaczy. Gdzieś tam Gooch popija z manierki, spoglądając na falujący ocean, i poszukuje własnej prawdy – a może Boga? – co wieńczy wszystkie odkrywcze podróże. O czym rozmawiałby z Bogiem? O polityce światowej. O klasycznych dziełach filmowych. Mary miała nadzieję, że żeński Bóg zrobi mu

cynamonową grzanekę i pozwoli złożyć głowę do snu na świętej pustyni.

Kiedy spróbowała ponownie stanąć na nogi, stało się dla niej jasne, że w żaden sposób nie pokona reszty wzgórze. Czowała, że jej ciało uparcie domaga się pożywienia. Za mało zjadła, a ono mściło się teraz, ustając, opadając z sił i stawiając opór, tak samo jak bekało, srało i dostawało skurczy żołądka, kiedy zanadto się objadła.

Wzrok Mary spoczął znów na Meksykaninie, który tym razem próbował skłonić swoją sfatygowaną czerwoną furgonetkę do jazdy w górę wzgórze; przy okazji uświadomiła sobie, że podczas jej odpoczynku mężczyzna zdążył ściąć trawę na terenie placu zabaw dla dzieci.

– Niech pan zaczeka! – zawołała. – Bardzo proszę! – Kiedy mężczyzna zatrzymał się przy krawężniku, Mary oderwała się od brzegu fontanny. Uśmiechnęła się do niego. – Niech pan będzie tak miły i podwiezie mnie do banku, bardzo proszę. – Meksykanin zdawał się nie rozumieć, i wyraźnie się spłoszył, kiedy Mary otworzyła prawe drzwi i kładąc na siedzeniu podróżną torbę, powiedziała: – Zapłacę panu. – Wyciągnąwszy plik pieniędzy, wetknęła mu w poplamioną na zielono rękę pięćdziesięciodolarowy banknot. Przyjął go, ale nadal nie rozumiał, o co chodzi. – To dolary kanadyjskie – wyjaśniła. – Ale w banku panu wymienią – dodała, wskazując kierunek i wdrapując się do szoferki. – Podrzuci mnie pan do banku?

Meksykanin pokręcił głową, spoglądając na nią tak, jakby przepraszał, że nie rozumie, a może żałował, że się zatrzymał.

Przypomniała sobie, że obok banku widziała knajpę z gotowym jedzeniem, i dodała:

– Szalony Kurczak! Pollo!

– Pollo? – zapytał. – El Pollo Loco? – Kiwnąwszy głową, wrzucił bieg. Mary nie dała rady dosięgnąć leżącej na podłodze torby, dlatego resztę banknotów wetknęła do kieszeni swej zielonej sukni w orientalne wzory.

Ponieważ w żaden sposób nie była w stanie porozumieć się z kierowcą, oglądała mijane domy, a tymczasem odrapana furgonetka dotarła na szczyt wzgórze i zjechała w dół na główną arterię. Kiedy zatrzymali się na światłach, jej uwagę zwrócił napis na tylnej szybie stojącego przed nimi chevroleta. W pierwszej chwili wzięła go za reklamę, ale ku swemu zdziwieniu przeczytała: „Trent Bishop: 1972–2002. Pozostanie na zawsze w naszych sercach”. Nigdy nie widziała nekrologu umieszczonego na samochodzie i była pod wrażeniem tej wzruszająco wytrwałej żałoby – stałości, z jaką siedząca za kierownicą starsza, ciemnowłosa kobieta przypominała całemu światu podczas codziennych wypraw na zakupy albo do pracy, że straciła syna imieniem Trent, ale pamięć o nim będzie jej zawsze towarzyszyła, jak zdjęcie w medalionie, i jej syn nigdy nie zostanie zapomniany.

Pomyślała o porzuconej w Toronto furgonetce z zatkanym tekturą otworem w dachu, i przyszło jej do głowy, że mogłaby w podobny sposób upamiętnić swoje małżeństwo, umieszczając na tylnej szybie napis: „James i Mary Gooch: 1982–?”.

Wysiadając z odrapanej czerwonej furgonetki, ucieszyła się, że Meksykanin nie próbuje oddać jej pieniędzy. Zamiast tego szybko nacisnął na gaz i odjechał, zapewne w obawie, by niewątpliwie szalona kobieta nie zażądała ich zwrotu.

Bankomat znajdował się w polu widzenia, ale w tej samej odległości dostrzegła drogerię i poczuła zew. Brzmiał nieco inaczej niż wołanie lodówki czy baru szybkiej obsługi, był to raczej dźwięk ostrzegawczego dzwonka niż syreni śpiew. Jedzenie. Zmierzając do drogerii, czuła, jakby szła boso po rozżarzonych węglach – żar słońca skłaniał do tego, aby przystanąć, lecz siła woli popychała naprzód utrudzone ciało. Odkąd odszedł Gooch, wykonała na własnych nogach więcej kroków niż przez cały miniony rok, i to nie zawsze tą samą ścieżką, lecz stawiając same nowe kroki, stromo pod górę, po kamieniach, w dodatku dźwigając nie tylko ciężar własnego ciała, ale także wypchaną winylową torbę oraz jeszcze solidniejszy ciężar postępującej wiedzy o sobie

samej.

W drogerii, z jej znajomym jak własny dom zapaszkciem, kłębiły się grupki matek z dziećmi, które musiały jakiś czas temu wysypać się ze szkoły do oczekujących na nie samochodów, gdyż kilkoro z nich widziała wcześniej podczas swej krótkiej jazdy. Było też paru mężczyzn w garniturach, z komórkami przy uszach i kubkami kawy na wynos w rękach, oraz kilka starych kobiet, kuśtykających po przepisane lekarstwa do aptecznej lady w głębi sklepu. Mary szła z podniesioną głową, zdając sobie sprawę, że nie spotka tutaj Goocha. Chociaż, kto wie?

W przeciwieństwie do żywiących się kukurydzą leafordczyków albo mozaiki ludzi najróżniejszych kształtów i kolorów na ulicach Toronto, wśród mieszkańców Golden Hills najwyraźniej przeważali biali, jak sportowcy zwinni i gibcy, po liftingach i zabiegach upiększających, gdzie trzeba odessani albo implantowani. I jacy wysocy! Nawet jej, która przeżyła dwadzieścia pięć lat z jednym z najwyższych mężczyzn w hrabstwie Baldoon, mieszkańcy Golden Hills zaimponowali swoim wzrostem – jakby ścigali się z palmami.

Odszukała rząd chłodziarek, odsunęła drzwi i wyjęła sześć wielkich butli wody. Gdy wrzuciła je do i tak ciężkiej torby, jej nadszarpnięte mięśnie nie były w stanie temu sprostać. Przeprowadziła więc sklepowy wózek, wstawiła do niego wodę, torebkę, plastikową torbę z granatowym uniformem, i dorzuciła dwanaście dietetycznych batonów, chlubiących się na etykietce zawartością protein i innych wzmacniających składników odżywczych. A ponieważ odezwał się ból między oczami, pojechała do działu środków przeciwbólowych, gdzie włożyła do wózka słoik tabletek o podwójnym działaniu. W dziale artykułów sezonowych dorzuciła kilka tubek kremu przeciwsłonecznego.

Odczekawszy swoje w kolejce do kasy, przypomniała sobie o wetkniętym do kieszeni pliku pieniędzy i wybrała jeden z banknotów. Kasjerka pokręciła głową.

– Nie przyjmujemy kanadyjskich pieniędzy – powiedziała z uprzejmym uśmiechem. Mary chciało się krzyknąć.

– Ja też pracowałam w drogerii i u nas zawsze przyjmowaliśmy amerykańskie pieniądze, odliczając nadwyżkę, jeśli jankeski dolar stał wyżej niż nasz. – Wetknąwszy pieniądze z powrotem do kieszeni, wyjęła z torebki kartę kredytową i podała ją kasjerce.

Kiedy ta oddała jej plastikowe torby, Mary wrzuciła je do wózka i ruszyła ku drzwiom. Dla ulżenia przeciążonym mięśniom, wsparła się całym ciałem o wózek, który pozwolił jej dotaszczyć bagaże na drugi koniec parkingu, na skraj otaczającego bank pasa zieleni. Stamtąd będzie musiała nieść swoje torby o własnych siłach, ale na szczęście zauważyła ocienioną ławkę, która pozwoli jej odsapnąć, zjeść batonik i napić się wody przed podjęciem dalszych wysiłków zmierzających do wyjaśnienia, ile pieniędzy zostało na jej koncie. Czuła, jak z każdym krokiem i każdym oddechem ubywa jej kalorii.

Zanim państwo Gooch podjęli finansowy wysiłek kupna nowego srebrzystego dywanu, tkanego na krosnach, w czasach gdy Mary nadal kupowała całe naręcza pism, zdarzyło jej się, z narastającą furią, czytać artykuł jakiejś ekspertki od żywienia (Gooch zostawił otwarte na artykule pismo po jej stronie łóżka), która z rozbijającą prostotą tłumaczyła, dlaczego w czasach, kiedy Trzeci Świat przymiera głodem, w Pierwszym Świecie szerzy się chorobliwa otyłość. Opierając swe wywody na zestawieniu przyrostu kalorii z jednej i ubytku kalorii z drugiej strony, autorka tak oto podsumowywała wykładane oczywistości:

W zbyt wielu restauracjach podają nam porcje dwa razy większe, niż potrzebujemy. Przyrost kalorii. Pozwalamy maszynom wykonywać za nas codzienne czynności. Ubytek kalorii. Część restauracji nie podaje zawartości tłuszczu i wartości odżywczej podawanych potraw, pozbawiając tym samym konsumentów możliwości dokonania prawidłowego wyboru.

Przyrost kalorii. Wsiadamy do samochodu, kiedy moglibyśmy pojechać rowerem albo pójść piechotą. Ubytek kalorii. Porozumiewamy się za pośrednictwem komputerów. Zbyt wiele czasu spędzamy przed telewizorem. Odkładamy do jutra to, co moglibyśmy zrobić dzisiaj.

Artykuł roił się od tyłu zniewag, że zasiadając do napisania listu do redakcji, Mary nie wiedziała, od czego zacząć. Najpierw uraził ją sam Gooch, podrzucając artykuł – jakby nie czytała tysięcy podobnych, nie mówiąc już o stu tysiącach wyznań najrozmaitszych kobiet, opisujących swoje pomysły na to, jak schudnąć. O tym jednak w liście nie wspomniała.

Druga zniewaga polegała, zdaniem Mary, na bardzo uproszczonym i agresywnym, pozbawionym współczucia podejściu autorki do epidemii otyłości. W taki sam sposób ludzie bez serca wypowiadali się na temat ofiar raka: „Nie trzeba było palić”, albo o ofiarach hiv: „Trzeba było używać prezerwatyw”. Tym samym tonem autorka artykułu zdawała się upominać Mary i jej podobne, mówiąc: „Nie objadaj się, tylko rusz swój gruby tyłek”. Gdy tymczasem przyczyny chorobliwej otyłości, podobnie jak anoreksji („Zacznij normalnie jeść, kretynko, bo zagłodzisz się na śmierć”), są znacznie bardziej skomplikowane. Autorka ani razu nie poruszyła sprawy zawodów miłosnych. Nie przyznała, że jedzenie to panaceum na utratę bliskiej osoby. I ani słowem nie wspomniała o męce samotności.

W wydrukowanym kolorową czcionką przypisie do swego artykułu, zatytułowanym „Jak zacząć”, autorka radziła nadmiernie otyłym kobietom, aby w początkowym okresie gimnastykowały się w nieważkim środowisku wodnym, a dopiero potem, gdy mięśnie się wzmocnią, podejmowały bardziej wyczerpujące ćwiczenia na lądzie. Jakby wszyscy mieli własne, prywatne baseny. A nadmiernie otyłe kobiety o niczym bardziej nie marzyły, jak o tym, aby wcisnąwszy się w skąpy kostium, obnosić swoje obfitości na oczach innych w miejscu publicznym. Kipiąc ze złości, Mary przewróciła jednak stronę i doczytała artykuł do samego końca, żeby – w razie gdyby Gooch ją o to zapytał – mogła odpowiedzieć, że owszem, przeczytała.

Ostateczną zniewagą była fotografia autorki, specjalistki od żywienia, której książka *Kakaowa mama. Dlaczego maluchy uwielbiają czekoladę* miała się wkrótce ukazać drukiem. Kobieta, na oko czterdziestoparoletnia, była wysoką, smukłą blondynką w obcisłych džinsach i kowbojskich butach, o rysujących się wyraźnie pod śnieżnobiałym T-shirtem jędrnych piersiach, a na jej twarzy malował się raczej triumfalny niż ujmujący uśmiech. Nie była tak uderzająco piękna jak Heather, niemniej była kobietą bez wątpienia atrakcyjną, żoną lekarza i matką dwojga dorastających dzieci, mieszkającą w Vermont, w domu przerobionym z dawnego kościoła, która lubiła piec ciasta z owocami z własnego ogrodu i prowadziła cieszący się popularnością blog zatytułowany „Wprowadzajmy marzenia w życie”.

Mary dokładnie przestudiowała biograficzną notkę, nie znalazła w niej jednak najmniejszej wzmianki na temat dawnej otyłości autorki, niczego, co by wskazywało, że nie była od zawsze tą samą chudą suką, mierzącą Mary beczelnym wzrokiem znad białego parkanu, o który opierała się plecami. Baba być może piecze te swoje placki, ale na pewno ich nie je. Jak jej nie wstyd?

List do redakcji zaczynał się od wyrzutów pod adresem autorki, której Mary przypominała o istnieniu różnych złożonych czynników powodujących otyłość oraz wielu medycznych przyczyn utrudniających schudnięcie. Natomiast z napisaniem dalszego ciągu nie mogła sobie poradzić i ciągle coś skreślała albo poprawiała, ponieważ przy każdej próbie sformułowania kolejnej zjadliwej krytyki jej umysł zalewała fala niechęci, jaką budziła w niej figura autorki, jej długie, smukłe nogi i kształtne ramiona. Nie żeby się nie zgadzała z małą w końcu oryginalną i zdumiewająco banalną treścią artykułu; po prostu odmawiała autorce prawa do wymądrzania się na temat, którego nie znała z własnego doświadczenia. Baba z całą

pewnością nie miała nigdy do czynienia z tłustoniem.

Głowa do góry, cel jasno określony. Plan gotowy. Sprawdzić stan konta. Pojechać do motelu. Naładować komórkę. Czekać na telefon – od Heather, od Goocha, od Eden, od Joyce. I czekać – jak meksykańscy mężczyźni z pustego placu przy głównej arterii. Czekać. Spać. Ostatni punkt nie budził niepewności czy niepokoju, ponieważ Mary czuła, że teraz, gdy ma wyznaczony plan, a nie listę czynności, spłynie na nią wyzwalający sen.

Jej sny na jawie przekształcały się najczęściej w koszmary – fantazje na temat jedzenia, wizje sekretnych zapasów, strach przed przyłapaniem na gorącym uczynku. Teraz uświadomiła sobie, że gdy tak wolnym krokiem, w oślepiającym słońcu, przemierza parking, popychając sklepowy wózek, zatapia się w fantazji na temat Goocha. Wyobraziła sobie, że widzi potężną postać męża, który pochyla się nad bankomatem, a ona podchodzi z tyłu, otacza ramionami jego szeroki tors i szepcze: „To ja, Gooch. Jestem tutaj”. A on odwraca się i mówi: „Mare. Och, Mare”.

Zatrzymała się na końcu parkingu, żeby wyładować z wózka plastikowe torby, i o mało nie runęła na plecy, podcięta przez jasnowłosego chłopczyka w wieku przedszkolnym, który pojawił się za nią nie wiadomo skąd. Widząc jej wystraszoną minę, malec wybuchnął płaczem, jakby to ona wymierzyła mu cios z backhandu.

– Ojej! – mruknęła, rozglądając się za oszalałą z rozpacz matką. Mały zapłakał jeszcze głośniej. – No, nie płacz, kochanie – powiedziała z uśmiechem. – Nic się nie stało. Znajdziemy mamę. – Odstawiła plastikowe torby, po czym wyciągnęła rękę, którą – ku jej zaskoczeniu – malec skwapliwie pochwycił. Gdy minęli rząd zaparkowanych samochodów, zobaczyła matkę, cieniutką jak trzcina blondynkę z dwoma podobnie jasnowłosymi brzdącami po bokach, która podbiegła, wołając:

– Joshua! – Na widok zbliżających się matki i braci, malec nie puścił pulchnej dłoni Mary, a kiedy matka wyciągnęła do niego rękę i z groźną miną oświadczyła: – Nie wolno uciekać! Nie wolno uciekać od mamy! – uczeplił się jej jeszcze mocniej.

Mary czuła się winna i zakłopotana – zupełnie jak wtedy, gdy wyniosła ze sklepu tackę czekoladowych ciastek, którą ukryła na dnie wózka, a potem nie wyłożyła przy kasie razem z resztą zakupów.

– Odwróciłam się i zobaczyłam, że stoi za mną – wyjaśniła.

Kobieta, zajęta wyłącznie karceniem nieposłusznego potomka, nawet na nią nie spojrzała.

– No, mój panie, możesz się pożegnać ze swoim Happy Mealem z niespodzianką w McDonalddie – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– Obiecałaś! – wrzasnął malec.

– Pod warunkiem że będziesz grzeczny – skorygowała go matka, po czym, odciągawszy chłopca od Mary, odwróciła się bez słowa i odeszła.

Mary wróciła do swoich toreb, które pozbierała nie bez wysiłku; przy okazji zdała sobie sprawę, że choć nie musiała wprawdzie schylać się do samej ziemi, by pochwycić plastikowe uszy, niemniej musiała się mocno pochylić, znacznie niżej niż byłaby w stanie jeszcze parę dni temu.

Po dotarciu do stojącej w cieniu banku ławki, zrobiła sobie obiecany odpoczynek i wyjęła z torby dietetyczny batonik. Rozerwawszy opakowanie, zjadła go bez pośpiechu, wypijając przy tym połowę butli wody, a po skończonym posiłku odpoczywała jeszcze chwilę, w lekkim powiewie wiatru, obserwując wędrówkę słońca po niebie, dopóki nie poczuła się na siłach, by podjąć dalszą wędrówkę. Pozbierała swoje torby i ruszyła w kierunku bankomatu, który znajdował się po drugiej stronie głównego wejścia, ale gdy chciała sięgnąć do portfela po kartę, stwierdziła, że ma wprawdzie plastikowe reklamówki, zarówno tę z granatowym uniformem, jak

i inne, z butlami wody, zdrowymi batonami, z aspiryną i kremem przeciwsłonecznym, ale nie ma portfela. Ani wielkiej, brązowej winylowej torby. Została w sklepowym wózku, była ostatnią rzeczą, jaką miała z niej wyjąć w momencie, gdy zagubiony chłopczyk odwrócił jej uwagę od bagaży.

W nagłym przyplywie adrenaliny pospieszyła z powrotem na parking, gdzie zostawiła wózek. Stał nadal w tym samym miejscu. Ale nie było w nim torby.

Ruszyła do sklepu. Spocona, w eleganckiej sukience, pchnęła z rozmachem drzwi, zwracając na siebie uwagę klientów swym nerwowym gestem, zanim jeszcze zdążyła zawołać:
– Moja torba. Zostawiłam torbę w wózku. Czy ktoś ją zwrócił?

Kasjerka wzruszyła ramionami i przecząco pokręciła głową. Nieliczni klienci popatrzyli na Mary ze współczuciem. Mężczyźni, z powodu jej żalosnego wyglądu, kobiety, ponieważ wiedziały, co to znaczy zgubić torbę. Miała w niej wszystko. Kosmetyczkę. Nieprzeczytane powieści. Kartę bankową. Paszport. Potwierdzoną dokumentami tożsamość. Prawo jazdy, kartę kredytową, książeczkę zdrowia. Telefon.

Po tym, jak kasjerka wypytała pozostałych, bezradnie kręcących głowami członków personelu, Mary pokuśtykała z powrotem na parking, w miejsce, gdzie – była tego pewna – ostatni raz widziała swoją torbę. To tu. Wózek stoi. To tu. Ani śladu torby. I żaden wybawiciel z jej torbą w ręce nie wypatruje właścicielki między zaparkowanymi samochodami, tak ja ona, trzymając za rękę zgubione dziecko, wypatrywała niedawno jego szalejącej z niepokoju właścicielki.

Stracona torba. Zaginiony mąż. Zagubiona w obcym świecie żona. Mary stała na parkingu jak skamieniała, nie zważając na palące promienie słońca.

nazwisko, które trudno zapomnieć

Mary nie była obeznana z bankami, troska o ich finanse należała do Goocha, ona tylko w rzadkich przypadkach, kiedy Gooch zapomniał wyjąć odpowiednią sumę na domowe wydatki, wstępowała do banku w Leaford, by wypisać czek, którego wysokość podawała mu później z niezmiennie kłamliwym wyjaśnieniem. „Musiałam wziąć z banku parę groszy ekstra”, „Na prezent urodzinowy dla Candance” albo: „Na fundusz charytatywny, no wiesz, ten, na który Ray zbiera pieniądze”. Podczas gdy w rzeczywistości wydała pieniądze na zjedzoną po kryjomu porcję żeberek albo żeby zamówić kolejną porcję czekoladek Laury Secord.

Od razu po otwarciu drzwi banku poczuła ulgę, nie tylko z powodu chłodnego powiewu klimatyzowanego powietrza, ale ponieważ przy stanowiskach kasjerów nie zobaczyła kolejek. W rozległym, nowocześnie urządzonym wnętrzu widać było tylko pięciu pracowników: dwóch mężczyzn, którzy siedzieli na wysokich stołkach za kasjerskimi biurkami i stukali w klawiatury komputerów, oraz trzech innych, którzy w głębi sali pochylali się z zaaferowanymi minami nad komputerem kierownika. Wszystkie oczy skierowały się na wchodzącą Mary. Ale po szybkim otaksowaniu jej wzrokiem i odnotowaniu w duchu: „Do banku wchodzi gruba kobieta”, grupa kierownicza wróciła do swoich, im tylko znanych, rachunkowych problemów.

Kiedy Mary skierowała kroki ku dwóm kasjerom, obaj podnieśli wzrok i zamrugali oczami, jakby zobaczyli zjawę i czekali, kiedy się rozplynie.

W ciągu paru sekund, mijając lśniący chromem i skórą kawowy kącik, w którym nie odpoczywał ani jeden klient, umysł Mary zdążył się przygotować na podjęcie trudnej decyzji wyboru kasjera, do którego podejdzie; zwróciła również uwagę na ich wybitną urodę, jako że obaj mężczyźni – nieskazitelnie zadbani od kołnierzyka w górę i harmonijnie zbudowani pod ciemnymi, eleganckimi garniturami – wyglądali jak modele, aktorzy albo gwiazdy sportu.

Ten po stronie prawej, z nazwiskiem Cooper Ross na identyfikatorze, stanowił wersję jaśniejszą. Opadający na opalone czoło pukiel piaskowoblond włosów, kwadratowe szczęki, białe zęby. Siedzący po stronie lewej Emery Carr miał przyjemnie śniadą karnację i gładko zaczesane czarne włosy. Mary zobaczyła siebie widzianą jego oczami i bezbłędnie odczytała ich przesłanie: „Podejdz do Coopera! Nie do mnie! Do Coopera!”.

Omdlące nogi Mary wiedziały jednak swoje, a może kierowała nimi opatrność, w każdym razie skierowały ją bez wahania do czarnowłosego kasjera. Odstawiwszy na bok swoje plastikowe torby, wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Przed chwilą zginęła moja torba. O, tam – dodała, wskazując parking za oknem. – Moja torba. Duża, brązowa, winylowa torba. Ze sklepowego wózka. Czy przypadkiem ktoś jej tutaj nie zwrócił?

Emery Carr pokręcił przecząco głową, ale jego uwagę odwrócił pisk komputera. Cooper Ross, który słyszał, co mówiła, zaproponował:

– Jest pani naszą klientką? Możemy wejść na numer pani konta, jeżeli...

– Jestem Kanadyjką – przerwała mu Mary. – Mieszkam w Ontario. Jestem tu sama. Miałam w tej torbie wszystko. – Zamilkła, czekając aż Emery Carr znowu spotka się z nią wzrokiem, jakby dla upewnienia się, że faktycznie znajduje się w banku, a nie gdzieś tam, zgubiona razem z zawartością wielkiej brązowej torby. Powtórzyła: – Wszystko – i w tym samym momencie kasjer podniósł na nią oczy.

– Możemy zadzwonić do pani banku w Kanadzie. Mieszka pani na wschodnim czy na zachodnim wybrzeżu? – zapytał Cooper Ross, podnosząc słuchawkę.

– W Ontario – przypomniała mu, zdając sobie sprawę, że znajdują się w innej strefie

czasowej. – Będzie teraz zamknięty. Bank będzie zamknięty.

– Może znalazca odwiózł pani torbę do biura szeryfa – podsunął Cooper Ross.

– Och. – Mary ucieszyła się, że ktoś wreszcie wypowiedział słowa niosące bodaj cień nadziei, a jednocześnie uderzyło ją amerykańskie brzmienie słowa „szeryf”. Cooper Ross odszukał numer telefonu szeryfa, wybrał go, poczekał, aż ktoś odbierze, po czym, wyjaśnwszy z grubsza, o co chodzi, oddał słuchawkę Mary.

– Duża brązowa torba z winylu. Mój paszport. I portfel... Tak... Nie, nie może się pan ze mną skontaktować. Nie mam telefonu.

Kasjerzy powrócili do swoich zajęć. Emery Carr szybkimi ruchami wyłączył komputer, po czym wstał ze stołka, by uporządkować biurko, podczas gdy długie palce Coopera Rossa głąskały kwadraciki komputerowej klawiatury.

– Mary Gooch – powiedziała do słuchawki po dłuższej przerwie. – Rural Route pięć. Leaford, Ontario, Kanada. – Zamilkła. – Nie wiem, gdzie się zatrzymam. – Pomyślała przelotnie o Eden i Jacku Asquithach. Czując dławiące ją lzy, wsunęła rękę do kieszeni wzorzystej sukni, ale zaraz sobie przypomniała, że chusteczki higieniczne, które wręczył jej szofer limuzyny, wetknęła do kieszeni granatowego uniformu. W kieszeni sukni natrafiła natomiast na zwitek kanadyjskich pieniędzy, pozostałych po zapłaceniu kierowcy czerwonej furgonetki, co wydało jej się cudem, może pomniejszym, ale jednak. Wyjmując kolorowe banknoty i układając je w stos na biurku, powiedziała na zakończenie do słuchawki:

– Pleasant Inn. Tam będzie się pan mógł ze mną skontaktować, jeżeli ktoś odniesie moją torbę.

Big Avi powiedział, że Golden Hill to jedno z najbezpieczniejszych miast Ameryki. A ponieważ wierzył również w ludzką życzliwość, więc Mary postanowiła pójść za jego przykładem. Kiedy już wymieniła kanadyjskie pieniądze na amerykańskie dolary i stwierdziła, że ma ponad pięćset dolarów, Cooper Ross oznajmił:

– Jedno, co na pewno możemy zrobić, to unieważnić pani kartę kredytową. – To powiedziawszy, pomógł jej wykonać niezbędne telefony.

Mając to za sobą, Mary serdecznie mu podziękowała i poprosiła o jeszcze jedną przysługę, a mianowicie o zamówienie taksówki, na co Cooper Ross uprzejmie zaproponował:

– Emery mógłby podrzucić panią do hotelu. Za pięć minut kończy dyżur.

Emery Carr obdarzył ją promiennym uśmiechem.

– Ależ oczywiście, podwiezę panią. Jadę tamtędy do domu – wyszczebiotał. Uwagi Mary nie uszło jednak rzucone koledze nienawistne spojrzenie ani lekki uśmieszek, który przemknął po twarzy jasnowłosego.

Podwiezienie, nawet przez niechętnego samarytanina, to zawsze podwiezienie.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję – powiedziała, wychodząc razem z nim z banku. Promienie zachodzącego słońca wieńczyły świetlistą koroną szczyt odległego skalnego wzgórza, i Mary przystanęła, aby popatrzeć. Choć dawno temu porzuciła naturę, wraz z wieloma innymi rzeczami, surowe piękno blaknących wzgórz sprawiło jej nagłą przyjemność, jakby to był rodzaj wizualnego smakołyku, poczuła też lekki chłodek, jaki wkradł się na parking podczas jej pobytu w banku.

Emery Carr, którego oceniła na trzydzieści pięć do czterdziestu pięciu lat, jeździł mazdą, małym, nieskazitelnie utrzymanym sportowym samochodem z miejscem na bagaż zamiast tylnego siedzenia, i tam właściciel auta umieścił jej plastikowe torby. Otworzył drzwi, Mary mierzyła się z trudnym zadaniem usadowienia się na niskim, wąskim siedzeniu. Widząc jej wahanie, Emery Carr podszedł z wymuszonym uśmiechem i podtrzymał ją pod łokieć, dźwigając wraz z jej ciężarem ciężar własnego obrzydzenia. Pewnie nie lubi takich grubasów jak ona.

Poczuła się bezradna, jak stara kobieta, a zarazem miała wrażenie, że widma ludzi i rzeczy, które utraciła – Irmy, Orina, Goocha, winylowej torby – wyłaniają się z niebytu, aby natrzęsać się ze słabości jej nóg i podrygujących podbródków. Czy nie byłoby lepiej wrócić do Leaford i dożyć swoich dni w towarzystwie starego pana DaSilvy, Paulów i Williamów oraz swojej matki w przybytku św. Jana? To wszystko przekracza jej siły. Zamknęła powieki, wsłuchując się w dygotanie i trzepot własnego serca. Ktoś będzie musiał zająć się moim ciałem.

Emery Carr grzecznie zwrócił jej uwagę, że samochód swoim brzęczeniem daje znać, że ktoś z pasażerów nie zapiął pasa.

– Przepraszam panią, pani Gooch, ale musi pani zapiąć pas – powiedział.

– Mary – odparła, otwierając oczy. – Proszę mi mówić Mary.

Zapinając pas bezpieczeństwa, znowu poczuła, że od zniknięcia Goocha wyraźnie ubyło jej ciała. Kalorii przybywa. Kalorii ubywa. Jednakże własne chudnięcie bardziej ją przerażało, niż cieszyło. W niekontrolowanym spadku wagi, podobnie jak w poprzednim nieopanowanym jej wzroście, widziała jedynie oznakę własnej degrengolady. Nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos, westchnęła:

– Chciałabym umrzeć.

Emery Carr wziął głęboki oddech, po czym, wbrew posądzeniu Mary, że prosi ją w duchu: „Byle nie w moim samochodzie!”, powiedział:

– Proszę się nie martwić, ktoś na pewno odniesie pani torbę. – To powiedziawszy, dodał gazu i wyjechał z parkingu. Mary, która w nisko zawieszonym samochodzie natychmiast poczuła mdłości, zadała sobie pytanie, czy i on, podobnie jak pasażerowie limuzyny Big Aviego, wolałby mieć w swoim samochodzie podnoszoną szybę.

Rozejrzała się na boki, a gdy Carr pochwycił jej spojrzenie, poczuła się w obowiązku nawiązać rozmowę.

– To miło, że zgodził się pan podwieźć mnie do hotelu.

– Jest pani z dala od domu.

– Tak.

– Przyjechała pani do nas na wakacje? – zapytał odruchowo, podjeżdżając powoli w tłumie samochodów pod czerwone światła.

– Nie.

– Do pracy? – Mary zaprzeczyła ruchem głowy. – Wakacje albo praca. Albo jedno, albo drugie – roześmiał się.

Albo pogrzeb, pomyślała Mary. Albo kryzys wieku średniego.

– Torba na pewno się znajdzie. Proszę się nie martwić. W Golden Hills nikt nie kradnie damskich torebek.

– Od dawna mieszka pan w Golden Hills?

– Ach nie, broń Boże! Nie jestem tutejszy. Mieszkam w West Hollywood. – Popatrzył na nią, czekając na jej reakcję.

– W West Hollywood?

– To nie to samo co Golden Hills.

– Czy to niebezpieczny rejon? – zapytała z widocznym niedowierzaniem.

– Nie.

– Czy to dzielnica zamieszkała przez Ormian?

– Nie, to dzielnica zamieszkała przez gejów.

– Dlaczego mieszka pan w dzielnicy gejów? – zapytała bez zastanowienia, ale zaraz mruknęła: – Aha. – Zaśmiał się, rozbawiony jej prostolinijnością. – Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek spotkała geja – przyznała.

– No to już go pani spotkała. – Uśmiechnął się.
– Pochodzę z małego miasteczka. W Kanadzie – zwróciła mu uwagę. – Ale miałam kiedyś nauczycielkę lesbijkę.
– Wszędzie można nas spotkać – rzekł.
– Ma pan przyjaciela? – zapytała, uradowana własną śmiałością. Osobiste rozmowy z nieznanymi. Oglądała je często w telewizji i w kinie, ale nie bardzo wierzyła, aby naprawdę się zdarzały, dopóki w samolocie nie przeżyła najpierw paniki, a potem żalu, że nie może ze smagłokórą kobietą nawiązać siostrzanej więzi, bo tamta nie mówi po angielsku.
– Ma na imię Kevin – odparł Emery, a Mary domyśliła się, że nie jest w nim zakochany. – Jesteśmy razem od sześciu miesięcy, a wydaje się, jakby to było dwadzieścia lat. W tym tygodniu obchodzimy półrocznicę. Pojedziemy do Sonoma na degustację wina. A pani? – spytał, widząc, że Mary nie nosi obrączki. – Ma pani przyjaciela?
Mary dotknęła blizny na serdecznym palcu.
– Od dwudziestu pięciu lat jestem mężatką. Parę dni temu minęła nasza rocznica.
– Ale przyjechała pani bez męża?
Mary kiwnęła głową.
– Mąż wybrał się na pieszą wędrówkę. Nie mam jak się z nim skontaktować.
Stanęli na światłach u zbiegu trzech ulic. Obróciwszy się z trudem na ciasnym siedzeniu, Mary poszukała wzrokiem wyczekujących na piaszczystej parceli meksykańskich robotników, ale piramida termosów już zniknęła. Dwaj mężczyźni stali, niczym strażnicy, na dwóch końcach parceli, lustrując wzrokiem przejeżdżające samochody w nadziei na bodaj kilkugodzinną pracę, a może czekali tylko na odwiezienie do domu.
Słońce skryło się za szczyt dalekiego wzgórza, gdy spojrzenie Mary spoczęło na jednym z nich – barczystym mężczyźnie, mniej więcej jej wzrostu, z grzywą bujnych czarnych włosów, przystrzyżonymi krótko wąsami i brodą, który zarzuciwszy na plecy marynarski worek, ruszył wolnym krokiem w niewiadomym kierunku. Było w nim coś szczególnego, co przykuwało uwagę. Miała wrażenie, że jest to ten sam mężczyzna, z którym spotkała się wzrokiem, siedząc rano w głębi limuzyny. Czekał do tej pory. Bez pracy.
– Proszę przyjść jutro do banku – pouczył ją Emery Carr rzeczowym tonem. – Mnie nie będzie, ale Lucy zajmie się panią. Porozumie się z pani bankiem i załatwi, co się da. Ktoś na pewno odniesie pani torbę. Trzeba myśleć pozytywnie. Wszystko dobrze się skończy.
„Trzeba myśleć pozytywnie”, powtórzyła w duchu Mary, przypatrując się swemu przystojnemu wybawcy, który obszedłszy samochód, otworzył drzwi z jej strony. Przed pożegnaniem zanotował czyjeś nazwisko i numer telefonu na odwrocie wizytówki, którą wcisnęła Mary do ręki.
– To mój dobry znajomy, skontaktuje panią z kimś z waszej ambasady, na wypadek gdyby z powodu braku paszportu nie mogła pani wyjechać.
Emery Carr wyjął z samochodu plastikowe torby, wieszając je na wyciągniętych rękach Mary, po czym zerknął na zegarek.
– Chce pani, żebym pomógł je wnieść? – Mary chciała, ale widząc, że pilno mu odjechać, pokręciła głową, jeszcze raz mu podziękowała i skierowała się do drzwi hotelu.
Wziąwszy świeże czerwone jabłko ze stojącej na recepcyjnej ladzie misy, wynajęła pokój na trzy dni. Kiedy na jej oświadczenie, że zapłaci gotówką, filigranowa recepcjonistka zmarszczyła czoło, Mary opowiedziała jej o zgubionej torbie i uprzedziła, że ktoś będzie się zapewne chciał z nią skontaktować.
– Nazywam się Mary Gooch – przypomniała. – Nazwisko, które trudno zapomnieć.
Gryząc jabłko, skierowała kroki do windy, ale gdy mijała po drodze wypełniony książkami

i czasopismami regał, zawahała się. Chętnie poszukałaby czegoś do poczytania, ale zrezygnowała, ponieważ musiałyby w tym celu wykonać kilkanaście dodatkowych kroków. Natychmiast po wejściu do pokoju zrzuciła ciężkie zimowe buty i syknęła z bólu, uraziwszy się w skaleczoną piętę.

Po przestudiowaniu leżącej na stoliku przy łóżku instrukcji obsługi telefonu, wyszła do miasta i połączyła się z biurem numerów, tu jednak spotkał ją zawód, ponieważ okazało się, że numer Eden i Jacka nie figuruje w miejscowej książce telefonicznej. Nie miała jak zawiadomić teściowej. Eden też nie mogła się z nią skontaktować. A jeżeli Gooch akurat zadzwoni?

Odłożyła słuchawkę, ale zaraz znów ją podniosła, wystukała znany sobie numer i czekała. Po paru sygnałach odezwał się młody, męski głos:

– Halo? – W tle słychać było śmiechy.

– Halo! – wykrzyknęła. – Nazywam się Mary Gooch. Pan ma chyba mój telefon. Halo?

Halo?

Połączenie przerwano. Westchnąwszy głęboko, ponownie wybrała numer swojej komórki, licząc na cud. Ktokolwiek ma jej telefon, najprawdopodobniej ma także jej torbę. Jeżeli nawet nie znalazł jej przypadkiem, tylko celowo ukradł, być może zdoła go przekonać, żeby zwrócił rzeczy, które – jak sądziła – nie mają dla złodzieja żadnej wartości. Takie jak paszport. Inne dowody tożsamości.

– Halo? – odezwał się ten sam męski głos. Ale połączenie ponownie się urwało. Bateria.

Z cichym westchnieniem podeszła do okna, skąd rozciągał się niesamowity widok wyłaniających się z mroku szczytów wzgórz, i zaczęła rozpinać guziki eleganckiej bluzki. Zamiast kochanka, nocny powiew przyniósł jej w Golden Hills inny rodzaj wybawienia. Matczyną pieśczętą orzeźwiającego powietrza, która niosła ulgę ciału i koła duszę. I te gwiazdy, jakich nigdy jeszcze nie widziała, a było ich tyle, tak jasnych i tak bliskich, jakby miały lada moment posypać się na jej głowę. Zdjąwszy dumę z serca, Mary zwróciła się do Jutra, swego starego przyjaciela, z błaganiem o jeszcze jedną, ostatnią szansę.

W jednej z plastikowych toreb znalazła pudełko aspiryny, wysypała na dłoń cztery tabletki, popiła je wodą i zagryzła dietetycznym batonikiem. Pomyślała jednak, że żywienie się samymi tylko zdrowymi batonami musi być bardzo niezdrowe, i przyrzekła sobie przy najbliższej okazji zabrać z miski w recepcji następne jabłko. Torba zniknęła. Nie ma telefonu. Eden nie może do niej zadzwonić. Ona nie może zadzwonić do Eden. Nie ma pieniędzy. Nie ma żadnego dowodu tożsamości.

Plan. Musi ułożyć nowy plan działania. Każdy musi mieć plan – zasada równie prosta i oczywista, jak zasada trójki albo równanie ubytku i przyrostu kalorii. Rozebrana do bielizny, padła na łóżko i zamknęła oczy.

jak we śnie

Pierwszą osobą, która pojawiła się w jej sennym krajobrazie, była Irma, nie dzisiejsza Irma, ale ta dawna, ubrana w spięty paskiem rozpinany sweter, ze smuzką śliwkowej kredki na wąskich, zaciśniętych wargach.

– Mary – mówiła, siedząc za kierownicą długiej limuzyny. – Och, Mary! Jesteś cała poplamiona krwią.

Mary spuściła oczy i z przodu świeżo upranej, białej bluzki zobaczyła świeże plamy.

– To nic, zejdą – odparła.

– Nie, złotko, nie zejdą. Plam z krwi nie da się niczym wywabić – stwierdziła Irma, odwracając się do tyłu i nie patrząc na ciemną drogę. Nagle, nie wiadomo skąd, na drodze pojawił się Gooch, zamachał rozpaczliwie rękami i potrącony przez limuzynę, wpadł na maskę niczym jelen z łapanym w światła samochodowych reflektorów.

Mary obudziła się nagle z szaleńczym biciem serca, i aż podskoczyła, gdy zamiast rysy na suficie nad łóżkiem zobaczyła świt wstający nad wzgórzami za oknem Pleasant Inn. Chciała się podnieść, lecz powstrzymał ją tępy ból między oczami. W miejscu na czole, które ucierpiało przy zderzeniu z kierownicą. Leaford. Sylvie Lafleur. Wiejski dom z kawalkiem tektury zamiast szyby w tylnych drzwiach. Drogeria Raymonda Russella. Wendy. Kim. Państwo Feragamo. Piekarnia Oakwood. Nie umiała ani potwierdzić realności tamtego życia, ani mu zaprzeczyć, jedyne, co pamiętała, to że w swym obecnym wcieleniu straciła nie tylko męża, ale i torbę.

Zwlekła się z łóżka, rozmasowując bolące czoło, a po połknięciu paru tabletek aspiryny i zjedzeniu batona udała się do łazienki. Wrzuciwszy do umywalki kupioną od Frankie, elegancką dwuczęściową sukienkę, uprała ją ręcznie, korzystając z leżącego obok kranu ozdobnego francuskiego mydełka. Następnie powiesiła dokładnie wyżęte ubranie na oparciach dwóch krzesel i przysunęła je do otwartego okna, modląc się o cud natychmiastowego wyschnięcia.

Wróciła do łazienki, włączyła ciepły prysznic i ku swej wielkiej radości w niewielkim koszyczku znalazła wszystkie kosmetyki potrzebne do uprzyjemnienia gościowi pobytu w hotelu. Był w nim szampon, płyn pod prysznic, zestaw do czyszczenia butów, co najważniejsze, ogromna szczotka do zębów i małe tubki pasty. Mary stanęła przed zaparowanym lustrem i zabrała się energicznie do szorowania zębów.

Weszła pod prysznic i w ożywczych strumieniach gorącej wody namydliła obolałe ciało. Wycierając skórę i włosy białymi, włochatymi ręcznikami, w wysokim lustrze na drzwiach łazienki zobaczyła swoje nagie odbicie. „Jestem Mary Gooch”, usłyszała własny głos, chociaż wiedziała, że jest już całkiem inną osobą. Płomiennorude, obcięte na sportowo, sięgające ramion, zaczesane na bok włosy. Bardzo ładna twarz. Przyjrzała się swemu pomniejszonemu ciału. Nie było to już ciało wydeptujące w dywanie wygodną ścieżkę, lecz ciało, które przeleciało samolotem tysiące mil i odbyło półmilową wspinaczkę.

Odszukała tubki kremu przeciwsłonecznego i jeszcze raz stanęła przed lustrem. Białym balsamem nasmarowała twarz, którą kiedyś całował Gooch. I szyję, w której załamanie szeptał rzeczy nie do wypowiedzenia. I ramiona, które pieścił. Wyobraziła sobie, że siedzą razem na zalanym słońcem pokładzie wycieczkowego statku na Karaibach, a ona podaje mu przeciwsłoneczny krem, całuje go i szepcze: „Nasmarujesz mi plecy, kochanie?”

W miarę jak balsam wsiąkał w skórę, Mary nakładała kolejne warstwy. Piękna, jasna skóra nietknięta niszczącymi promieniami słońca. Kolejne błogosławieństwo przez zaniechanie. Nałożyła emulsję na dekolt i zaczęła ją rozsmarowywać, obserwując własne ruchliwe palce

namaszczone ogromne, falujące piersi, jakby należały do kogoś innego. Zadrżała, gdy palce dosięgły wielkiej jak talerz otoczki i leciutko ścisnęła różową brodawkę.

Posłała łóżko, chociaż wiedziała, że pokojówka przyjdzie później, aby to zrobić, i uporządkowała zachlapaną wodą łazienkę. Nie była pewna, co bardziej ją denerwuje: świadomość, że Eden nie może się z nią skontaktować, czy też podejrzenie, że teściowa ani myśli do niej zadzwonić.

Sprawdziła godzinę. Pierwsze, to pójść do banku i wyjaśnić sprawę dostępu do konta. Potem do Eden, w związku z torbą i zastrzeżonym numerem telefonu. O tym, co będzie robić po wykonaniu planu, o długim samotnym dniu i nocy w hotelu w oczekiwaniu na wiadomość od Goocha, starała się nie myśleć.

Znalazłszy w szafie żelazko i deskę do prasowania, pomyślała z uznaniem, że Pleasant Inn musi należeć do wyjątkowo solidnej sieci hoteli, skoro oferuje swoim klientom tego typu ułatwienia. Zabierając się do prasowania kwiecistej sukienki, nastawiła nieznane, a więc niepewne żelazko na najniższą temperaturę, żeby nie uszkodzić delikatnej materii, a potem włożyła na siebie nadal wilgotną spódnicę i bluzkę. Mimo okropnych, zimowych buciorów i wciąż krwawiącej pięty, czuła się dziwnie lekka.

Na dole w recepcji poczęstowała się jabłkiem ze stojącej na ladzie misy i wyjaśniła kobiecie sprawującej ranny dyżur:

– To ja jestem tą osobą, która zgubiła torbę. W biurze szeryfa wiedzą, że zatrzymałam się w tym hotelu. Nazywam się Mary Gooch. Czy może mi pani zamówić taksówkę?

Recepcjonistka zmarszczyła czoło.

– To potrwa pół godziny, może nawet trzy kwadranse.

– Och.

– Nie jesteśmy w Nowym Jorku.

– No nie – zgodziła się Mary. Przygotowana na długie oczekiwanie, pokuśtykała w kierunku głębokich foteli pod oknem. Jej uwagę przyciągnął biblioteczny regał, na którym – ku swemu zdziwieniu – wypatrzyła ten sam bestseller, który zaczęła czytać w samolocie, a potem straciła razem z torbą. Niepewna, czy aby wziąć książkę, trzeba, tak jak w bibliotece publicznej, wypełnić rewers, podeszła do recepcji.

– Czy mogę ją poczytać? – zapytała.

– Uhm – burknęła recepcjonistka, nie odrywając oczu od komputera.

– Czy coś się należy? A może mam wpisać, co biorę?

– Biblioteczka jest do użytku gości. Pochodzi głównie z wolnej wymiany książek. Nasz hotel cieszy się pod tym względem szczególnym powodzeniem.

– Wolna wymiana książek? Co to takiego? – zdziwiła się Mary.

Młoda kobieta podniosła wzrok i pokrywając zniecierpliwienie uśmiechem, wyjaśniła:

– Klienci zostawiają książki dla innych gości. Tak się robi na całym świecie. Wolna wymiana książek. – Mogłaby równie dobrze dodać na końcu młodzieżowe „ciemnoto”.

– Po co?

– Żeby inni też mogli je przeczytać. – Znowu niedopowiedziane „ciemnoto”.

Znalazłszy obszerny skórzany fotel koło biblioteczki, gdzie mogłaby spędzić wygodnie czas oczekiwania na lekturze, Mary pomyślała z radością o globalnej, wielotomowej wymianie książek, w ramach której zupełnie obcy człowiek zostawia przeczytaną książkę innemu, całkiem obcemu człowiekowi. Szybko odnalazła stronę, na której zakończyła lekturę w samolocie, i wciągnęła się na powrót w rodzinny dramat, przeżywając lęk o wykołajonego nastoletniego syna, oburzając się na ojca, który wziął sobie młodszą kochankę, kibicując głównej bohaterce, niesłusznie oskarżonej o popełnienie zbrodni. Kiedy po godzinie zjawiała się zamówiona

taksówka, wstała z żalem, że zabrakło jej paru minut na dokończenie rozdziału.

Kierowca taksówki był milczący i gburowaty, ale choć nie było to miłe połączenie, Mary postanowiła nie brać jego zachowania do siebie. Pewnie ma głowę zaprzątniętą tym albo owym. Albo spotkało go nieszczęście. Albo jest samotny. Albo dręczą go wyrzuty sumienia. Może stracił kogoś bliskiego. Albo – tak jak ona – przyjechał niedawno z dalekiego kraju i sam nie wie, kim właściwie jest.

Podczas gdy w Golden Hills wstawał powoli nowy dzień, usadowiona wygodnie na tylnym siedzeniu Mary oddała się z ochotą niespiesznej lekturze historii własnego życia, które przez wiele lat kręciło się w kółko i nic się w nim nie działo, a w którym obecnie najwyraźniej nastąpiło gwałtowne przyspieszenie akcji. Podniecało ją dopisywanie kolejnego rozdziału, odgadywanie przełomowych momentów własnej przyszłości. Oto na podjeździe przed domem Eden, przy Willow Drive, obok białego priusa pojawia się wystrzałowy, czarny sportowy cadillac escalade (wynajmując samochód, Gooch zapewne pozwoliłby sobie na takie szaleństwo). Drzwi się otwierają i na progu staje on – jeszcze wyższy niż w jej pamięci. Nie jest zdziwiony jej widokiem. Czeka. Pionowa zmarszczka na czole doprasza się wybaczenia, lekkie wzruszenie ramion i ciepły uśmiech mówią: „Ot, życie”.

Kiedy zatrzymali się na światłach, Mary przyjrzała się zgromadzonym wokół telegraficznego słupa meksykańskim robotnikom. Było ich znacznie więcej niż wczoraj. Na pustym plac wjechała brązowa furgonetka, wnosząc obłok złotego kurzu. Kurz po chwili opadł i Mary ujrzała przepychających się jeden przez drugiego mężczyzn, którzy w jednej chwili z towarzyszy niedoli przemienili się w konkurentów, walczących ze sobą o dzienny zarobek. Furgonetka wypełniła się, a pozostali na placu cofnęli się pod słup, wypatrując wśród przejeżdżających kolejnego pracodawcy.

Tymczasem Mary, jadąc główną arterią, kolejny raz nie mogła się nadziwić mnogości samochodów, ale w nie mniejsze zdumienie wprawiała ją liczba ludzi, którzy maszerowali chodnikami albo pedałowali na rowerach, poubierani jak uczestnicy wyścigu Tour de France namiętnie oglądanego przez Goocha w telewizji – chudzi i ponurzy, nisko pochyleni nad srebrnymi kierownicami. Natomiast odziani w sportowe stroje piechurzy, z wetkniętymi w uszy słuchawkami, poruszali się szparkim krokiem, rytmicznie wymachując rękami. Byli na ogół szczupli, jednak nie wszyscy. Pewna kobieta, nie aż tak gruba jak Mary, lecz której tusza znacznie przekraczała dopuszczalne normy, kroczyła w skupieniu z podniesioną głową, ignorując, a może celebrując swoje podrygujące obfitości. „Tylko tak dalej, moja droga, tylko tak dalej!”, zachęcała ją w duchu Mary, czując zarazem, że inne kobiety umiałyby to powiedzieć z większym przekonaniem.

Zapłaciła kierowcy z sowitym napiwkiem, chociaż była zaszokowana ceną siedemnastu dolarów za tak krótki kurs. Jeżeli przyjdzie jej zostać dłużej w Golden Hills, będzie musiała znaleźć sobie tańszy środek transportu. Muszą kursować jakieś autobusy. Czyżby wszystkie nianie i pokojówki jeździły samochodami? Pokojówki – zdała sobie sprawę, że zapomniała zostawić na łóżku pieniądze dla hotelowej pokojówki. Przrzekła sobie wiele lat temu, że jeżeli zdarzy jej się kiedyś nocować w hotelu, nie zapomni o napiwku dla pokojówki, a skłoniła ją do tego wieczorna rozmowa przy kartach, kiedy to François oskarżył Pete’a o podłe skąpstwo, ponieważ podczas wspólnych wakacji z pozostałymi parami w Meksyku nie chciał zostawić na łóżku pieniędzy dla pokojówki. Gooch, który musiał czasami nocować w motelach, przyznał mu rację.

– Powinieneś był zostawić jej napiwek, Pete. Nie bądź takim skąpcem.

– Nie jestem skąpcem. Ale wszyscy tylko wyciągają ręce po twoje pieniądze. Nienawidzę tego. Nienawidzę facetów, którzy rzucają się, żeby ponieść ci walizki. Nienawidzę toalet, gdzie

facet daje ci cholerny kawałek papieru i żąda za to dolara!

– Popatrz na to z innej strony, Pete – wtrącił Dave. – Wszyscy ci ludzie chcieliby być na twoim miejscu.

– Chcieliby być na moim miejscu i zastanawiać się, kiedy wyrzucą ich z pracy w fabryce samochodów? Niech sami spróbują. Pieprzę ich.

– I co, dajesz napiwek kelnerowi za podanie butelki wina, ale odmawiasz go pokojówce, która wybiera z wanny twoje włosy łonowe? – roześmiał się Gooch, próbując rozładować atmosferę.

– Kelnerom też nie dawał napiwków – poskarżyła się Wendy. – Ze wstydu nie wiedziałam, gdzie podziać oczy.

– To nie było nawet w moim kraju! – głośno zaprotestował Pete, na co przyjaciele zareagowali zbiorowym jękiem.

Ponieważ bank był jeszcze zamknięty, Mary postanowiła przespacerować się po centrum handlowym. Idąc przez parking, wypatrzyła białego priusa, który stał zaparkowany przed delikatesami, i przypomniała sobie, co mówiła Eden o zamiarze umówienia się z Goochem poza domem, żeby oszczędzić Jacka. Wyteżając wzrok, zlustrowała przez szybę klientów siedzących w wyściełanych pluszem boksach. Nie było wśród nich Eden ani Goocha.

Rozejrzała się wokół placu w nadziei, że marnotrawny mąż i teściowa z jej nieśmiertelną grzywką, po odbyciu czułych pożegnań, wyłonią się nagle zza fontanny albo ukąszą się w drzwiach kawiarni. Raz po raz omiatała wzrokiem morze stojących na parkingu samochodów, a każdy, z nielicznych zresztą, niesportowych samochodów, wydawał jej się białym lśniącym priusem.

Ponieważ Goocha nigdzie nie było, wróciła na ławkę koło banku i usiadła na niej, wdychając poranne powietrze. Eden wspomniała kiedyś, że dzięki bliskości oceanu w Golden Hills nie odczuwa się nękającego mieszkańców Los Angeles słynnego smogu. Mary udawała przed sobą, że czuje daleki, słodko-słony zapach morza. I chociaż była niedożywiona, bolały ją nienawykłe do takiego wysiłku mięśnie, nie mówiąc już o niefortunnej stracie zarówno męża, jak i torby, to jednak czuła się lepiej niż jeszcze niedawno.

W mieszczącej się nieopodal banku restauracji z tanim jedzeniem zaczęło się grillowanie „szalonych kurczaków”. Podniosła oczy na szary, gęsty dym unoszący się znad ceramicznych gontów. Zza restauracji dochodziło krakanie czarnych ptaków szykujących się do ataku na pojemniki z odpadami. Wrony. Kobiety imieniem Mary. Geje. Są wszędzie. Jednakże tutejsze wrony, podobnie jak pozostali mieszkańcy Golden Hills, zdawały się należeć do dorodniejszej, genetycznie udoskonalonej odmiany – były większe, silniejsze, bardziej czarne. Podfruwały między ogromnymi stalowymi pojemnikami, zamkniętymi na głucho ciężkimi pokrywami. „Nie da rady!”, zakrakała jedna wrona do drugiej.

Mary rozejrzała się. W zasięgu wzroku nie było ani jednego przepelnionego kosza na śmiecie. Ciekawe, czym żywią się ptaki w tym świecie skąpych wronich pikników i surowego przestrzegania czystości? Padliną? Szkoda, że nie ma przy sobie okruszków chleba, które mogłaby wysypać na trawnik. Doszła do wniosku, że jej lęk przed wronami brał się od początku z lęku przed lataniem.

Z miejsc parkingowych w pobliżu drogerii zaczęły wyjeżdżać niebieskie furgonetki. Kiedy im się przypatrywała, wybiła godzina dziesiąta i przystojna, uśmiechnięta kobieta w średnim wieku z plakietką „Lucille Alvarez” w klapie wyszła otworzyć drzwi banku. Mary uznała to za znak, że zgodnie z obietnicą Emery’ego Carra – i tym, co sama sobie obiecała – jej sprawy przybiorą pomyślny obrót.

Jednakże telefoniczna rozmowa z jej bankiem, do którego mogła była sama zadzwonić

z hotelu, ale o tym nie pomyślała, nie wróżyła nic dobrego. Ponieważ Mary nie miała żadnego dokumentu, nie można było potwierdzić jej tożsamości. Na domiar złego, personel banku w Leaford nie pamiętał takiej klientki. O mało nie zawołała: „To ja jestem tą grubą kobietą!”.

Kiedy przypomniała swemu rozmówcy, że nieco dalej niż tydzień temu była w jego banku i została obsłużona przez świeżo przyjętą urzędniczkę, kierownik zmiany odparł, że bardzo jej współczuje, ale potrzebuje bardziej konkretnych dowodów. A kiedy nie potrafiła podać najbardziej oczywistych, łatwo dostępnych danych dotyczących jej konta, zrobił się wręcz podejrzliwy. Nie wiedziała, do której szkoły podstawowej chodził jej mąż, nie pamiętała panińskiego nazwiska jego matki (brzmiało jakoś z ukraińska), ani jaki był jego kod dostępu. A gdy się okazało, że nie pamięta numeru własnego konta, jego ton stał się wręcz lodowaty. Następnym krokiem, jaki może zrobić, to porozumieć się z innym kierownikiem, który był w tej chwili nieosiągalny.

Pierwszy kierownik zasugerował, aby zadzwoniła ponownie za godzinę. Odparła, że zadzwoni za dwie godziny. Jakkolwiek głęboko tym niepowodzeniem zawiedziona, chciała jak najszybciej dotrzeć do domu Eden i Jacka, na wypadek gdyby mieli wieści od Goocha. Opuszczając bank, ze stojącej w kawowym kąciku chłodziarki wzięła dwie butelki wody do popijania po drodze.

Na wprost niej rozciągały się wysokie wzgórza. Już teraz, oblana potem, przygotowała się do wspinaczki. Stopa w górę. Postawienie buta na ziemi. Wymach rąk. Stopa w górę, postawienie buta na ziemi, wymach rąk. Stop. Odpoczynek. Parę łyków wody. Dalej pod górę. Wymach rąk. Walenie serca. Dalej pod górę. Oddychaj.

Przystanęła naprzeciwko jednego z monstrualnych domów wznoszących się nad dzielnicą Willow Lowlands, aby połknąć kolejne aspiryny. Zamrugła na widok znajomej twarzy – to przeklęta matka ze sklepowego parkingu, która ze swymi trojaczkami, wlokącym się za nią uciekiniem Joshua i dwoma poszturchującymi się braćmi, wysiadała właśnie z lśniącego, czarnego lincolna, zaparkowanego przed rozległym piętrowym domem, obok wielkiej białej furgonetki dodge ram. Otwarty bagażnik był zapchany papierowymi torbami z zakupami. Ubrana w granatowe dzinsy i luźną bluzkę bez rękawów, ozdobiona stosowną ilością srebrnej biżuterii, niosła w obnażonych, osmalonych słońcem rękach dwie ciężkie torby. Za nią, niby stadko kaczątek, podśpiewując i chichocząc, postępowało trzech blond urwisów. Mary kątem oka dostrzegła człapiącego w kierunku garażu wielkiego włochatego psa.

Przypatrując się tej ładnej kobiecie o miękkich blond włosach, Mary zaczerwieniła się w przyływie naglej złości i ogarnęła ją chęć zemsty – wykrzyczenia swojej pretensji za krzywdę, jaka ją spotkała, z winy karygodnego niedbalstwa nieudolnej matki, przez którą straciła swoją torbę. Natychmiast jednak się pohamowała. Nie będzie się awanturować w obecności dzieci, a poza tym zdała sobie szybko sprawę z kompletnej bezcelowości prób dochodzenia swojej krzywdy. Stojąc w odległości paru metrów od kobiety, ukryta przed jej wzrokiem, usłyszała, jak ta mówi do swoich dzieci:

- Pomóżcie mamie wnieść zakupy.
- Nie – odkrzyknęli zgodnie.
- Jeżeli mi pomożecie, pozwolę wam popatrzeć na telewizję. Jeżeli każdy z was wniesie po jednej torbie, zrobię wam lodowy deser.

Wendy i Kim stosowali wobec swoich dzieci równie dziwne metody wychowawcze. „Jeżeli pozwolicie mamie odwiedzić ciocię Mary, w drodze powrotnej do domu zafunduję wam Dilly Bars”. Między Bogiem a prawdą, podobnie postępowała jej własna, zapracowana matka. Zostawiała na stole gotowe jedzenie ze sklepu, aby Mary miała się czym pożywić po powrocie ze szkoły, i udawała, że nie zauważyła, iż jej córka zjadła produkty przeznaczone dla kilku osób.

W nagrodę za milczenie obiecywała jej zabronione przysmaki. „Pojedziemy do Oakwood na miodowe bułeczki, ale nie mów o tym tacie”. Albo: „Bądź cichutko, kiedy będę przymierzała te ciuchy, to zafunduję ci specjalnego hamburgera”.

Permisywni rodzice. Rozwydrzone bachory. Smakołyki dla nieznośnych maluchów. Mary surowo osądzała matki za nieumiejętność trzymania dzieci w ryzach, musiała jednak koniec końców przyznać, że wobec własnych dzieci okazywałyby podobną słabość, nagradzając je jedzeniem za najmniejsze ustępstwo albo ofiarowując smakołyki dla uciszenia własnego poczucia winy.

Kolejny raz pomyślała o swoich przodkach, którzy karczowali i orali pola Leaford. I zadała sobie pytanie, co pionierskie matki i ojcowie mogli mówić swoim dzieciom, gdy te uskarżały się, że muszą oczyszczać ziemię z korzeni i zbierać z pól kamienie. „Jeżeli przyłożycie się do pracy, przeżyjemy kolejny dzień”.

Mały Joshua odwrócił się nagle i spostrzegł Mary. Jego matka, chcąc sprawdzić, co chłopca zainteresowało, obróciła się i zamarła na widok stojącej na chodniku kobiety we wzorzystej sukience i ciężkich zimowych butach.

– Halo! – zawołała niepewnym głosem.

– Halo! – odpowiedziała Mary.

– To pani jest tą kobietą z parkingu?

– Tak.

– Mieszka pani w Highlands? – zapytała kobieta, mrużąc oczy.

– Odwiedzam teściów. Mieszkają za wzgórzem – wyjaśniła Mary, jedną ręką wskazując kierunek, a drugą ocierając pot z czoła.

Kobieta odstawiła torby i podeszła do Mary z przepaszającym uśmiechem na twarzy.

– Boję się, że wczoraj nawet pani nie podziękowałam.

– Ma pani pełne ręce roboty – zauważyła Mary, spoglądając na kotłujących się na miękkim trawniku chłopców, jak piszczą i wrzeszczą w kłębowisku zadających ciosy rąk i białych, wyszczerzonych zębów.

– Joshua, Jeremy i Jacob – powiedziała kobieta, przedstawiając swoich rozkrzyczanych synów. – Gdzie pies?

– Jest w garażu – wtrąciła Mary, przekrzykując rozwrzeszczanych chłopców.

– Chłopcy, dość tego! Chłopcy! – Kobieta zaklaskała w dłonie, ale wrzawa natychmiast rozgorzała od nowa. – Joshua! Jacob! Jeremy!

– Urocze dzieciaki – powiedziała Mary, próbując ją rozbroić.

– Czy mogę znać pani teściów? – spytała kobieta, rezygnując z zaprowadzenia porządku.

– Pewnie tak. To mała miejscowość.

– Nazywają się Jack i Eden Asquith.

– Znam Jacka – rzekła kobieta z wyrazem twarzy, który wskazywał, że zdaje sobie sprawę ze stanu jego zdrowia. – Prowadził kiedyś salon dla psów i kotów. Był z moim tatą na studiach, na Wschodnim Wybrzeżu. Jak on się miewa?

– Nie najlepiej – odparła Mary.

– A pani gdzie mieszka? – spytała kobieta, starając się nie patrzeć na jej zimowe buty.

– W Kanadzie. – Reprezentując swój kraj, Mary miała nadzieję, że nie zostanie uznana za przedstawicielkę kanadyjskiej mody.

– To musi się pani podobać nasza pogoda – powiedziała kobieta, zanim spostrzegła, że Mary ocieka potem. – Jack chyba ma córki. Pani jest pewnie...

– Jestem żoną Goocha. Syna Eden.

– Przyjechaliście państwo, aby być przy Jacku do...?

– Jestem sama. – Powiało samotnością od samych słów.

W skórzanej torebce kobiety zadzwoniła komórka, więc przeprosiła Mary, aby odebrać telefon. Po krótkiej, ale gorączkowej wymianie zdań wyjaśniła, chowając telefon:

– Urządzam dzisiaj wieczór Lydii Lee. Domową sprzedaż biżuterii. Może pani słyszała? – Błysnęła wyciągniętą z torebki wizytówką. – Miałam właśnie telefon z agencji, że przyślą nową opiekunkę do dzieci. – Popatrzyła smętnie na kłębiące się na trawie trojaczki. – Chłopcy nie lubią nowych opiekunek.

– Nie! – Jakby na potwierdzenie jej słów krzyknął jeden z nich do swego brata.

Kobieta uśmiechnęła się, podając Mary śliczną dłoń o wypielęgowanych palcach.

– Jestem Ronni Reeves.

– Mary Gooch – odparła Mary, ściskając podaną rękę. Trudno było nie zauważyć uderzającego kontrastu między jej pulchną, spierzchniętą dłonią a smukłymi palcami Ronni Reeves.

– Miło było panią poznać. Jeszcze raz dziękuję za wczoraj. Proszę pozdrowić ode mnie Jacka. Chodźcie chłopcy.

Mary patrzyła za nimi, dopóki nie znikli we wnętrzu swego nieskromnego domu. Raj na ziemi.

obfitość jedzenia

Schodząc ze wzgórza, zauważyła, że przed małym domem teściów stoi tylko jeden samochód – biały prius. Ktoś mógł Goocha podwieźć. Mary widziała w wyobraźni swego męża, jak siedząc naprzeciw matki na kosztownej kanapie, opowiada jej, co widział podczas pieszej wędrówki, i wyraża nadzieję na pojednanie się z żoną. Nogi piekły ją w zimowych butach i lepiły się od krwi ze zranionej pięty.

Dotarła w końcu do drzwi i nacisnęła dzwonek. Nikt nie podchodził, więc się zniecierpliwiła. Uderzyła ręką w dzwonek. Po chwili Eden uchyliła drzwi.

– Ach, to ty, Mary!

– Cześć Eden. Przepraszam, że zawracam ci głowę...

– Nie możesz przychodzić codziennie i pytać, czy nie zadzwonił, Mary. Mamy bez tego dosyć kłopotów.

W domu panowała martwa cisza. Nie było słycać brzęczenia mikrofalówki. Ani turkotu elektrycznego wózka. Ani wstrzymanego oddechu.

– Czy Jack...?

– Śpi. Chita zadzwoniła, że zachorowała i nie przyjdzie, a ja muszę przygotować poczęstunek na spotkanie modlitewne. Powiedziałam, że zadzwonię, to zadzwonię.

– Straciłam telefon.

– Straciłaś telefon?

– Prawdę mówiąc, straciłam torbę i wszystko, co w niej miałam.

– Straciłaś torbę?

– Chciałam ci przypomnieć, że mieszkam w Pleasant Inn, na wypadek gdybyś mnie szukała.

– Razem z wszystkimi dokumentami?

– Tak.

– Kartę kredytową też?

– Staram się to załatwić.

– No cóż, Mary, w takim razie zadzwonię do ciebie do hotelu, kiedy tylko Gooch się odezwie. Jestem naprawdę bardzo zajęta.

– Ale ja nie mam twojego telefonu. Musisz mi go podać. Jest zastrzeżony.

– Wiesz, ile mnie to kosztowało, żeby załatwić zastrzeżenie numeru? – poskarżyła się Eden. – Ale telefon i tak nie przestawał dzwonić. Biedny Jack. Wpuszczasz upaść do domu. – Otworzywszy szerzej drzwi, skierowała się do holu, dając Mary znak, żeby za nią szła, a jednocześnie uciszając ją przyłożonym do ust palcem. Poszły na tył domu do zagraconej kuchni, której rozsuwane oszklone drzwi wychodziły na niewielkie patio i zaniedbany, pozieleniały basen.

Eden wzięła pióro i na kawałku papieru zapisała zdeformowanymi palcami numer telefonu, po czym zabrała się do rozpakowywania stojących na stole toreb z jedzeniem. Mary zauważyła tkwiące w zlewie brudne naczynia. Przepelniony kubek na śmiecie i pojemnik na makulaturę.

– Nie chcę, żeby Jack zastał cię w domu, kiedy się obudzi. Od pewnego czasu myślenie bardzo go męczy – wyjaśniła.

– Mogę sobie wyobrazić – rzekła Mary, wyjmując ciężki karton soku z kalekich rąk Eden i wypakowując z toreb pozostałe zakupy.

– Normalnie robi to Chita. Goście oczekują czegoś więcej niż mrożonej herbaty

z krakersami. Spodziewają się prawdziwego poczęstunku.

– Aha.

Eden spojrzała na obuwie synowej i cmoknęła z niezadowoleniem, odwróciła się i wyszła z kuchni, aby wrócić po chwili, niosąc czarne pantofle na płaskim obcasie, które wręczyła Mary.

– Nie możesz chodzić po Kalifornii w takich buciorach.

Mary podziękowała jej skinieniem głowy. Zrzuciwszy buty z nóg, spróbowała wsunąć stopy w pantofle.

– Zdejmij skarpetki – parsknęła Eden.

Mary przysiadła na stojącym koło kuchennej lady wysokim stołku, próbując dosięgnąć skarpet przez wystający brzuch i modląc się w duchu, aby teściowa nie zauważyła, ile ją to kosztuje.

– Mary, na litość boską! – cmoknęła Eden. Wykrzywiając twarz, pomogła Mary ściągnąć z nóg wilgotne, poplamione skarpety i przestraszyła się na widok zakrwawionej pięty. – Trzeba to oczyścić.

– Wiem.

Ciężko westchnąwszy, Eden zaczęła szperać w szufladzie, aby na koniec znaleźć podręczną apteczkę pierwszej pomocy.

– Mam nadzieję, że wystarczy bandaża. – Było jasne, że Mary nie jest w stanie opatrzeć sobie rany, więc Eden przysunęła sobie krzesło i umieściła pulchną nogę synowej na swym kościstym podolku. – Nigdy nie byłaś u pedikiurzystki?

Mary wiedziała, że Eden nie oczekuje odpowiedzi. Przez chwilę przypatrywała się teściowej, która z surową miną brutalnie czyściła skaleczoną piętę.

– Eden?

– Co?

– Na pewno dasz mi znać, kiedy Gooch się odezwie?

– Przecież obiecałam.

Mary zawahała się.

– Heather powiedziała, że nie powiesz mi prawdy. Że będziesz go kryła.

– Heather powiedziała, że będę go kryła! – parsknęła śmiechem Eden.

– Była w świetnej formie, naprawdę. Bardzo dobrze wyglądała.

Eden pilnowała się, by nie podnieść oczu.

– To samo mówił Jimmy – przyznała.

– Rzuciła palenie.

Eden parsknęła pogardliwie, ale nadal w skupieniu oczyszczała i dezynfekowała ranę, nie pytając o losy swej wyrodnej córki. Mary była ciekawa, czy Gooch powiedział matce o odnalezionym synu Heather, ale gdy tak zastanawiała się, czy ma jej wyjawić niezwykłą wiadomość, zauważyła bezradność teściowej, która swymi kalekimi palcami bezskutecznie usiłowała otworzyć bandaż opatrunkowy.

– Pozwól, że ja to zrobię. – Zwracając jej bandaż, pochwyciła wzrok teściowej. – Dziękuję, Eden.

– Nie jest tak źle, jak wyglądało.

Mary wcisnęła stopy w przyciasne pantofle.

– Nie miałam głowy do chodzenia po sklepach. Przez tę torbę, i w ogóle.

– Mam nadzieję, że nie przyszłaś prosić o pieniądze?

– Nie. – Eden otworzyła lodówkę i Mary zdumiała się ilością jedzenia u starej kobiety z umierającym mężem, którzy zdawali się żywić niemal wyłącznie nadzieją.

– Od tygodnia nic, tylko wypisuję czeki. Więc nawet gdybym chciała...

– Nie, Eden. Nie. Nie potrzebuję pieniędzy. Jestem pewna, że bank w Leaford jakoś to załatwi. Albo torba się znajdzie. Może już ktoś ją zwrócił do biura szeryfa.

– Muszę się zabrać do robienia kanapek. – Eden sięgnęła po nóż, który jednak wymknął się z jej zdeformowanej dłoni i upadł z brzękiem na ladę.

Mary odsunęła ją.

– Ja to zrobię – powiedziała.

– Spodziewają się prawdziwego poczęstunku – przypomniała Eden, spoglądając na Mary, która otwierała szafki w poszukiwaniu deski do krojenia, zbyt jej wdzięczna, by protestować.

– A właśnie, Eden, możesz mi powiedzieć, jak nazywałaś się przed ślubem? – spytała Mary, przypominając sobie jedno z pytań, na które nie umiała odpowiedzieć kierownikowi banku.

– Dlaczego pytasz?

– W banku zadawali mi różne pytania. Żeby sprawdzić, czy mam prawo korzystać z konta. Do jakiej szkoły podstawowej chodził Gooch. Jakie było rodowe nazwisko jego matki. Po wyjściu od ciebie muszę wrócić do banku.

– Do Szkoły Katolickiej imienia Świętego Piusa. Wcześniej zerwałam z rodziną.

Rodzice Eden pochodzili z Kanady Zachodniej, ojciec był farmerem, a matka krawcową. Eden, ich jedyne dziecko, uciekła z domu, mając piętnaście lat, jako siedemnastolatka wyszła za mąż, a w wieku dwudziestu jeden lat owdowiała i w tym samym roku, w restauracji w Ottawie poznała Jimmy'ego Goocha seniora. Pochodziła z ukraińskiej rodziny.

– Mój ojciec nazywał się Gus Lenhoff.

Mary wyczuła pełną wagę tej odpowiedzi – cokolwiek wydarzyło się między nią a jej rodzicami, Eden nawet dziś, u schyłku swego życia, nie była w stanie uznać ich nazwiska za swoje. Mary chętnie by ją wypytała o przyczyny zerwania z rodziną, lecz zdała sobie sprawę, że musiały to być bardzo bolesne wspomnienia, ponad siły słabej i kruchej kobiety.

Mary znalazła w lodówce świeże truskawki i melony, ostre kosztowne sery, gotowane jaja, suszoną włoską szynkę oraz oliwki. Parę tygodni temu pożarłaby to wszystko: wrzucałaby do ust garście owoców, pochłaniała kawały sera, przegryzając wielką bagietą, bekając, nie mogąc się nasycić. Teraz patrzyła na rozłożone produkty jak na paletę barw, zastanawiając się, jak je połączyć, jak skomponować kanapki. Połówki truskawek do przybrania grzanek z kozim serem. Kostki melona owinięte płatkami włoskiej szynki.

– Normalnie Chita kupuje jedzenie. Ale dziś rano musiałam pojechać po zakupy, zostawiając Jacka samego – rzekła Eden. – Nigdy bym sobie nie darowała, gdyby umarł w samotności.

Mary często wyobrażała sobie śmierć w samotności. Na atak serca, w łóżku, pod nieobecność pracującego do późna Goocha. W ciemnym rowie przy wiejskiej drodze. Siedząc na sedesie.

– Dlaczego nie pójdziesz się położyć? Ja wszystko przygotuję, a ty odpocznij przed przyjściem gości.

Eden nie trzeba było tego powtarzać. Znikła w holu, zostawiając Mary trud przygotowania poczęstunku. Mary zabrała się za obieranie, łuskanie, drylowanie i zawijanie, przypominając sobie tysiące znajdujących w czasopismach przepisów na potrawy, które obiecywała sobie zrobić jutro, ale jej wiecznie głodne usta były na to zbyt niecierpliwe. To wyjadanie prosto z torebek, woreczków i puszek. Wybierała dania typu: „Włóż zawartość do rondla i podgrzej na średnim ogniu” albo: „Wstaw do mikrofalówki, nastaw na maksimum i trzymaj dwanaście minut”, zamiast potraw wymagających krojenia, siekania, karmelizowania. Może w istocie przypomina Irmę bardziej, niż mogła przypuszczać. Może Gooch miał rację,

tłumacząc żonie przez te wszystkie lata, że jedzenie bynajmniej nie sprawia jej przyjemności.

Po paru godzinach, kiedy Mary skończyła już robić kanapki i pozmywała brudne naczynia, pojawiła się Eden i obrzuciła kuchnię krytycznym spojrzeniem.

– My zwykle używamy niebieskich talerzy – oświadczyła. – Ale niech tak zostanie.

Mary wzdrygnęła się na dźwięk gwałtownego kaszlu za zamkniętymi drzwiami sypialni Jacka. Przez twarz Eden przebiegł nerwowy tik.

– Lepiej, żeby cię nie widział, Mary. Masz już mój numer. Następnym razem zadzwoń najpierw.

– Dobrze. Zadzwonię.

– Możemy być akurat zajęci.

– Oczywiście.

– Najgorzej jest rano. To fatalna pora na wizyty. Fatalna. – Dzwonek telefonu rozdarł ciszę. Eden podniosła słuchawkę. – Halo? Tak? Halo? Nie słyszę. Halo? – Odłożyła słuchawkę. – Przerwało połączenie – wyjaśniła.

– Przerwało?

– Ciągłe tak się zdarza.

Po wyjściu z domu Mary nadal nie mogła zapomnieć o przerwaniu połączenia. To mógł być telefon od Goocha. Spojrzawszy na zegarek, uprzytomniła sobie, że do zamknięcia kanadyjskiego banku została tylko godzina. Zmusiła stopy do przyspieszenia kroku, błogosławiąc lekkie czarne pantofle.

stan zamroczenia

Ruszyła pod górkę, utwierdzając się w swoim podejrzeniu, że miała rację, sądząc, iż Eden osłania Goocha. Dlaczego zakazała Mary przychodzić bez uprzedzenia, bo mogą być akurat zajęci, kiedy widać było gołym okiem, że Eden i jej umierający mąż mają wszelkie zajęcia dawno za sobą? I po co dodała, że najgorsze są poranne godziny, mając wypisane na twarzy, że wszystkie pory i godziny dnia są jednakowo okropne? To na pewno dzwonił Gooch, a połączenie wcale nie zostało przerwane.

Kiedy dotarła do fontanny w połowie wzniesienia, przystanęła, ale nie usiadła na kamiennym murku. Na ulicach nie było rowerzystów. Ani pieszych na chodnikach. Upał wczesnego popołudnia zniechęcał do podejmowania wysiłku fizycznego. Oto dlaczego tutejsi mieszkańcy biegają i jeżdżą na rowerach wczesnym rankiem. Mają swoje godziny aktywności – jak zwierzęta w zoo. Słyszała dochodzący z daleka warkot kosiarek i dmuchaw do sprzątania liści – to robotnicy. Im nie jest za gorąco? Wdrapała się na szczyt wzgórza i podziękowała popychającej ją w dół grawitacji, ale dotarwszy do stóp następnego wzniesienia, musiała ustąpić ciału, które oświadczyło, że nie zrobi ani kroku dalej.

Oparła się plecami o wysoką palmę, z zadowoleniem dzieląc się z szorstkim pnem swoim ciężarem. Jednakże palma nie mogła jej ochronić przed palącymi promieniami słońca, i Mary zakręciło się w głowie od upału. Może to tylko kolejny sen – koszmarny sen o bezlitosnym przeciwieństwie utopii. Gdyby ulicą przejechał samochód, kto wie, czy nie rzuciłaby się pod jego koła. Zapaść w śpiączkę, marzyła w duchu, w krótką śpiączkę, z której obudzi się, mając nad sobą rysę na suficie i leżącego obok Goocha. „Niech zrobi to ktoś inny – usłyszała własny głos. – Ja nie mogę. Nie mogę już dłużej”.

Podnosząc oczy ku niezmiennemu błękitowi, wysłała Bogu podpowiedź: „Oto moment na wysłanie niechętnego samarytanina. W odpowiedzi na moje modlitwy”. Cud się jednak nie zdarzył. Nie nadszedł Big Avi w czarnej limuzynie. Ani Meksykanin od czerwonej, zakurzonej furgonetki. Zza jej pleców nie wyskoczył Gooch, wołając: „Wydzwaniałem do ciebie na wszystkie strony!”.

Więc gdzie jest Bóg, kiedy jej potrzebujesz? Udziela Trzeciemu Światu ostatniego namaszczenia? Uczestniczy w spotkaniu modlitewnym u Asquithów? Święci cudowne zwycięstwo jakiejś sportowej drużyny? Mary oderwała się od pnia palmy i ruszyła dalej w kierunku banku. Musiała iść. Więc szła. Bóg jednak jest – nie za kulisami, lecz w samym działaniu. A może dostała udaru. Pomasowała miejsce na czole pomiędzy oczami.

Dochodząc do centrum handlowego, zdała sobie sprawę, że ostatni kawałek drogi pokonała w stanie zamroczenia. Zredukowana do oddychania, pracy mięśni i jednej uporczywej myśli. Dopiero teraz poczuła ból poobcieranych przez ciasne pantofle stóp.

Dotarwszy do banku, otworzyła drzwi i oddała się pod opiekę przystojnego, jasnowłosego Coopera Rossa, który doprowadził ją do skórzano-chromowej kanapy, włączył telefon do najbliższego gniazdko, a nawet wybrał numer banku w Leaford.

Ale ponieważ kierownika po drugiej stronie linii nie uprzedzono o jej położeniu, Mary musiała opowiedzieć jeszcze raz swoją smutną historię wraz z nużącymi szczegółami, takimi jak nazwisko, adres i numer, pod którym można się z nią skontaktować. Mając umysł osłabiony niedożywieniem, nie mogła sobie przypomnieć nazwy szkoły podstawowej Goocha. Szkoła podstawowa imienia jakiegoś świętego. Podane przez nią panińskie nazwisko teściowej – Gustoff – okazało się nieprawidłowe, chociaż Mary była przekonana, że takie nazwisko podała jej Eden. Kierownik stwierdził stanowczo, że nie może udostępnić jej pieniędzy ani ujawnić

danych jej konta, dopóki Mary nie przedstawi dokumentów potwierdzających jej tożsamość i nie prześle ich faksem zaadresowanym osobiście do niego. Mary przypomniała sobie, że Emery Carr zapisał jej numer telefonu kogoś z kanadyjskiej ambasady.

Wstając z fotela, poprosiła o jeszcze jedną uprzejmość, a mianowicie, wezwanie taksówki, aby mogła wrócić do hotelu.

– To może potrwać nawet godzinę – odparła Lucy. – Nie jesteśmy w Nowym Jorku.

Nie mogła tak długo czekać. Jakkolwiek przerażała ją myśl o samotnym wieczorze w pokoju hotelowym, wiedziała, że nie wytrzyma ani chwili dłużej na czarnej skórzanej kanapie w bezosobowym banku. Podziękowawszy pracownikom, skierowała się do wyjścia.

Po wyjściu z banku, powłócząc obolałymi nogami, w za ciasnych pantoflach, ruszyła podjazdem w kierunku parkingu. Laserowe promienie słońca atakowały jej oczy. Parking. Torba. Musi tutaj być. Na pewno. Ukryta gdzieś za parkującymi samochodami. Musi tutaj być. Mając na razie dosyć łez, prawie się roześmiała, zdając sobie sprawę, że umiera z tęsknoty za swoją torbą.

Gdzieś blisko zadzwoniła komórka – to uświadomiło jej, że ktoś mógł dzwonić do hotelu z wiadomością o utraconych dokumentach. Albo Heather! A jeżeli Heather miała wiadomość od Goocha? Heather też nie może się z nią skontaktować. Mary zanotowała w pamięci, aby koniecznie zadzwonić do jej bistra w Toronto. A co z Goochem? Może ten przerwany telefon wcale nie był od niego. Może w ogóle nie ma telefonu. A jeżeli podczas pieszej wędrowki zdarzył mu się wypadek? Albo zgubił się i nie może wezwać pomocy? W umyśle Mary uruchomiła się znajoma wirówka strachu. Wspomnienie jazdy na łyżwach na rzece Thames. Zmiana – teraz jej kolej, by pójść na koniec szeregu. Kępa trawy w łodzi – rozcięta skóra na czole – podbiega Irma w wysokich gumowych butach. Krew, zażenowanie. Do dziś nosi bliznę.

Stała dalej, snując rozpaczliwe wspomnienia, gdyby nie słońce, które paliło jej wilgotne, zaróżowione policzki, oraz pewność, że musiała wypocić wszystkie warstwy kremu przeciwsłonecznego. Nie może dłużej tkwić w miejscu, musi więc, przypomniała sobie, ułożyć nowy plan. Wrócić do hotelu. Zadzwonić do znajomego Emery'ego Carra. Zadzwonić do Heather. Czekać. Odpocząć. Dojechać do hotelu.

Z wyjątkiem klientów drogerii, do których zwracała się nieraz z pytaniem, czy może im pomóc w odnalezieniu poszukiwanych przez nich artykułów, Mary nie miała zwyczaju zaczepiać nieznajomych, których zresztą w małym Leaford prawie się nie spotykało. Teraz jednak, gdy zauważyła sympatycznie wyglądającą młodą kobietę, która właśnie wsiadała do subaru, Mary odchrząknęła.

– Proszę pani? Muszę się dostać do Pleasant Inn, niedaleko głównej autostrady. Czy byłaby pani tak miła, żeby mnie podrzucić?

Kobieta, młodsza niż się w pierwszej chwili wydawało, odparła:

– No, wie pani, to samochód mojego taty, rozumiemy się? No więc, ja nie, no, to znaczy, nie pozwala mi nikogo wozić. Zwłaszcza nieznajomych, rozumiemy się?

No jasne, pomyślała Mary. Jestem obcą osobą, więc należy zachować ostrożność. Chociaż jesteśmy przecież w Golden Hills, jednym z najbezpieczniejszych miast Ameryki, gdzie nie kradnie się damskich toreb, a nieznajomi nawzajem się podwożą.

Ładująca zakupy do bagażnika starsza kobieta w czarnym, wyprasowanym dresie, usłyszała za sobą kroki Mary, ale się nie odwróciła.

– Proszę pani? – zawołała Mary. – Przepraszam, że zawracam pani głowę, ale muszę się dostać do Pleasant Inn, a...

Kobieta popatrzyła na nią bez uśmiechu.

– Jeżeli chce pani wezwać taksówkę, w drogerii jest telefon.

– Ale na taksówkę trzeba długo czekać – wyjaśniła Mary. – Nie jesteśmy w Nowym

Jorku.

– Niestety, nie mogę pani podwieźć. Wiozę mrożonki – odparła kobieta, na poparcie swoich słów pokazując mrożone produkty. – Niedaleko powinien być przystanek autobusowy. Gdzieś tam. Widuję tam czekających Meksykanów.

Przez parking przechodziła ciężarna kobieta z wózkiem, lecz Mary ominęła ją wzrokiem. Dawno temu nauczyła się unikać ciężarnych kobiet, które spoglądały porozumiewawczo na jej okrągły brzuch i przyjaznym tonem pytały, kiedy się spodziewa. Dwa bolesne ciosy zadane jednym siostrzanym gestem.

Kolejna kobieta, w średnim wieku, ze spiętymi w koński ogon, rozjaśnionymi włosami i surowym wyrazem twarzy, zmierzała do zdezelowanego auta typu hatchback, z którego bagażnika wystawały przyrządy do sprzątanania, szczotki, zmywaki na kij oraz miniodkurzacz. Mary podeszła do niej.

– Proszę pani? – Kobieta odwróciła się i z uśmiechem wysłuchała prośby o podwiezienie.

– Mogę panią zabrać – powiedziała z wyraźnie obcym akcentem, którego pochodzenia Mary nie była pewna. Zanim zdążyła podziękować, do starego samochodu zbliżyły się jeszcze trzy kobiety, wszystkie jasnowłose, o twardych, nieustępliwych twarzach. Pierwsza wyjaśniła im w swoim języku – rosyjskim? – o co chodzi. Rzuciwszy Mary szybkie spojrzenia, wzruszyły ramionami na znak zgody, po czym wcisnęły się we trzy na tylne siedzenie.

Jadąc główną ulicą w gęszczu samochodów, Mary doznała uczucia déjà vu. Życzliwość nieznanym. Kobiety rozmawiały głośno w swoim języku, zaśmiewając się i poklepując nawzajem po udach. Ormianki? Żałowała, że nie rozumie, co mówią; tak bardzo chciałyby stać się częścią ich wspaniałej siostrzanej wspólnoty. Do głównej arterii dojechała szybciej niż poprzednio, kiedy wiozł ją Emery Carr. Po wysokości chylącego się nad odległymi wzgórzami słońca poznała, że jest jeszcze wcześniej, przed godziną największego ruchu.

Prowadząca samochód kobieta zatrzymała się przy krawężniku niedaleko zbiegu trzech ulic, ale Mary w pierwszej chwili nie zrozumiała, że resztę drogi będzie musiała odbyć piechotą. Kobieta uśmiechnęła się przeprasząco.

– Dojdzie pani? Dalej są same jednokierunkowe ulice. Musiałabym objechać cały kwartał, żeby wrócić na skrzyżowanie.

– Ach.

– Wolałabym nie zjeżdżać z głównej drogi.

– Oczywiście. Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Kiedy mały samochód oderwał się od krawężnika, Mary pomachała kobietom na pożegnanie, po czym nacisnęła na skrzyżowaniu guzik dla pieszych. I weszła na jezdnię, gdy zapaliło się zielone światło. Mierząc wzrokiem szerokość jezdni, zaniepokoiła się, czy zdąży przejść na drugą stronę przed zmianą światła. Szybciej, mruknęła do siebie, ocierając mokre czoło. Zajęta obserwowaniem świateł, nie usłyszała tupotu nóg za sobą. Przestraszyła się, gdy zza jej pleców wyskoczył niewysoki, smagły mężczyzna i rzucił się prosto przez jezdnię.

To, co nastąpiło potem, przypominało serię błyskawicznie oddanych strzałów – utrwalone na kliszy zdjęcia. Najpierw widzianego z boku, wyprzedzającego ją mężczyzny: koszula w czerwoną kratę, za luźne, ściągnięte paskiem spodnie, zdarte cholewki zakurzonych, roboczych butów. Szersze ujęcie skręcającej nieostrośnie w prawo na czerwonym świetle białej furgonetki. Moment zderzenia – przód samochodu trafiający w korpus mężczyzny. Jego wyrzucone w powietrze ciało. Głuchy odgłos upadku. Ciemnoskóry mężczyzna rozciągnięty nieruchomo, z krwawiącymi ustami, na zielonym dywanie trawy na poboczu.

Mary znalazła się przy nim pierwsza. Wyglądał starzej, niż gdy widziała go z tyłu. Opadła na kolana i ujęła delikatnie za ramię.

– Proszę pana? Proszę pana?

Otworzył oczy, zdezorientowany, chwycił ją za rękę, usiłując skupić wzrok na jej twarzy.

– Angelica – wycharczał, opryskując krwią jej ramię.

– Mary – szepnęła. – Mam na imię Mary.

Zawieszenie czasu. Patrzyła w jego przerażone oczy, a zatrzymane sekundowe klatki zdawały się trwać każda minutę.

– To nic – rzekła. – Wszystko będzie dobrze. – Słyszac za plecami szum samochodów, zadała sobie pytanie, jak to możliwe, że nikt prócz niej nie zauważył, co się stało. Nic się nie zmieniło, tylko na trawie leży mężczyzna z palcami zaciśniętymi na jej ręce.

Kątem oka dostrzegła mrowie nóg w wyblakłych granatowych dżinsach, zbliżających się w tumanach kurzu. Jedna para oderwała się od grupy i osunęła na ziemię obok niej, by przyjrzeć się twarzy leżącego. Basowy, przykuwający uwagę głos powiedział:

– Ernesto. Ernesto?

Mężczyzna, jakby na dźwięk rozkazu, podniósł się na łokciu, obryzgując krwią kolorową sukienkę Mary.

Podniósłszy oczy, zobaczyła, że biała furgonetka zjechała na pobocze i wysiada z niej kierowca. Mężczyzna na oko sześćdziesięcioletni, kępkę siwych włosów na głowie, pulchna czerwona twarz, wzrost średni, krągły jak melon, napięty brzuch, w który miała ochotę wałnąć. Miał na sobie roboczą bluzę, a kiedy się zbliżył, odczytała wyhaftowane na górnej kieszonce imię: „Guy”.

Stanął nad nimi, pocierając ręce.

– Trzeba go zawieźć do szpitala – powiedział, lustrując wzrokiem zatłoczoną jezdnię.

Mary odciągnęła delikatnie podrapaną skórę na policzku leżącego, pokazując głębokie skaleczenie na brzuchu języka.

– To język krwawi – rzekła. – Ugryzł się w język – Zebraną w dłoń fałdą spódnicy otarła mu wargi.

– Angelica – szepnęła, patrząc z uśmiechem w jej zielone oczy.

Kierowca furgonetki niecierpliwie klepnął po ramieniu drugiego mężczyznę.

– Musimy go zawieźć do szpitala. I to już. Wsadź go pan na tył furgonetki. Tak będzie szybciej, niż wzywać ambulans. No, jedziemy.

Mary wzdrygnęła się, słysząc jego ponagląjący ton.

– Nie powinno się go ruszać – ostrzegła, widząc, że potrącony mężczyzna krzywi się i chwyta za brzuch.

Jednakże drugi mężczyzna podniósł się szybko, pomagając przyjacielowi stanąć na nogi.

– Idziemy – powiedział, podając Mary wolną rękę, gdy okazało się, że Ernesto nie puszcza jej dłoni. Podnosząc się z trudem z klęczek, Mary spojrzała w nieprzeniknione, brązowe oczy nieznanego. Był to ten sam mężczyzna, którego widziała już na piaszczystej parceli. Szerokie bary. Starannie przystrzyżone wąsy i broda. Odpowiedział jej zaciekawionym spojrzeniem, jakby ją rozpoznawał.

Guy ruszył przodem, otworzył tylne drzwi, a sam wdrapał się na przednie siedzenie furgonetki, której zderzak opatrzony był nalepką z napisem: „Do kontroli broni potrzeba obu rąk”. Ernesto trzymał się kurczowo Mary, kuśtykając do furgonetki i mówiąc coś błagalnym tonem po hiszpańsku.

– Prosi, żeby pani z nim pojechała – wyjaśnił jego przyjaciel.

– Dlaczego?

– Uważa panią za anioła – odparł drugi mężczyzna z leciutką ironią w głosie. Mówił po angielsku bez cienia obcego akcentu.

– Uderzył się w głowę – usprawiedliwiła Ernesta Mary, wdrapując się na tył furgonetki i siadając tyłem do kierunku jazdy, cały czas ściskana za rękę przez poszkodowanego. Była zdecydowana odmówić dalszego udziału, ale usłyszała odmawianą szeptem modlitwę przerażonego mężczyzny i zrozumiała, że widzi w niej odpowiedź na swoje błagania. Zjawia czy nie zjawia, znalazła się w sidłach jego pragnień. Jak matka usidlona przez dziecko. Jak panna młoda przez pana młodego.

Koła białej furgonetki zachrząściły na żwirze i samochód włączył się w sznur sunących jezdnią samochodów. Mary rzuciła okiem na powracających na pustą parcelę mężczyzn w granatowych dzinsach. Od chwili gdy weszła na jezdnię, nie minęły cztery minuty, a teraz siedziała na tylnym fotelu obcej furgonetki, z ręką uwięzioną w palcach broczącego krwią Meksykanina. Oto, co może się zdarzyć po porzuceniu utartej koleiny.

– Jak z nim? – z przedniego siedzenia zawołał kierowca.

Ernesto wskazał palcem swoje wystające żebra, mówiąc szybko po hiszpańsku do swego przyjaciela. Mary odwróciła głowę i w tylnym lusterku zobaczyła zaniepokojoną twarz kierowcy.

– Ma chyba pęknięte żebro – powiedziała.

Kierowca, nie odrywając oczu od jezdni, otarł pot z czoła i odgarnął kosmyk siwych włosów.

– Hej, chłopaki, mówi który z was po angielsku? Anglesej? – zapytał.

– Nie mówić anglesej – odparł Ernesto.

– Nie mówić anglesej – powtórzył jego towarzysz, przeszywając Mary wzrokiem.

– W szpitalu będą zadawać różne pytania – ostrzegł kierowca.

– Chyba znajdzie się ktoś do tłumaczenia – zauważyła Mary.

– Nie do takich pytań.

Okręciwszy się na siedzeniu, zaczęła obserwować znaki drogowe. Dostrzegła znajomy symbol, zapowiadający zjazd do szpitala. Ale kierowca minął go, nie skręcając. Może zna krótszą drogę.

– Mógł doznać wewnętrznych obrażeń – zawołała do kierowcy.

– Jeżeli zawieziemy go do szpitala, nie obędzie się bez policji – odparł. – *Policio, Julio.*

Policio, Juan. – Żaden z mężczyzn nie zareagował. Mary nie przypominała sobie, aby któryś z nich mówił kierowcy, jak ma na imię.

– Pani może zaświadczyć, że przechodził na czerwonym świetle.

– Ależ to się stało na zielonym świetle. Ja też przechodziłam. To pan skręcił w prawo, nie patrząc na jezdnię – zaprotestowała Mary, myśląc zarazem: i to na mnie by pan najechał, gdybym była w stanie przyspieszyć kroku. Łaska boska oszczędziła mi podobnego losu.

Kierowca zamrugał, kalkulując ryzyko.

– Może ruszać głową? Jak oddycha?

Ernesto popatrzył na towarzysza, ale się nie odezwał.

– Chyba lżej oddycha – z pewnym wahaniem odparła Mary. – Nie widzę, żeby miał zamglone oczy. Ale musi mieć uszkodzone żebro.

Towarzysz poszkodowanego zawołał do kierowcy z bardzo wyraźnym hiszpańskim akcentem:

– No ‘ospital.

– Ale on powinien być zbadany przez lekarza – zaprotestowała Mary.

– No ‘ospital – powtórzył, uciszając ją wzrokiem.

– No ‘ospital – przytaknął Ernesto.

– *No policio. No hospitaly* – z wyraźną ulgą powtórzył kierowca. – Mądre chłopaki.

– Powinno się go prześwietlić – zwróciła uwagę Mary.

Kierowca głośno się roześmiał.

– Masz ubezpieczenie, Miguel?

Dwaj mężczyźni nie odpowiedzieli, zdawali się nie rozumieć.

– Koło Avenida de los Árboles. Hundred Oaks – odezwał się drugi mężczyzna znowu z silnym akcentem hiszpańskim. – Dom. *Por favor*.

Kierowca pokiwał głową.

– Hundred Oaks. Właśnie tam jedziemy.

W milczeniu zjechali z autostrady i przez gąszcz uliczek dotarli do głównej arterii miasteczka, z panoramą dzikich wzgórz, którego dziurawe ulice świadczyły o poważnych zaniedbaniach służb miejskich. Po dłuższej jeździe szeroką ulicą, po której bokach ciągnęły się szeregi sklepów popularnych sieci handlowych, znaleźli się w dzielnicy drewnianych domków, przy których przypięte łańcuchami do parkanów rowery zastępowały ozdobne rośliny, a plastikowe zabawki – wysadzone różami ogrody. Wbrew dumnej nazwie dzielnicy, wąskich uliczek nie osłaniało sklepienie stu dębów. Mary wypatrzyła tylko kilka klonów, parę wysokich drzew iglastych i jeden stary jawor. Zza przerdzewiałych żelaznych bram na sunącą powoli furgonetkę powarkiwały brytanopodobne zwierzaki.

Towarzysz Ernesta wskazał niewielki pudełkowaty dom na rogu ulicy, przed którym gromadka dzieci skakała przez wijący się na kawałku sztywnej zbrązowiałej trawy szlauch zraszacza. Przez otwarte okna widać było sylwetki kłębiących się w domu ludzi, a przez szpary w sztachetach za domem – grupę mężczyzn zebranych wokół dymiącego grilla.

Kiedy furgonetka skierowała się na podjazd, dzieci nagle znikły, a mężczyźni, których Mary widziała w ogrodzie, wycofali się do domu. Wszelki ruch w domu zamarł, gdy kierowca wysiadł i obszedłszy samochód, otworzył tylne drzwi. Ernesto puścił wreszcie rękę Mary. Wygramoliwszy się z auta, patrzyła za prowadzącym go do domu młodszym mężczyzną, który – będąc już pod drzwiami – zerknął na nią przez ramię i posłał jej błądy uśmiech. Odpowiedziała na jego uśmiech, po czym zwróciła się surowo do kierowcy.

– Ten człowiek powinien znaleźć się w szpitalu.

– Powinien wrócić do Tijuany – odburknął kierowca. – A teraz, skoro Pancho i Raul zrobili ze mnie taksówkarza, gdzie szanowna pani życzy sobie, żeby ją odstawić? Tylko nie mów mi pani, że do Reseda, bo nie zamierzam pchać się z powrotem w najgorszy tłok.

– Nie może go pan tak po prostu zostawić. Nie dał mu pan nawet swoich danych – upomniała go Mary.

– Moja pani. – Ten ton, jakim powiedział „pani”! – Gdyby złapali ich na granicy, co było ich psim obowiązkiem, nie musiałbym się teraz z panią tutaj użerać. Popatrz pani. – Gestem ręki wskazał mały dom i kilkanaście przywiązanych łańcuchami rowerów. – Dam głowę, że jest ich tam ze dwadzieścia sztuk.

– Dwadzieścia sztuk?

– Te sukinsyny na pewno nie narobią mi kłopotu. – Groźnie tupnął nogą. – A pani?

– Powinien pan przynajmniej zostawić mu pieniądze – wyrwało się Mary. – Na wypadek gdyby musiał jednak pójść do lekarza.

– Powinienem zadzwonić do Urzędu Imigracyjnego.

– W takim razie proszę dać pieniądze mnie – powiedziała podniesionym głosem, drżąc ze zdenerwowania. – Zapamiętałam numer pańskiego samochodu, Guy.

Długo patrzył jej w twarz, z całej jego postaci bił kwaśny odór urażonej godności. Wyszarpnąwszy z kieszeni portfel, wyjął zwitek banknotów.

– Bierz pani dwieście dolarów. Jesteśmy kwita. Nic się nie zdarzyło. – To powiedziawszy, odwrócił się i wsiadł do furgonetki, ale na odjezdnym rzucił: – Gruba, pieprzona

maciora.

Obrażliwe słowa smagnęły ją jak garść piasku. Owszem, jest gruba, ale ani pieprzona, ani nie maciora. Jest sobą, Mary Gooch, która wracając do otaczającej ją, niezwyklej rzeczywistości, zdała sobie sprawę, że jest przedmiotem obserwacji gromadki meksykańskich dzieci, wpatrzonych w nią z głębi otwartego okna, w miasteczku o nazwie Hundred Oaks. Przeliczając pieniądze, wykonała parę kroków dzielących ją od drzwi i nacisnęła dzwonek. Zadzwoiła jeszcze raz, ale nikt nie otwierał. Ukryte za firankami dzieci milczały. Doprowadzona swoją sytuacją do rozpacz, zaczęła walić w drzwi. Nie dość, że czekanie na taksówkę potrwa godzinę, to jeszcze nie wiadomo, ile przyjdzie zapłacić za taki długi kurs.

Wziąwszy głęboki oddech, zapukała jeszcze raz, czując nerwowe mrowienie skóry, od pokrytych pęcherzami palców stóp aż po spalony słońcem czubek głowy. Nareszcie silny mężczyzna z brodą uchylił drzwi. Wetknęła mu w rękę pieniądze, zanim zdążył się odezwać.

– Zostawił to dla was – powiedziała. – Na wypadek gdyby pański przyjaciel czegoś potrzebował. – Mężczyzna wziął pieniądze i wyjrzał przez jej ramię, aby się upewnić, czy kierowca furgonetki odjechał. – Potrzebuję taksówki, żeby wrócić do Golden Hills.

– Ja panią odwożę, gdy tylko wróci mój kuzyn. – Jeszcze raz rozejrzał się po ulicy, i dopiero wtedy otworzył przed nią drzwi. – Proszę. Proszę wejść.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się Mary w oczy, były stojące w ordynku pod drzwiami na kwadratowym kawałku linoleum buty: w pierwszym rzędzie buty robocze, dalej tenisówki, za nimi stos sandałów wszelkich kształtów i rozmiarów. Na oko chyba ze sto par. Pokoje, zbyt liczne jak na tak mały dom, były pomalowane żywymi kolorami – owoców granatu, szafranu, lazuru, bakłażanu. Mężczyzna zawołał coś po hiszpańsku, zapewne, że niebezpieczeństwo minęło, na co z pomieszczenia na tyłach domu wysypali się dorośli i dzieci, przypatrując się dziwnej kobiecie, która znalazła się w ich domu, wykrzykując jeden przez drugiego obce zdania, których wyraziste, unoszące się w powietrzu przeciągłe samogłoski zdawały się tworzyć rodzaj uzupełniającego podtekstu. Zapewne omawiali wypadek, zastanawiając się, jaką rolę odegrała w nim nieznaną, skoro jej sukienka nosi ślady krwi, i dziwiąc się, dlaczego mężczyzna, któremu okazywali widoczny szacunek, wpuścił ją do domu.

Idąc za nim, znalazła się w schludnej kuchni na tyłach domu, gdzie zobaczyła usadowionego na krześle, rozebranego z koszuli Ernesta, i mogła się lepiej przyjrzeć jego obrażeniom. Siniaki na piersiach, w miejscach, gdzie zapewne pękło parę żeber. Pozdzierana z chudego ramienia skóra. Poznaczony żdźbłami trawy policzek. Sącząca się nadal z języka krew. Pomarszczona kobieta w chustce na głowie opatrywała mu rany, a malutka dziewczynka o poważnej buzi przykładła mu mokrą szmatkę do zarośniętego podbródka.

Na widok Mary Ernesto otworzył szeroko oczy, które zaiskrzyły się, gdy w ręce towarzysza zobaczył zwitek dolarów.

– *Gracias* – powiedział. – *Gracias, Maria*.

– Jak powiedzieć „nie ma za co”? – zwróciła się Mary do drugiego mężczyzny.

– *De nada* – odparł z uśmiechem. – Dosłownie: „To nic”.

Bo nic nie zrobiła, pomyślała Mary. Nie ma za co dziękować. Zrobiła tylko to, co należało zrobić. Przyszła z pomocą potrzebującemu. Nie musiała decydować. Nie miała wyboru. Starła się tylko pocieszyć przerażonego człowieka, pozwoliła trzymać się za rękę.

– *De nada* – powtórzyła nieśmiało.

Podniósłszy oczy, zaczerwieniła się, widząc na sobie uważne spojrzenie drugiego mężczyzny. Wyciągnął rękę – nie po to jednak, aby się przywitać, lecz by mocno, a zarazem delikatnie przytrzymać jej dłoń i przedstawić się:

– Jestem Jesús García.

– Hej-su? – powtórzyła, z trudem wymawiając obce słowo.
– Pisz się podobnie jak Jezus.
– Och! – Zaśmiała się lekko, zastanawiając się, czy nie zemdleje z gorąca, jakie panowało w maleńkim pomieszczeniu. – A ja jestem Mary. Mary Gooch.

Był mniej więcej w jej wieku. Może trochę starszy albo odrobinę młodszy. Twarz miał brązową, poraną głębokimi bruzdami. Pełne i lekko wydęte, niemal jak u cherubina, policzki powyżej przyszywanej brody. To budowa ciała – mocne, proste plecy i sportowy chód – nadawała mu stosunkowo młody wygląd. Pod jego uważnym spojrzeniem zakreśliło się jej w głowie.

Odgadując jej myśli – a może po prostu dlatego, że Mary ledwo trzymała się na nogach – Jesús García przysunął krzesło i posadził ją koło Ernesta.

– Przypomina mi pani kogoś, kogo kiedyś znałem – powiedział. – Też miała na imię Mary.

Nikt jej nigdy nie powiedział niczego podobnego, w dodatku nie mogła sobie wyobrazić rzeczywistości, w której taki mężczyzna jak on, mógł znać taką kobietę jak ona.

Zwrócił się do jednego z dzieci.

– *Agua por la señora.* – Dziewczynka pokręciła główką, pokazując na migi, że nie działa kran nad zlewem. Jesús przymknął na moment oczy, po czym otworzył lodówkę i wyjął butelkę piwa. Zdjąwszy kapsel, podał ją Mary, która przetłumaczyła sobie słowo *agua*: woda.

– Ma pani zniszczoną sukienkę – zauważył, wskazując krwawe smugi na jej spódnicy. – Plam z krwi nie da się wywabić.

Skinęła głową, przykładając butelkę piwa do ust, zerkając na jego szerokie plecy, gdy odwrócił się do okna. Potężne bary i ramiona – na pewno podnosi ciężary – wyraźnie zarysowane pośladki, mocno umięśnione uda. Odwracając się, pochwycił jej spojrzenie. Na jego twarzy nie było żadnej reakcji.

Pozostali domownicy, dowiedziawszy się od Jesúsusa o przebiegu wypadku i prawie heroicznym postępcu Mary, powrócili do swoich poprzednich zajęć – mężczyźni do grilla na podwórzu, kobiety do rozwieszania mokrej bielizny w oparach unoszącego się znad grilla dymu. Tylko dzieci nie poszły skakać przez zraszacz, ale zostały w kuchni – starsze zabrały się do krojenia ostrymi nożami ziemniaków na wieczorny posiłek, młodsze, do obierania kaczanów kukurydzy, czerpanych z worka koło nieczynnego zlewu.

Zadzwoiła komórka. Jesús García sięgnął do kieszeni, a sprawdziwszy numer, machnął ręką na pozostałych domowników, którzy natychmiast się uciszyli. Odebrał telefon i rozmawiając szybko po hiszpańsku, oddalił się w odległy kąt podwórza.

Słyszac szurgotanie grabi na dworze, Mary pomyślała z tęsknotą o rodzimym Leaford, gdzie słońce nie świeci dzień w dzień, panują znajome obyczaje, a ludzie mówią zrozumiałym językiem. Zateśniła za małym, wiejskim Leaford, gdzie mieszkała zaledwie garstka świeżych imigrantów, w większości nieźle władających językiem angielskim. Zastanowiła się nad kolorem skóry mieszkańców hrabstwa Baldoon. Przeważnie biali. Trochę czarnych. W pobliskim Rusholme mieszkali potomkowie niewolników, uciekinierów z południa Stanów Zjednoczonych – Jonesowie, Bishopowie i Shaddowie, którzy – ramię w ramię z rodzinami Brodych, Zimmerów i Flooków – wykarczowali połowę hrabstwa Baldoon – ci jednak przywędrowali ponad sto lat temu, i ich losy wplotły się pierwotnymi ściegami w tkanę hrabstwa. Do nowszych przybyszów należał właściciel restauracji, pan Chung. Oraz cztery koreańskie rodziny, które władaly królestwem tanich marketów. I jedna hinduska rodzina, której członkowie prowadzili obie kawiarnie Tima Hortona.

Rozmawiając o świeżych imigrantach, Irma i Orin nie wyrażali o nich swoich opinii,

tylko swoje emocje. Wobec posiadaczy własnych przedsiębiorstw żywili pogardę i zawiść. Irma zauważyła kiedyś à propos Koreańczyków: „Gdybym miała własny sklep i brała cztery dolary za bochenek stęchłego chleba, też bym się wzbogaciła”. A Orin: „Wyobraź sobie, że ten mały Chińczyk buduje sobie basen. Pewnie mu się wydaje, że umarł i poszedł do... ich chińskiego raj”. Zaś innym razem, po wizycie w koncesjonowanym sklepie z kawą Tima Hortona, poskarżył się: „Pomyśleć, że taki Vikram jeździ teraz lincolnem”.

Imigranci, którym się nie powiodło – jak na przykład zamieszkała na tej samej ulicy samotna matka z Indii Zachodnich, której dorastający syn zszedł na złą drogę, a ona płaciła w sklepie voucherami pomocy społecznej, zaś po bankructwie skromnego interesu przeszła na zasiłek dla bezrobotnych – budzili w nich tylko pogardę. „Przysłała się do rządowego cycka”, mruknął Orin. Na co Irma odparła: „Doprawdy Orin, co za paskudne porównanie”.

Za plecami Mary jedno z dzieci wyniosło na dwór kosz posmarowanej oliwą, przyprawionej kukurydzy do grillowania, a jednocześnie do kuchni wniesiono półmisek upieczonego mięsa. Dzieci uśmiechały się na widok półmiska, który prezentowano niczym tort urodzinowy; młodsze wspinały się na palce, by zerknąć na jego zawartość. Mary policzyła dzieci, starą kobietę, Ernesta, widocznych przez okno mężczyzn, przechodzące przez kuchnię do dalszych pomieszczeń i z powrotem kobiety. Kierowca furgonetki nie pomylił się – było ich w sumie około dwudziestu osób. Ilość mięsa na talerzu, jakkolwiek okazała, nie mogła zaspokoić głodu tylu biesiadników. Nawet razem z pajdami chleba, tuzinem kaczanów kukurydzy i pokrojonymi w ćwiartki ziemniakami, które dochodziły w starym, zdezelowanym piekarniku.

Mary przestraszyła się na myśl, że mogą ją zaprosić do udziału w wieczornym posiłku. Nie wyobrażała sobie siebie, jak przeżuwa i przelyka jedzenie w tłumie obcych ludzi, w dodatku uszczuplając ich skromne racje pożywienia. Modliła się, aby Jesús skończył rozmawiać przez komórkę, a jego kuzyn jak najszybciej wrócił. Skoncentrowała uwagę na zbiorze fotografii, przymocowanych magnesami do drzwi starej lodówki. Były to głównie zdjęcia rodzinne – zapewne rodziny Jesúsa Garcíi. Ładna, pulchna kobieta o migdałowych oczach i ciemnych falujących włosach. Dwaj nieletni synowie, każdy z identyczną strzechą czarnych nastroszonych włosów i takimi samymi jak ojciec świetlistymi, brązowymi oczami. W głębi duszy Mary zawsze cieszyła się z tego, że jest jedynaczką. Jej siostra, gdyby takowa istniała, na pewno byłaby chuda.

Drzwi wejściowe otworzyły się i do kuchni wszedł starszy, utykający mężczyzna, podzwaniając pękiem kluczy. Był starszy niż Ernesto, miał spaloną słońcem skórę. Oczy Mary spotkały się z jego oczami, które zdawały się wołać: „Nie powinno jej tutaj być!”. Jeszcze bardziej się nachmurzył, dostrzegłszy rannego Ernesta, który wstrząsnął się, gdy stara kobieta przykładała mu do rany nasmarowany antyseptyczną maścią bandaż. Mężczyzna powiesił klucze na haku przy drzwiach i krzyknął chrapliwym głosem do mężczyzn przewracających kukurydzę na grillu. Mary nie musiała rozumieć hiszpańskiej mowy, by odgadnąć, co mówi: „Co się stało Ernestowi? Kim jest ta gruba, biała kobieta?”.

Po nakryciu stołu do kolacji jedna z kobiet podała Mary talerz z miłym, zachęcającym uśmiechem:

– *Buen provecho* – rzekła. – *Metete mano*.

– *Blen provaiko* – powtórzyła za nią Mary.

Stojący nieopodal chłopiec przetłumaczył:

– Proszę jeść. Ona mówi, żeby pani jadła. I życzy smacznego.

Ryzykując, że ich urazi, Mary pokręciła głową, tłumacząc się nieśmiało:

– Nie doszłam jeszcze po wypadku do siebie.

Domownicy ochoczo gromadzili się w kuchni, ale bez bałaganu. Pierwsze podchodzili

dzieci, biorąc umieszczone na skraju półmiska mniejsze porcje mięsa, połówki kaczanów i po trzy oliwki z miseczki. Potem zbliżyli się starsi, napełniając sobie talerze wedle rangi i apetytu. Ożywione pogaduszki. Jedli na stojąco albo opierając się o ściany. Z talerzami pod brodą. Wilgotne, złaknione wargi – to otwierają się, to zamykają dokoła widelców. Wgryzają się w kaczanę kukurydzy, miażdżą ćwiartki ziemniaków zębami. Mary nie czuła zapachu jedzenia, ale czuła jego ból. Narastała w niej pewność, że dalsza obecność przy posiłku doprowadzi ją niechybnie do wymiotów.

– Chodźmy – powiedział Jesús, zdejmując klucze ze ściany. – Odwiozę panią do domu.

spadające gwiazdy

Zamknięta w kabinie brudnej furgonetki, wśród wielu innych, sunących ku autostradzie pojazdów, Mary wyobraziła sobie, jak jej przyjaciółka Wendy wysyła do reszty towarzystwa e-mail następującej treści: „Mary Gooch wsiadła w Kalifornii do auta jakiegoś podejrzanego Meksykanina i dała sobie poderżnąć gardło. Idiotka, no nie?”.

Zerknęła na profil nieznanego. Widziała, jak odnosili się do niego pozostali mieszkańcy domu; nie był wysoki, lecz górował nad nimi swym rozkazującym spojrzeniem, upartym podbródkiem. Powagą i charyzmą. Wśród zgromadzonych w kuchni nie zauważyła pulchnej kobiety ze zdjęcia na drzwiach lodówki. Jego żony. Nie miała pojęcia, które z dzieci należały do niego.

Wzgórza szybko pożarły słońce i wkrótce zapadł zmierzch. Gwiazdy wygryzały dziurki w czarnym aksamicie nocy, a Mary przypominała się rymowanka, której w dzieciństwie nauczyła ją Irma: „Gwiazdko jasna, która świecisz nad borem, Pierwsza gwiazdko, którą ujrzę dzisiaj wieczorem, Niech się spełni, niech spełni się to, Co mi serduszko dzisiaj podpowiedziało”.

Jesús García odchrząknął.

– Dziękuję pani.

– Nic nie zrobiłam.

– Ernesto poprosił, żeby pani z nim jechała. A pani się zgodziła. Jest wdzięczny.

– Wziął mnie za anioła.

Wpatrzony w drogę Jesús nie odpowiedział. Nie zaklął pod nosem, jak by to zrobił Gooch, kiedy granatowe bmw zajęchało mu drogę. Ani nie nacisnął gazu, żeby je dogonić i rzucić kierowcy piorunujące spojrzenie, co często zdarzało się Orinowi. Idąc za wzrokiem mężczyzny, skierowała oczy ku gwiazdom.

Czuła jego fizyczną obecność, tak samo jak wyczuwała zawsze cielesną obecność siedzącego obok w aucie czy na kanapie albo leżącego koło niej w łóżku Goocha – promieniującą, neodpartą obecność. Nagła eksplozja rozbłysła na nocnym niebie, ognistą, kosmiczną smugą zapadła za czarny horyzont. Olśniewająca. Spadająca gwiazda. Ulotna jak błysk pioruna. Jak życie człowieka. Boska sztuczka – jak ona to zrobiła?

– Widział pan? – zapytała, wskazując palcem. Miała nadzieję, że był to znak.

Jesús obojętnie skinął głową.

– Nigdy dotąd nie widziałam spadającej gwiazdy – szepnęła.

– Nigdy?

– Czy mam wypowiedzieć życzenie? Podobno na widok spadającej gwiazdy należy wypowiedzieć życzenie.

Jesús García zerknął na nią z ukosa, mrużąc jedno oko, jakby mówił z przykrością.

– To nie są prawdziwe gwiazdy.

– Nie?

– To tylko odłamki meteorów, zapalające się przy zetknięciu z ziemską atmosferą. Nie ma w nich nic magicznego.

– Ale robią magiczne wrażenie.

– Niektóre z gwiazd, na które teraz patrzymy, zgasły dawno temu.

– To jest magia. Chyba wiedziałam o tym. Ale ja i tak wypowiem życzenie. – Zacisnęła powieki i poprosiła o szybki powrót Goocha. Otworzył oczy, rozejrzała się ze zdziwieniem po niebie. – U nas gwiazdy wyglądają inaczej. Nawet w najpogodniejsze noce.

– Gdzie pani mieszka?

Nie miała ochoty wprowadzać nieznanego w szczegóły swej sytuacji, ale nie chciała również by pomyślał, że mu nie ufa.

- Jestem Kanadyjką – odparła, mając nadzieję, że połączy ich więź wyobcowania.
- Kanada – powtórzył i z uznaniem skinął głową.
- Tyle że inne granice.

Rzucił jej pytające spojrzenie.

- Meksyk, Kanada – wytłumaczyła.
- Ja jestem Amerykaninem – obruszył się.
- Ach! – Czują, że powinna go przeprosić, chociaż nie bardzo wiedziała za co.
- Urodziłem się i wychowałem w Detroit.
- W Detroit! O godzinę jazdy od Leaford. Tuż za granicą. Stamtąd pochodzę.
- Moi rodzice mieli restaurację w Mexican Village – powiedział i dodał z nadzieją

w głosie: – Casa García?

Mary zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nigdy nie byłem w Detroit. – Wydawał się zaskoczony. Albo zawiedziony. – Mój mąż jeździł nieraz do Detroit na wystawy samochodów.

Mój mąż. Mój mąż. Mój mąż. Ileż to razy w ciągu minionych dwudziestu pięciu lat wypowiadała te słowa? „Mój mąż świetnie sobie radzi”. „Mój mąż lubi krwistą wołowinę”. „Ja i mój mąż mamy wspólne konto w banku”. Równie często zaczynała zdania od: „Zdaniem Goocha”, albo: „Gooch uważa, że”. Na kogo będzie się powoływać, jeśli Goocha, jej męża, zabraknie?

Jesús García zasygnalizował zamiar zmiany pasa jazdy.

– Mąż czeka na panią w hotelu?

– Tak się składa, że akurat w tej chwili nie ma ze mną tutaj mego męża – odparła Mary, zdając sobie sprawę, jak idiotycznie zabrzmiało jej wyjaśnienie. – Wypowiadanie życzenia wobec kawałka meteoru to jednak nie to samo – dodała z westchnieniem. – Czy tutejsze nocne niebo jest zawsze takie czyste?

Wskazał ręką horyzont.

– Zna pani gwiazdozbiory? Widzi pani tę smugę światła? To Droga Mleczna. Widzi pani Wielki Wóz?

– Ten poznaję. – Patrzyła na jego grube palce rysujące na niebie kształt dyszla.

– A to Draco, smok, ta tutaj formacja gwiazd między Małą i Wielką Niedźwiedzicą. –

Mary kiwnęła głową, chociaż nie widziała żadnego smoka. – Gwiazdy najlepiej obserwować nad oceanem.

– Nigdy nie widziałam oceanu.

– To trzeba zobaczyć.

– Wszyscy tak mówią. – Mężczyzna spojrzał na nią z promiennym uśmiechem.

Pierwszym, jaki u niego widziała. – W szkole na pewno uczyłam się o gwiazdach. Ale boję się, że moja pamięć działa na zasadzie: wiem to, co muszę wiedzieć. A ja rzadko muszę coś wiedzieć. Czy pan to wszystko pamięta ze szkoły?

– Z biblioteki. Spędzałem tam wiele czasu po... kiedy nie miałem pracy.

– Na studiowaniu gwiazdozbiorów?

– Włócząc się między półkami. Wybierając książki na chybił trafił.

– Mniej więcej tak jak dzisiejsi młodzi ludzie buszujący po Google’u, czy jak to się tam nazywa.

– Nie jestem typem komputerowca.

– Jest pan typem książkowca na chybił trafił.

– To było coś więcej niż książki. Lubiłem samo miejsce. Bibliotekę. Kurz. Ciszę. Jakby na potwierdzenie upodobania do ciszy, mężczyzna ponownie zamilkł. Mary wpatrywała się w nocne niebo, mając nadzieję, że zobaczy, jak następne odłamki meteoru wybuchają płomieniem przy zetknięciu z atmosferą.

– To będzie zaraz za zjazdem z autostrady. Pleasant Inn – podpowiedziała. Ośmielona widokiem spadającej gwiazdy, a może pod wpływem opróżnionej niedawno butelki piwa, zapytała: – Dlaczego pan udawał, że nie zna angielskiego?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Tak jest czasami łatwiej.

To samo powiedziała Heather Gooch: „Czasami łatwiej jest udawać kogoś innego”.

Kiedy zatrzymali się na światłach u zbiegu ulic, wzrok Mary spoczął na piaszczystej parceli, miejscu wypadku, gdzie po raz pierwszy zobaczyła lustrującego wzrokiem przejeżdżające samochody Jesús García. Pobiegł wzrokiem za jej spojrzeniem, a ona poczuła się, jakby ją przyłapał na gorącym uczynku.

– To chyba okropne być takim jednodniowym robotnikiem do wynajęcia – rzekła Mary. W jej głosie dało się wyczuć zarówno ton współczucia, jak i protekcyjną nutę.

– Ja pracuję w centrum handlowym, kawałek drogi stąd – odparł. – Mój wuj, ten starszy, kulejący mężczyzna, pamięta go pani? Jeśli tylko może, podwozi nas stąd, mnie i Ernesta, po drodze z doliny do domu.

– A jak nie może?

– To jedziemy autobusem.

Sądząc po jego ubraniu, mężczyzna na pewno nie mógł pracować w banku. Ale ponieważ nie spieszył się z wyjaśnieniem, na czym jego praca polega, więc Mary wolała nie pytać. Ale była ciekawa. Drogeria. Sklep z artykułami podróżnymi. Zapamiętała szyld sklepu z obuwiami. Popularna restauracja.

Jesús García pomógł Mary wysiąść, odprowadził ją do hotelowego holu, a na pożegnanie powiedział:

– Dziękuję, Mary. *Gracias*.

– Było mi miło, Hej-su. – Uśmiechnął się pod wąsem, a ona, pragnąc zobaczyć jeszcze raz tamten promienny uśmiech, dodała: – Pewnie źle wymawiam? *Hej-su?*

– Bardzo dobrze.

Patrzyła za wychodzącym przez podwójne drzwi hotelu i wsiadającym do furgonetki mężczyzną. Recepcjonistka, w której Mary rozpoznała dziewczynę z poprzedniego wieczoru, zawołała:

– Pani Gooch?

– Tak?

– Czy to krew? – zdziwiła się recepcjonistka na widok zaplamionej sukienki Mary.

– Zdarzył się wypadek – wyjaśniła. – Miałam ciężki dzień.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Mam pani torbę.

krew nie do wywabienia

Kiedy recepcjonistka powtórzyła jej słowa policjanta, radość Mary z odzyskania brązowej winylowej torby szybko nabrała gorzkiego smaku. Torbę odnalazł pies, który węszył w krzakach w kącie parceli przy zbiegu ulic. Tu kobieta podniosła jedną brew, dając do zrozumienia, że to zapewne sprawa meksykańskich robotników najemnych, co zdaniem Mary było nie fair. W torbie zostało trochę osobistych rzeczy, ale nie było portfela. Ani telefonu. Ani paszportu. Szeryf nie miał wielkiej nadziei na to, by ktoś zwrócił dokumenty.

– Kierownik hotelu powiedział, że jeśli chce pani zostać dłużej niż do jutra rano, będziemy musieli poprosić o numer karty kredytowej.

Wchodząc do swego pokoju, Mary zauważyła, że zostawiła niechcący na kłamece tabliczkę „Nie przeszkadzać!” Wewnątrz zastała wszystko w nienaruszonym stanie. Posłane łóżko. Zdrowe batony na stole. Woda. Krem przeciwsłoneczny. Zrzuciła z nóg przyciasne pantofle, usiadła na łóżku, zajrzała do torby i poczuła rozgoryczenie, nie znalazłszy w niej portfela.

Dostrzegła swoje odbicie w lustrze nad toaletką. Oderwana od korzeni, bezimienna, nieokreślona. Gdyby przynajmniej w pokoju tłoczyło się razem z nią dwadzieścia podobnych do niej osób, znajdujących się w takim samym położeniu, tak samo niepewnych, co dalej robić. Nie tyle towarzyszy nieszczęścia, ile ludzi stanowiących bratersko-siostrzaną zbiorowość, podobną do tej, jaką tworzyli meksykańscy imigranci. Członkowie plemienia. Poczuli potrzebę plemiennej przynależności i zdała sobie sprawę, jak była niemądra, uzależniając całą swą egzystencję od Goocha.

Jesús García miał swoje plemię. W pomalowanym na jaskrawe kolory domu, którego drzwi strzegło sto par butów, był królem swojego plemienia. Mary przypomniały się jego rodzinne zdjęcia na lodówce – ładnej żony o migdałowych oczach i dwóch urodziwych, ciemnowłosych chłopców. Może nie czuł potrzeby wypowiedzenia życzeń na widok spadających gwiazd, ponieważ miał wszystko, czego w życiu pragnął. Jego twarz, kiedy pokazywał jej Mleczną Drogę. Twierdził, że w gwiazdach nie ma nic magicznego, a jednak wydawał się nimi zafascynowany.

Po wyszukaniu numeru informacji telefonicznej i uzyskaniu połączenia z kanadyjskim operatorem, Mary poprosiła o numer Bistra 555. Plan. Plan był wątpliwy, ale innego nie miała. Wyjaśni Heather swoje położenie i poprosi o niewielką pożyczkę, którą zwróci niezwłocznie, gdy tylko jej sytuacja się wyjaśni.

Czekała, wstrzymując oddech, dopóki na drugim końcu linii nie odezwał się znajomy głos.

– Halo? – zawołała. – Dzwonię do He... do Mary Brody. Czy mogę mówić z Mary Brody?

– Przepraszam, kto dzwoni?

– Jej szwa... znajoma. Stara znajoma. Byłam u was na początku tygodnia. Pan jest aktorem, prawda?

– Tak. Pamiętam panią. – Gruba kobieta, która pytała o wysokiego mężczyznę. – Proszę chwileczkę zaczekać.

W odległości trzech tysięcy mil słuchawka stuknęła o niklowany blat lady. W tle słychać było ogłuszający hałas. Mary dla zabicia czasu zajrzała do kosmetyczki, której chyba nikt nie otwierał. Ucieszyła się, znalazłszy w środku szczotkę do włosów, ponieważ hotel oferował tylko grzebień. Komu mógł się przydać jej zapasowy sklepowy uniform? Wreszcie aktor/barman

podjął słuchawkę.

– Podobno wyjechała z miasta.

Mary podziękowała mu i podała numer Eden, prosząc, aby Mary Brody zadzwoniła, gdy tylko wróci.

Gdzie wetknęła wizytówkę, na której Emery Carr zapisał tamten numer telefonu? Rozejrzała się wokół siebie. Pokojówka nie wchodziła, żeby uporządkować pokój, więc nikt nie mógł jej wyrzucić. Wstała i przeszukała wzrokiem blaty stołów. Sprawdziła zawartość koszy na śmiecie. Przywołała w pamięci obraz siebie stojącej obok sportowej mazdy Emery'ego Carra. Podał jej wizytówkę, a ona... włożyła ją do kieszeni swej wzorzystej sukni. Tak jest!

Sukni, którą uprała wczoraj wieczorem. Wsunąwszy z zamierającym sercem rękę do kieszeni fałdzistej spódnicy, natrafiła na zwiotczały kartonik. Z czarnych znaków pozostały jedynie rozmazane smugi. Nie do odczytania. A Emery Carr i jego przyjaciel degustują teraz wino w Sonoma.

Mogłabym zadzwonić do Wendy, pomyślała w ostatecznym akcie desperacji. Albo do Pete'a. Mogłabym zadzwonić do niego do pracy. I poprosić o telegraficzne przysłanie pieniędzy. Albo do Joyce. W Domu Opieki Św. Jana zostawiła antydatowane czeki – może w ten sposób uda się odzyskać trochę pieniędzy.

Jest wpół do dziewiątej, ale biorąc pod uwagę trzygodzinną różnicę czasu, o wiele za późno na to, by zadzwonić do kogoś ze starych znajomych, których na dobrą sprawę zawsze uważała nie za swoich, ale za przyjaciół Goocha. Oparła się całym ciałem o solidny stół, aby rozpakować zdrowy baton. Zanim jednak zdążyła ugryźć pierwszy kęs, jej wzrok padł na zaschniętą plamę krwi na rękawie, więc opuściła głowę i oceniła rozmiary czerniejących plam na cienkiej materii.

Rozpięła bluzkę i zsunęła spódnice, po czym zwinęła w kłębek swoją elegancką sukienkę i wyrzuciła ją do kosza na śmiecie. „Krwie nie da się wywabić”. Znowu nie ma co na siebie włożyć. I nagle przypomniała sobie, że jej drugi uniform znajduje się w sklepowej torbie z salonu piękności.

Przy akompaniamencie uderzającego o dno płytkiej umywalki strumienia wody zabrała się do przeszukiwania głębokich, ukośnych kieszeni. Ku swej radości w jednej z nich natrafiła na wizytówkę z napisem „Big Avi. Miracle Limousine”. Jej wiara w cuda umocniła się jak nigdy dotąd. Wsunąwszy rękę do następnej, jeszcze głębszej kieszeni, natrafiła na niewielką, cienką książeczkę i rozpoznała w niej swój paszport, który – jak teraz sobie przypomniła – wetknęła do kieszeni na lotnisku w Los Angeles, w momencie gdy przy krawężniku zaparkowała limuzyna Aviego. Jej paszport.

Okropne zdjęcie. Mary Gooch. Obywatelka Kanady. Urodzona 1 marca 1964 roku. Wpatrując się w fotografię, dowód jej tożsamości, zadumała się, odcedzając wydarzenia minionego dnia – jego zwykłe i niezwykłe, duże i małe dramaty i błogosławieństwa. Radość – wpisała ją na listę swoich nowych myśli i emocji. Jestem uleczona. Nie była już ofiarą nieokreślonego złego samopoczucia. Jej emocje też przestały być mniej lub bardziej nieokreślone. Potrafiła nazwać wszystko, co obecnie odczuwała – nadzieję, ekscytację, panikę, żal, lęk – a nawet wyrysować mapę pochodnych uczuć. To także zdarza się osobom, które porzuciły wydeptane ścieżki. Łądują na diabelskiej karuzeli i stają się jej nałogowcami.

W Kalifornii nie było jeszcze dziewiątej. Późno zasiadający do stołu mieszkańcy Toronto właśnie kończyli kolację. Jedzenie! Znowu zapomniała o jedzeniu. Zbyt była zajęta, by myśleć o jedzeniu. Albo zanadto ją mdliło, żeby móc jeść. Rozejrzała się w poszukiwaniu batonu, ale zamiast tego wzięła się do prania uniformu. Paszport! Nie mając nikogo, z kim mogłaby się podzielić tym szczęśliwym wydarzeniem, podziękowała Bogu, opatrności, przychylnemu losowi

oraz Aviemu.

Wyszorowała uniform, starannie go wyżeła, a następnie, wyprasowawszy go hotelowym żelazkiem nastawionym na najwyższą temperaturę, powiesiła obie, jeszcze wilgotne, części na oparciach krzeseł pod oknem. Potem poszła z powrotem do łazienki i weszła pod bijący z prysznica strumień ciepłej wody. Głowa do góry. Pochylenie. Skręt w bok, by podstawić obłóć biodra. Czują, że żyje.

Paszport. Zgubiony i odzyskany. Jak syn Heather. Cud. Wszystko, co się wydarzyło z powodu zgubienia torby. Gdyby jej nie straciła, nie wróciłaby do banku. Nie poprosiłaby sprzątaczek o podwiezienie. Czy biała furgonetka najechałaby na Ernesta? Kto trzymałby go za rękę? No i wszystko, co będzie się mogło wydarzyć dzięki odnalezieniu paszportu. Będzie mogła ustalić stan konta. Uzyskać dostęp do złożonych na nim pieniędzy. Pozostać w hotelu i czekać na powrót Goocha. Pewnie nie dłużej niż parę dni. No, może tydzień. Najdalej dwa.

Wytarłszy się ręcznikiem, z wysuszonymi włosami, Mary położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Wyciągnęła rękę po pilota, chcąc włączyć telewizję, lecz się rozmyśliła. Tamta powieść! Kiedy zjawiała się taksówka, która miała ją powieźć na spotkanie nowego dnia, ukryła książkę na najwyższej półce stojącego w recepcji regału. Tu jednak powstał problem, ponieważ nie miała suchego odzienia, w którym mogłaby zejść do holu. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do recepcji.

– Przepraszam za kłopot, ale rano w holu czytałam książkę – zaczęła. – Zostawiłam ją, a właściwie schowałam, na najwyższej półce za książkami podróżniczymi. Czy ktoś mógłby mi ją podrzucić do pokoju?

– Już się robi, pani Gooch – odparła recepcjonistka, mimo że Mary nie wymieniła swego nazwiska.

„Już się robi, pani Gooch”. A więc to prawda. Proście, a będzie wam dane. Mary do tej pory rzadko o coś prosiła, zwłaszcza siebie samą.

Po paru minutach zapukano nieśmiało do drzwi i Mary odebrała książkę przez ledwo uchylone drzwi.

– Zaczekaj moment – zawołała, bojąc się, by nie zrobić wrażenia ważnej osoby. Znalazłszy zwitek banknotów, oddzieliła amerykańską pięciodolarówkę i podała ją czekającemu za drzwiami ciemnoskóremu, przysadzistemu chłopcu.

– *Gracias* – podziękował uradowany.

– *De nada* – odparła, zdając sobie sprawę, że przesadziła z wysokością napiwku.

Otworzyła książkę z taką samą skwapliwością, z jaką kiedyś, łykając ślinkę, dobierała się do pudełek z jedzeniem na wynos od Chunga. Zatopiła się w rodzinnej sadze, unoszona na diabelskiej karuzeli, co prawda fikcyjnej, ale nie mniej fascynującej. Z kolejnych rozdziałów dowiadywała się, że oskarżona o popełnienie przestępstwa główna bohaterka dowiodła swej niewinności, że jej nastoletni syn znalazł się o krok od śmierci, lecz ostatecznie wyszedł na prostą drogę i pomógł swej śmiertelnie chorej ciotce odebrać sobie życie, zaś w ostatecznym akcie autorskiej łaskawości u niewiernego męża stwierdzono nieuleczalną impotencję. W miarę jak zbliżały się końcowe strony, Mary czytała coraz wolniej. Nie chciała, żeby książka się skończyła.

Po drugiej stronie łóżka, w obramowaniu wielkiego okna widać było gwiazdy. Mary odłożyła książkę i podłożywszy sobie poduszki pod plecy, wpatrywała się w kosmos, wspominając z rozczuleniem wyraz twarzy Jesúsa Garcíi, gdy pierwszy raz spojrział jej w oczy i wyjaśnił, dlaczego to zrobił: „Przypomina mi pani kogoś, kogo kiedyś znałem. Też miała na imię Mary”. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zasnęła, nie myśląc o Goochu.

fait accompli

Rano po obudzeniu Mary nie pamiętała, co jej się śniło. Pamiętała natomiast, że w środku nocy obudziły ją jakieś płaczliwe dźwięki i poczłapała po ciemku do okna, myśląc o kocie, Panu Barkleyu. Z powodu ciemności nie mogła zobaczyć poczerniałych stoków wzgórz, domyśliła się jednak, że to kojoty wyją w gęstwinie niskich zarośli. O kojotach wiedziała od Eden, która kiedyś, dawno temu, opowiedziała jej przygodę swego sąsiada, którego – kiedy ten moczył się we własnym salonie odnowy biologicznej – kojot ugryzł w głowę, biorąc ją za jakąś włochatą zdobycz. Nic takiego na pewno nie mogło się zdarzyć. Mary uznała, że nie powinna wierzyć w nic, co mówi Eden. Zwłaszcza na temat Goocha. W obronie syna każda matka jest gotowa kłamać w żywe oczy.

Wsuwając stopy w płytke pantofle Eden, przypomniała sobie sto par butów pod drzwiami domu Jesúsa Garcíi. Kraciasta koszula. Wypadek. Przegryziony język i siniaki na sepiowej skórze starego mężczyzny. Pólmisek mięsa. Miły uśmiech kobiety częstującej ją ze słowami: *Buen provecho*. Wspomniawszy mimochodem uścisk dłoni Jesúsa Garcíi, dotknęła swej prawej ręki.

Pilno jej było odwiedzić bank, ale do jego otwarcia zostało jeszcze sporo czasu. Natomiast Eden na pewno jest już na nogach, jeżeli w ogóle zdarza się jej zasnąć. Rozglądając się po schludnym hotelowym pokoju, wspomniła wczorajszy dzień i rozpacz, w jaką wprawiała ją myśl o spędzeniu w nim długiego, samotnego wieczoru. Zamiast tego tajemniczy nieznajomy powiódł ją w całkiem inne rejony.

Odziana w świeżo wyprasowany granatowy uniform, zostawiwszy na łóżku pięciodolarowy banknot dla pokojówek, zeszła na dół do holu. Poprosiła recepcjonistę, którego widziała tu po raz pierwszy, aby był tak miły i zamówił dla niej taksówkę. Nim zdążył odpowiedzieć, dodała:

– Wiem, że to trochę potrwa. Usiądę i wezmę sobie coś do czytania.

– Kierowca taksówki jest akurat na miejscu – odrzekł młody człowiek, wskazując jej połączoną z holem restaurację hotelową. – Wielki, gruby facet z tupecikiem na głowie. – Zdał sobie sprawę, że palnął gafę, i zaczerwienił się.

W restauracji wypatrzyła zatopionego w gazecie, okazałego mężczyznę, który siedział przy stole pod oknem.

– Przepraszam pana – odezwała się, wskazując stojący na parkingu samochód. – Czy to pana taksówka?

Mężczyzna z miłym uśmiechem złożył gazetę.

– Dokąd chce pani jechać?

Mary opanowała chęć poprawienia mu na głowie przekrzywionego tupeciku.

– Na Willow Drive – odparła. Kiedy wsiadali do auta, kierowca, w odróżnieniu od wczorajszego taksówkarza, okazał się człowiekiem sympatycznym i rozmownym.

– Miała pani szczęście, że nie zdążyłem zamówić jedzenia – zauważył. – Dają tutaj pyszne śniadania. A ich bufet w porze lunchu to dopiero palce lizać.

Mary już z daleka naliczyła około dwunastu meksykańskich robotników zgromadzonych wokół telegraficznego słupa. Kiedy podjechali bliżej, wyteżyła wzrok, ale żaden nie był Ernestem. Jesús García powiedział wprawdzie, że pracuje w centrum handlowym, ale i tak była zawiedziona, nie znajdując go wśród czekających na piaszczystej parceli na dorywczą pracę robotników.

Wśród wyblakłego granatu roboczych spodni błysnęło coś kolorowego – barwny

ozdobnik w postaci czerwonych, ogrodowych róż wstawionych do butelki po wodzie sodowej. A nieopodal drugi bukiet kwiatów rozsypanych na ziemi. Wyobraziła sobie, że przyniósł je któryś z robotników dla ozdobienia placu. A może młodzi kochankowie mieli tu randkę minionej nocy.

– Meksykanie – mruknął pod nosem kierowca, przejeżdżając obok.

Włączywszy się na głównej drodze w sznur samochodów pędzących do Willow Highlands, taksówkarz pochwalił się znajomością wszystkich zaułków i bocznych uliczek od Camarillo aż po Pasadenę, dzieląc się bez skrępowania tajemną wiedzą o tym, jaką trasą, o różnych porach dnia i w różnych dniach tygodnia najłatwiej dotrzeć do miejsc, do których Mary wcale się nie wybierała.

– Ale żeby się dostać do L.A., najlepiej wyruszyć o szóstej rano, bo inaczej człowiek jak nic utknie na czterysta piątce.

– Dwadzieścia cztery – przerwała Mary, pokazując palcem numer.

– Pewnie chodzi pani o dwudziestkę piątkę, która prowadzi do Simi Valley.

– Dwadzieścia cztery – powtórzyła. – To tu. Ten dom. Proszę się zatrzymać. – Jedyńm samochodem, jaki zauważyła na podjeździe, był biały prius. Gooch nie pojawił się. Jeszcze nie.

Człapiąc splekanym chodnikiem do małego domu, czuła trudny do pogodzenia z żarem słońca chłód. Zapach. Znajomy. Elektryczność, ale nie elektryczność zbierającej się burzy – burza już minęła. Odór spalenizny. Włosy Irmy na elektrycznej lokówce. Kukurydza w mikrofalówce. *Fait accompli*.

Zapukała raz, wyczuwając czyjąś obecność. Drzwi otworzyła Eden, jej w połowie podniesiona twarz całkowicie się zapadła, a z szeroko otwartych oczu wyzierało przerażenie. Demencja schwywanej w reflektory sarny, jaką Mary widywała w oczach Irmy. Dobrze znany wyraz zastygłej dezorientacji. Stąd to uczucie chłodu.

– Właśnie zrobiłam herbatę – powiedziała Eden, kierując się do kuchni. Mary poszła za nią, zamykając za sobą drzwi. Wieko trumny. Jack. Gdzie jest Jack? Nagle zrozumiała. Jack umarł i Eden jest w szoku. Stąd ten wyraz. Śmierć, nawet oczekiwana, nawet łaskawa, zawsze wywołuje wstrząs. Dziś jest, jutro go nie ma. Jack jest, Jacka nie ma. Koniec zabawy.

– Odnalazłaś swoją torbę – zauważyła Eden, kiedy dotarły do kuchni.

Mary skinęła głową, zaglądając nad jej ramieniem do pokoju chorego. Łóżko było puste. Podeszła bliżej, rozglądając się za wózkiem. W pokoju go nie było.

– Eden, gdzie jest Jack?

– Nie ma go w domu. Dzięki Bogu.

– Gdzie jest?

– Dziś mamy wtorek. A może czwartek? – Mary pomyślała, że chyba środę, ale nie była pewna. – Nasza kościelna grupa zawozi ich co drugi dzień na spacer do parku. Nigdy nie pamiętam, kiedy to wypada. – Eden oparła się o kuchenną ladę. – Zrobiłam herbatę.

– Chętnie się napiję.

– Oni tutaj piją tylko mrożoną herbatę. Nigdy nie mogłam się do tego przyzwycząić.

Lubię, żeby herbata była gorąca. Dwie kostki. Pijesz z cukrem?

Mary brała zwykle cztery kostki cukru i śmietankę zamiast mleka.

– Bez niczego – odparła.

– Domyślał się, że pieniądze i cała zawartość zginęły.

– Tak, portfel zniknął – rzekła Mary, sącząc herbatę. – Ale znalazłam paszport.

Eden nie słuchała, niemniej skinęła głową.

– Nie miałaś przypadkiem wiadomości od Jimmy’ego? – zapytała, a z tonu jej głosu Mary wywnioskowała, że wbrew podejrzeniom w sprawie Goocha teściowa niczego przed nią nie

ukrywa.

– Przecież nie może się ze mną skontaktować, Eden. Nie wie, gdzie jestem, nie pamiętasz?

Czymś nagle zaintrygowana, Eden gwałtownie odsunęła drzwi na patio i okrążywszy zaśmiecony basen, rzuciła się z miotłą w ręce wypędzać jakąś nieczystą siłę z zielonego krzewu, który skulił się przed nią ze strachu.

– Precz stąd! – wrzasnęła. – Wynocha!

Była teraz tą samą matką, o której opowiedział jej Gooch tamtej pierwszej nocy w intensywnym świetle księżyca. Urządzącą dzikie awantury. Która ubrania swego męża wyrzuciła do Kanału Rideau. Mary zadała sobie pytanie, czy Eden nie zaczęła znowu popijać.

Wyszędłszy w ślad za teściową na patio, gdzie Eden wymachiwała na oślep miotłą, łamiąc gałęzie i rozsiewając liście, Mary nie dostrzegła żadnego umykającego stworzenia. Podeszła ostrożnie, aby nie dostać miotłą.

– Eden! Eden! – zawołała. – Już go nie ma. Uciekł w tamtą stronę.

Eden opuściła miotłę.

– To był szczur?

– Nie! O rany boskie, macie w domu szczury?

– Oczywiście. Wszyscy mają szczury. A poza tym u nas nie wzywa się bożego imienia nadaremno. Jack bardzo by się zdenerwował, gdyby był wtedy w domu.

– Kiedy?

– Kiedy był ten telefon – westchnęła Eden, rozglądając się po podwórku za zbiegłym gryzoniem.

– Jaki telefon?

– Znaleźli Heather.

Mary w pierwszej chwili zrobiło się żal starej kobiety, której mieszało się w głowie, ale zaraz się przestraszyła.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że znaleźli Goocha? Kto dzwonił?

– Dzwonili z policji. – Mary waliło serce. – Znaleźli Heather. W motelowym pokoju nad wodospadem Niagara.

– Heather?

– Powiedzieli, że to było przypadkowe przedawkowanie.

– Heather?

– Chciało mi się śmiać, kiedy powiedzieli, że nie podejrzewają nieczystej gry. Wszystko było jedną nieczystą grą. Całe jej zmarnowane życie.

– Przedawkowanie? – powtórzyła Mary, przekonana, że Eden musiała coś pokręcić. Parę dni temu widziała Heather, taką piękną, z wielkim, srebrnym wisiosem na szyi, żuła antynikotynową gumę i mówiła o odnalezionym synu. – Kiedy? Kiedy to się stało?

– Wczoraj.

– Ale przecież widziałam ją. W Toronto. Zmieniła się, Eden. Mówiłam ci.

– Spodziewałam się takiego telefonu, odkąd była nastolatką, Mary. Ludzie się nie zmieniają.

A jednak zmieniają się. Całe narody się zmieniają. Wszyscy są jedynie sumą swoich zwyczajów.

– Ona się zmieniła.

– Powiedzieli, że używała przybranego nazwiska – wysyczała Eden. – Podawała się za Mary Brody.

Mary nie mogła złapać tchu. Heather Gooch zmarła w wieku czterdziestu dziewięciu lat.

W motelowym pokoju nad wodospadem Niagara. Przypadkowe przedawkowanie? Nie, myślała Mary. Podjęła świadome ryzyko. Umarła, podejmując świadome ryzyko. Śmierć była przypadkowa, ale Heather wiedziała, że podejmuje ryzyko. Być może, sprowadzona na manowce przez nieokreślonych dawnych współników, uległa syreniej pieśni i przed wyruszeniem w nieszczęsną podróż powiedziała sobie: „Ten jeden, ostatni raz”. Mary, która przez większość życia nie umiała się oprzeć pokusie swojej lodówki, doskonale ją rozumiała.

Nieczysta gra. Zmarnowane życie. Jak umarła? Siedząc na toalecie? W samotności? A może miała kogoś, kto trzymał ją za rękę? Wysłuchał jej prośby o wybaczenie? Wyszepiał pożegnalne słowa? Heather. Taka piękna. *Fait accompli*. Rzecz dokonana. Zasada trójki. Trójkąt został zamknięty. Ale Jack otworzy lada dzień następną trójkę, wzbudzając nowy niepokój o to, komu przypadnie drugie miejsce, i obawę o zajęcie trzeciego. „Równie dobrze mogłabyś swoje nieszczęścia grupować nie w trójki, ale w trzydziestki, Mare”. Być może Gooch miał rację również w tej sprawie.

– Czy będzie pogrzeb?

Eden pokręciła głową.

– Zostawiła testament, chociaż trudno mi uwierzyć, żeby komuś tak lekkomyślnemu i nieodpowiedzialnemu jak Heather, przyszło do głowy napisać testament. Chciała kremacji. Żadnego pogrzebu. Wszystko zapisała Jimmy’emu. Chociaż jestem pewna, że zostawiła po sobie same długi. Jimmy, jak wróci, będzie musiał zdecydować, co zrobić z prochami. Mnie nie pytaj, bo nie wiem.

– Gooch będzie wiedział, co robić – przytaknęła Mary, którą wzruszyła wiara Eden w powrót Goocha.

– Boże, zmiłuj się nad jej duszą – wyszeptała Eden, wznosząc oczy do nieba.

– Amen – dodała Mary, dziwiąc się samej sobie.

Eden wzięła ponownie głęboki oddech, obrzucając wzrokiem pozieleniały basen.

– W naszym poprzednim domu mieliśmy długi basen. Przeływałam codziennie sto długości.

– Sto długości? – Sto dębów. Sto par butów. Sto Heather.

– Byłam bardzo sprawna jak na swój wiek. – Eden nie miała nic więcej do powiedzenia na temat przedwczesnej śmierci swojej córki. Żadnych wyrazów żalu ani wyrzutów sumienia. Żadnych oznak smutku i żałoby. Ani jedna gorzka łza nie napłynęła do jej oczu.

Kiedy weszły do domu, Mary, widząc panujący w kuchni bałagan, zapytała:

– Czy gosposia znowu zadzwoniła, że jest chora?

– Tym razem nie ona, tylko jej syn. Ma czworo dzieci, zawsze któreś jest chore. To już trzecia służąca, odkąd tu mieszkamy.

– O której zaczyna się spotkanie modlitewne?

– O wpół do trzeciej.

– Masz ochotę się położyć?

– Tak, Mary. Chętnie się położę – odparła Eden, kuśtykając ku drzwiom. Przystanąwszy w holu, z głębokim westchnieniem szepnęła: – Tak bym chciała, żeby Jimmy był tutaj!

Mary zdała sobie sprawę, że na próżno namawiałaby Eden, aby dała upust łzom. Same się pojawiają, kiedy przyjdzie im na to ochota.

– Ja też – powiedziała.

Po niedługim czasie, kiedy Mary właśnie przykrywała folią półmiski z gotowym poczęstunkiem, otworzyły się drzwi frontowe, rozległo się szczykanie metalu i przyciszone głosy. Wyjrzawszy na korytarz, zobaczyła jadącego na wózku Jacka, któremu towarzyszyło dwóch sympatycznie wyglądających mężczyzn. Poczekała, aż panowie zainstalują Jacka

w sypialni, po czym otworzyła rozsuwane drzwi na ogród. Spieszyła się wprawdzie do banku, aby sprawdzić stan konta, ale uznała, że musi poczekać na obudzenie się Eden, bo wierzyła w sens pożegnań.

Po wyjściu na dwór poczuła miły, ciepły powiew, a zbierając z ziemi połamane gałązki, na skraju pozieleniałego basenu zobaczyła krzesło i usiadła, aby trochę odsapnąć. Podniósłszy w górę oczy, na widok błękitnego nieba pomyślała o spadającej gwiazdzie i zrobiło jej się wstyd na wspomnienie wdzięczności w oczach krwawiącego Ernesta. Tak mało dla niego zrobiła. A dla Heather – *nada*. W ciągu dwudziestu pięciu lat zrobiła dla swej wykolejonej szwagierki mniej dobrego, niż sama zaznała od kilkorga obcych ludzi w ciągu kilku ostatnich dni. Wyobraziła sobie nekrolog Heather w „Leaford Mirror”. Zostawiła matkę Eden Asquith, zamieszkałą w Golden Hills w Kalifornii, brata Jamesa i szwagierkę Mary Gooch w Leaford w Ontario. Syna Jamesa, studenta medycyny w Toronto.

Zadała sobie pytanie, co po niej zostanie. Matka, mąż, szczątki kota. Heather Gooch zostawiła syna, który być może odkryje kiedyś lekarstwo na raka. Albo uratuje wiele ludzkich istnień. Albo będzie po prostu wartościowym członkiem społeczeństwa. Mary pozwoliła sobie na odrobinę goryczy. Ona nikogo nie osieroci, niczym się w swojej społeczności nie odznaczyła. Nawet nie głosowała.

Usłyszała rytmiczne tykanie – nie był to zegar, lecz siedzący na wysokim eukaliptusie koło parkanu dzieciół. Przypomniawszy jej się nocny zegar na stoliku przy łóżku w małym wiejskim domu. Tykanie czasu. Machinacje związane z wypieraniem prawdy. Jednakże swój apetyt na wypieranie prawdy, podobnie jak apetyt na jedzenie, Mary zostawiła za sobą wraz z brązowymi, karbowanymi papierkami po czekoladkach Laury Secord.

Patrząc w swoje rozlane, pofałdowane odbicie w oślizgłym, zielonym basenie, zadała sobie pytanie, jak to możliwe, żeby kobieta jej rozmiarów wywarła tak nikły wpływ na najbliższe otoczenie. Oczywiście niektórym osobom będzie jej brakowało, może już teraz za nią tęsknią. Staruszkowie z Domu Opieki Św. Jana. Paru klientów drogerii Raymonda Russella pewnie o nią dopytuje. Ale co po niej zostanie? Spuścizna jest człowiekowi tak samo potrzebna, jak plemię czy plan. Teraz zrozumiała także i to.

Kiedy minęła druga po południu, nie mogąc czekać dłużej, poczłapała do sypialni na tyłach domu i obudziła Eden, delikatnie trącając ją w ramię.

– Poprzykrywałam wszystko folią.

Eden skinęła głową, usłyszała charczenie Jacka, zerwała się z łóżka i pobiegła do jego sypialni. Mary, niepewna, co robić, stała i słuchała powtarzającego się wciąż na nowo krztuszenia się i odpluwania. Eden pojawiła się po chwili, niosąc w rękach pełen drgającego, krwawego śluzu ręcznik. Mary odwróciła oczy.

– Nie wchodź tam, proszę – powiedziała Eden na znak pożegnania.

Mary szybko skierowała się do wyjścia.

– Mary? – zawołała Eden. Mary odwróciła się. – Przyjdiesz jutro? – spytała cicho. – Na Chitę nie mogę liczyć.

Mary skinęła głową, nie zdradzając swego zdziwienia.

– Mogłabym przyjść dzisiaj wieczorem – zaproponowała.

– Przyjdź rano. On wtedy przez parę godzin nie śpi. Czasami płacze.

Biedna Eden, pomyślała Mary. Straciła córkę. Mąż umiera. Nigdy nie przypuszczała, że będzie miała kiedyś ze swoją teściową tyle wspólnego.

zniszczone dzieło sztuki

Oddalając się od domu teściowej, Mary wciąż nie mogła się opędzić od myśli o Heather Gooch. Pochłonięta bez reszty rozpamiętywaniem życia i śmierci szwagierki, nie zauważyła czarnego samochodu, który zatrzymał się obok niej, i w pierwszej chwili nie poznała po głosie Ronni Reeves, gdy ta zawołała przez okno po stronie kierowcy:

– Mogę panią dokąś podwieźć?

Młoda kobieta wyglądała dziś inaczej. Brak makijażu. Jasne włosy wymykające się w strąkach spod zawiązanej na głowie wzorzystej apaszki. Pryszcze na czole, których Mary wcześniej nie zauważyła. Pojawienia się Ronni Reeves Mary nie zaliczyła do kategorii cudów. Ani nadzwyczajnych zbiegów okoliczności: miasteczko było równie małe jak Leaford, a nowo poznana kobieta mieszkała na tej samej ulicy.

– Dziękuję – powiedziała, otwierając drzwi samochodu. – Idę tylko do banku przy centrum handlowym.

– To blisko – odparła Ronni Reeves, strzepując płatki cheerios z obitego skórą siedzenia.

Spojrzawszy w lusterko, Mary zobaczyła siedzące na tylnym siedzeniu trojaczki. Chłopcy mieli na sobie białe stroje do karate. Dwaj spali oparci o siebie głowami, natomiast Joshua, zbiegły urwis, trzymał w rękach ogromną torbę chrupek cheetos, zaś jego buzia, palce i przód białego stroju były pokryte plamami ostro pomarańczowego koloru zachodzącego słońca. Ze swego tylnego siedzenia lustrował Mary, krzywiąc się niemiłosiernie.

– Popsuł się pani samochód? Ma pani na imię Mary, prawda?

– Mary Gooch. Nie mam samochodu.

– Nie ma pani samochodu?

– Nie.

– Jest pani pielęgniarką?

– Nie – odparła Mary, spuszczać wzrok na swój wilgotnawy uniform.

Ronni rzuciła szybkie spojrzenie na tylne siedzenie.

– Joshua, pamiętasz tę miłą panią? Która odnalazła cię wtedy na parkingu? Powiedz: „Dzień dobry pani”.

Małec popatrzył na Mary spod przymrużonych powiek.

– Śmierdzisz – oświadczył, rzucając w nią pomarańczowym chrupkiem.

– Joshua! – krzyknęła matka, wyciągając za siebie rękę i odbierając mu torbę cheetosów.

– Dostaniesz je z powrotem, jak powiesz „przepraszam”.

Mary przypomniał się oglądany kiedyś w telewizji program o angielskich opiekunkach do dzieci. Oraz film z tą cudowną angielską aktorką, która zachwycała Mary swoim wdziękiem i świetnie wypadła na zdjęciach z wręczania nagród. Żadna niania mówiąca z brytyjskim akcentem nie oddałaby torby cheetosów niegrzecznemu chłopcu, nawet gdyby powiedział „przepraszam”. Po drugiej stronie oceanu muszą wychowywać przemiłe dzieci, pomyślała Mary.

– Jak się miewa Jack? – Mary smutno pokręciła głową i jednocześnie poczuła bolesne szarpnięcie za włosy. – Joshua! – wrzasnęła Ronni. – Trzymaj swoje brudne ręce z daleka od jej głowy. – Mary wyplątała pomarańczowe palce ze swoich włosów.

– Mąż zostawił nas półtora miesiąca temu. – Ronni przerwała dla uspokojenia oddechu, jakby wciąż nie mogła dojść do siebie. – Chłopcy nadal to odreagowują.

– Była pani zadowolona z nowej babysitterki? – zapytała Mary, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Ronni Reeves, porzucona matka trojaczków, tylko pokręciła głową, dojeżdżając do znaku

„Stop”, zadowolona, że Joshua zajął się mazaniem po szybie polizanym pomarańczowym palcem. On tymczasem zaczął jednak kopać w tył siedzenia Mary.

– Przestań! – syknęła Ronni. Zerknąwszy na Mary, dodała: – To jego pora spania. Ale musiałam im przełożyć godzinę lekcji karate. Jacob miał wizytę u okulisty. I muszę jeszcze spotkać się z adwokatem. I musimy się rozejrzeć za przedszkolem.

Lista. Oto jej lista spraw niezłatwionych, pomyślała Mary, czując lekki powiew nieokreślonego bólu istnienia. Nawet własne dzieci były dla Ronni ciężarem.

W torebce młodej matki zadźwięczał telefon. Mary obserwowała ładną, prowadzącą samochód jedną ręką kobietę, chwytając strzępki rozmowy. Ktoś prosił Ronni o poprowadzenie wieczorem kolejnego domowego pokazu biżuterii Lydii Lee, ona jednak wymawiała się, tłumacząc, że nie zdoła w tak krótkim czasie znaleźć babysitterki.

– Ja z nimi posiedzę – wtrąciła Mary, niepewna, czy dobrze robi.

– Nie mogę pani o to prosić.

– Nie prosiła mnie pani. Sama zaproponowałam.

– Ma pani doświadczenie z dziećmi?

– Ze starszymi radzę sobie bardzo dobrze.

– Przepraszam, ale prawie pani nie znam.

– Ale zna pani Jacka – odparła Mary, uświadamiając sobie, jakim strachem przepelnia ją perspektywa spędzenia samotnego wieczoru w pokoju hotelowym.

– To prawda. Jest pani praktycznie przyjaciółką rodziny. A o przysyłanych przez agencję babysitterkach na dobrą sprawę nic nie wiem – przyznała Ronni. – Tylko na parę godzin. Jest pani pewna?

Zatrzymały się przed bankiem, wymieniły telefony i ustaliły godzinę, o której Mary miała się zjawić w jej domu. Szósta po południu. Ronni wylewnie podziękowała, ale Mary tylko machnęła ręką, odprowadzając wzrokiem wielkiego suwa z napisem „rontom” na tablicy rejestracyjnej, dopóki nie zniknął jej z oczu.

Ruszyła do banku, ściskając pod pachą brązową winylową torbę ze schowanym do zasuwanego przegródki paszportem. Dzięki odzyskanemu dokumentowi oraz pomocy Coopera, Lucille i kierownika miejscowego banku, wyjaśniono kwestię jej konta z kierownikiem banku kanadyjskiego, który obiecał przysłać dla niej na adres banku nową kartę płatniczą.

Mary wyjęła z konta paręset dolarów na pokrycie wydatków, dopóki nie odbierze nowej karty, po czym z bijącym sercem odczytała wręczone jej przez Rossa Coopera potwierdzenie wypłaty. Saldo na koncie było takie samo, jak ostatnim razem. A więc to tak. Cokolwiek miało to oznaczać. Gooch nie podjął pieniędzy z jej konta. A co by było, gdyby to zrobił? Przecież może, pomyślała. Może podjąć wszystko.

Przypomniała sobie sensacyjne powieści, które czytała jako nastolatka, i oglądane w telewizji filmy kryminalne. Była ciekawa, czy jej zagadka będzie się wyjaśniała po kawałeczku, jak obrazkowa układanka, czy też znajdzie rozwiązanie w jednej zaskakującej, tragicznej odsłonie. Jak śmierć Heather.

Podziękowawszy pracownikom banku i wetknąwszy banknoty do zasuwanego na zamek przegródki w torbie, skierowała się przez parking do sklepu z obuwiami. Na chodnik wystawiono stojak z przecenionymi butami, ale żadna para nie pasowała na jej szerokie stopy. Wewnątrz sklepu zdecydowała się na tenisówki w odpowiednim rozmiarze oraz komplet sześciu białych skarpet, a spośród wystawionych pod oknem toreb wybrała sportową torbę na zakupy z grubego granatowego płótna, z ozdobnym, metalowym okuciem. Po zapłaceniu należności wyszła ze sklepu w nowych butach, przełożyła rzeczy ze starej torby do nowej, sprawdzając, czy na pewno nie zapomniała o paszporcie, a swoją starą, brązową winylową torbę uroczyście wyrzuciła do

kosza na śmiecie.

Uwagę Mary przyciągnęła pewna postać, która odbijała się w oknie agencji obsługi basenów. Krucha, zgarbiona istota, z trudem utrzymująca na przekrzywionej na bok głowie gniazdo uwite ze złoto blond włosów, pomalutku przesuwiała się w jej kierunku. Przypominała pewną podstarzałą klientkę z drogerii Raymonda Russella, która rozplakała się kiedyś w sklepie na wiadomość, że Elizabeth Arden przestała produkować jej ulubioną szminkę. Z powodu ubytku kości jej kręgosłup zwinął się w taki sposób, że postać kobiety przybrała kształt małej litery „r”. Kobieta idąca chodnikiem była podobnie, choć nie aż tak dramatycznie, przygarbiona. Bardziej jednak niesamowite wrażenie, niż jej postawa i szurający chód, robiła twarz kobiety o skórze tak naciągniętej, że mrugnięcie oczami albo zamknięcie ust groziło jej pęknięciem. I te szeroko otwarte oczy, jakby ich właścicielka miała lada moment umrzeć z przerażenia. Była ubrana w niebieskie, obcisłe dżinsy, ściskające wokół pasa luźne fałdy skóry, oraz równie obcisłą trykotową bluzkę z długimi rękawami, która wyglądała jak tatuaż. Mary nie zdawała sobie sprawy, że się jej przypatruje, a do tego stoi jej na drodze, dopóki kobieta nie znalazła się tuż przed nią i powiedziała:

– Przepraszam panią.

Mary odsunęła się, aby ją przepuścić, a potem, odprowadzając kobietę wzrokiem, dostrzegła wybrzuszenie na jej opiętym niebieskimi dżinsami płaskim siedzeniu, w miejscu gdzie musiała się znajdować pielucha dla dorosłych. Kiedy kobieta obejrzała się i pochwyciła jej spojrzenie, Mary zawstydzila się wprawdzie, lecz jeszcze przez chwilę nie mogła oderwać myśli od ciała tej kobiety, które przypominało zniszczone przez czas dzieło sztuki, zastanawiając się, jak mogło kiedyś wyglądać i jaką drogą doszło do tak radykalnej przemiany.

Kiedy się wreszcie odwróciła, w witrynie następnego sklepu zauważyła napis: „Niezrównane czyszczenie basenów. Specjalne obniżki dla nowych klientów”. Pod wpływem nagłego impulsu weszła do sklepu i zamówiła czyszczenie zaniedbanego basenu teściowej. Nawet jeśli Eden nie jest już w stanie przepłynąć basenu sto razy, to niech przepłynie bodaj raz czy dwa, co może, miała nadzieję Mary, przynieść tej starej kobiecie ulgę w jej nieszczęściu.

Kiedy po kilku minutach wyszła z agencji czyszczenia basenów, parę drzwi dalej zauważyła mężczyznę oglądającego przecenione buty na stojaku przed sklepem z obuwiami. Jego postać wydała jej się znajoma, ale ponieważ stała pod słońce, w pierwszej chwili nie była pewna, kim jest ten człowiek, który stoi przed sklepem i trzyma w smagłych rękach żółte damskie sandały. Po paru chwilach jej oczy oswoiły się z blaskiem słońca i Mary rozpoznała w nim Jesúsa Garcíę. Miała już zawołać go po imieniu, kiedy mężczyzna wsunął nagłym ruchem sandały pod kurtkę i oddalił się wielkimi krokami.

Mary przywołała w myślach wspomnienie Sklepu Towarów Różnych państwa Klik. Ponieważ kupowała u nich mnóstwo słodczy, Klikom nigdy nie przyszło do głowy, że Mary nie tylko kupuje, ale i kradnie. Ściąga z lady, połyka, porywa i upycha po kieszeniach słodkie batoniki, robiąc niewinną minę i nie mogąc się doczekać wielkiej uczty, ilekroć odwrócili się, by załatwić przy kasie innego klienta.

Patrzyła za oddalającym się główną aleją centrum handlowego Jesúsem Garcíą, oszołomiona nagłością i dziwnością kradzieży. Zaczęła iść za nim, chcąc zapytać o zdrowie Ernesta, lecz zrezygnowała z obawy, że może się domyślić, iż była świadkiem jego przestępstwa. Bała się wprawić go w zakłopotanie a, co gorsze, rozgniewać. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że jest złodziejem, a tu masz. Każdy ma jakieś sekrety.

Nikt nie jest tym, kim się wydaje.

cuatro chicas

Od zniknięcia Goocha Mary coraz lepiej się chodziło, a białe tenisówki okazały się dodatkowym błogosławieństwem. Prawie nie zauważyła odległości, jaką pokonała przed naciśnięciem guzika „Idź” u zbiegu trzech ulic. Rzuciwszy okiem na narożną, piaszczystą parcelę, zdziwiła się, widząc grupę drobnych, smagłych kobiet, które stały wokół elektrycznego słupa, oraz leżące na ziemi nowe bukiety polnych kwiatów. Czy to kobiety przyniosły kolejne wiązanki kwiatów? Nigdy dotąd nie widziała na placu kobiet.

Przeszła przez jezdnię, przyciągnięta widokiem kwiatów, tłumacząc sobie, że nie mogą one upamiętniać Ernesta, bo przecież Jesús García nie poszedłby kraść sandałów zaraz po śmierci swego bliskiego przyjaciela. Niemniej była ciekawa, co takiego upamiętniają złożone wokół narożnego słupa wiązanki i co robią przy nim kobiety. Ruszyła w ich kierunku, nie zważając na kurz osiadający na jej nowych tenisówkach.

Na słupie wisiała tabliczka z napisem, ozdobiona wieńcem wyblakłych plastikowych kwiatów. Napis był po hiszpańsku.

– Z jakiej to okazji? – zagadnęła. Zaczęły mówić wszystkie naraz, też po hiszpańsku. – Ale nie dla Ernesta? – dodała, nagle zaniepokojona. Kobiety, z których większość była mniej więcej w jej wieku, nie rozumiały, co mówi. – Czy to dla mężczyzny, który ma na imię Ernesto?

Jednakże uwagę kobiet przykuła wjeżdżająca na plac srebrna furgonetka. Kierowca, krótko ostrzyżony, szczupły mężczyzna o dziobatej twarzy, zatrzymał samochód. Odkręciwszy szybę, spojrzął przelotnie na Mary, po czym, zwracając się do najgrubszej Meksykanki, która była zarazem najstarsza, najbardziej posiwiiała i wyglądała na najbardziej zmęczoną, zawołał:

– Musimy się zwijać, Rosa. Mamy tylko godzinę.

Skwaszony kierowca wysiadł z auta i odsunął boczne drzwi. Kobiety wtoczyły się do środka. Mężczyzna rzucił okiem na Mary.

– Nie jestem z nimi – wyjaśniła.

Mężczyzna zaśmiał się, a Mary, niejasno tym dotknięta, odwróciła się, chcąc odejść, kiedy nagle poczuła gwałtowny ból, skoncentrowane między oczami palenie jak od postrzału, które powędrowało w dół, wywołując wściekle palpitacje serca. Przytrzymała się ręką słupa.

Kierowca spoważniał.

– Żle się pani czuje? Mam wezwać ambulans?

– Nie – odparła. – Muszę tylko odzyskać oddech.

Mężczyzna uśmiechnął się, wzruszając ramionami, jakby mówił: „Zrobiłem swoje” i już miał zasunąć drzwi, ale przeliczywszy upchane w samochodzie kobiety, powiedział:

– Miałś przyprować czter kobiety, Rosa. *Cuatro chicas*.

– *Si* – odparła kobieta z tylnego siedzenia. – *Cuatro chicas*. – Na potwierdzenie przeliczyła siedzące w furgonetce towarzyszkę. – *Cuatro*.

– Cztery razem z tobą. A nie cztery oprócz ciebie. Szef powiedział, że cztery. Nie mogę mu przywieźć pięciu.

– To nic – zapewniła go Rosa. – Podzielimy się pieniędzmi.

– Nie mogę zabrać pięciu. Nie mogę przywieźć pięciu, kiedy szef chciał cztery. Jedna z was musi wysiąść.

Kobiety zamilkły, upokorzone. Mrużąc z bólu oczy, Mary obserwowała, jak siedzące w furgonetce Meksykanki zwracają głowy w kierunku Rosy, a następnie, mrużąc oczy, podnosząc brwi i zaciskając usta, naradzają się w milczeniu i wreszcie podejmują decyzję. Ośmioro brązowych oczu spoczęło na najniższej i najmłodszej kobiecie, która – jak się okazało,

gdy wysiadła z furgonetki – była w zaawansowanej ciąży.

Kaszłąc w obłoku kurzu wznoszonego przez odjeżdżającą furgonetkę, młoda kobieta wyjęła komórkę i bezskutecznie próbowała zadzwonić. Zakławszy w swoim języku, zwróciła się do Mary, rozciągając w uśmiechu głęboką bliznę na górnej wardze. W tak zaawansowanej ciąży nie powinna zajmować się do sprzątania. Ani zachodzić w ciążę w tak młodym wieku.

– Ma pani komórkę? – zapytała.

– Nie, nie mam komórki – odparła Mary.

Ciężarna dziewczyna przeliczyła trzymane w rękach torby i nagle pobladła, pobiegła wzrokiem za znikającą za rogiem furgonetką. Rzuciła hiszpańskie przekleństwo.

Mary doskonale знаła to uczucie.

– Zgubiła pani coś? Coś pani zostawiła?

– Mój lunch – odparła dziewczyna, starannie wymawiając angielskie słowa. Znowu zakłęła po hiszpańsku. Gładząc się po wystającym brzuchu, jeszcze raz rozejrzała się po ulicy. – Jest autobus? – spytała.

Mary obróciła się, szukając wzrokiem przystanku, i natychmiast poczuła okropny ból głowy.

– Pani chora? – spytała dziewczyna, wzdrygając się nieznacznie.

– Nie – odparła Mary i zachwiała się. Zamknawszy oczy, odniosła wrażenie, że przez zgiełk ulicy dochodzi do niej tykanie nocnego zegara. Czekala, ale wrażenie nie mijało, kiedy tak stała pod przybrzany wieńcem słupem, pośrodku pustej parceli w Golden Hills, w Kalifornii, czując zbliżający się koniec. Nigdy nie wyobrażała sobie podobnej scenerii swojej śmierci i ta zaskakująca myśl przejęła ją dziwnym dreszczem. A więc ostatnim obrazem, z jakim odejdzie z tego świata, będzie błękit nieba i kojący blask słońca. Ostatnim dźwiękiem – trąbienie samochodów na autostradzie numer sto jeden. A ostatnią napotkaną osobą – drobna, młodzianka Meksykanka w ciąży, z blizną na górnej wardze. Może ta dziewczyna jest Bogiem? Może ma moc wybaczenia?

Mary uniosła powieki, w nadziei, że ujrzy przebłysk boskości. Dziewczyna odeszła. Zniknęła bez śladu. Może wcale jej tutaj nie było. Mary liczyła uderzenia własnego serca w oczekiwaniu na ostateczny cios, lecz ucisk w piersiach zelżał, a ona odetchnęła głęboko, wciągając w płuca złocisty pył. Ból głowy też się uspokoił. Nie teraz. Nie tu. Jeszcze nie dziś. W ciszy i spokoju – prosiła.

Jeżeli któregoś z przejeżdżających kierowców zdziwił widok otyłej, białej kobiety, podpierającej słup elektryczny na okupowanej zwykle przez Meksykanów zakurzonej, narożnej parceli, to nie na tyle, by skłonić go do zatrzymania się. Ona sama przeżywała *déjà vu*, przywołując w pamięci młodziankę, dzielną Mary, która podczas burzy dzierży metalowy kij od szczotki i próbuje, tak jak teraz, dokonać czegoś niezwykłego.

Odepchnawszy się od słupa, ruszyła do hotelu, początkowo niepewnym, potem coraz bardziej wydłużonym krokiem. Nie ja. Nie tu. Nie teraz. Pożałowała, że nie ma talentu Goocha i nie potrafi podziękować wierszem za dar drugiej szansy.

Wkroczyła do hotelowego holu zdyszana, lśniąca blaskiem zwycięstwa, pamiętając, że obiecała zająć się dziećmi Ronni Reeves. Nie była pewna, czy przyczyną wypełniającego ją uczucia ciepła są wytworzone wskutek wysiłku endorfiny, czy też oczekiwania związane z dzisiejszym wieczorem. Przeczynała bowiem, że trzech chłopcy mogą się stać dla niej rodzajem wymarzonego plemienia. Skierowała mimochodem spojrzenie na okna w głębi restauracji i zdziwiła się, widząc ciężarną Meksykankę z narożnego placu, siedzącą w jednym z boksów nad szklanką mrożonej herbaty.

Przyjrzała się dziewczynie, której niespokojne oczy krążyły między zegarkiem na rękę,

wychodzącym na parking oknem a nietkniętym śniadaniem na talerzu siedzącego przy sąsiednim stoliku starszego pana. Mary, która normalnie unikała hotelowej restauracji i z daleka omijała bufet, pod wpływem nagłego impulsu weszła do środka. Zmierzając do szwedzkiego stołu, zdała sobie sprawę, że wszystkie oczy w zatłoczonej sali, mniej lub bardziej dyskretnie, śledzą jej ruchy, i oblała się potem. Co ty do diabła wyprawiasz? – krzyknęła na siebie w duchu.

Dopiero gdy stanęła przed wystawionym na pokaz bogactwem potraw – grube platy wołowiny, przyprawione cytryną i pieprzem kurczęta, makaron w sosie kremowym, słone ćwiartki ziemniaków, okraszony masłem ryż na gorąco – zrozumiała, po co tu przyszła. Z tacą i talerzem zbliżyła się do mięs. Nie mogąc się zdecydować między wołowiną a kurczakiem, nałożyła na talerz jedno i drugie, dorzuciła wielką łychę makaronu, ryż, dymiący kaczan kukurydzy i kilka bułek z masłem. Stawiając na tacy pucharek z deserem i kawałek czereśniowego placka, czuła za plecami spojrzenia pozostałych biesiadników, przewiercające materiał jej sklepowej bluzy. Jeszcze dwa kartony mleka. I butelka mrożonej herbaty. Kasjerka, biorąc pieniądze, nie patrzyła jej w oczy.

Mijając posuwistym krokiem gości restauracji, dotarła do miejsca, gdzie siedziała dziewczyna z blizną na wardze, i postawiła przed nią całą tę górę jedzenia. Dziewczyna podniosła wzrok. Ładne migdałowe oczy, podobne do oczu żony Jesúsa Garcii ze zdjęcia. Dziewczyna była tak młoda, że mogłaby być jego córką. Albo córką Mary.

– *Buen provecho* – powiedziała. – Smacznego.

O wdzięczności dziewczyny świadczyła gotowość, z jaką rzuciła się na wołowinę. Wzruszona łapczywym przeżuwaniami młodej Meksykanki, Mary stała przez chwilę, przeżywając jej łaknienie, chociaż sama nie odczuwała głodu. W odróżnieniu od reszty gości, oszołomiona niespodziewaną ucztą ciężarna kobieta nie zauważyła, jak Mary wyszła z restauracji, przełykając gulę w gardle.

Znalazłszy się w swym hotelowym pokoju, Mary usiadła z książką, ale nie mogła się skupić. W domu Ronni Reeves miała się zjawić dopiero za dwie godziny. Mnóstwo czasu, wliczając nawet godzinne czekanie na taksówkę. Drobnym druk rozmazał się, gdy poczuła nowy atak bólu między oczami, i w pole jej widzenia wdarła się twarz Heather.

Odepchnąwszy od siebie wspomnienie szwagierki, zamknęła książkę, i zaczęła snuć fantazje na temat powrotu Goocha. Musi sobie kupić coś ładnego do ubrania. Najlepiej w zielonym odcieniu, podkreślającym kolor jej oczu. Byłoby przyjemnie, uznała, gdyby ich pojednanie odbyło się w domu Eden, w ogrodzie na tyłach domu, pod pobłyskującym w słońcu eukaliptusem, a nie tutaj, w hotelu. Wyobraziła sobie twarz Goocha, kiedy ją zobaczy, lekkie wzruszenie ramion i blady uśmiech, jakby mówił – „Ot, życie”, na co ona skinie dwa razy głową i przekrzywi ją na bok, jakby mówiła – „Ano”.

Bez względu na to, do jakich doszedł wniosków podczas swoich rozmyślań, i co mu wyjaśniły jego rozmowy z Bogiem, śmierć siostry będzie dla Goocha ciężkim ciosem. Mary miała nadzieję, że Eden zostanie oszczędzona konieczność przekazania synowi żalobnej wieści. Oczami wyobraźni widziała siebie i Goocha, jak wciśnięci w dwa za ciasne samolotowe fotele w drodze powrotnej do Kanady zastanawiają się, co zrobić z prochami Heather. Gooch mógłby szepnąć: „Heather lubiła wodę. W młodości pływała jak ryba”. Albo w przypiływie czarnego humoru zaproponuje rozsypanie jej prochów na polu maków lub konopi.

Zadzwoiła do recepcji i zamówiła taksówkę, a gdy ta przyjechała, spokojnie zajęła miejsce na tylnym siedzeniu. Przejeżdżając obok rozrastającego się coraz bardziej, narożnego mauzoleum, przesunęła wzrokiem po twarzach nielicznej grupki mężczyzn, ciekawa, czy zobaczy wśród nich Jesúsa Garcíę, który z ukrytymi w marynarskim worku żółtymi sandałami czeka na przyjazd kulawego wuja.

Kiedy sobie wyobraziła żółte sandały w mozaice butów pod drzwiami kipiącego życiem domu, przypomniały jej się słowa Jesúsa, że pracuje w centrum handlowym, i jego przestępstwo wydało jej się jeszcze zuchwalsze. Czy sandały miały być prezentem dla jego pulchnej, urodziwej żony? Ale czy żonie nie wyda się to dziwne? A może już wcześniej kradł obuwie różnych typów i rozmiarów, wzbogacając nimi imponującą kolekcję pod drzwiami domu?

Zła na siebie za swoje zainteresowanie Jesúsem Garcíą, wróciła myślami do Goocha, uznając, że wystarczy jej jeden tajemniczy mężczyzna. Ciekawe, czy Goochowi spodobają się jej rude włosy.

póki śmierć was nie rozłączy

Kiedy o 17.45 taksówka zatrzymała się przed domem porzuconej przez męża Ronni Reeves, na podjeździe, obok wielkiego rama, stał czarny lincoln navigator. Podchodząc do drzwi, Mary słyszała wylewającą się na zewnątrz przez okna i drzwi symfonię dźwięków: rytmiczne okrzyki matki, wibrujące dziecięce trio, basowe szczekanie psa. Samotny wieczór w hotelowym pokoju wydał się nagle kuszącą propozycją, co jednak nie przeszkodziło Mary dojsć zdecydowanym krokiem do drzwi i nacisnąć dzwonek.

Wrzaski nagle ucichły, ustępując miejsca paplaninie nastawionego na cały regulator telewizora. Po paru minutach otworzyły się drzwi. Ronni Reeves miała zaczerwienioną twarz i zapuchnięte oczy.

– Hej, Mary. Proszę, wejdź – powiedziała, próbując się uśmiechnąć.

– Słyszałam... z ulicy... miałam wrażenie...

– Nic się nie stało – odparła Ronni, zdziwiona, że Mary ma na sobie ten sam, co podczas wcześniejszego spotkania, granatowy uniform. – Chłopcy są dziś po prostu troszkę pobudzeni.

– Do hałasu można się pewnie przyzwyczaić. – Mary wygładziła bluzę na wypukłym brzuchu, jakby przepraszała za swój brak wycucia mody.

Rumor za drzwiami pokoju. Krzyk bólu. Wrzaski dzieci. Ronni wciągnęła powietrze w płuca.

– Chłopcy! – zawołała, klaszcząc w dłonie. W odpowiedzi na wrzaski dzieciaków w odległym pokoju zaszczekał pies.

– Ojej! – mruknęła Mary.

– Mąż zostawił nas półtora miesiąca temu – rzekła Ronni. – Wszyscy źle to znosimy.

– Mówiła mi pani.

– Naprawdę? Powiedziała pani? Mój Boże, nawet sąsiedzi jeszcze nie wiedzą.

Odgłos tłukącego się szkła. Popatrzawszy na siebie, obie kobiety popędziły korytarzem w głąb domu, gdzie zastały trzech chłopców stojących wśród zgliszczy wielkiego telewizora. Oszołomione wypadkiem trojaczki nie zaprotestowały, kiedy Mary rzuciła:

– Nie ruszać się! – Podnosząc kolejno każdego chłopca z podłogi i podając go zrozpaczonej matce ponad morzem rozbitego szkła, Mary usunęła trojaczki ze strefy niebezpieczeństwa.

– Mam ochotę wyć – stłumionym głosem oświadczyła Ronni.

Mary doskonale ją rozumiała. Odprowadziła kobietę do drzwi.

– Jedź – powiedziała. – Po prostu jedź stąd.

– Jesteś pewna?

– Wszystko będzie dobrze. Mam twój numer. Jedź.

– Dziękuję, Mary. Dziękuję. – Ronni wzięła torebkę i ucałowała każdego chłopca w czubek głowy. – Bądźcie mili dla pani Gooch – powiedziała. Raczej wybiegła, niż wyszła z domu. Upewniwszy się, że samochód odjechał, Mary odwróciła się. Tuż za nią stało trzech malców.

– Chcę oglądać telewizję! – krzyknął Joshua.

Pozostali chłopcy głośno włączyli się do chóru. Mary patrzyła na nich przez chwilę.

– No dobrze. – Wolnym krokiem poprowadziła trojaczki z powrotem na tył domu, ale nagle zatrzymała się, udając zaskoczenie. – Ojej, chłopcy! Telewizor się rozbił.

– Chcemy oglądać telewizję! – wrzasnął Joshua.

– Ale on nie działa.

– To nie w porządku! – wydarł się mały.
– Chcemy telewizji, chcemy telewizji! – zakrzyczeli dwaj pozostali.
– Strasznie mi przykro, chłopcy, ale niechący rozbiłam telewizor – wyjaśniła.
Joshua uspokoił się.
– Nieprawda, nie ty.
– Nie ja?
– To myśmy go rozbili – powiedział z oburzeniem.
– No, skoro tak, to miejcie pretensję do siebie – odparła Mary, wzruszając ramionami.
Chłopcy przyjrzeni się nieznannej kobiecie, kiedy ta zaprowadziła ich do kuchni.
– Co będziemy robić?
– Lubiłam kiedyś bawić się kredkami. Pokażę wam, jak narysować pieska.
Malcy z pewnym ociąganiem usiedli przy kuchennym stole.
– Przybory do rysowania są tam – poinformował ją Joshua, wskazując palcem koszyk wypełniony do połowy podartymi zeszytami do kolorowania i połamanymi kredkami.
Znalazłszy trzy czyste kartki papieru, Mary usiadła obok chłopców.
– Znam kilka sposobów rysowania pieska. Łatwe nawet dla dwulatka.
– My mamy trzy lata – oświadczyli chórem.
– Aha, w takim razie rysowanie pójdzie wam jak z płatka. Ale skoro macie trzy lata, to pokażę wam dodatkowo, jak narysować kotka. I konia też.

Kiedy malcy zajęli się rysowaniem, pulchnymi paluszkami prowadząc kredki po papierze, wysuwając z buzi różowe języczki, Mary rozejrzała się po pięknie zaprojektowanym, otwartym wnętrzu domu. Radość, jaką musiała odczuwać Ronni Reeves podczas urządzania domu, najwyraźniej nie uchroniła jej od wielu nierozsądnych decyzji. Meble, zbyt eleganckie dla rodziny z trójką dzieci, były podarte i porysowane, poplamione i powyginane. Co ich stan mówił o małżeńskim pożyciu Ronni Reeves? Trzej śliczni chłopcy nie zdołaliby wprowadzić jej małżeństwa do takiej samej ruiny, do jakiej doprowadzili urządzenie domu, jednakże Mary mogła sobie wyobrazić drogę wiodącą do rozkładu małżeństwa – udręczona, wyczerpana nerwowo, niedoświadczona matka i niedoceniony, zaniedbany przez żonę ojciec i mąż. Ona zbyt zmęczona, zniechęcona do miłości, szukająca jej poza domem. Cud, że w ogóle zdarzają się dobre małżeństwa, przemknęło Mary przez myśl.

„Póki śmierć was nie rozłączy”. Czy państwo młodzi nadal składają taką przysięgę? Czyż nie byłoby szczytem hipokryzji, gdyby młodzi ludzie wchodzili w związek małżeński ze świadomością, że prawdopodobieństwo jego przetrwania wynosi zaledwie pięćdziesiąt procent? Mary zadała sobie pytanie, czy inwazja otyłości w Stanach Zjednoczonych nie idzie przypadkiem w parze z ilością rozwodów. Mylenie zachłanności ze spełnieniem. Małżonkowie tak często mówią, że chcieliby więcej. Mają większe potrzeby. Odczuwają niedosyt. Ucieczka Goocha zdawała się wskazywać, że jej własne małżeństwo okazało się bardziej wytrwałe niż trwałe. Co zatem trzymało ich razem przez tyle lat? Poza inercją?

Między ich ciałami musiała istnieć jakaś wymiana, nawet po tym, jak przestały się do siebie zbliżać w dosłownym, fizycznym sensie. Tajemnicza i skomplikowana siła miłości albo jej potężne wspomnienie. Przypomniała sobie, jak zareagował Gooch – było to w ostatnie Święto Pracy – kiedy powtórzyła mu ze śmiechem, jak Ray wyrażał się za jej plecami o jej tyłku. Kipiąc z wściekłości, zerwał się z czerwonego winylowego krzesła i rzucił ku drzwiom. Zdołała go przekonać, żeby nie jechał do drogerii i nie robił jej szefowi awantury, ale w duchu była zachwycona jego furią. Lojalność. Nie ta przypieczętowana złotą obrączką na wyznaczonym palcu, lecz tkwiąca w głębi trzewi.

Siedziała zatopiona w myślach, z fioletową kredką zawieszoną nad pustą kartką papieru,

zapatrzona w wyobraźni w dzień swojego ślubu, dopóki nie szturchnął jej mały obgryziony palec.

– Jesteś gruba – oznajmił Joshua. Ręka chłopca zniknęła w zagłębieniu jej pępka.

Połaskotana przez intruza, a jednocześnie oczarowana śmiesznie wykrzywioną minką chłopca o włosach koloru pakuł, Mary odsunęła jego rączkę.

– Nie trzeba mówić ludziom, że są grubi – powiedziała łagodnie.

– Dlaczego? – zapytał, mrugając oczami.

– Bo oni i tak o tym wiedzą. – Mrugnęła do niego.

– Jesteś grubsza niż wujek Harley – stwierdził Jacob.

Mary roześmiała się. Chłopcy, jak się wydaje, nie kojarzyli słowa „gruby” z niczym negatywnym, jakby było tylko jednym z kształtów z ich podstawowego słownika. Okrągły. Kwadratowy. Gruby.

Jeszcze trochę porysowali, po czym Mary zrobiła dla Jacoba i Jeremy’ego papierowe samoloty. Kiedy malcy zaczęli zrzucać na siebie z samolotów kredkowe bomby, sięgnęła na zastawioną książkami dla dzieci półkę i posadziła chłopców wokół siebie na kanapie w głównym salonie. Zabrała się do czytania wybranej przez nich książeczki, podczas gdy trzy wierzące się istoty umościły się stopniowo wokół jej ciepłego, okazałego ciała – jeden z opartą na jej ramieniu lepką rączką, drugi owijający w roztargnieniu na palec jej rude włosy, trzeci usadowiony okrakiem na jej udzie. Mary aż westchnęła pod czułym dotykiem rąk innych niż jej własne.

Po przeczytaniu na głos jedenastu książeczek, z czego trzy musiała czytać dwa razy, Mary zaschło wprawdzie na amen w gardle, ale i tak zrobiło jej się żal, gdy usłyszała szum wjeżdżającego na podjazd samochodu. Podniósłszy się z kanapy, wyjrzała przez okno i serce zabiło jej niespokojnie, gdyż zamiast czarnego navigatora zobaczyła przed domem srebrnego mercedesa. Powiedziawszy chłopcom, żeby nie ruszali się z kanapy, poszła otworzyć drzwi.

– Słucham pana – zwróciła się do stojącego na ganku żylastego, ciemnowłosego mężczyzny.

– Kim pani jest? – rzucił ostro, starając się zajrzeć jej przez ramię.

– Jestem babysitterką.

Zmierzył jej tuszę i odzienie krytycznym wzrokiem.

– Z agencji?

– Jestem przyjaciółką rodziny – odparła pewnym siebie tonem.

– Gdzie Ronni? – Spróbował wejść do środka, ale Mary zastąpiła mu drogę. – Chłopcy! – zawołał. – Joshua! Jacob! Jeremy!

Krzycząc: „Tata!” – chłopcy wypadli do holu i rzucili się żylastemu mężczyźnie w ramiona. Wielki kudłaty pies, śpiący dotąd koło kanapy, obudził się i przybiegł z głośnym szczekaniem, podgryzając przybysza w pięty.

– Zabieram chłopców na lody – zawołał mężczyzna, przekrzykując psa i taszcząc zachwyconych malców do stojącego z włączonym silnikiem samochodu.

– Nie! – sprzeciwiła się Mary. – Nie może ich pan zabrać! Ani na lody, ani nigdzie!

Mimo dalszych okrzyków Mary, do której protestów dołączył się z gniewnym szczekaniem włochaty pies, mężczyzna zapakował chłopców do samochodu. Zamknął ich od zewnątrz, nie zważając na szamoczącą się wokół auta Mary.

– Nawet nie zapiął im pan pasów! – zawołała. On tymczasem usiadł za kierownicą i włączył wsteczny bieg. Przerażona, pobiegła na tył samochodu i wparła się rękami w srebrzysty bagażnik. Pies pobiegł za nią i zaczął z kolei obszczekiwać Mary.

Ojciec chłopców spuścił szybę, wybuchając śmiechem na widok blokującej mu wyjazd i atakowanej przez psa rudej grubaski.

– Co pani wyprawia? – krzyknął. Pies dał susa w jego kierunku i zaczął skakać do okna.

Mary obróciła się i z założonymi na piersiach rękami oparła się siedzeniem o tył samochodu. Mężczyzna znowu zawołał, żeby się nie wygłupiała, zdjął jednak stopę z gazu. Mary stała twardo, nie zważając, że spaliny buchają jej prosto w nogi.

W polu jej widzenia pojawił się nagle samochód Ronni Reeves; chwilę później wjechał na podjazd i zatrzymał się za mercedesem. Wskoczywszy z auta, matka trojaczków jęła besztuć rozszluszczonego męża najgorszymi słowami. Mary otworzyła drzwi mercedesa, wysadziła chłopców, po czym, w towarzystwie poganiającego całą gromadkę kudłatego psa, ruszyła do domu, oszczędzając dzieciom lekcji plugawego języka rodziców, którzy – stojąc na podjeździe – zawzięcie obrzucali się nawzajem błotem.

Po paru minutach zmaltretowana Ronni Reeves weszła do domu.

– Przepraszam cię Mary za to, co się wydarzyło.

– Teraz sąsiedzi już wiedzą – zauważyła Mary.

Ronni skrzywiła się.

– Co za skurwysyn!

– Chłopcy mogą cię usłyszeć – ostrzegła ją Mary, ale malcy zdążyli już pobiec do kuchni, aby drażnić rozszczekanego psa.

– Pewnie nie zgodzisz się więcej pilnować moich dzieci? – spytała Ronni, przygryzając dolną wargę. – Nie masz pojęcia, jak mi ciężko.

Mary zawahała się.

– Mnie też rzucił mąż – wyznała.

Ronni położyła swoją piękną dłoń na mięsistej ręce Mary.

– Dla młodszej?

– Potrzebował czasu do namysłu.

– Tom powiedział to samo. Nie mówił, że musi się zastanowić nad swoim kutasem w gębie kochanki, ale sama to sobie dośpiewałam. – Mary była wstrząśnięta językiem Ronni, a jednocześnie zafascynowana jej furią. – Przepraszam – dodała Ronni. – Ale na pewno rozumiesz, co czuję. Chciałam cię prosić, żebyś przyszła znowu jutro wieczorem.

– Jutro wieczorem? Och, nie wiem – zawahała się Mary.

– Trafił mi się następny pokaz biżuterii. Bardzo potrzebuję tych pieniędzy. – Wyjęła portfel i podała Mary kilka banknotów.

Mary odepchnęła pieniądze.

– Dziękuję, ale nie.

– Zwykle płacę babysitterkom.

– Potraktuj to jako uprzejmość. Przecież jestem przyjaciółką rodziny, nie pamiętasz?

– Czy przyjaciółka rodziny przyjdzie jutro?

– Myślę, że jutro będzie to możliwe – odparła Mary, zastanawiając się, ile jeszcze książeczek będzie w stanie przeczytać, zanim ostatecznie straci głos.

– Czy nie mogłybyśmy umówić się na stałe? Dopóki nie wyjedziesz. Parę godzin po południu i wieczorami, kiedy pracuję dla Lydii Lee? – z nadzieją w głosie spytała Ronni.

– Nie mam pojęcia, jak długo zostanę.

– Rozumiem. Chcesz zostać, dopóki Jack...

– Czekam na Goocha. Na mego męża.

– Powiedziałaś, że odszedł od ciebie.

– Tak, ale nie na zawsze.

– Och. A kiedy wróci?

– Jak skończy się namyślać. Wybrał się na pieszą wyprawę, nie wiem dokąd, ale po powrocie ma się skontaktować ze swoją matką – wyjaśniła Mary. – Chcę być na miejscu, kiedy

się pojawi.

– Bo chcesz go przekonać, żeby wrócił do domu?

– Mam mu tyle do powiedzenia.

Ronni Reeves uścisnęła jej ramię.

– Niezależnie od tego, co mu powiesz i jak mu to powiesz, on już swoje postanowił – możesz mi wierzyć.

deszcz meteorów

Pieśń długiej, bezsennej nocy, którą Mary tak dobrze pamiętała z dawnych czasów, uległa znacznej przemianie: wzniosłe requiem z Leaford zmieniło się w Golden Hills w ogłuszającą operę rockową; szum lodówki zastąpiło wycie kojotów, a zamiast monotonnego tykania zegara słyszała ćwierkanie nocnych ptaków, powtarzających jak refren: „On już swoje postanowił”. Pojawiające się przy wtórze gitary obrazy obcych ludzi z obcego kraju. Rozgoryczona swoim małżeństwem Ronni. Jej niewierny mąż Tom. Nawet teściowie Mary byli dziwnie obcy. Jasnowłose sprzątaczkę. Ernesto, który wziął ją za anioła. Jesús García w kradzionych żółtych sandałach.

O pierwszym brzasku przypomniała sobie ciężarną Meksykankę o migdałowych oczach i wilczy apetyt, z jakim dziewczyna rzuciła się na jedzenie. Mary nie pamiętała, kiedy po raz ostatni jadła prawdziwy posiłek. Mówiła sobie, że powinna być głodna, lecz nie odczuwała głodu.

Skoncentrowała się na ułożeniu planu dnia. Odebrać z banku nową kartę płatniczą, która miała dzisiaj nadejść. Niespokojna o pieniądze, które mogły zniknąć równie niespodziewanie, jak się pojawiły, chciała jak najszybciej sprawdzić stan konta. Nie wierzyła w niezmiennosc rzeczy. Po wizycie w banku uda się do Eden, żeby przygotować poczęstunek dla członków kółka modlitewnego i zrobić porządki, jeżeli służąca znowu nie przyjdzie. Potem odpoczynek w hotelu przy ciekawej lekturze. Wieczorem opieka nad synkami Ronni Reeves.

Słońce stało już wysoko, kiedy wyszła na ulicę i zdecydowała się pójść do banku piechotą, by zażyć ruchu. Oślepiający blask bijący z szerokiej, betonowej drogi zmuszał ją do mrużenia oczu. Miejsce między oczami znowu zaczęło pulsować, pomyślała więc z obawą, że uderzając głową o kierownicę na parkingu w Chatham, mogła sobie wyrządzić większą krzywdę, niż pierwotnie sądziła. Aspiryna najwyraźniej nie pomagała. Potrzebuje czegoś silniejszego.

Na narożnym placu już z daleka zobaczyła liczną grupę, tym razem nie kobiet, tylko mężczyzn. Ołtarzyk na słupie zdobiły dzisiaj dziesiątki wiązanek, a u jego stóp, obok wędnących w butelce po wodzie sodowej kwiatów, stał duży słoik wypełniony monetami i dolarowymi banknotami. Poniżej napisu przypięto do słupa zdjęcie. Mary podeszła bliżej. Czarno-biała fotografia była opatrzona datą. Spod szerokiego kapelusza patrzyły stalowoszare oczy młodego mężczyzny. Z pewnością nie było to zdjęcie Ernesta. Mary uśmiechnęła się do paru mężczyzn, którzy mierzyli ją podejrzliwym wzrokiem.

- Czy któryś z panów mówi po angielsku? – spytała nieśmiało.
 - Szuka pani robotników? – ucieszył się jeden z nich.
 - Ach, nie. Nie. Nawet nie mam samochodu. Chciałam się dowiedzieć o Ernesta. Parę dni temu uległ tutaj wypadkowi. Wiem, że to nie on – dodała, wskazując zdjęcie. – Ale czy ktoś tutaj go zna? Nie wiecie, jak się miewa?
 - To nie Ernesto – kręcąc głową, wyjaśnił mężczyzna, który miał nadzieję dostać pracę.
 - Tak, wiem.
 - To Guillermo.
 - Guillermo?
 - Umarł na polu. Od upału – wyjaśnił, oskarżając słońce.
 - Och, to okropne. Po prostu okropne.
 - Ano.
 - Czy to zbiórka dla jego rodziny? – zapytała, wskazując słoik z pieniędzmi.
- Mężczyzna pokręcił głową.

– Na pogrzeb.

Mary podeszła do słupa, czując na sobie spojrzenia obserwujących ją spod baseballowych czapek pozostałych mężczyzn. Rzuciwszy okiem na zdjęcie, sięgnęła do swojej nowej granatowej torby z metalowym okuciem, wyjęła zwitek banknotów, pochyliła się i włożyła do słoika całą gotówkę, jaką miała przy sobie.

W otoczeniu biegaczy, rowerzystów i spacerowiczów, zmierzała do banku opasanymi zielenią chodnikami, zastanawiając się, czy Gooch wyczuje w cudowny sposób tragedię Heather i za pośrednictwem modlitewnego kręgu zostanie sprowadzony do domu Eden.

Obiecana karta kredytowa istotnie na nią czekała i Mary pospieszyła do bankomatu na zewnątrz, żeby ją wypróbować. Wziąwszy maksymalną sumę, przyjrzała się kartce z potwierdzeniem stanu konta. Ubyła z niego dodatkowa suma pieniędzy. Czteryście dolarów. Gooch – nikt inny, tylko Gooch. Od czasu gdy w przeddzień srebrnej rocznicy ślubu Gooch spojrział na nią tym swoim wzrokiem i powiedział: „Nie czekaj na mnie”, wyjmowanie pieniędzy z konta stało się dla Mary rodzajem substytutu kontaktu z mężem.

Przechodziła przez parking z sercem napełnionym nową nadzieją. Podjęcie pieniędzy to dowód, że Gooch żyje. Nie spadł ze skały. Nie zgubił się w lesie. Może znalazł odpowiedzi na swoje pytania i w tej chwili pędzi autostradą. Może podjął pieniądze, żeby pokonać ostatni etap podróży powrotnej do domu Eden. Kiedy przemierzała korytarze między półkami drogerii, ból między oczami stopniowo gasił ten optymistyczny nastrój. Podeszła do aptecznej lady w głębi sklepu i poprosiła o najsilniejszy środek przeciwbólowy. Czując, że nie zdoła dojść do domu Eden o własnych siłach, poprosiła farmaceutkę, aby była tak miła i wezwała dla niej taksówkę.

– Poczekam na zewnątrz, w cieniu przed restauracją.

– To może potrwać...

– Wiem – przerwała z uśmiechem.

Po wyjściu ze sklepu wciągnęła powietrze w płuca, starając się określić nie tyle jego zapach, ile wilgotność. Szofer limuzyny powiedział, że ocean zaczyna się po drugiej stronie autostrady prowadzącej z Golden Hills. O kwadrans drogi od miejsca, gdzie ona teraz stoi. Marzyła, aby tam pojechać, zawinąć spodnie i wejść we wzburzoną wodę, a potem, czując rozpryskujące się na jej ładnej twarzy słone krople, modlić się do boga mórz o powrót męża.

Z ławki, na której usiadła, nie widać było ulicy, zasłaniały ją smukłe cyprysy. Z ukrytego w sztucznym kamieniu głośnika dobywały się dźwięki tanecznej muzyki big-bandu. Przymknąwszy oczy, Mary kołysała się w takt muzyki, otoczona mocnymi, długimi ramionami. Na palcach obu rąk mogłaby policzyć, ile razy tańczyła ze swoim mężem przez te wszystkie lata. Zwykle na którymś weselu. Gooch podrywał ją na nogi, domagając się ostatniego tańca i całując ją w ucho, bo miał ochotę na seks.

Pozostałą część wieczoru spędzała na krześle, podjadając ukradkiem migdały Jordana z owiniętych w białą gazę pakietów. Na każdym kolejnym weselu gratulowała sobie na nowo swojej samodzielności. Nie wymagała od Goocha, aby przez cały wieczór dotrzymywał jej towarzystwa, ponieważ jego żona nie lubi albo nie umie tańczyć, a może nie ma ochoty potrząsać swoim obfitym ciałem na oczach obcych ludzi. Zachęcając Goocha, by prosił do tańca inne kobiety, okazywała nie tylko swoją niezależność, ale i pewność siebie. „Pokręć się z Wendy”. „Puść się w boogie z Kim i Patti”.

Wszystkie kobiety chciały tańczyć z Goochem. Utonąć w jego potężnych ramionach, czuć na plecach zaborczy dotyk silnej dłoni, udawać, że nie ma nic zdrowszego w ocieraniu się bioder o uda, miękkich włosów o rozpalony policzek. Jawne grzeszki, odchodzące w niepamięć następnego dnia, wybaczone na porannym kacu. Wirujące pachwiny. Podrygujące cycki. Napięte tyłki. Bezmiar odroczonej konsekwencji.

Gooch lubił żartować, że Mary „stręczy go” na weselach. Mówiła: „Idź, zatańcz z ciotką Dave’a. Pięć lat temu straciła męża”. Albo: „Obiecałam Joyce wpisać ją do twego karnetu. Jej mąż ma atak podagry”.

Na ostatnim weselu, w jakim uczestniczyli, czyli na ślubie najstarszej córki Thea Fotopolisa z młodym człowiekiem z Aten, Gooch i Mary znaleźli się wśród obcych ludzi. Stół na dziesięć osób, przy którym ich posadzono, stał na szarym końcu sali, najdalej od stołu nowożeńców, świadcząc o niskiej randze i pozycji towarzyskiej państwa Gooch wśród pozostałych gości. Sytuacja dogadzała Mary, która – nie mając nic przyzwoitego do włożenia – w swej skromnej dwuczęściowej sukience tonęła w morzu iskrzących się, migotliwych kreacji innych kobiet. W trakcie przedstawiania się współbiesiadnikom przekonała się, że ich stół stanowi wyspę ludzi samotnych albo przegranych: posępny wdowiec, gadatliwa stara panna, niezonały fotograf, ksiądz ze swoją matką.

Krzesło obok Mary pozostawało puste niemal do końca smakowitej greckiej kolacji, która działała na jej podniebienie równie silnie, jak kiedyś przenikająca ją do samego rdzenia obietnica seksu. Obudziła w niej natychmiastowe pożądanie. Mary zapragnęła pochłonąć wszystko na raz i jeszcze więcej, i chociaż normalnie nie cierpiała jeść przy świadkach, to tym razem zmiatała z talerza kolejne, ociekające tłuszczem dania. Aż do deseru. Kiedy to pojawiła się brakująca osoba i zajęła wolne krzesło.

Mary miała wtedy trzydzieści kilka lat. Kobieta była mniej więcej w tym samym wieku, ale wyglądała młodziej, była wyższa i smuklejsza, miała krótkie, modnie ostrzyżone ciemne włosy, a na sobie prostą niebieską suknię, opinającą wysoki biust i łuki bioder. Siadając, szepnęła do Mary poufałym tonem:

– Stolik samotnych, co? Nie cierpię wesel. – Jej wzrok spoczął na ubranym w ciemny garnitur Goochu i dodała z uśmiechem. – A może nie.

Toast na cześć nowożeńców nie pozwolił Mary przedstawić sąsiadce Goocha jako swego męża. Wzbierające w brzuchu gazy uświadomiły jej, że zjadła za dużo i zbyt łapczywie, więc nie tykając nasączonego miodem ciasta, przeprosiła i udała się do toalety.

W chwili gdy wchodziła z powrotem na salę, orkie-stra grała pierwszy akord powolnego tańca, a nowo przybyła kobieta prowadziła Goocha na parkiet. Gooch wypatrzył Mary w tłumie. Wzruszył ramionami, jakby mówił: „Co miałem robić?”. Mary odwróciła się w odwrotnym kierunku i ruszyła na parking, gdzie oparłszy się plecami o maskę własnej furgonetki, słuchała niesionych wiatrem dźwięków muzyki, zastanawiając się, po ilu tańcach Gooch zauważy jej nieobecność.

Pojawił się niemal natychmiast i stanąwszy na progu dębowych drzwi bankietowej sali, przeszukał wzrokiem parking. Ruszył ku niej długimi krokami. Był zły.

– Nie wolno tak znikać bez uprzedzenia.
– Wracajmy do domu.
– Nie – odparł stanowczo.
– Ja wracam.
– A ja zostaję, Mary – odparł, stawiając ją w sytuacji bez wyjścia. Obrócił się na pięcie i odszedł.

Niezależnie od tego, że posiadała mistrzowską umiejętność wyrzucania ze świadomości niewygodnych faktów, Mary nie mogła zostawić męża samego na weselu. Powróciwszy na salę, zobaczyła, że atrakcyjna kobieta odnalazła Goocha w tłumie ludzi przy barze. Obserwowała mowę ich ciał, podczas gdy Gooch mówił coś do swej towarzyszki, przekrzykując gwar. Kobieta zerknęła na Mary, po czym, z promiennym uśmiechem, zwróciła się z powrotem do Goocha. On znowu coś powiedział. Kobieta ponownie popatrzyła na Mary, najpierw ze zdziwieniem, potem

ze skruchą, przepraszająco, z zażenowaniem. Jednakże Mary nie miała do niej pretensji, ponieważ nikt nie połączyłby kreską jej wizerunku z wizerunkiem Goocha, jak to się robi w zadawanych przedszkolakom testach na umiejętność kojarzenia.

Przed ostatnim tańcem wieczoru – ich ostatnim wspólnym tańcem – Gooch podszedł do Mary i z zaczepnym uśmiechem wyciągnął rękę.

– Ostatni taniec, Mare.

Podawała mu z uśmiechem rękę i pozwoliła zaprowadzić się na parkiet. Otoczywszy jej rozległe plecy ramieniem, Gooch przycisnął Mary do siebie, powiódł ją tanecznym łukiem w tłum par, pochylił się nad nią i całując ją w ucho, szepnął:

– Kocham cię.

Sunąc po parkiecie, schrypniętym głosem rockowego gwiazdora nucił nad jej uchem, a jego oddech był gorący. Mary wtuliła się w niego i zamknęła oczy, ale otworzyła je, gdy ktoś z tańczących zderzył się z nią siedzeniem. Była to atrakcyjna kobieta w niebieskiej sukni, tańcząca z dwunastoletnim kuzynem pana młodego. Policzki chłopca płonęły z rozkoszy, na jego ustach malował się nieprzytomny uśmiech. Umarł i znalazł się w niebie. Mary zrobiło się niedobrze.

Każdy taneczny obrót, który pozbawiał Mary widoku pięknej kobiety, był wygraną Goocha. Wyobraziła sobie, że przestał się obracać i nie odrywa oczu od zachwycającej zdobyczy dwunastolatka. Wzdrygnęła się, gdy jego palce zacisnęły się mocniej na jej tłustych plecach. A gdy poczuła nabrzmiewającą erekcję, odepchnęła go.

– Chodźmy stąd – powiedziała.

Gooch, który opacznie zrozumiał jej decyzję, zdziwił się, dlaczego trzepnęła go po ręce, gdy siedząc już w samochodzie, spróbował obmacać jej piersi.

– Nie teraz, kiedy prowadzę – zgromiła go. Odchrząknęła i starając się, by jej słowa nie zabrzmiały jak oskarżenie, dodała: – Wiem, Gooch, co ci chodzi po głowie.

– Sądziłem, że to samo, co tobie – zaśmiał się, kładąc rękę na jej udzie.

– Wiem, co sobie myślisz – dodała, wyobrażając sobie kobietę w niebieskiej sukni.

Nie pojmując, co Mary widzi złego w jego podnieceniu, ale czując, że sprawa nie wygląda dobrze, Gooch bezradnie potrząsnął głową.

– Myślę o tym, ile czasu upłynęło, odkąd byliśmy ze sobą, Mare. I o tym, że chciałbym się kochać z moją żoną – powiedział.

Mary nadal rozamiętywała z drzeniem swój ostatni taniec z Goochem, kiedy na plac przed centrum handlowym zajechała, nadspodziewanie szybko, taksówka. Prowadził ją sympatyczny kierowca, dysponujący systemem monitorowania ruchu.

Przed domem Eden stał tylko jeden samochód, stary prius, i na tej podstawie Mary doszła do wniosku, że obawy teściowej spełniły się i Chita znowu nie przyszła do pracy. Nacisnęła dzwonek, a kiedy Eden długo nie otwierała, pomyślała sobie, że pewnie przegania szczury z zarośli za domem. Wreszcie teściowa pojawiła się w drzwiach, zgrzana i zadyszana.

– Zabrali go do szpitala. Dostał ataku, wczoraj wieczorem, kiedy w domu była pielęgniarka. Przesiedziałam przy nim całą noc. Wróciłam przed chwilą.

– Och, Eden – westchnęła Mary, wchodząc do wilgotnego wnętrza. Kiedy wędrowała za Eden do pokoju Jacka, zwróciła uwagę na panujący wszędzie bałagan.

– Chita wymówiła pracę – rzekła Eden. – Wczoraj, przez telefon.

Zasłony w pokoju Jacka były zaciągnięte, niemniej Mary dostrzegła wgniecenie materaca w miejscu, gdzie spoczywało jego ciało, kilka zastawionych lekarstwami nocnych stolików, stos brudnej pościeli na podłodze. Pierwszy raz pogratulowała sobie częściowej utraty powonienia. Eden zaczęła odsuwać zasłonę z wielkiego, sięgającego od podłogi po sufit okna, ale jedno kółko

zacięło się na szynie. Szarpiąc zasłonę, wyrwała, ku swemu przerażeniu, szynę z mocujących ją do sufitu haków i kotara runęła na podłogę. Pokój chorego zalało światło słońca, a Eden odsunęła się od okna i podeszła do garderoby.

– Muszę zdecydować, który garnitur Jacka oddać do pralni.

Uwagę Mary przyciągnęły stojące na toalecie liczne fotografie i pomyślała, że Wendy mogłaby z nich ułożyć piękny album, upamiętniający dozągonną miłość pary kochających się małżonków. Zdjęcia z wakacji w egzotycznych miejscach. Zdjęcie Eden i Jacka trzymających się za ręce na pokładzie żaglówki, ustawionej na tle domu i długiego basenu.

– Jack miał jacht?

– Kochał morze. Kiedy okazało się, że nie może już żeglować, okropnie to przeżył.

Bardziej mu tego brakowało niż prowadzenia samochodu. Poradź mi, który wybrać, szary czy granatowy?

Mary zrozumiała, że mają wybrać garnitur do trumny, więc zastanowiła się przed podjęciem decyzji:

– Granatowy. – Jeszcze raz przyjrzała się zdjęciom, po czym spytała: – Jack chyba ma córki, prawda?

– Trzy. Najstarsza przeniosła się do Reading. Dwie pozostałe mieszkają w rejonie zatoki.

– Przyjechały?

– Nie.

– Wybierają się?

Eden wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Wiedzą?

Eden nie odpowiedziała.

– Może należałoby je zawiadomić?

– Nigdy nie miały czasu, żeby bodaj zadzwonić i spytać: „Co słychać?”. Dlaczego miałyby im zależeć na tym, żeby się pożegnać?

– Jest ich ojcem.

– Nigdy do niego nie dzwoniły. Nigdy go nie odwiedzały. Przypisywały biedakowi wszystko, co najgorsze. Wierzyły we wszystko, co im mówiła jego była żona. Jack nie znał nawet swoich wnuków. Modlił się codziennie wieczorem, żeby się opamiętały. Złamały mu serce.

Podskoczyły obie na dźwięk telefonu na nocnym stoliku.

– Halo? – powiedziała Eden. – Halo? Halo? – Po chwili odłożyła słuchawkę. – Jakieś złe połączenie.

– A jeśli to był Gooch? Albo wiadomość o Jacku?

– Zadzwonią jeszcze raz, jeżeli to coś ważnego.

Obie czekały, wpatrując się w telefon.

– W styczniu przypada nasza srebrna rocznica ślubu – odezwała się Eden, okręcając na zdeformowanym palcu wysadzaną brylancikami obrączkę.

Mary spojrzała z zachwytem na mieniące się w promieniach słońca klejnoty.

– Nasza minęła dwa tygodnie temu – rzekła.

Eden podniosła wzrok, coś zaświtało jej w głowie.

– W październiku. Tak, pamiętam. – Spojrzała na palec Mary. – Gdzie twój pierścionek?

– Trzeba go było przepiłować i zdjąć. Wiele lat temu. Palec zrobił się za gruby.

– Jimmy nadal nosił swoją obrączkę – poinformowała ją Eden. – Dopóki był w domu.

Zauważyłam, że wciąż ma na palcu swoją obrączkę, jeżeli to coś znaczyło.

Mary uśmiechnęła się.

– No cóż – mruknęła Eden, rzucając okiem na telefon. – Najwyraźniej nie było to nic ważnego. Muszę się położyć na chwilę. Wzięła oddech, ale nic nie powiedziała, tylko podniosła się, poczłapała przez hol, po czym okrutnie zniekształconymi palcami przekreśliła gałkę w drzwiach swego pokoju i zniknęła w jego wnętrzu.

Mary popatrzyła na swoje ręce, wdzięczna za ich sprawność, dziękując wszystkim dziesięciu palcom za lata wiernej służby. Wstając z krzesła, spostrzegła coś w lustrze na toalecie Jacka. Błysk siwizny u nasady włosów. Pojawiły się odrosty.

Prowadzona przez słońce, pozwoliła swoim stopom wyprowadzić się na patio w pobliże basenu, zastanawiając się, czy Eden przepędziła robotników z agencji czyszczenia basenów, czy też przyjechali, ale nikogo nie zastali. Z mętnej pozieleniałej wody spoglądało na nią odbicie jej duszy, inne jednak od tego, jakie oglądała ostatnim razem. Zmieniająca się percepcja czasu odmieniła jej widzenie siebie. Przestała być niewolnicą przeszłości, a lustro nie było już konspiratorem, lecz towarzyszem. A tak często rozważane, nieuchwytnie szczęście? Może niewłaściwie pojmuje się szczęście? Może szczęście to nieobecność lęku? Asystowała przy narodzinach swojej własnej przemiany i pożałowała, że nie ma butelki szampana, którą mogłaby rozbić o własne kolano. Wpatrując się w zmarszczki na wodzie, miała ochotę zakrzyknąć na głos: „Rewolucja grubej baby!”.

Czy taki jest sens tego wszystkiego? Wyjazdu z Leaford? Rozstania się z głodem? Uwolnienia od lęku? Rewolucja – nie przeciw sobie, ale we własnej sprawie? Winna jest Goochowi wieloraką wdzięczność. Rozumiała jednak, że nawet rewolucjonistce grozi utrata perspektywy. I cierpliwości.

W pewnej chwili usłyszała kroki w domu, więc weszła do kuchni i zastała tam Eden.

– Jadę do szpitala.

– Nie chciałybyś, żebym pojechała z tobą?

– Nie. Ale zostań tu, jeżeli masz ochotę.

– Chcesz, żebym została? Do twego powrotu?

– Pomyślałam sobie, że będzie ci przyjemniej posiedzieć tutaj, zamiast w hotelu.

Po wyjeździe Eden Mary zdjęła pościel z łóżka Jacka i otworzyła okno, żeby wypędzić stęchłe powietrze. Oczyszczyła wytarty, pofałdowany dywan i odkurzyła stojące na toalecie oprawione w ramki fotografie. Doprowadziwszy sypialnię do porządku, pozmywała naczynia, nastawiła pranie i zamiotła terakotową podłogę w holu. Podśpiewywała przy pracy, dziwiąc się swemu zadowoleniu. „Zna pani to uczucie, kiedy się komuś pomaga?” – zapytał ją kiedyś Big Avi.

synowa

Ponieważ Eden długo nie wracała, Mary poprawiła poduszki na kanapie w salonie i usiadła, aby trochę odsapnąć. Pokój z częściowo zaciągniętymi kotarami tonął w cieniu, kiedy zainteresowała się regałem, na którym stało kilkadziesiąt starych książek, kilka z nich o znanych jej tytułach, oraz wielka Biblia w skórzanej oprawie. Otworzyła ją, wyjęła z torebki plik banknotów, włożyła je starannie pomiędzy strony, a gdy odstawiała tom na półkę, podskoczyła, słysząc dzwonek telefonu. Zastanawiała się, czy odebrać, ale przestraszyła się na myśl, że może dzwoni Gooch.

– Halo? – spytała niepewnie.

Na drugim końcu zapadła cisza. Albo od początku nikogo nie było. Jeden z wielu głuchych telefonów. Które – jak twierdziła Eden – stale się zdarzają. Pewnie zdarzają się równie często, jak przypadki porzucenia żon przez mężów, pomyślała.

Odkładając słuchawkę, zauważyła, że przed domem zatrzymuje się turkusowy chevrolet. Piękny, muzealny okaz, Gooch byłby nim zachwycony. Jednakże to nie Gooch siedział za kierownicą, nie dostrzegła go również wśród wysiadających z samochodu. Postanowiła nie otwierać drzwi, tylko stanęła w holu tak, aby nie było jej widać, kiedy odezwał się dzwonek.

– Halo? – usłyszała męski głos.

Odwróciwszy się, zobaczyła twarz młodego mężczyzny o niebieskich oczach, który zaglądał do środka przez wąskie okno obok wejściowych drzwi. Kiedy je otworzyła, ujrzała na ganku cztery wpatrzone w nią osoby. Niebieskookiego młodzieńca. Starszą panią o szarych oczach. Kościstego starca z czarną brodą i czarnymi oczami. Dojrzałego mężczyznę o zielonych oczach w obcisłym dresie, który zdawał się należeć do świata bieżni albo propagujących tężyznę fizyczną reklam z popularnych czasopism.

– Nazywam się Berton – przedstawił się kościsty starzec. – A to jest Michael. – To o sportowcu. – Donna. – O starszej pani. – A to Shawn. – O niebieskookim młodzianie. Wszyscy się uśmiechnęli, gdy kościsty brodacz dodał: – A ty pewnie jesteś Mary.

– Tak – odparła, nie pojmując, co to za dziwny kwartet ani skąd znają jej imię.

– Przyszliśmy na kółko modlitewne – ciągnął, zaglądając do wnętrza za jej plecami.

– Ojej! – zawołała Mary. – Eden do was nie dzwoniła? Jacka zabrano do szpitala.

Zważywszy na stan Jacka, czwórka gości okazała niezrozumiałe zdziwienie.

– Wobec tego spotkanie modlitewne należy uznać za odwołane – rzekła Mary, przytrzymując drzwi.

Młody człowiek zachnął się.

– Modlitw nigdy nie odwołujemy.

– Nie odwołujemy naszych spotkań – potwierdził Berton, robiąc gest, jakby chciał wejść do domu.

Mary odsunęła się, aby ich przepuścić. Nie spodziewała się tak zróżnicowanej grupy. A poza tym czyż Eden nie mówiła, że jest ich sześcioro?

– Nie przygotowałam poczęstunku – przypomniała sobie, ale uspokoiła się, gdy starsza kobieta imieniem Donna poklepała ją z uśmiechem po rękę.

– Przyłączysz się do nas, Mary? – zapytał Berton, kierując się do salonu.

Nie miała na to ochoty, ale nie wiedząc, jak się wymówić, skinęła głową, weszła za nimi do pokoju i zmrużyła oczy od słońca, kiedy Berton odsunął zasłony. Berton i Michael usiedli na krzesłach pod oknem, a Mary znalazła się na kanapie pomiędzy dwojgiem pozostałych.

– Gil i Terri nie dołączają do nas – oznajmił Berton, podając jedną rękę siedzącemu po jego

lewej stronie biegaczowi, a drugą niebieskookiemu młodzieńcowi po prawej. Mary połączyła dłonie z młodym człowiekiem i ze starszą kobietą, która swą drugą rękę podała biegaczowi.

Wymienili spojrzenia, a Mary, za ich przykładem, popatrzyła kolejno w niebieskie, szare, czarne i zielone oczy. Zdziwiło ją, że nikt z członków kółka modlitewnego nie ma z sobą Biblii, i zaniepokoiła się, że jeżeli sięgną po Biblię Eden, mogą znaleźć ukryte przez nią między kartkami pieniądze. Spotkanie rozpoczął Shawn. Mówił spokojnym, młodzieńczym głosem, który wyzwał wibracje w jego gardle, spływające w dół, wzdłuż jego ramion, aż do ręki Mary.

– Jesteśmy twymi pokornymi sługami. Shawn, Donna, Berton, Michael i Mary – rzekł, rzucając jej krótkie spojrzenie. – Zebraliśmy się dzisiaj, aby modlić się za Jacka. Boże, zmiłuj się nad Jackiem, naszym bratem.

– Módlmy się – wyszeptali wszyscy razem.

– I będziemy się również modlić za Mary – dodał, a oczy wszystkich skierowały się na nią.

Mary wyszarpnęła dłonie z rąk obcych ludzi.

– Nie musicie się za mnie modlić.

Shawn obrócił ku niej głowę.

– Eden powiedziała nam, co cię tutaj sprowadziło.

Synowa. No oczywiście, Eden opowiedziała członkom kółka modlitewnego o swojej grubej synowej, która przyleciała do Kalifornii szukać swego zbiegłego męża. Poznała po ich oczach, że już się za nią modlili. A także, na pewno, za Goocha. Mary była ciekawa, czy Eden powiedziała tym ludziom o Heather. Niebieskooki nic nie mówił o modleniu się za duszę zbląkanej córki.

– Mary, pozwól.

Wzięta w dwa ognie przez starą kobietę i młodego mężczyznę, czując się zobowiązana wobec Eden i nie mając nic więcej do stracenia, na powrót podała mu rękę i połączyła dłonie z Donną. Zadrżała w oślepiającym słońcu, słysząc, jak Shawn mówi:

– Boże, pomóż Mary odnaleźć to, czego szuka. – Zebrani zgodzili się chórem: – Módlmy się.

Mary za ich przykładem spuściła oczy, czekając na rozpoczęcie modłów. Spodziewała się, że będą kolejno recytować fragmenty Pisma Świętego, nim przystąpią do modłów za Jacka. I swoich medytacji za powodzenie jej poszukiwań. Miała nadzieję, że pomodlą się za Heather. Ktoś musi się za nią pomodlić.

Zegar tykał, ale nikt nie podnosił oczu. Z twarzą zalaną słońcem, czując po obu bokach napór ludzkich ciał i ciepło połączonych z jej dłońmi rąk, powiodła wzrokiem po schylonych głowach. Czy oni naprawdę rozmawiają z Bogiem? Czy taką komunie da się wyczytać z czyjejś twarzy?

Pomyślała o Jacku i pożałowała go, chociaż był dla niej niemal obcym człowiekiem. I o Eden, która podzieli jej los – ona też zostanie sama. Boże, wspomagaj Eden, szepnęła w duchu, zastanawiając się, czy będzie to uznane za modlitwę. Ileż to razy, w ciągu iluż nocy, modliła się do Boga? Wznosiła do niego swoje życzenia? Składała puste podziękowania. I płytkie, powierzchowne prośby. Niepewna natury istoty, do której się modli – do niego, do niej, do tego? Zadumała się nad odmianą, jaka nastąpiła w jej relacjach z własną duszą; oto jest tutaj, oddalona o tysiące mil, inna. Więc ludzie jednak się zmieniają. Droga życia może nieoczekiwanie skrócić w lewo i poprowadzić człowieka w całkiem inną przyszłość.

Skupiona na oddechu, wspominając przerwane w połowie życie Heather, przyrzekła sobie, że jej własny koniec nie będzie skutkiem skalkulowanego ryzyka. Ujrzała własną ścieżkę, która biegła w górę i nie była idącym przez błoto okopem, lecz brukowaną drogą pod

baldachimem drzew. Czekać wciąż na rozpoczęcie modłów, zdała sobie w pewnym momencie sprawę, że one już trwają.

Kiedy modlitwy dobiegły końca, poczuła się urażona ich krótkością, ale spojrzawszy na zegar, uświadomiła sobie, że zasiedli do nich ponad godzinę temu. Czworo ludzi wyszło równie cicho, jak się zjawili, bez uderzenia pioruna, bez hałaśliwej retoryki, bez oklepanych zwrotów, bez nawracania. W ogóle bez słów.

Niedługo potem, kiedy Eden zajechała przed dom swoim priusem, Mary siedziała na kanapie, napawając się panującą w domu ciszą i spokojem.

– Zapomniałam zawieźć mu zdjęcia, o które prosił – powiedziała Eden, wpadając do holu.

– Dowiedziałas się, kiedy wróci do domu? – zapytała Mary. – Posprzątałam w jego pokoju. Pościel suszy się w suszarce.

– On już nie wróci do domu – sucho odparła Eden.

– Może byś usiadła na chwilę? – Eden przysiadła obok Mary na kanapie. – Może zrobisz ci herbaty?

– Nie potrzebuję herbaty – rzekła Eden. – Potrzebuję Jimmy’ego. Potrzebuję Heather. Och, Mary, co ja takiego zrobiłam? – Mary ujęła palce Eden. – Ostatnim razem, kiedy ją widziałam, miała na swetrze wymiociny. Nie mogę przestać o tym myśleć.

– A kiedy ja widziałam ją ostatni raz – odparła Mary, przypominając sobie medalion Heather – była uśmiechnięta.

Po niejakiem czasie spokojny oddech siedzącej obok niej Eden uświadomił Mary, że staruszka zasnęła. Jej też wkrótce opadły powieki, niby znużonej czuwaniem przy chorym dziecku matce. Kiedy się ocknęła, była sama. Eden szczekała w kuchni naczyniami. Mary poszła za dźwiękiem, stanęła w drzwiach, a teściowa oświadczyła:

– Powinnyśmy coś zjeść.

– Tak – przyznała Mary, ale żadna nie ruszyła się do lodówki.

– Muszę przed powrotem do szpitala zadzwonić do agencji – przypomniała sobie Eden.

– Nie musisz brać nikogo na miejsce Chity. Ja mogę ci pomóc. Chętnie ci pomogę.

Eden zawahała się.

– Chciałabyś u mnie zamieszkać?

– Chcesz, żebym z tobą została?

– Mogłabyś spać w pokoju Jacka.

Mary przypomniała sobie, że ma się zająć dziećmi i zerknęła na zegar. – Mogę wrócić dopiero po dziewiątej wieczorem.

– Dlaczego nie wcześniej?

– Bo zajmuję się dziećmi pewnej pani, niedaleko stąd, na tej samej ulicy.

– Zajmujesz się dziećmi?

– Jednej pani, którą tutaj poznałam. Ona zna ciebie i Jacka. Nazywa się Ronni Reeves.

Wczoraj też ich pilnowałam.

– No tak, chyba zawsze należałaś do osób łatwo nawiązujących znajomości.

Trudno o coś dalszego od prawdy, pomyślała Mary, ale mruknęła:

– Uhm.

– Ja i tak będę do późna siedzieć w szpitalu. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, jak miałabym spędzić noc sama w pustym domu.

Wmusiwszy w siebie i Eden trochę grzanek i truskawek, Mary wyruszyła do hotelu, żeby się wymeldować. Zmierzając stromą ulicą w kierunku Highlands i nie mogąc się nadziwić, skąd bierze tyle sił, zastanawiała się, czy członkowie kółka modlitewnego znajdą posłuch u swego Stwórcy.

Znowu ta diabelska karuzela. Wahanie się, szamotanie, balansowanie między rozpaczą a nadzieją. Widziała Goocha za kierownicą każdego przejeżdżającego samochodu. Gooch powinien być tutaj. Matka go potrzebuje. Żona go potrzebuje. Zamknąwszy oczy, posłała z wiatrem błaganie: „Gooch, Jack umiera. Proszę cię, przyjedź!”

Na myśl o skurczonym w inwalidzkim wózku teściu uświadomiła sobie, że Gooch też go widział i musi zdawać sobie sprawę z jego bliskiego końca. Nie zostawił nawet telefonu, pod którym można by się z nim skontaktować na wypadek śmierci Jacka. „Do diabła z tobą, Gooch” – pomyślała nagle. Do diabła z wami wszystkimi. Przypomniało jej się słowo z listu Goocha. Tchórz. T a k.

Idąc ulicą w tumanach kurzu, przypomniała sobie, że miała się zatrzymać przy centrum handlowym i zamówić taksówkę. Za późno. Nie ma siły iść dalej. Zaszła za daleko, żeby zawrócić. Ulice były zakorkowane, ale na chodnikach prawie nie było ludzi. Usłyszawszy za plecami tupot nóg, przycisnęła do piersi swoją granatową, sportową torbę. Kroki zbliżały się. Szkoda, że nie ma gazowego pistoletu, pomyślała, jednego z tych, jakie widywała w telewizji, na wypadek gdyby została zaatakowana przez jednego jedyne bandytę w całym Golden Hills.

Minął ją pędem, zanurzony w oparach testosteronu, kilkunastoletni chłopak, biegnący na spotkanie z młodziutką dziewczyną, która wyłoniła się z cienia drzew. Objęli się – błędzące gorączkowo dłonie, spragnione usta – całkowicie zatopieni w sobie. Mary przypomniała sobie siebie i Goocha w ich wczesnym okresie. Też byli takimi szalonymi kochankami.

Mary nie zauważyła, że dziewczyna ma w uszach słuchawki, spostrzegła to dopiero, gdy ta wyszarpnęła jeden z kabelków i wetknęła chłopakowi w ucho. Objąwszy dziewczynę w pasie, przywarł biodrami do jej bioder i z oczami wtopionymi w jej oczy, zaczął się rytmicznie kołysać. Mimo całej złości na jego tchórzostwo, Mary oddałaby w tej chwili życie za jeszcze jeden taniec z Goochem.

strach przed ciemnością

Otwierając Mary drzwi, Ronni Reeves, mimo zmęczenia, wyglądała nader szykownie w czerwonej, trykotowej sukni, wysokich, skórzanych butach, z pobrzękującą srebrną biżuterią.

– Tom wyjechał z miasta, więc nie musisz się dzisiaj obawiać kolejnej sceny, Mary. Jak się miewa Jack?

– Jest w szpitalu – odparła Mary. – Do domu już nie wróci. Ja przenoszę się do Eden.

– Strasznie mi przykro.

Mary skinęła głową, po czym, dla wprowadzenia lżejszej atmosfery, wskazując suknię Ronni, powiedziała:

– Dobrze ci w tym kolorze. – Ronni podziękowała, starannie omijając wzrokiem granatowy uniform Mary. – Nie mam czasu pójść na zakupy – usprawiedliwiła się Mary, obciążając bluzę. – Wczoraj zapomniałam cię zapytać, o której godzinie chłopcy chodzą spać.

Ronni podrapała się po nosie.

– Nie mają określonej godziny pójścia do łóżek.

Po jej odejździe Mary znalazła chłopców w salonie, czekających na nią na kanapie ze stertą książek. Kiedy usadowiła się między nimi, malcy zaczęli się przepychać, podsuwając jej swoje ulubione.

– Pani Goochie, proszę przeczytać to – poprosił Jeremy.

– Goochie! – wrzasnęli dwaj pozostali.

– Mówcie mi po prostu „Mary”, dobrze? – zaproponowała ze śmiechem.

Po przeczytaniu tuzina książek, widząc, że malcy robią się senni, powiedziała:

– Chodźmy zobaczyć, co robią wasze piżamy.

Ponieważ upominanie się o włączenie zepsutego telewizora nie miało większego sensu, poszli z nią potulnie wyłożonymi eleganckim dywanem schodami do ogromnej, wspólnej sypialni na piętrze. Tu nagle senni chłopcy odzyskali werwę i zaczęli się ścigać, skacząc po trzech małych łóżeczkach. Mary próbowała ich uspokoić, wołając:

– Nie będziemy się tak bawić przed pójściem do łóżka!

– A my właśnie tak się bawimy przed pójściem do łóżka – śmiejąc się głośno, oświadczył Jeremy.

– Chłopcy! – krzyknęła Mary, klaszcząc w dłonie metodą ich matki, co w jej przypadku okazało się równie nieskuteczne. Jacob trafił ją w głowę poduszką. Mary podeszła do kontaktu, zgasiła światło i zamknęła drzwi, pogrążając sypialnię w ciemności.

– Nie! – wrzasnął Jeremy.

– Zapal światło! – zawołał Jacob.

Mary włączyła światło. Malcy dziwnie na nią popatrzyli, po czym podjęli swoją zabawę, goniąc się po łóżkach i rzucając poduszkami. Mary zgasiła światło. „Zapal je!”, „Włącz światło!” Mary przekreśliła kontakt. I tak dalej, i tak dalej. Gaszenie i zapalanie światła trwało przez jakiś czas, dopóki trojaczki, od których przerywanie i podejmowanie wyścigu wymagało więcej wysiłku niż przekreślanie kontaktu od Mary, wreszcie się poddały.

Otuliwszy malców, Mary pocałowała każdego w czoło.

– Pani Mary, proszę zostawić światło w holu – poprosił Jeremy. Mary chętnie by im powiedziała, że ciemność nie jest tym, czego powinni się obawiać.

Ronni po powrocie była wyraźnie zdezorientowana panującą w domu ciszą, a w jeszcze większe zdziwienie wprowadził ją widok siedzącej na kanapie i czytającej książkę Mary.

– Gdzie chłopcy? – spytała.

– Śpią.
– Poszli spać bez awantur? Bez napadów złości?
– Bez żadnych awantur.
– No wiesz, powinnaś się nazywać Mary Poppins, a nie Mary Gooch. – Wyjęła z torebki kilka banknotów i stanowczym gestem podała je Mary. – Źle się czuję, wykorzystując cię za darmo. Zresztą dobrze dzisiaj zarobiłam. Dziękuję ci, Mary.
Ona jednak odepchnęła pieniądze.
– Nie mogę ich wziąć – rzekła. – Nie mam prawa u was pracować. Zapomniałaś, że jestem Kanadyjką? Zresztą nie potrzebuję pieniędzy.
– Każdy potrzebuje pieniędzy – nie ustępowała Ronni, wychodząc za Mary na ganek i próbując wcisnąć jej banknoty.
– Ja nie. Naprawdę. Mój mąż wygrał na loterii.
– Jasne.
– Ale to prawda. Wygrał nagrodę w zdrapkowej loterii. I wpłacił na moje konto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.
– Wygrał na loterii, wpłacił na twoje konto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, a potem sobie poszedł – ironicznie skomentowała Ronni.
– Tak było.
Ronni zrozumiała, że Mary nie żartuje.
– Ile wygrał? Jako żona masz prawo do połowy wygranej.
– Gooch na pewno o tym wie. Domyślałam się, że wygrał pięćdziesiąt tysięcy.
– Ale nie wiesz tego na pewno?
– Znam Goocha. Na pewno postąpił, jak należy.
– Rzucił cię. Wygrał pieniądze na loterii i poszedł sobie. A ty jesteś pewna, że postąpił jak należy?
Ton, jakim to powiedziała, przyprawił Mary o gęsią skórkę. Zeszła z ganku.
– Muszę iść. Teściowa może mnie potrzebować.
– Dlaczego nie wynajęłaś samochodu?
– Ukradziono mi torebkę i nie dostałam jeszcze nowego prawa jazdy.
Ronni Reeves uśmiechnęła się tajemniczo, cofnęła za próg i wyszła po chwili z pobrzękującymi w ślicznych palcach kluczykami.
– Weź dodge'a. – Pokazała palcem dużą białą furgonetkę.
– Co?
– Nie masz samochodu, więc weź dodge'a. Za opiekę nad dziećmi. Na czas pobytu w Kalifornii. Jako wyraz mojej wdzięczności.
– Mam wziąć dodge'a?
– To samochód Toma. Jeździł nim na swoje weekendowe podboje. Prowadziłaś już furgonetkę? – Wcisnęła Mary kluczyki do ręki.
Zjeżdżając wolno ze wzgórza pożyczoną furgonetką w kierunku domu Eden i sycąc się poczuciem swobody, jaką dają cztery kółka, Mary przypomniała sobie ów dzień wiele lat temu, kiedy tak strasznie pragnęła przejechać się motorowerem Christophera Klika. Parkując na podjeździe, zdziwiła się, widząc, że prius Eden, która miała zostać w szpitalu do późnego wieczora, stoi już przed domem.
Wkradła się po cichu do środka, na wypadek gdyby Eden już spała, ale zastała ją na kanapie w salonie, z telefonem na kolanach. Patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Wzdrygnęła się, gdy Mary powiedziała:
– Pożyczyłam samochód. Nie masz nic przeciwko temu, żeby stał na podjeździe?

- Pożyczyłaś samochód? Od kogo?
- Od Ronni Reeves. To moja przyjaciółka. Pilnuję jej dzieci.
- Twoja przyjaciółka?

Zachowanie Eden przywołało Mary na myśl jej matkę Irmę z czasów, gdy wchodząc w wiek średni, zaczynała tracić kontakt z rzeczywistością.

– Poznałam ją parę dni temu. Już ci o niej mówiłam, Eden. Jej ojciec był na studiach razem z Jackiem. Nazywa się Ronni Reeves, nie pamiętasz?

Eden pokręciła głową.

– Jack miał tylu znajomych. Ilekroć wychodziliśmy na kolację, zawsze kogoś spotykał. To się stawało męczące. No, ale dobrze, że masz samochód. Faktycznie wspominałaś o jakichś dzieciach.

– Przyszło mi do głowy, żeby pojechać nad ocean.

– Już późno, Mary.

– Ale to niedaleko, prawda? Nie jestem zmęczona. Pojedziesz ze mną?

– Wracam do szpitala jeszcze na parę godzin. Wpadłam tylko na chwilę, żeby załatwić telefony. – Zamilkła na moment, potem dodała: – Jutro rano przyjeżdżają te dwie z Bay Area.

– Córki Jacka?

– Trzecia da znać, jak zarezerwuje lot. – Eden wstała, a czarna grzywka zakołysała się nad jej zapadniętymi policzkami. – Znalazłam w rzeczach Jacka kilka starych koszulek polo. Przez jakiś czas był tęgi. Dzisiaj nikt by się tego nie domyślił. Może będą na ciebie pasować. – Zdjęła sweter z wieszaka przy drzwiach. – Okropnie zimno w tym szpitalu.

Pomachawszy odjeżdżającej Eden, Mary po powrocie do domu znalazła w sypialni kilka pastelowych koszulek polo rozłożonych na łóżku i wybrała największą, zieloną, w kolorze mięty. Zdjęła z ulgą granatową bluzę i włożyła bawełnianą koszulkę, która – ku jej zadowoleniu – przykrywała wydatny brzuch.

Pełna niecierpliwego oczekiwania, wdrapała się do furgonetki, myśląc, jakie to dziwne, że nigdy nie marzyła o zobaczeniu oceanu, dopóki Big Avi nie wskazał jej prowadzącej do morza drogi, a teraz czuje się jak odkrywca wyruszający na wyprawę. Droga nad ocean przypominała jazdę na diabelskiej karuzeli, tyle że w zupełnych ciemnościach. Samochód raz piął się zakosami w górę, to znów pędził w dół przez niewidoczny krajobraz, który ledwo umiała sobie wyobrazić. Za kolejnym zakrętem oczom Mary ukazała się daleka tafla Pacyfiku, ujęta w ciemne ramy rozgwieżdżonej nocy. Jadąc dalej w kierunku wybrzeża, mijając po drodze przykucnięte wśród wzgórz, oświetlone domostwa, otworzyła okno i wystawiła twarz na pęd powietrza.

Dotarwszy do brzegu, zostawiła samochód na skraju drogi. Plaża była pusta i ciemna, lecz wołanie fal zagłuszyło strach. Mary wysiadła z furgonetki, oceniając wzrokiem odległość dzielącą ją od czarnej wody, po czym zdjęła tenisówki i ruszyła przez chłodny piasek.

Kiedy sapiąc z wysiłku, maszerowała ku nadbrzeżnym falom, poczuła, że dusza porusza się w jej ciele, jakby szukała lepszego punktu widzenia podczas drogi, wyznaczanej jedynie przez płynącą z autostrady nastrojową poświatę. Stanąwszy na skraju wody, przycisnęła ręce do serca, bynajmniej nie z powodu znajomego bólu, ale ponieważ poraziło ją piękno nocy, wznoszących się przed nią czarnych wód, bliskość nieba, poczucie bycia drobiną tak maleńką, jak ziarenko piasku pod jej stopami, i tak leciutką, że podmuch nocnego wiatru mógłby ją porwać. Zatrzymała się, by oddać cześć rozciągającemu się u jej stóp oceanowi, uznać małość i krótkotrwałość życia, pomodlić się za ludzi z odległych lądów za oceanem i wyrazić wdzięczność za cud świata.

– *Agua* – powiedziała na głos.

Podciągnąwszy spodnie, zanurzyła pulchne, różowe stopy w zaskakująco zimnej, lodowatej wodzie, wyobrażając sobie Goocha brodzącego w falach tego samego oceanu. O czym

rozmyśla? Musiał chyba do tej pory dojść do jakichś wniosków na temat swego życia, swego małżeństwa. „Na pewno już coś postanowił”.

Znalazła chłodne i suche miejsce na plaży i usiadła. Upewniwszy się, że jest sama, położyła się na białym piasku z rozrzuconymi na boki rękami, niczym dziecko robiące orła na śniegu, i przypomniała sobie, jak tamtej nocy w Leaford leżała nago na ziemi w strugach deszczu. Odnalazła na niebie Wielki Wóz i Mały Wóz, a także jasną smugę, którą pokazał jej Hej-su i nazwał Drogą Mleczną, błędziła wzrokiem po niebie, mając nadzieję, że zobaczy spadającą gwiazdę i będzie mogła wypowiedzieć życzenie. To nic, że według Jesúsa Garcíi kosmos nie ma w sobie nic magicznego; wpatrując się w olśniewający baldachim, zrozumiała, dlaczego ludzie umieszczają swoich zmarłych w niebie. Dlaczego wyobrażają sobie, że Bóg jest w niebie. Po niejakim czasie zamknęła oczy, poszukując pod powiekami jasności, w nadziei, że kobiecie Bóg wtrąci swoje trzy grosze.

Orin radził jej, żeby piła ze szlauchu haustami i robiła swoje, na nic się nie oglądając. To samo mówiła Heather. Gdyby jednak robienie swego miało oznaczać powrót do Kanady bez widzenia się z Goochem, to ona nie może tego uczynić. Ilekroć pomyślała o wyjeździe, natrętny głos upominał ją, że straciłaby coś niezmiernie cennego. Tak czy inaczej, doszła do wniosku, że jej czekanie nie jest jałowe. Eden ją doceniła. Podobnie Ronni Reeves i chłopcy. Ma samochód, ma pieniądze w banku. Te rozmyślania o własnym położeniu brzmiały inaczej niż zwykle. Nie było w nich nakręcającej się spirali rozpacz. Tylko spokojna refleksja nad własną egzystencją. Wewnętrzna rewolucja.

Bez zbędnych wniosków i wątpliwych porównań, Mary porzuciła myśl o mężu, by skierować swą uwagę na kwestię utraty apetytu. Mogłaby wyliczyć każdy kęs jedzenia, jaki przełknęła w ciągu ostatnich tygodni – było tego mniej, niż pochłaniała w ciągu jednego dnia w swym dawnym wcieleniu. Demon głodu, nieodstępny towarzysz, przeistoczył się w cerbera.

Jednakże rzecz zgubiona może się odnaleźć. Jak jej torba. Albo mąż. Ale może też zginąć na zawsze, tak jak zginęły jej dzieci. I Heather. Gooch? Ale chociaż nie chciała nigdy więcej usłyszeć ryku tłustonia, to jednak zdawała sobie sprawę, że niepodobna żyć w nieskończoność, odczuwając nieustanne mdłości na samą myśl o jedzeniu.

Podniosła się, przemaszerowała przez plażę, wydobyła kluczyki do furgonetki z kieszeni przemoczonych spodni od granatowego uniformu, i poczuła się dziwnie podniesiona na duchu tym, że ma na sobie starą koszulkę Jacka – jakby przywiozła ze sobą jego istotę, aby i ona mogła pożegnać się z morzem.

W drodze powrotnej do Golden Hills zatrzymała się na światłach w miejscu spotkania dwunastu pasów ruchu i omiotła spojrzeniem tonący w ciemności pusty plac, na którym urządzono kapliczkę upamiętniającą zmarłego Meksykanina. Ból między oczami, który utrzymywała w ryzach za pomocą lekarstwa z apteki, odezwał się z nieoczekiwaną siłą i wyglądało na to, że będzie musiała zatrzymać się na poboczu. Ale ból minął.

Tak jak wszystko. Jak wszystko.

niewidome trzecie oko

Budząc się nazajutrz rano, spodziewała się zobaczyć z okna świt barwiący wzgórza za hotelem, i zdziwiła się, jak szybko rzeczy nieznajome zmieniają się w oczekiwane. Jeszcze kilka dni temu nie знаła innego domu prócz Leaford i chociaż nigdy nie chciała ani nie zamierzała dokądkolwiek wyjeżdżać, to jednak w krótkim czasie przywykła do widoku za oknem hotelowego pokoju w Golden Hills, do zieleni oddzielającej jezdnie miasteczka, do jaśniejącego błękitem nieba i ognistego, kojącego słońca. Zastanowiła się, jak prędko Eden przyzwyczai się do nieobecności Jacka. Albo ona do braku Goocha. Kto tęskni za Heather? Czy zawiadomiono jej syna?

Pokój Jacka. A za sięgającymi sufitu oknami, w miejscu, gdzie oderwał się utrzymujący zasłonę pręt, potężny eukaliptus i mętny prostokąt basenu na tyłach domu. Ślad obecności Jacka snuł się po pokoju jak zapach, jego dogasająca żywotność odzywała się i postękiwała w ciągu nocy. Mary spała niespokojnie w zbyt miękkim łóżku. W jakimś momencie, dusząc się z gorąca, zdjęła bluzę od uniformu, która służyła jej za nocną koszulę i rzuciła ją na stolik z fotografiami Jacka i Eden. Zauważyła, że ramiączko poszarzałego za starości stanika trzyma się na ostatniej nitce.

Przyglądając się trzepoczącym w podmuchach bryzy perłowym liściom krzewów, zasłoniła swoje prawie nagie ciało świeżym, szeleszczącym prześcieradłem, bynajmniej nie oszczędzając swoich kształtów, lecz rozkoszując się najnowszymi osiągnięciami swojej fizycznej powłoki. Wspinanie się po stromych wzgórzach. Wielomilowe spacerunki. Podnoszenie, przekładanie, dzwiganie, przestawianie. Całowanie blond główek. Wyprawa nad ocean. Pogłaskała swój brzuch jak śpiącego kota.

Zaskoczyła ją niewyraźna sylwetka mężczyzny przemykającego między drzewami w głębi ogrodu. Z bijącym sercem wyciągnęła szyję i zmrużyła oczy. Gooch? Nie, za niski. Mężczyzna miał na głowie baseballową czapkę z długimi, opadającymi na ramiona nausznikami, które osłaniały od słońca twarz i szyję. Nieznajomy wkradł się do szopy stojącej nieopodal zielonego basenu. Mary czekała z biciem serca. Kiedy mężczyzna wyłonił się z szopy, okazało się, że zdjął górną część kombinezonu, a puste rękawy związał w pasie, eksponując szeroki, opalony na brąz, umięśniony tors. Trzymał w rękach grabie do wygarniania zanieczyszczeń z basenu i pogwizdywał przy pracy.

Kątem lewego oka zobaczyła w lustrze odbicie stojącej na podjeździe niebieskiej firmowej furgonetki – a zatem mężczyzna był pracownikiem firmy czyszczącej baseny. Mary nie miała dotąd kontaktu z basenami i ich obsługą, mogła się jedynie domyślać, że znany skądinąd wizerunek seksownego czyściciela ma swoje odzwierciedlenie w rzeczywistości.

W pozbawionym kotar pokoju Jacka Mary była doskonale widoczna z ogrodu za domem. Zakryła białym prześcieradłem swój poszarzały biustonosz, marząc, aby stać się niewidzialna. Nie mogła sięgnąć po leżący na toalecie granatowy uniform, bo musiałaby w tym celu wstać z łóżka, a wtedy mężczyzna mógłby ją zobaczyć. Kiedy zbliżył się do okna, Mary zamknęła oczy, aby nie widział, że mu się przygląda.

Po chwili, nie mogąc dłużej znieść niepewności, zerknęła spod zmrużonych powiek, żeby ustalić położenie pracującego mężczyzny, i nie mogła już oderwać od niego oczu. Obserwowała go w trakcie wybierania liści: zwoje napinających się przy wysiłku mięśni białych pleców i szerokich ramion, tężejące na owłosionym torsie grube fałdy skóry, twarde w brązowych otoczkach brodawki. Gooch powiedział kiedyś, że uprzedmiotowienie ciała należy do naturalnego porządku rzeczy. Jej uwagę przyciągnęły drgające wgłębienia nad rzeźbionymi

pośladkami mężczyzny i przestraszyła się, czując nieomylnie objawy fizycznego podniecenia.

Mężczyzna zabrał się teraz do szorowania ścian basenu i wsypywania do zielonej wody tabletek, które brał przez żółte rękawice. Do uszu Mary dotarło pukanie dziecięcia z eukaliptusa i znowu poczuła tykanie zegara, który nie stukał ani nie łomotał, tylko pędził ze zmieniającą wysokość dźwięku prędkością. Ledwo mężczyzna zdążył wziąć się do pracy, a już zniknął z ogrodu za domem i stał teraz na ganku, dzwoniąc do frontowych drzwi.

Uświadomiwszy sobie, że to ona zamówiła czyszczenie basenu i zgodziła się za nie zapłacić, Mary wyskoczyła z łóżka, wciągając w pośpiechu spodnie od sklepowego uniformu i zieloną koszulkę polo po Jacku, żeby zdążyć otworzyć drzwi, zanim zrobi to Eden. Jednakże na podjeździe nie było już białego priusa. Mary otworzyła drzwi, pospiesznie przeliczając w rękach pieniądze. Chociaż mężczyzna wciągnął już na siebie górę kombinezonu, Mary wciąż bała się spojrzeć mu w oczy.

Stał pochylony, wypisując rachunek. Nie podnosząc oczu, powiedział:

– Basen został oczyszczony, a woda się dezynfekuje. Najdalej za tydzień będzie można w nim pływać.

Mary momentalnie rozpoznała jego głos. Głęboki baryton. I ukrytą pod czapką z nausznikami twarz Jesúa Garcíi.

– Hej-su!

– Mary?

– O mój Boże! – wykrzyknęła ze śmiechem, wręczając mu pieniądze. – Pracujesz w firmie czyszczącej baseny?

– Przecież mieszkałaś w hotelu.

– To jest dom mojej teściowej. Teraz mieszkam u niej. – Mary i Eden, dwie kobiety dzielące przestrzeń niewielkiego domu w oczekiwaniu na swoich mężów: jedna na powrót, druga na odejście męża. – Co z Ernestem? – przypomniała sobie.

Pokiwał głową.

– Ma pęknięte zębra. Przez jakiś czas nie będzie mógł pracować.

– Przykro mi to słyszeć. A co u ciebie, Hej-su? Wszystko w porządku?

– Dziękuję. Tak.

– A żona i dzieci? Pewnie nie mogą się doczekać Bożego Narodzenia.

Odchrząknął, ale nic nie powiedział. Przeliczył pieniądze, a widząc, że dała mu za dużo, oddał Mary dwadzieścia dolarów.

– Zatrzymaj to – poprosiła. – Niech to będzie napiwek.

– Żadnych napiwków. Taka jest polityka przedsiębiorstwa.

– Och.

– Ale wolno nam napić się wody – powiedział, podnosząc pytająco jedną brew.

Mary szeroko otworzyła drzwi i zaprowadziła Jesúa do kuchni, gdzie podała mu butelkę zimnej wody z lodówki. Marszcząc brwi z powodu bólu głowy, sięgnęła po swoje tabletki i wysypując je na otwartą dłoń, poskarżyła się:

– Męczy mnie uporczywy ból. Tu, między oczami. Ani rusz nie chce minąć.

– Trzecie oko – odparł.

– Trzecie oko?

– Wyznawcy niektórych wschodnich religii wierzą, że każdy z nas ma między oczami trzecie oko, które pozwala osiągnąć wyższą świadomość. Poznać przyszłość.

– Faktycznie musiałeś spędzić w bibliotece wiele czasu. – Jesús Garcíi lekko wzruszył ramionami. Mary uśmiechnęła się: – Kto wie, może moje trzecie oko oślepiło – dodała. I zaraz pomyślała: albo nie oślepiło, tylko jego widzenie dopiero się rodzi, a dolegliwości, które

odczuwam, to coś w rodzaju bólów porodowych.

– Proszę spróbować wywaru z kory wierzbowej. Zamiast tabletek.

– Wywar z kory wierzbowej?

– Zawiera składnik zbliżony do kwasu salicylowego w aspirynie.

– Wiedza z przypadkowej książki z biblioteki?

– Nie, od mojej matki. Nie mieliśmy ubezpieczenia. Ale mieliśmy ogród za domem. Żółta naparstnica na wysokie ciśnienie ojca. Kora wierzbowa na ból i opuchliznę. Yerba buena na większość innych chorób. Rośnie tutaj. – Wyciągnął rękę w kierunku niewinnie wyglądającego krzewu, któremu Eden groziła szczotka.

Wyprowadzając go z kuchni, zobaczyła na wieszaku swoją granatową sportową torbę i nie mogła oprzeć się pokusie.

– Zaczekaj. – Otworzyła torbę i wyjęła gruby zwitek banknotów. Wciskając mu pieniądze do ręki, powiedziała: – Kup dzieciom coś ekstra na święta.

Obronnym ruchem zwinął rękę w pięść i zacisnął szczęki.

– Proszę, nie – rzekł, nie patrząc jej w oczy. Momentalnie pożałowała swego gestu, który został najwyraźniej źle zrozumiany, i szybko schowała pieniądze do kieszonki bawełnianej koszuli polo. – Muszę jechać.

– Nie myśl, że to jałmużna, Hej-su – pospieszyła z wyjaśnieniem, widząc, że zraniła jego dumę. – Widzisz, te pieniądze nie są tak naprawdę moje. Nie do końca. Mój mąż wygrał je na loterii.

Włożył na głowę czapkę z nausznikami.

– Muszę jechać – powtórzył i umknął szybkim krokiem, jak po kradzieży butów. Patrząc za odjeżdżającą sprzed domu niebieską furgonetką, przeniosła wzrok na wielkiego białego dodge'a. Chwyliła kluczyki i zeszła do samochodu.

Ronni Reeves zdziwiła się, widząc stojącą na ganku Mary.

– Cześć, Mary. Zostawiłaś coś wczoraj wieczorem? – Do drzwi przybiegli chłopcy i opadli ją ze wszystkich stron, wykrzykując jej imię. Mary zaczerwieniła się z zażenowania, ale po chwili poczuła, że dzieci są szczerze uradowane; w krótkim czasie zdobyła ich zaufanie. O mało nie zapomniała, po co przyjechała.

– Przyjechałam zwrócić samochód – powiedziała, gdy chłopcy pobiegli w głąb domu.

– Nie możesz nie mieć samochodu.

– Ale samochód należy do twego męża. To nie w porządku.

– Już ci mówiłam, że Tom wyjechał i nieprędko wróci. A poza tym miło mi pomyśleć, że jego dodge służy dobrym celom, a nie łajdactwu. Proszę. Zrób to dla mnie. Samochód za opiekę nad dziećmi to uczciwa wymiana.

– No dobrze – niechętnie ustąpiła Mary.

– Powiedz mi, co to za zabawa w gaszenie światła?

– Co takiego?

– Chłopcy chcieli, żebym się z nimi bawiła w gaszenie światła.

– Ot, bawiliśmy się. – Mary uświadomiła sobie nagle, że przyjechała nie tylko po to, by zwrócić samochód. – Chyba obraziłam faceta od czyszczenia basenów.

– Kogo?

– Człowieka, który czyścił basen. Chciałam mu dać coś ekstra dla... dla jego rodziny. Ale nie chciałam wziąć.

– Nie przejmowałabym się tak bardzo człowiekiem od czyszczenia basenów – oświadczyła Ronni, czując, że Mary ma coś więcej do powiedzenia. – Może nie zna angielskiego. Mary zawahała się.

– Co do naszej wczorajszej rozmowy. Nie chciałabym, żebyś sobie wyrobiła niewłaściwą opinię o moim mężu.

– Tym, który wygrał na loterii i poszedł sobie?

– No właśnie, o to mi chodzi.

– Nie przejmuj się wszystkim, co mówię, Mary – odparła Ronni, łagodniejąc. – Przechodzę teraz fazę złości. Ty nadal tkwisz w fazie wypierania.

– Nie znasz Goocha.

– Masz ochotę wejść i napić się kawy?

Mary natychmiast zrozumiała, że taki był istotny cel jej przyjazdu – chciała pogadać przy kawie z drugą porzuconą przez męża kobietą. Idąc za Ronni do kuchni, drżała z ekscytacji, uczucia całkiem dla niej nowego, ponieważ nigdy dotąd nie próbowała się z nikim zaprzyjaźnić z własnej inicjatywy.

Przy kuchennym stole nad kawą, podczas gdy chłopcy bawili się koło ich nóg, kobiety wymieniały swoje doświadczenia. Ronni opowiedziała Mary o swoim dzieciństwie na Wschodnim Wybrzeżu, o szalonej miłości, jaka wybuchła między nią a Tomem, kiedy oboje zaczęli studia prawnicze, o swojej radości po urodzeniu trojaczków i żalostnej tragedii, w jaką zamieniło się jej małżeństwo. Mary opowiedziała Ronni o Orinie i jego chorej okrzężnicy, o alzheimerze Army oraz własnym obrzydliwym romansie z inercją.

– Myślę, że twój mąż nie jest ciębie wart – oświadczyła Ronni.

– To nie tak.

– Chyba nie uważasz, że nie byłaś go warta. Wścieka mnie, kiedy kobiety nie doceniają samych siebie.

– Zdarzały się... nieporozumienia.

Ronni pokiwała głową.

– Oni myślą tym, co mają w spodniach.

– Nie umieliśmy się porozumieć.

– Mars i Wenus.

– Nie byliśmy wobec siebie uczciwi.

– To on nie był uczciwy. To on nie chciał rozmawiać. Czy tak?

– Gooch mówił i mówił. Chyba nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co ważne. Przeżyliśmy razem szmat czasu. – Mary przymknęła oczy. – Wygłodniali.

Rozmawiały tak, dopóki Mary nie zorientowała się, że zrobiło się późno. Pomachała Ronni z okna wielkiej furgonetki, obiecując znowu wpaść. Słońce zaczęło się chylić za odległe pasmo wzgórz i jezdnie w jednej chwili zaroily się od samochodów. To, że zamiast w lewo, do domu Eden, skręciła w prawo, w kierunku autostrady, bynajmniej Mary nie zdziwiło. Zmierzała prosto, nie oszukując samej siebie, na piaszczysty plac, mając nadzieję spotkać tam Jesusa Garcíę. Mimo lekceważących uwag Ronni, martwiła się, czy nie uraziła uczuć czyściciela basenów. Nie wiedziała dokładnie, co mu powie, kiedy się zobaczą. Może nie życzył sobie wsparcia, którego w istocie potrzebował, i Mary była skłonna przeprosić go jeszcze raz.

Na światłach, w miejscu, gdzie spotyka się dwanaście pasów ruchu, jej ciche modlitwy spełniły się: zobaczyła go, jak stoi w grupie trzech innych mężczyzn z termosami. To, że tam był, zakrawało na cud. Wjechała na plac powoli, żeby nie wzbić tumanów kurzu. Wszyscy trzej, z wyjątkiem Jesusa Garcíi, rzucili się do furgonetki i wskoczyli na tył samochodu, zanim Mary zdążyła ich powstrzymać. Spuściła szybę:

– Hej-su! – zawołała.

Zaskoczony jej widokiem, podszedł do furgonetki, niosąc swój marynarski worek.

– Szukasz robotników? – zapytał zdziwiony.

Pokręciła głową.

– Przyjechałam do ciebie.

– Do mnie?

– Chciałam cię przeprosić. Nie miałam zamiaru...

Przerwał jej, wołając po hiszpańsku do robotników, którzy wpakowali się na tył furgonetki. Mruczając z niezadowolenia, mężczyźni zeskoczyli na ziemię.

– Nie wybierają się do domów? – zapytała. – Za chwilę zrobi się ciemno.

– Jakby była robota, toby ją wzięli.

– Szkoda, że nie mam dla nich pracy. Przyjechałam, żeby cię przeprosić.

– Nie zrobiłaś niczego złego.

– Obraziłam cię, wtykając ci w ten sposób pieniądze.

– Nic się nie stało.

Nie do końca przekonana, przygryzła wargi.

– Czekasz na swego kuzyna?

– Spóźnia się.

– Odwiozę cię do domu. – Odmownie pokręcił głową, ale ona nie ustąpiła. – Proszę! –

Przy wtórze hiszpańskojęzycznych protestów swoich kolegów obiegł samochód i otworzył prawe drzwi.

Mary wydostała się z pewnym trudem na autostradę.

– Uprzedź mnie, jak będzie zjazd. Pamiętam, że trzeba zjechać w okolicach Hundred

Oaks.

Mężczyzna wciągnął powietrze.

– Nie powinnaś, ot tak, rozdawać ludziom pieniędzy. Nawet gdyby twój mąż wygrał na loterii miliony.

– Jakże tam miliony.

– To nie moja sprawa. Jesteś zbyt ufna.

– Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Tyle wpłacił na moje konto.

– Nie powinnaś mówić o tym obcym ludziom.

– Przez całe życie nigdy nikomu nic nie mówiłam, Hej-su. Gooch, mój mąż, wygrał pieniądze na loterii i poszedł sobie. Dlatego przyleciałam do Kalifornii. Potrzebowałam czasu do namysłu. Dlatego tutaj jestem. Myślę, że to już długo nie potrwa. Mam nadzieję, że wkrótce się odezwie. On wygrał te pieniądze. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Te pieniądze? Mam poczucie, że tak naprawdę one nie są moje.

Poprawił się z zakłopotania na siedzeniu.

Popatrzyła na jego profil.

– Pewnie uważasz, że jestem idiotką.

– Wcale tak nie uważam.

– Ale jestem żalosna. Nieszczęsna, porzucona żona, która przyleciała aż do Kalifornii, żeby czekać na męża, który ją rzucił.

Jesús wzruszył ramionami, nie odrywając oczu od horyzontu.

– Nie będę czekała bez końca.

– Nie.

– Tylko przez jakiś czas.

– Jasne. – Jesús spróbował skierować rozmowę na inne tory. – Zbliża się Święto

Dziękczynienia. Wy w Kanadzie chyba też je obchodzicie, prawda? O tej porze u nas w domu w Detroit wyciągnęlibyśmy sanki w oczekiwaniu na pierwszy śnieg. Na nartach też jeździliśmy. Jako jedyni Meksykanie w Pine Knob.

- Ja nigdy nie jeździłam na nartach.
 - A na łyżwach? Wszyscy jeżdżą na łyżwach.
 - Trochę. Na rzece Thames. Teraz już nie zamarza.
 - Globalne ocieplenie – rzekł, kiwając głową.
 - Czy twoje dzieci kiedykolwiek widziały śnieg?
- Pokręcił przecząco głową.
- Powinieneś kiedyś pokazać im śnieg. Żeby spróbowały saneczkowania, nart i w ogóle.
 - Tak.
 - A może grają w hokeja? To nasz narodowy sport. Ty w Detroit na pewno grałeś w hokeja. Ale tutaj jest pewnie mało lodowisk. Grają? Twoi chłopcy.
 - Zginęli trzy lata temu. Moja żona. Moi synowie.

Wiadomość była tak wstrząsająca, że Mary w pierwszej chwili nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Powiedział to takim rzeczowym tonem.

– Szli ulicą ze szkoły do domu. Pijany kierowca wjechał na chodnik. Facet miał zawieszony prawo jazdy. Za wcześniejsze wykroczenia.

Mary przełknęła ślinę, nie mogąc wydusić słowa, jakby duchy jego rodziny wysysały całe powietrze z kabiny samochodu. *Fait accompli*. Pij wodę za szlauch i rób swoje, na nic się nie oglądając. Ale jak można dalej robić swoje po przeżyciu tak niewyobrażalnej tragedii? Budzić się co rano, ubierać, jeść, chodzić, oddychać, uginając się pod ciężarem takiej żaloby?

– Pracowałem w Amgen. Oszczędzaliśmy na drugi samochód. Jeszcze dwie wypłaty. Ale po tym, co się stało, przestałem wychodzić z domu, chodziłem tylko do biblioteki. Potem przyjechała z Meksyku moja teściowa. A potem szwagier. A jeszcze potem... Zresztą sama ich wszystkich widziałas.

Sto par butów. Sto smutków.

– Ja nie mam dzieci – powiedziała, czego, jak się zdaje, nie uznał za nietakt.

– Nie powinienem był ci o tym mówić. Proszę, nie płacz.

Mary ze wszystkich sił próbowała się opanować. Tyle przynajmniej jest winna temu silnemu, złamanemu człowiekowi. Resztę drogi przebyli w milczeniu, Jezus wskazywał jej drogę. Na koniec zatrzymali się przed małym domem, który był otoczony nieregularnym prostokątem spalonej trawy. Jezus ociągał się z wysiadaniem.

– Miła z ciebie kobieta, Mary. Mam nadzieję, że twój mąż wkrótce się zjawi.

Skinąwszy głową, patrzyła za odchodzącym, a gdy zniknął w drzwiach domu, pomachała mu na pożegnanie.

Sunąc jezdnią z powrotem ku autostradzie, mijając biedne sklepiki i magazyny sieci handlowych, zastanawiała się, jak to się dzieje, że jej stopa naciska gaz, a ręce obracają kierownicę, podczas gdy ona jest całkowicie odrętwiała. Nie wiedziała, co w nią wstąpiło, ale nagle usłyszała czerwono-żółtego neonu: „Zapraszamy”. Wysiadła, przestudiowała tablicę z jadłospisem i trzęsąc się z wrażenia, zawołała do mikrofonu: „Trzy podwójne cheeseburgery. Ekstra chrupki kurczak z frytkami. Napój truskawkowy. Rybny sandwicz”. Odbierając w następnym okienku przetłuszczone torebki, skinęła głową, gdy kasjerka spytała, czy dobrze się czuje.

Wjechała na parking i ledwo pamiętając o przestawieniu dźwigni na parkowanie, rozszarpując pospiesznie torby z jedzeniem, jęła połykać gorące frytki, pożerać burgera, wpychać sobie do ust kawałki smażonego kurczaka. Organizm zaprotestował. Jedzenie stanęło jej w gardle. Otworzyła okno i gwałtownie wszystko zwymiotowała. Zaniósła torebki do najbliższego kosza na śmiecie i cisnęła je do środka, a potem podniosła oczy do nieba, ku dawno zgasłym gwiazdom.

miłosierdzie

Jack odzyskiwał siły, potem słabł, potem znowu zbierał siły i znowu słabł – utrzymując się przy życiu nie z dnia na dzień, ale z tygodnia na tydzień, aż nawet Eden zwątpiła w boże miłosierdzie. Czas pędził naprzód, na oczach Mary mętna woda basenu stawała się coraz bardziej przezroczysta, z zielonej zmieniała się w niebieską, ale w dniu kolejnych zabiegów oczyszczających zamiast Jesúsa Garcíi pojawił się inny pracownik. Zmiennik był od niego wyższy, nie zdjął górnej części kombinezonu, a przed wrzuceniem odkażających tabletek nie włożył żółtych rękawic. Mary była przekonana, że nieobecność Jesúsa wiąże się z jego tragicznym wyznaniem, i zrobiło jej się smutno na myśl, że może go więcej nie zobaczyć.

Grupa modlitewna przeniosła swoje spotkania do szpitalnej kaplicy, lecz Mary nie przyjęła zaproszenia Eden, aby się do nich przyłączyć, ponieważ uważała, że Jackowi potrzebne jest skupienie członków grupy, a obecność jej niespokojnie poszukującego umysłu mogłaby je zakłócić.

W miarę jak wschody i zachody słońca znaczyły upływ dni, Mary poddała się rytmowi nowego życia. Wstawała o brzasku i wychodziła po zafoliowany egzemplarz gazety „Los Angeles Times”, zostawiany na końcu wybielonego słońcem podjazdu. Kiedy Eden jeszcze spała albo szykowała się do szpitala, Mary studiowała wypełnione drobnym drukiem szpalty z takim samym skupieniem, z jakim dawniej zgłębiała plotki o sławnych i bogatych.

Jako początkująca czytelniczka porannych gazet, szybko zdała sobie sprawę, że umyka jej wiele politycznych niuansów albo po prostu nie rozumie kraju, w którym gości. Z dużym zainteresowaniem przeczytała artykuł, którego autor, rozważając możliwe reakcje wyborców na religijną przynależność konkurujących ze sobą polityków, zastanawiał się, czyj Bóg odbierze swoim wyznawcom mniej albo więcej głosów. Brakowało jej siedzącego obok Goocha, który pomógłby wypełnić luki w jej wiedzy, prosiła też swego żeńskiego Boga: niech powie im wszystkim do słuchu, by nie mieszała jej do tej swojej polityki.

Po przeczytaniu gazety zabierała się do sprzątania domu i przygotowywania posiłków, których nikt potem nie jadł, a następnie wsiadała do samochodu i jechała spędzić popołudnie z trojaczkami, przywożąc im pudło z przyborami do robót ręcznych: gliną, plasteliną, kolorowym proszkiem. Ku radości Mary chłopcy okazali się zapalonymi artystami, a i ona odkryła na nowo przyjemność tworzenia. Była też wdzięczna losowi za życzliwe towarzystwo ich matki, przyjaciółki w potrzebie.

Codziennie dzwoniła do przybytku św. Jana, żeby sprawdzić, co się dzieje z Irmą. Wieczorami, jeżeli nie pilnowała dzieci – wychodziła z domu na długie spacerunki po Highlands. Co drugi dzień jechała do banku, odnotowując raz za razem zniknięcie z konta kolejnych sum. Czteryście dolarów. Znowu czterysta dolarów. Ostatnia wyprawa wykazała, że z konta wybrano pięć tysięcy dolarów, co wywołało w niej na krótko lawinę domysłów nad znaczeniem tej finansowej operacji. Bilet lotniczy na drugi koniec świata? Spłata karcianego długu?

Jeżdżąc pożyczoną furgonetką po ładnym miasteczku, zauważała coraz więcej nekrologów bliskich osób, namalowanych na tylnych szybach zarówno furgonetek, jak i zwykłych samochodów osobowych. I całe mnóstwo indywidualnych tablic rejestracyjnych. A także nalepek na zderzakach – wszyscy mieli na zderzakach jakieś nalepki. Spodobała jej się jedna z napisem: „Aby zrozumieć, trzeba niekiedy uwierzyć!”. Odnotowała też kilka nalepek głoszących: „Kochaj Amerykę albo z niej wyjeżdżaj!”, i uznała wezwanie za zdecydowanie niepatriotyczne. Rozmyślała o różnicach osobowości Kanadyjczyków i Amerykanów, zadając sobie pytanie, do jakich wniosków na ten temat dochodzi Gooch, bratając się, gdziekolwiek jest,

z Jankesami. Wyobrażała go sobie, jak w lokalnej knajpie prowadzi gorące dyskusje o polityce. Ronni Reeves powiedziała jej jednak, że Amerykanie rzadko rozmawiają o polityce, chyba że nie różnią się poglądami.

Była przekonana, że Gooch znalazł sobie nowych przyjaciół, i ciekawiło ją, czy w swoim kręgu towarzyskim miał także kochankę. Mimo przerażenia, w jakie wprawiała ją myśl, że mogłaby go utracić na zawsze, nie potrafiła mieć mu za złe wymyślonych zdrad. Wiedziała, czym jest samotność. Miała w pamięci swój moment pożądania. Może jednak faktycznie tkwiła jeszcze w fazie wypierania rzeczywistości, bo wyobrażała sobie, że Gooch jest na pewno zbyt zaabsorbowany własnymi myślami, aby mieć głowę do miłostek.

Nie było dnia, aby nie przejechała obok pustego placu u zbiegu ulic, wmawiając sobie, że nie robi tego w nadziei na spotkanie z Jesúsem Garcíą, ale dlatego że woli brać benzynę na stacji przy piaszczystej parceli albo musi wpaść do pobliskiego sklepu spożywczego po coś, co może przydać się Eden. Przechadzała się po centrum handlowym naprzeciwko lokalu firmy konserwującej baseny, mówiąc sobie, że odbywa zwykły spacer dla zdrowia, wcale nie licząc na to, że wpadnie przypadkiem na Jesúsa wychodzącego z lokalu firmy albo krążącego wokół sklepu, z którego ukradł żółte sandały.

Kiedy Eden miała zostać wieczorem w szpitalu dłużej niż zwykle, Mary jechała nad ocean podziwiać gwiazdy. A gdy budziła się rano wcześniej niż zwykle, jechała popatrzeć, jak słońce wstaje nad urwiskami, i podziwiać naturę. Nadal kurczyła się w sobie, i jednocześnie wewnętrznie wzrastała.

W Święto Dziękczynienia, w dniu, w którym miasteczko Golden Hills raczyło się pieczonym indykiem i plackiem z patatów, Jack wydał ostatnie tchnienie, mając przy swoim łóżku dla przewlekłe chorych nie tylko Eden, ale i wszystkie trzy córki. To, że zmarł akurat w Dniu Dziękczynienia, miało dla Eden symboliczne znaczenie. „Naprawdę mam powody do dziękczynienia”, powiedziała. „Za dwadzieścia lat spędzonych z ukochanym mężczyzną. I doczekanie ostatniej łaski – udzielenie Jackowi wybaczenia przez marnotrawne córki. A może odwrotnie?”

Rankiem w dniu pogrzebu Eden wyłoniła się ze swej sypialni ubrana w czerń, sprawiając wrażenie jeszcze bardziej przestraszonej i drobniejszej niż zwykle. Mary zaprowadziła ją do stołu w ogrodzie na filiżankę herbaty. Nie próbowały nawet udawać, że jedzą śniadanie.

– Przyśnił mi się dzisiaj Jimmy – powiedziała Eden.

Mary Gooch śnił się nadal każdej nocy.

– Śniło mi się, że stoimy wokół grobu Jacka i rzucamy ziemię na trumnę, a kiedy podniosłam oczy, zobaczyłam Jimmy’ego. Zapomniałam już, jaki jest przystojny. Ludzie mówią, że kiedy ktoś umrze, zapominamy, jak wyglądał. Że jego rysy zacierają się w naszej pamięci. Że po pewnym czasie nie możemy sobie przypomnieć jego twarzy.

– Ty nigdy nie zapomnisz twarzy Jacka.

– Obudziłam się z uczuciem, że spóźnię się do szpitala. Pewnie trochę potrwa, zanim przywyknę. – Mary pokiwała głową, była o tym przekonana. – Jedna pani wspomniała, że mogłaby mi załatwić miejsce w wiosce dla emerytów w Westland. Podobno są subsydia dla osób w mojej sytuacji. W pewnym momencie powinnam się nad tym zastanowić.

– Tak. – Instykt samozachowawczy teściowej wprawił Mary w podziw.

– Zawsze myślałam, że umrę razem z Jackiem. Ale wciąż żyję.

– Jesteś nadal z nami.

– Bóg ma wobec mnie inne plany. Muszę mu zaufać. – Eden głęboko westchnęła, przypatrując się wielkiej czarnej wronie siedzącej na eukaliptusie po drugiej stronie basenu. – Jack uwielbiał ptaki. Lubił je karmić, gdy przylatywały do ogrodu, ale strasznie paskudziły. Na

zakończeniu pogrzebu wypuścimy białe gołębie. Grupa modlitewna chce w ten sposób uczcić jego pamięć.

Przygotowując poczęstunek na stypę, Mary pomyślała z ulgą, że ma wymówkę, aby nie pójść na pogrzeb, ponieważ już wcześniej obiecała Ronni Reeves zaopiekować się chłopcami. A ponieważ Eden nie nalegała, Mary przyszło do głowy, że pewnie nie mówiła znajomym o zniknięciu syna ani o czekającej na jego powrót synowej, więc jest teraz zadowolona, bo nie będzie musiała niczego wyjaśniać. A może wiedziała, że Mary nie ma odpowiedniego ubrania, i w swoich granatowych spodniach oraz odziedziczonej po Jacku koszulce polo będzie się nieprzyjemnie rzucała w oczy.

Podekscytowane trojaczki powitały Mary w drzwiach głośnymi okrzykami.

– Co będziemy dzisiaj robić?

Ronni nie zawsze wyjeżdżała zaraz po przyjściu Mary. W dniu pogrzebu Jacka Mary ubrała chłopców w ochronne fartuchy i zaproponowała malowanie palcami na świeżym powietrzu. Podczas gdy dzieci zamazywały swoje kartony farbami, Ronni kręciła się przy drzwiach.

– Sprawdzając dzisiaj stan konta?

Mary skinęła głową.

– Znowu wybrał pieniądze – rzekła.

– Zapytałaś, czy możesz sprawdzić, gdzie dokonano wypłaty?

– Nie udzielają takich informacji przez telefon.

– Łajdaki!

– Musiał mieć ważny powód.

– A jeżeli on się ukrywa?

Mary oczywiście brała taką możliwość pod uwagę: zaginął, ale nie został uznany za zmarłego. Ludzie robią różne dziwne rzeczy.

– Zastanawiałaś się, co ze sobą zrobisz? – zapytała Ronni.

Po jej wyjeździe Mary umyła pomazanych farbami chłopców, a ich malunki przypięła w kuchni do korkowej tablicy. Otworzyła lodówkę, ale odrzucił ją zapach resztek świątecznego obiadu. Kiedy im zaproponowała sandwicze z indykiem, zaczęli się wykrzywiać.

– Indyk śmierdzi pierdzeniem – oznajmił Jeremy.

Smarując krążki jabłka orzechowym masłem, wyobraziła sobie wzlatujące nad cmentarzem gołębie.

– Ja lubię pączki – oświadczył Joshua, robiąc niezadowoloną minę.

– Ja też – uśmiechnęła się Mary, myśląc o Oakland. – Ale one mnie nie lubią.

– Dajesz swoim dzieciom pączki? – zainteresował się Jeremy.

– Ja nie mam dzieci.

– Dlaczego? – spytał Jeremy, zlizując orzechowe masło.

– Po prostu nie mam – odparła, czując wyrastającą w gardle gulę.

– A jakbyś miała, to dawałabyś im pączki? – wtrącił się Jacob.

– Może czasami. Ale pączki są niezdrowe. Sam tłuszcz i cukier.

– Ja lubię tłusto i cukier.

– T y może tak. Ale twój organizm nie lubi takiego jedzenia.

– Mój lubi – poprawił ją Joshua. – Czy jak będziesz miała dzieci, pozwolisz im jeść pączki?

Mary uśmiechnęła się, ale wstała od stołu, aby uniknąć dalszej dyskusji o pączkach i dzieciach. W lśniących stalowych drzwiach zamrażarki mignęło jej własne odbicie: zbyt obszerna koszulka polo, coraz luźniejsze granatowe spodnie, przebłyskujące przy skórze siwe

odrostry. Stanąwszy przed kalendarzem na korkowej tablicy, policzyła, ile dni minęło od srebrnej rocznicy ślubu. Pięć tygodni.

Ronni Reeves wróciła później niż zwykle, dźwigała torbę z zakupami, uśmiechała się wesoło. Zaprowadziwszy Mary do salonu, wypakowała z torby ubrania – parę wiązanych w pasie dzinsów, kilka ładnych bluzek, długą czarną spódnicę.

– Będą na ciebie za duże – zauważyła Mary.

Ronni roześmiała się.

– To dla ciebie.

– Dla mnie?

– Byłam w centrum handlowym w Hundred Oaks i pomyślałam, że przyjechałaś niedawno i pewnie nie wiesz, gdzie robić zakupy.

Mary zgarnęła przywiezione rzeczy, sprawdziła metki i przekonała się, że są o trzy numery mniejsze od jej normalnego rozmiaru.

– Ale ja w żadną z tych rzeczy nie wejdem.

– Co ci szkodzi zmierzyć? Jak nie będą pasowały, to odwiozę je do sklepu.

– Ile jestem ci winna?

– Nic mi nie jesteś winna. To ja jestem twoją dłużniczką. Może jestem samolubna, ale mam nadzieję, że nigdy nie wrócisz do Kanady.

Mary roześmiała się, wzięła ubrania i udała się z nimi w zacisze łazienki. Stojąc przed sięgającym podłogi lustrem, zdjęła granatowe spodnie i koszulkę polo. Koszmarny, poszarzały stanik, wyciskający biust i wpijający się pod pachami w ciało. Powyciągana od codziennego prania bielizna. Przyjrzała się uważnie swemu odbiciu. Balon, z którego uchodzi powietrze, poduszka, która traci pierze, w dole brzucha i wokół klatki piersiowej fałdy starzejącej się, obwisłej skóry, którą pozbawiono podkładki. Ciekawe, czym to się skończy.

Ubrania pasowały. Były nawet odrobinę za luźne. Wyobraziła sobie, jak w niebieskich elastycznych dzinsach i nowiutkiej bluzce wchodzi do przybytku św. Jana i zastaje matkę siedzącą pod oknem w wózku inwalidzkim. Gdyby Irma poznawała swoją córkę, tym razem pewnie by jej nie poznała. Ronni ucieszyła się na widok Mary, kiedy ta weszła do salonu.

– Wyglądasz o dziesięć lat młodziej – oświadczyła. – Musisz tylko coś zrobić z tymi siwymi odrostami.

Było już ciemno, kiedy Mary wróciła do Eden i zdziwiła się, widząc, że dom jest pusty i doprowadzony do porządku. Wszystko było jak dawniej. Nic nie było jak dawniej. Obeszła dom, zaglądając do kolejnych pokoi, aby na koniec odnaleźć Eden w ogrodzie, wpatrzoną w eukaliptusowe drzewo, zupełnie tak samo, jak rano przed pogrzebem.

Dostrzegłszy Mary kątem oka, przyłożyła palec do ust, po czym wskazała na drzewo. Upłynęła chwila, nim Mary wypatrzyła szarą sowę, przycupniętą wśród liści na gałęzi pod czubkiem drzewa.

– To sowa uszata – szepnęła Eden. – Nazywają ją sową skrzeczącą. Ale one tak naprawdę wcale nie skrzeczą. Wydają dźwięk podobny do płaczu niemowlęcia. – Sowa obraziła się i odleciała. – To dzięki nim w okolicy nie ma zabłąkanych kotów. No i dzięki kojotom. Ale małych psów też nie można zostawiać samych na dworze.

Mary podeszła do basenu, zrzuciła jeden but i zanurzyła duży palec w czystej, chłodnej wodzie.

– Lepiej wyglądasz – stwierdziła Eden, wskazując gestem nowe ubranie Mary. – Miałas zawsze taką ładną twarz. Tak sobie pomyślałam na waszym weselu. Byłaś śliczną panną młodą.

– Straciłam dziecko – rzekła Mary, otrząsając stopę z wody.

Eden odparła dopiero po chwili:

– Wiem.

Mary podniosła wzrok.

– W noc przed ślubem straciłam dziecko. Poroziłam poprzedniej nocy.

– Wiem.

Mary zaniemówiła.

– Kiedy pojechaliśmy z Jackiem odwiedzić cię w szpitalu w London, lekarz wszystko nam powiedział, nie owijając w bawełnę.

– Powiedział wam?

– Myślał, że jestem twoją matką. Chciał wiedzieć, czy poprzedniego wieczoru nie miałaś bólów brzucha, i powiedział, że mogłaś poronić... to znaczy... sugerował, że mogłaś nie zdawać sobie z tego sprawy, ale najprawdopodobniej straciłaś dziecko poprzedniej nocy.

– Tak było.

– Już wtedy czułam, że wiedziałaś.

– Powiedziałaś o tym Goochowi?

– Oczywiście. – Mary zatoczyła się, słysząc jej wyznanie. Ukryła twarz w gwiazdach. – Powiedział, że to nie ma znaczenia.

– Tak powiedział?

– Powiedział, że cię kocha. I że zna cię lepiej niż ktokolwiek inny.

Jej sekret nie był żadną tajemnicą. Gooch wiedział od początku.

– Kiedy straciłaś drugie dziecko, uznałam to za błogosławieństwo. Tak uważałam. Byłam przekonana, że wasze małżeństwo i tak się rozpadnie. Rozstanie byłoby trudniejsze, gdybyście mieli dzieci. Może nie miałam racji.

Mary skinęła głową, odwracając się od niej.

– Jedna pani z parafii zaprosiła mnie do domu wypoczynkowego w Santa Barbara.

– To dobrze.

– Wyjeżdżam za kilka dni. Na jakieś dwa tygodnie. Mam nadzieję, Mary, że zostaniesz u mnie. Nie wyobrażam sobie powrotu do pustego domu. Przecież chcesz być na miejscu, kiedy Jimmy zadzwoni. Chyba nadal... Chyba nie zmieniłaś zdania? A może zastanawiasz się, czy nie wrócić do Kanady?

Mary pokręciła głową. Leaford zatarło się w jej pamięci.

Eden wyciągnęła rękę ku pobłyskującej w świetle gwiazd tafli wody.

– Zamówiłaś czyszczenie basenu.

– Nie martw się kosztami.

– Zauważyłam dziś rano, że za domem kręci się jakiś człowiek. Gdybym miała kostium, weszłabym teraz do wody.

– Jest zimna.

– Lubię, jak jest zimna. Orzeźwia.

– No to popływajmy – nieoczekiwanie zaproponowała Mary.

– Przecież powiedziałam, że nie mam kostiumu.

– Ja też. – Mary wskazała ręką drzewa i wysoki parkan z cedrowych desek. – Nikt nas nie zobaczy.

– Mamy pływać na golasa? Nie robiłam tego od czterdziestu lat. – Eden rozejrzała się wokoło.

Stały każda osobno, zdejmując z siebie ubrania, a potem, gdy prowadziły swoje kruche ciała na skraj basenu, starannie omijały się wzrokiem. Eden z trudem złapała oddech, gdy jej pokręcone stopy dotknęły zimnej wody, po czym weszła z piskiem do basenu. Naga Mary zeszła ostrożnie po drabince i z głośnym pluskiem zanurzyła się w wodzie na głębokim końcu basenu.

Wynurzyła się z krzykiem dla zaczerpnięcia powietrza i obie kobiety roześmiały się jak nastolatki.

– Lodowata! – zauważyła Mary.

– Ale przyjemna. – Eden położyła się na wodzie.

– O tak.

Ich lekkie, nieważkie ciała nie były już formą wypełnioną mięsem i krwią, lecz ładunkami czy impulsami, uwalniającymi z siebie błyskawice lęku i żalu. Pływały w milczeniu, wdzięczne za swoje towarzystwo, za magię rozgwieżdżonego nieba, za orzeźwiającą wodę basenu i za każdy oddech, który przypominał: Ot, życie.

głuche telefony

Rankami pływanie, wieczorami spacerować – Mary śledziła szybkie zmiany zachodzące w jej ciele, witając mięśnie, które nieśmiało zaczęły się wylaniać spod oklapniętych poduszek tkanki tłuszczowej. Zdawała sobie sprawę, że ubytki na wadze to nic innego, jak widomy znak zarówno tego, co utraciła, jak i tego, co zyskała. Jej apetyt – podobnie jak Gooch – nadal trzymał się z daleka.

Gooch nie przestawał podejmować pieniędzy z konta. Znowu ubyło czterysta dolarów. I kolejne czterysta. Pewnego dnia, kiedy stała przed bankomatem w prażącym słońcu, przyszło jej nagle do głowy, czy przypadkiem za tym podejmowaniem pieniędzy nie kryje się podstęp. Może Gooch wrócił do Leaford i wybierając pieniądze, chce ją zmusić do powrotu do domu, jakby to nie on, tylko ona ukrywała się nie wiadomo gdzie. Mało prawdopodobne. Równie mało prawdopodobne, jak to, że wyjechał z Kalifornii, nie zadzwoniwszy przedtem do Eden.

Mary czytała powieści, aż ćmiło jej się w oczach, a co jakiś czas zmuszała się do przełknięcia kawałka jabłka albo grzanki. Coraz bardziej wspomagała Ronni Reeves, robiąc wypadki do sklepu spożywczego i zapelniając zamrażarkę owocami i jarzynami, aby odzwycząić chłopców od fast foodów i gotowego jedzenia. Wprowadziła nawet w tym celu do programu ręcznych robót lekcje przygotowywania przyjeń, podczas których malcy wymyślali własne pasty do zamaczania krojonych w słupki marchewek i selerów naciowych albo uczyli się robić bułeczki z rozgniecionych bananów i soku jabłkowego.

„Moi chłopcy”, mówiła o trojaczkach, które na powitanie rzucały jej się w ramiona, a przy pożegnaniu czepiały się jej nóg. Ich ojciec nie pojawił się od tamtego dnia, kiedy próbował wykraść dzieci i zabrać je na lody, za to zawiadomił Ronni, że przenosi się ze swoją nową przyjaciółką na Florydę. Ronni wypłakała się na ramieniu Mary, ponieważ spelzły na niczym jej wcześniejsze nadzieje na pojednanie z mężem. Głaszcząc przyjaciółkę po ramieniu, Mary już miała powiedzieć, że wyjdzie jej to na dobre, ale ugryzła się w język.

Wkrótce po Święcie Dziękczynienia w całej okolicy pojawiły się bożonarodzeniowe dekoracje świetlne i Willow Highlands zajaśniało niczym znane Mary z telewizji ulice Las Vegas. Po grubych pniach palm pięły się w górę migotliwe czarodziejskie światełka. Wielokolorowe stożkowate lampiony oplatały korony wiecznie zielonych krzewów. Z bezlistnych parkanów i okapów domów zwieszały się udające sople lodu świetlne dekoracje. Potężne, nadmuchiwane elektronami figury Świętych Mikołajów z reniferami zasłaniały okna od frontu. Na dachach czuwały iskrzące się światłami anioły. Na zielonych, świeżo przyszyżonych trawnikach pojawiły się ogromne, plastikowe bałwany. Do Bożego Narodzenia brakowało tylko paru tygodni.

– Nie może się ukrywać bez końca – powiedziała Eden rankiem przed swoim wyjazdem do Santa Barbara, zaciągając suwak walizki. – Na Boże Narodzenie na pewno wróci. Wiesz, jak Jimmy uwielbia święta.

Mary pokiwała głową i pomachała z ganku odjeżdżającej teściowej, odpowiadając jej zarazem w duchu: „Owszem, może ukrywać się bez końca” i dziwić się, jak rozpaczliwie mało jej teściowa wie o swoim jedynym synu. Gooch nienawidził Świąt Bożego Narodzenia.

W tej sprawie ona i Gooch czuli podobnie. On uważał Święta Bożego Narodzenia za czysto komercyjne przedsięwzięcie, jej najbardziej dokuczały kulinarne pokusy i wymuszona wesołość. Świąteczne popołudnia spędzali przez wiele lat u Pete’a i Wendy albo u Kim i François, patrząc, jak ich rozwodrzone dzieci, które swą nachalnością przypominały dokuczliwych pijaków, żłopią gazowaną wodę i pochłaniają słodkie wypieki. Na kolację jechali

do Domu Opieki Św. Jana, żeby Orinowi i Irmie dotrzymać towarzystwa przy spożywaniu przygotowanego zawczasu przez kucharkę koszmarnego indyka z kleistymi kartoflami. A kiedy wieczorem znajdowali się sami w domu, rozpakowywali prezenty, które każde samo sobie wybrało i zamówiło u drugiej strony. Gooch dostawał zwykle pochodzące z księgarni w Ridgetown bestsellery w twardych okładkach. Mary prosiła o perfumy i balsam do rąk, ponieważ nic innego nie przychodziło jej do głowy.

W drugim tygodniu samotnego pobytu w domu Eden Mary obudziła się, czując znajomy ból między oczami. Pomyślała o znajdujących się w granatowej torbie pastylkach przeciwbólowych, ale nie wstała po nie. Spłoszona jakimś ruchem w ogrodzie za domem, przypomniała sobie, że tego dnia przypada cotygodniowa wizyta czyściciela basenu. Przez chwilę obserwowała mężczyznę, który długimi grabiami zbierał liście z powierzchni basenu. Jesús García.

Nie uległa pokusie, by natychmiast wybiec do ogrodu, tylko chwyciła leżące przy łóżku nowe dzinsy i bluzkę i dała nura do holu, gdzie mogła się ubrać, nie będąc widzianą. Przeczesała włosy i właśnie kończyła myć zęby, kiedy zadzwieczał dzwonek.

– Hej-su! – powiedziała, otwierając drzwi.

Wydawał się zdziwiony jej obecnością.

– Hej, Mary – rzekł, podając jej rachunek.

– Proszę, wejdź, a ja poszukam torby.

Jesús García wszedł do domu, czekając na Mary, która oddaliła się do salonu.

– Napijesz się wody? – zapytała.

– Nie, dziękuję.

– Może jesteś głodny? Zamrażarka jest zapchana resztkami z pogrzebu.

– Jakiego pogrzebu?

– Zmarł mój teść. Od dawna chorował.

– Współczuję.

– Myślałam, że rzuciłeś pracę – powiedziała, pokrywając śmiechem swoje zmieszanie faktem, że zauważyła jego nieobecność.

– Zmienili mi przydział robót. Ale wrócili do dawnego.

– Mogłabym odmrozić bułeczkę. Albo kawałek ciasta. – Na myśl o jedzeniu ścisnął jej się żołądek. Od ostatniej próby na parkingu prawie nie brała do ust niczego solidniejszego.

– Dziękuję Mary, ale nie – odparł miłym tonem, szykując się do odejścia.

– Nie miej sobie za złe tego, że mi powiedziałaś – poprosiła. – O tym, co się zdarzyło twojej rodzinie.

Jesús odchrząknął.

– Nigdy o tym nie mówię.

– Wiem. Ale nie miej sobie za złe, że mi powiedziałaś. – Lekko skinął głową. – Kiedy przestałeś przychodzić czyścić basen, zaczęłam myśleć, że może...

– Sądziłem, że wróciłaś do Kanady.

– Wciąż nie mam wieści od męża. – Mężczyzna popatrzył w bok. – Miałaś rację co do oceanu, Hej-su.

– Pojechałaś nad ocean?

– Nie ma lepszego miejsca do podziwiania gwiazd.

– Od lat nie byłem nad oceanem.

– Widziałam, jak kradłeś buty – wypaliła ni stąd, ni zowąd. – Z centrum handlowego.

Żółte sandały.

Przestąpił w swych roboczych butach z nogi na nogę.

– Ernesto był kiedyś ogrodnikiem u właściciela tego sklepu.

– Aha.

– Właściciel nie zapłacił mu za miesiąc roboty.

– Aha.

– Jeszcze jedna para i będziemy kwita.

Mary zastanowiło takie wzajemne okradanie się ludzi. Racjonalne. Bezkarne.

– Jak się ma Ernesto?

– Dobrze. Ale nie wrócił jeszcze do pracy. A co u ciebie, Mary? Nie musisz wracać do pracy?

Mary zaprzeczyła ruchem głowy.

– Mam pieniądze po Goochu. Słyszałeś, co powiedziałam? Jakby on już nie żył. –

Rozmowę przerwało im pojawienie się na podjeździe starego chevroleta, z którego wysiadł kościsty staruszek z przykrytym folią aluminiową talerzem w ręce. Jedzenie – tylko tego jej brakowało.

– Witaj Berton – powiedziała, biorąc od niego talerz.

Staruszek przyjrzał się Jesúsowi Garcíi, ale zauważywszy emblemat firmy, uznał, że nie stanowi zagrożenia.

Jesús uśmiechnął się do Mary.

– Do zobaczenia za tydzień – powiedział.

Patrząc, jak sady wielkimi krokami do swej furgonetki, ledwo usłyszała pytanie Bertona:

– Wiem, że Eden wyjechała do Santa Barbara, ale może ty, Mary, przyłączysz się do nas dzisiaj po południu w domu Shawna?

Kręcąc głową na znak, że „nie”, i wyjaśniając, że jest zajęta pilnowaniem dzieci, poczuła ostry atak bólu między oczami. Gdy tylko chevrolet odjechał, zrzuciła ubranie i wyszła do ogrodu popływać na golasa w czystym basenie.

Późnym popołudniem, gdy skończyła czytać małym Reevesom, bawić się z nimi w „łapki” i zbierać ścinki papieru, by na koniec zostać czule uściskana przez najbardziej dotąd powściągliwego Jeremy’ego, Mary wymówiła się od zaproponowanej przez Ronni herbaty na patio. Ból między oczami był tak silny, że zamiast ruszyć nad ocean oglądać zachód słońca, pojechała prosto do domu Eden.

Przekraczając próg, usłyszała dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę, w której rozległy się trzaski.

– Halo? – Nikt nie odpowiedział. Jeszcze jeden głuchy telefon. Już przestała się zastanawiać, czy to Gooch próbuje się dodzwonić.

Nogi zawiodły ją do kuchni, nie zdobyła się jednak na otwarcie lodówki. Dobrze wiedziała, że nie znajdzie w niej niczego pociągającego, a duża część zawartości wyda jej się wręcz odpychająca. Usiadła przy stole, obiecując kuchennym półkom: „Zjem coś jutro rano”. Mówiąc to, wiedziała, że znowu oszukuje swoje stare znajome Jutro. Jutro, któremu przyrzekała powściągliwość. Jutrzejszy dzień, w którym zaczniesz szukać zbawienia. Gdyby nie była taka zmęczona, przesiadłaby w kuchni do rana, błagając o jeszcze jedną, ostatnią szansę.

swoiste wyzwolenie

Nazajutrz rano Mary zajmowała się domem, dopóki nie nadeszła godzina, o której miała się zjawić u Reevesów i zająć dziećmi. W drzwiach pochyliła się, by uściskać chłopców, i dobrodusznym uśmiechem skwitowała połajanki Ronni z powodu „tych okropnych siwych odrostów”. Ronni zaproponowała wypad do fryzjera i zmianę koloru, lecz Mary nie miała na to ochoty. Jeżeli nawet rudość żółkła od chemikaliów w basenie, to nie powód, żeby ze względu na włosy rezygnować z pływania. Uległa jednak naleganiom przyjaciółki, gdy ta zaproponowała jej zrobienie pełnego makijażu.

Chłopcy z otwartymi ustami obserwowali w milczeniu dokonującą się w ogromnej małżeńskiej sypialni transformację swojej opiekunki. A kiedy matka skończyła kłaść róż na policzki, przyciemniać brwi, cieniować powieki i malować usta Mary, Jeremy oświadczył, że jest piękna, Joshua uznał, że wygląda jak kłown, a Jacob powiedział tylko: „Nie podoba mi się to pokolorowanie”. Mary też się nie podobało.

W otwartej szufladzie, w której Ronni czegoś szukała, Mary dostrzegła fryzjerskie nożyczki.

– Wiesz co, Ronni, obetnij mi włosy – rzuciła nagle.

– O nie!

– Tak. Proszę. Po prostu obetnij. Obetnij wszystko aż do siwych odrostów.

– Tak! – zawołał Joshua. – Siwe są ładne.

– Och, Mare – zaprotestowała Ronni. – Będiesz wyglądała jak, no wiesz...

– Jak?

– Jak lesba.

– To mi nie przeszkadza. Mogę wyglądać jak lesba. – Pomyślała o pani Bolt. – Obrzydły mi odrosty. Obrzydły mi czerwone włosy. – Zamknęła oczy. – Zetnij je. Proszę.

Chłopcy zaklaskali w dłonie, kiedy ich matka wzięła do ręki pasmo włosów nad karkiem Mary i przyłożyła nożyczki.

– Do samych odrostów – przypomniała Mary, nie podnosząc powiek.

Ronni nabrała powietrza w płuca i ciachnęła nożyczkami niemal przy skórze, odcinając garść zniszczonych od pływania w basenie włosów. Było już za późno, by pytać Mary, czy na pewno tego chce.

Trojaczki zbierały spadające na podłogę włosy, aby – za radą Mary – zachować je do przyszłych robótek ręcznych. Mary nigdy nie uważała swoich włosów za ozdobę. Jeżeli tak długo nosiła długie, to wyłącznie z inercji, dlatego pozbycie się ich odczuwała jako swoiste wyzwolenie. Na koniec, kiedy opadły ostatnie kosmyki i poczuła chłód powietrza na skórze, Mary otworzyła oczy.

– No, po wszystkim – westchnęła Ronni.

Mary ujrzała w lustrze grubą kobietę o kształtnej czaszce w cienkiej czapeczce gęstych, miękkich, srebrzystych włosów, otaczających ładną twarz o wyrazistych, zielonych oczach, pełnych, karminowych ustach i podbródki z głębokim dołkiem.

– No tak – powiedziała. – To jestem ja.

Nawet Ronni musiała przyznać, że pasuje jej króciutka fryzura.

– Wyglądasz szykownie.

– Rzeczywiście – przyznała Mary.

Dla uzupełnienia jej nowego wizerunku Ronni wyszukała w swoich zasobach biżuterii Lydii Lee srebrne kolczyki w formie wielkich kół oraz naszyjnik opasujący szyję na kształt

obroży. Chłopcy, którzy nie wiedzieli, co znaczy „lesba” ani co znaczy słowo „szykownie”, rozśmieszyli obie kobiety, oświadczając jednomyślnie, że Mary wygląda jak obwieszony biżuterią mężczyzna. Ach, te dzieci, jak któreś coś powie! Kiedy Mary oznajmiła, że w podzięce za strzyżenie zaprasza wszystkich na kolację, Ronni stanowczo zaprotestowała.

– Już i tak dosyć dla nas zrobiłaś. Dzisiaj ja ugotuję kolację.

Widząc, że Mary dziobie widelcem w sałacie i ledwo skubie pieczonego kurczaka, lekko zmarszczyła brwi.

– Nie smakuje ci? – zapytała.

– Smakuje – odparła Mary. – Mówiłam ci, nie pamiętasz? Kompletnie straciłam apetyt.

– Myślałam, że tylko tak mówisz, bo nie lubisz jeść przy świadkach. Spójrz na mnie.

Odkąd Tom się wyprowadził, przybyło mi dziewięć i pół funta – wyznała Ronni. – To te kartoflane chipsy, pojemniki lodów i najnudniejsze seriale.

Mary skinęła głową, myśląc o swoich dawnych przyjaciółach.

– Gooch znowu wyjął z konta czterysta dolarów.

Ronni pokręciła głową.

– Ile zostało?

– Piętnaście tysięcy i coś tam.

– Mogłabyś podać go do sądu.

– Nie mogę podać Goocha do sądu.

– Kontaktowałaś się ostatnio z dawnymi przyjaciółmi?

– Obiecali, że zadzwonią.

– Masz do nich zaufanie? – Mary wzruszyła ramionami. – Wciąż myślisz, że wróci?

– Sama nie wiem.

– Założę się, że jest w Vegas. Założę się, że od początku siedzi w Vegas.

– Przestałam zgadywać.

– Wybierz wszystko – rzekła nagle Ronni. – Wybierz wszystkie pieniądze i zostaw go z niczym.

– A jeżeli będą mu potrzebne?

– Pieprz go – mruknęła Ronni pod nosem, żeby dzieci nie usłyszały.

– Nie mogę go zostawić własnemu losowi.

– Tak jak on cię zostawił? – kąśliwie zauważyła Ronni.

Nieco później, kiedy dwie kobiety skończyły czytać na zmianę sennym chłopcom, Mary ucałowała ich na dobranoc i przyjęła zaproszenie Ronni na kieliszek wina na patio. Ale ponieważ nawet w szczytowym okresie swojej tuszy była marnym pijakiem, więc działanie alkoholu poczuła już po paru łykach. Z głębokim westchnieniem popatrzyła na gwiazdy i rzekła w zadumie:

– Dwa miesiące temu pracowałam w drogerii w Leaford w Ontario i zastanawiałam się nad kupnem nowych butów na zimę.

– A ja i Tom planowaliśmy wakacje w Arubie. Na które on ani przez chwilę się nie wybierał.

Mary pomyślała o wycieczce na Karaiby, na którą Gooch nie pojechał z jej winy.

– Ach, Ronni, jesteś taka... piękna. Na pewno kogoś spotkasz.

Ronni zaśmiała się i dołała sobie wina.

– Mam trzech trzyletnich synków, Mary. U nas to się nazywa obciążenie. Nie warto się wysilać, wolę już randki z wibratorem.

Podniecona alkoholem Mary zachichotała:

– Wiesz, Gooch...

– No, co?
– Ma dużego członka.
Ronni Reeves odrzuciła głowę do tyłu.
– Oj, Mary Gooch!
– Bardzo dużego.
– Skąd wiesz? Mówiłaś, że nie miałaś innych kochanków.
– Ale umiałam patrzeć – zapewniła ją Mary. – A poza tym przez jakiś czas mieliśmy kablówkę.
– Ale z ciebie mały świntuszek!
Nikt nigdy nie nazwał Mary świntuszką, a do tego małym. Wypiła łyk wina.
– Nie kochałam się od sześciu lat.
Ronni przestała się śmiać.
– Dlaczego?
Mary spochmurniała.
– Moje ciało... ja...
– Ja nie wyobrażam sobie życia bez seksu. Słowo daję. To znaczy, nie po to, żeby się z kimś związać, po prostu dla zachowania formy.
– Nigdy nie myślałam o seksie w ten sposób.
– Wyobrażasz sobie siebie z innym mężczyzną?
– Nie – odparła Mary. – Tylko z Goochem. Nigdy nie myślałam o nikim innym.

dreptanie w miejscu

Stan konta, którego Mary nie przestawała codziennie sprawdzać, był jedynym ogniwem łączącym ją z Goochem. Regularnie podejmowała studolarowe sumy, wyłącznie dla zachowania kontaktu. Pewnego popołudnia, kiedy Ronni miała zabrać chłopców na spotkanie z ojcem, który wpadł do miasta w pilnej sprawie służbowej, Mary wybrała się do centrum handlowego w Hundred Oaks, aby kupić gwiazdkowe prezenty dla trojaczków. Ona i Ronni postanowiły nie wymieniać się świątecznymi podarkami. Wystarczy im wzajemna przyjaźń.

W sklepie z zabawkami zakupiła planszowe gry dla przedszkolaków, zestawy do kolorowania i książeczki dla dzieci, omijając z daleka stoisko z plastikowymi pistoletami, które na pewno bardzo by się chłopcom spodobały. Ach, ci chłopcy i ich zabawy bronią! Pete i Wendy usiłowali wychować swoich dwóch synków w reżimie wykluczającym wszelką broń, ale musieli się w końcu poddać, gdy się okazało, że w usmolonych rączkach chłopców szczotki do zamiatania zamieniają się w strzelby, packi na muchy odgrywiają rolę mieczy, a najstarszy synek uparcie ugniata swoje kanapki w kształt pistoletów. Mary wiedziała o niechlubnych związkach Amerykanów z bronią palną, ale nie rozumiała sensu tej tradycji, gdyż obce jej było samo pojęcie prawa do noszenia broni. Ronni przyznała się do posiadania rewolweru, ukrytego w garderobie w pudełku po butach, ale Mary pamiętała z przeczytanego kiedyś na ten temat artykułu, że według danych statystycznych jej przyjaciółka prędzej użyje broni przeciwko niewiernemu mężowi niż w obronie przed włamywaczem.

Taszcząc torbę z zakupami przez centrum handlowe, zwróciła uwagę na eksponowane w sklepie dla puszystych apetycznie zaokrąglone manekiny. Powinna odnowić swoją garderobę, ponieważ nawet подарowane jej niedawno przez Ronni džinsy z regulowaną gumką w pasie zrobiły się na nią za luźne. Wobec ogólnego zastoju w handlu sprzedawczyni z zachwytem powitały wkraczającą do ich sklepu Mary Gooch.

Stojąc w wielkiej przymierzalni przed wyszczuplającym, trzyczęściowym lustrem, zezłościła się na siebie, nie rozumiejąc, dlaczego nie protestowała, kiedy ekspedientki pokazywały jej kolejne odświeżone suknie. Zmierzywszy kilka sportowych kompletów spodni z bluzką, wślizgnęła się z pewnym ociąganiem w powłóczystą czarną suknię z miękkiego dżerseju, na którą bardzo ją namawiała jedna ze sklepowych. Przyjrzała się uważnie swemu odbiciu. Krótko ostrzyżone, siwe włosy. Biżuteria od Lydii Lee. Jej obfite kształty otulone miłośnie czarną, zmysłową tkaniną.

- Mogłaby pani być modelką – oświadczyła któraś z ekspedientek.
- Ta suknia jest jakby specjalnie zrobiona dla pani – zachwyciła się druga.
- Ja właściwie przyszedłam tylko po stanik i majtki – broniła się Mary.

Trzecia sklepowa skoczyła do działu z bielizną, skąd wróciła z imponującym naręczem koronkowych biustonoszy i majteczek. Przymierzając bieliznę, Mary nie wierzyła własnym oczom, w końcu jednak nie mogła zaprzeczyć, że wygląda, i czuje się, bardzo seksownie.

Z rumieńcami na twarzy rzuciła ubrania i bieliznę na kontuar.

– Wezmę to wszystko. – Po wyjściu ze sklepu ruszyła przez centrum handlowe obciążona zakupami, zmagając się z poczuciem winy; nie wiedząc, jak pogodzić przekonanie, że nie zasłużyła na tak piękne stroje, z radością posiadania ich na własność. Odezwał się ból trzeciego oka. Zatrzymała się, postawiła torby na podłodze koło szemrzącej fontanny i usiadła na ławce, czując zawrót głowy. „Musisz coś zjeść!” – upomniała samą siebie, ale na myśl o gryzieniu czegokolwiek zrobiło jej się niedobrze, a tkwiąca w gardle gula nie pozwalała przełknąć nawet śliny.

Jakiś czas temu w kuchennych zasobach Eden znalazła blender i spróbowała wypić jogurt zmiksowany z owocami, ale miała trudności z utrzymaniem napoju w żołądku. Ostatnio udawało jej się jedynie wypić w ciągu dnia parę łyków soku pomarańczowego. Nawet Ronni zauważyła u Mary wyraźny spadek energii.

Wracając wielkim dodgem do domu tą samą drogą, którą niedawno jechała z Jesúsem, pozwoliła, aby jej wzrok powędrował ku gwiazdom. Zastanawiała się, na czym polegają urok i siła tego mężczyzny. „Do zobaczenia za tydzień”, powiedział. Może będzie miał więcej czasu, zostanie, aby napić się wody, i opowie jej więcej o trzecim oku. Zaraz jednak przypomniała sobie, że wystarczy tęsknić za jednym mężczyzną, ale nie była pewna, czy ma nim być Jimmy Gooch, czy też Jesús García.

Nieco później, gdy pływała nago w basenie, zatrzymała się na płytszym końcu, czując znajome łopotanie serca. Nie teraz, błagała. Jeszcze nie. Nie teraz, kiedy czuje, że jest tak blisko. Nie była pewna, blisko czego, wyczuła jednak zbliżanie się kolejnej zmiany, tak jak wyczuwa się w powietrzu zapach nadchodzącej burzy. Może przyniesie ją Gooch. Przyrzekła sobie, że spróbuje wypić owocowy napój. Musi być silna, na wypadek gdyby się zjawił.

Owocowy napój przypominał jej o tym, co się wydarzyło pewnego wieczoru w pierwszym dziesięcioleciu ich małżeństwa. Mary przez tydzień leżała w łóżku złożona wirusową gripą, którą zaraziła się w drogerii. Gooch zwolnił się z pracy, kiedy zobaczył, że Mary nie jest w stanie dowlec się o własnych siłach do łazienki. Troszczył się o nią jak matka, przynosił na tacy parujące zupy oraz gęste, grudkowate napoje owocowe, sporządzane za pomocą tłuczka do kartofli i trzepaczki do jaj. Pod koniec rekonwalescencji Mary odzyskała apetyt i posłyszała syreni śpiew lodówki. Sądziła, że Gooch wyszedł, ponieważ w domu panowała głucha cisza, toteż była zaskoczona, widząc go siedzącego przy kuchennym stole i bazgrzącego coś w zeszycie z nieobecny wyrazem twarzy. Popatrzył na nią speszony. Złapany na gorącym uczynku.

– O, wstałaś – powiedział bez sensu.

– Co to jest? Co piszesz?

– Nic takiego – odparł, zamykając zeszyt.

– Co to jest?

– N i c, już ci powiedziałem.

– Skoro nic, to mi pokaż.

– To osobista sprawa.

– Osobista?

– Nic takiego. Opowiadanie.

– Opowiadanie?

– Piszę opowiadanie – wyjaśnił niechętnie. – Takie tam głupstwo... „Leaford Mirror” ogłosiło konkurs na opowiadanie, no i... takie tam głupstwo.

Mary starała się nie okazać zdziwienia.

– Daj mi przeczytać.

Spodziewała się odmowy, a tymczasem Gooch podał jej zeszyt z nieznanym u niego wyrazem niepewności w oczach.

– To tylko pierwszy szkic. Niezbyt dobry – mruknął.

Powróciwszy do sypialni z zeszytem i puszką fistaszków, ułożyła się na łóżku, czując zimny strach na przemian z falami gorączki. Nie bała się tego, że opowiadanie okaże się okropne i będzie zmuszona kłamać. Bała się, że okaże się dobre, a ona będzie musiała przyznać, nie tylko przed Goochem, ale i przed samą sobą, że jej mąż minął się z powołaniem, i to wyłącznie z jej winy. Albo jeszcze gorzej – okaże się tak dobre, że wyśle je do gazety i wygra konkurs, i wtedy

zda sobie sprawę, że los, jaki sobie wybrał, nie był mu przeznaczony, i porzuci ją, aby rozpocząć zaczarowane życie słynnego pisarza.

Opowiadanie wciągnęło ją od pierwszej linijki. Była to historia rozwżącego sprzęty domowe kierowcy, który zakochuje się w młodej wdowie, gdy tymczasem jego żona gaśnie w oczach, dotknięta chorobą, podejrzanie przypominającą nieokreślone zniechęcenie do życia. Bohater dostarczył wdowie wybrakowany piekarnik i teraz odwiedza ją pod byle pretekstem, by dowiedzieć się, jak działa, zjadając kolejne brytfanny spalonych wypieków, gdy tymczasem jego żona usycha samotnie w swoim łóżku. Język opowiadania był dobitny, ale oszczędny, pełen cierpkiego humoru. Mężczyzna ostatecznie nie decyduje się na skonsumowanie nowego związku, lecz wraca do żony, powodowany poczuciem lojalności i obowiązku. Mary doczytała opowiadanie do końca, dusząc się z oburzenia, ale nie zawołała Goocha do sypialni.

Minęła godzina. Usłyszała pstryknięcie włączanego w salonie telewizora. Czekala, kipiąc ze złości, przekonana, że Gooch napisał opowiadanie o sobie, i na pewno się do tego przyzna. Wreszcie głód wypędził ją z łóżka. Słyszac dobiegajace z korytarza ciężkie stapanie żony, Gooch wyłączył telewizor. Stanawszy w drzwiach kuchni, przyłapał Mary na grzebaniu w lodówce w poszukiwaniu sera i salami.

– No i co? – zapytał.

Mary żuła chwilę w zamyśleniu, po czym westchnęła.

– Nie rozumiem tego – oświadczyła, siadając ciężko przy kuchennym stole.

– To tylko pierwszy szkic – przypomniał jej Gooch.

– Ale jego żona jest umierająca! – powiedziała, dramatycznym gestem rozkładając ręce.

– O to właśnie chodzi.

– O to chodzi! – fuknęła. – Jak mógł to robić, wiedząc, że jego żona umiera?

– To nie jest o tobie, Mare – odparł z naciskiem.

– Wiem. – Zrobiła pauzę. – Ale ty rozwozisz meble i domowy sprzęt. Ludzie pomyślą, że piszesz o sobie.

– To jest świat, który znam. Nic więcej. Opowiadanie nie jest o tobie. Ani o nas.

– Hm, bohater nie jest zbyt sympatyczny – mruknęła, choć podczas lektury mimo woli czuła sympatię do zakochanego mężczyzny i samotnej wdowy. – Mógłby rozwozić coś innego niż meble.

– Pewnie tak.

– Nie musi być żonaty.

– Bez tego nie byłoby konfliktu.

– No tak.

– A samo pisanie?

Mary potrząsnęła głową.

– Niektóre słowa są trochę... – przewróciła oczami.

Gooch wyjął zeszyt z jej zatłuszczonych palców.

– No nic. Nieważne.

– Och, Gooch – zaprotestowała. – Chciałam tylko powiedzieć, że jeżeli używasz słów, które ludzie muszą sprawdzać w słowniku, to czują się, jakby byli ciemniakami.

Skinawszy głową, poszedł do salonu, aby posiedzieć w spokoju. Mary po skończeniu posiłku wróciła do łóżka. Kiedy materac Goocha ugiął się pod jego ciężarem, udała, że śpi, zastanawiając się, jak to możliwe, aby pisarz, nawet największy, potrafił tak wiernie oddać istotę nieznaney mu z własnego doświadczenia tęsknoty.

Mary uznała, że Gooch nie wysłał swego opowiadania na konkurs. Inaczej na pewno by wygrał.

Wyszła z basenu i chwilę odpoczywała, naga, pod gęstą zasłoną nocy. Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Włożywszy na siebie znaleziony w garderobie stary szlafrok Jacka, poszła przez hol do wyjścia, i po raz pierwszy nie marzyła o spotkaniu ze swoim zbłąkanym mężem. Nawet gdyby jej trzecie oko wyczarowało Goocha, to i tak by mu nie wierzyła – była zbyt zmęczona na to, by się łudzić.

Na ganku stali koledzy – dziesięcioro dzieci przebranych za bohaterów z książek Dickensa, pod wodzą przedstawicielki parafialnego komitetu, która wyjaśniła Mary, że zbierają pieniądze na ratowanie zagrożonej bankructwem szkoły we wschodnim Los Angeles. Mary stała w drzwiach mokra i zziębnięta. Zamiast dziecięcych głosów słyszała tylko rozchodzący się w nocnym powietrzu zbiorowy szmer. Kiedy dzieci skończyły śpiewać, wyjęła z torebki kilka studolarowych banknotów, które wręczyła nieposiadającej się ze zdumienia i wdzięczności opiekunce.

Kanapa w salonie wzywała do odpoczynku, ale wtrąciła się lodówka, przypominając, że powinna coś zjeść. Poczłapała do kuchni, otworzyła lodówkę i znalazła świeże, zimne jabłko. Usiadła przy blacie i podniosła jabłko do ust. Odezwał się błagalny głos: „Musisz coś zjeść”. Przeniesiona w wyobraźni w ciało umierającej anorektyczki z filmu dokumentalnego, który widziała wiele lat temu, odłożyła jabłko na stół.

Zrzuciła szlafrok, wróciła do ogrodu i zanurzyła się w wodzie basenu, płynąc powoli w kierunku głębokiego końca, ale poczuła się zbyt zmęczona. Z rozłożonymi szeroko rękami, lekko poruszając nogami, ciężka, choć w stanie nieważkości, borykała się z absurdalną myślą – czy przez cały ten czas, czekając na Goocha, w gruncie rzeczy nie drepcze w miejscu?

Znacznie później, wyrwana ze snu dzwonieniem stojącego koło łóżka telefonu, chwyciła słuchawkę.

– Joyce? – mruknęła półprzytomnie.

– Mary? Mary? Wszystko w porządku?

– Chodzi o moją matkę?

– Mary? To ja, Ronni. Czy coś się stało? Miałam już zapakować chłopców do samochodu i pojechać do ciebie.

Mary usiadła na łóżku, rozglądając się ze zdumieniem po zalanym słońcem pokoju. Spojrzała na zegarek. Było dobrze po dwunastej.

– Spałam. Zasnęłam. Przepraszam. Zaraz przyjadę.

– Nie, Mary. Nic się nie stało. Jadę z chłopcami do centrum handlowego. Na zakupy.

Zdecydowałam się wrócić na święta na Wschodnie Wybrzeże. Wylatujemy w przyszłym tygodniu.

Mary nie wiedziała, co powiedzieć. Wyjeżdżają?

– Jesteś tam? – zawołała Ronni z drugiego końca.

– Jestem.

– Chcielibyśmy, to znaczy chłopcy i ja, zjeść z tobą wcześniejszą świąteczną kolację. Co ty na to?

– Dobrze.

– Mary?

– Słyszę cię.

– Twoja teściowa wróci na święta, prawda? Pytam, aby się upewnić, że nie będziesz sama.

– Tak, wróci – zapewniła ją Mary, mijając się z prawdą. Eden dała jej wczoraj znać, że postanowiła zostać na Boże Narodzenie w Santa Barbara. Dodała, że spędza wiele czasu z dawnym znajomym Jacka, a z jej tonu Mary domyśliła się, że chodzi o początki nowego

związku. Pamiętając, że teściowa nawiązała bliższą znajomość z Jackiem już parę tygodni po śmierci Jimmy'ego seniora w wypadku, Mary specjalnie się nie zdziwiła, zdumiewało ją tylko, skąd Eden bierze tyle odporności i siły.

Dźwignąwszy się z łóżka, włożyła jeden ze swoich nowych kostiumów i wyszła na podjazd po leżącą na jego końcu gazetę. Próbowała zabrać się do czytania, ale nie mogła się skupić. Wchodząc do kuchni, rzuciła lodowce przeproszające spojrzenie. Postanowiła pojechać do banku.

W bankomacie na zewnątrz banku sprawdziła stan konta. Gooch wybrał kolejne pieniądze. Gwałtownym ruchem wsunęła kartę do bankomatu i zażądała maksymalnej kwoty. „Tak, Gooch, wybiorę wszystko, usłyszała własną myśl. Te pieniądze prawnie mi się należą. Wspomniała oburzenie Ronni, które jednak przygasło z upływem dni, i teraz sama poczuła wzbierający w niej podobny gniew. Odszedł bez jednego słowa. Tchórz. Wybiera moje pieniądze. Łajdak.

Upychając w portfelu dwudziestodolarowe banknoty, o mało się nie zderzyła z wychodzącym z banku mężczyzną.

– Emery Carr! – zawołała. Krótko ostrzyżone włosy i znaczny spadek wagi sprawiły, że jej nie poznał. – Jestem Mary Gooch. Podwoził mnie pan samochodem po tym, jak zgubiłam torbę.

– Och? – powiedział, gdy przypomniał ją sobie i rozpoznał. – Zmieniła się pani.

– Owszem.

– Myślałem, że wróciła pani do Kanady. Lucy mówiła, że załatwiła pani swoje sprawy. Długie wakacje?

– To nie są prawdziwe wakacje – odparła, idąc obok niego.

– Zmieniła się pani nie do poznania. Wzięła pani udział w którymś z programów nauki makijażu? Ja uwielbiam pokazy typu „Czego musisz się wystrzegać”.

Mary roześmiała się.

– Coś w tym rodzaju.

– W każdym razie efekt bardzo mi się podoba.

Zarumieniła się, widząc, że doszli do pobliskiego baru szybkiej obsługi i Emery Carr przytrzymał drzwi, zapraszając ją gestem do środka.

– Ja też idę na lunch. Może zjemy razem?

Po wejściu do lokalu zamówiła kawę i jajecznicę, z trudem opanowując mdłości. Emery Carr zauważył, że Mary odłożyła widelec, i zmarszczył brwi.

– Chce pani to zwrócić?

– Nie, po prostu nie mogę jeść – wyznała.

– Trzeba jeść – upomniał ją. – Widzę, że jest pani na diecie, ale...

– Nie jestem na diecie. Po prostu... nie mogę. Nie jestem w stanie niczego przełknąć.

Emery poklepał ją po ręce.

– Bardzo pani schudła. To znaczy, od naszego pierwszego spotkania.

– Wiem.

– Bardzo się to pani chwali. Niemniej... no, nie można tak w ogóle przestać jeść.

Mary pokiwała głową, skubiąc dla niepoznaki grzankę. Czarna kawa dodała jej trochę sztucznej energii, ale najbardziej ożywiło ją towarzystwo Carra. Zaczęli rozmawiać o polityce.

– U nas są jakby dwie Ameryki – zauważył. – Inaczej myślimy. Inaczej rozumiemy Konstytucję. Dzieli nas przepaść biegnąca dokładnie wzdłuż partyjnych podziałów. Czy w Kanadzie jest tak samo?

– Nie wiem. Chyba nie. Mój mąż mówi, że „liberalizm” i „konserwatyzm” znaczą u nas

co innego niż u was. No i mamy więcej partii. Mamy Narodową Partię Demokratyczną i Zielonych. – Czuła się dumna z tego, że pamięta ich nazwy, choć nie umiałyby wyjaśnić, jaki która ma program. Może powinna kupić sobie komputer, z którego mogłaby się takich rzeczy dowiadywać.

– Wy, Kanadyjczycy, jesteście bardziej postępowi.

– Bo mamy państwową służbę zdrowia?

– Socjalizm budzi strach.

– Bo ograniczamy prawo do noszenia broni?

– Niech mnie pani nie prowokuje.

– Chodzi o małżeństwa gejowskie?

– I o małżeństwa gejowskie. Osobiście jestem w ogóle przeciwny małżeństwu, zarówno gejowskiemu, jak i hetero. Jest sprzeczne z naturą. Ale żeby zakazywać? To już jest dyskryminacja.

– Mój mąż mówi, że ludzie są przeciwni małżeństwom gejowskim, ponieważ boją się, że zaczniecie prowadzić rekrutację.

– À propos pani męża – wtrącił Emery. – Czy widział już panią w tym nowym wydaniu?

Mary podniosła wzrok znad filiżanki i jednym tchem opowiedziała przystojnemu urzędnikowi bankowemu historię swego życia w roli żony.

Zdziwiła się, kiedy po wyjściu z baru Emery czule ją uściskał.

– Wydawało mi się, że było to pani potrzebne.

– Tak.

– Na pewno przeżyjesz. Otrząśniesz się i pozbierasz. Jesteś kobietą. A jak zaręczysz!

Roześmiała się i skinęła głową.

Późnym wieczorem usiadła w sypialni Jacka na brzegu łóżka i wpatrzyła się w lustro nad toaletką. Emery Carr powiedział: „Przeżyjesz”.

egzystencja

Na reklamowych stronach gazet Mary napotykała dziesiątki zaproszeń na lokalne imprezy noworoczne. Nowego Roku nienawidziła tak samo jak Świąt Bożego Narodzenia. Podczas niezliczonych bezsennych nocy składała Jutru obietnice, ale składane na Nowy Rok postanowienia wydawały się jeszcze bardziej zobowiązujące. „W przyszłym roku wszystko się zmieni”. „Przyszły rok będzie rokiem samokontroli”. „W przyszłym roku będę rozmawiać z Goochem”. „Będę słuchać tego, co mówi”. „Wychodzić z nim z domu, jeśli o to poprosi”. Statystyki na temat występowania świątecznej depresji były Mary znane dawno temu, zanim jeszcze została czytelniczką gazet. Dobrze знаła ten mechanizm.

O ile przed tygodniem nie przychodziło jej do głowy, że Gooch może nie wrócić na święta, o tyle teraz była już pewna, że nie pojawi się na Nowy Rok, a może nawet w marcu, na jej urodziny. Nie tylko ona porzuciła swoje dawne życie, Gooch zrobił to samo, a miał mniej powodów niż ona, aby chcieć do niego powrócić. Nawet w malejącym koncie bankowym nie szukała już prognozy jego rychłego powrotu. Gooch był człowiekiem zaradnym. Da sobie radę, niezależnie od tego, gdzie jest i ile ma pieniędzy.

Podczas porannego pływania w basenie myślała o Eden i Jesúsie Garcíi – dotkniętych przez los, osamotnionych, a przecież prących przed siebie. Wychodząc z wody, poczuła skurcz serca na wspomnienie domku w Leaford, z jego wybitą szybą w drzwiach i śladami krwi na ścianach. Przypomniała sobie twarz Irmy z półotwartymi ustami, zapadniętymi oczami, niewidzącym spojrzeniem. Szeroką rzekę Thames, po której jeździła w dzieciństwie na łyżwach. Nie pamiętała Leaford, ale słyszała jego mroźne, surowe wołanie.

Kiedy Mary zjawiła się w domu Reevesów na świąteczną kolację z dziećmi, przybrała sztuczny uśmiech. Kiedy zgromadzili się w dużym salonie wokół sztucznego drzewka, pozwoliła się chłopcom wycalować i wyściskać, i zdławiła łzy w gardle, przyjmując od nich prezenty – fotografie trojaczków, oprawione w ramki własnej roboty, ozdobione kolorowymi papierkami i serduszkami. Intonowała świąteczne pieśni, a gdy zasiedli przy stole, zmusiła się do przełknięcia paru kęsów gruzłowatej papki z ziemniaków, które chłopcy sami utłukli, oraz przyrządzonej specjalnie dla niej sałaty. Pod koniec kolacji Ronni była równie wykończona jak Mary, a czekało ją jeszcze pakowanie przed podróżą na Wschodnie Wybrzeże.

Ściskając przyjaciółkę, Ronni obiecała, że tydzień minie jak z bicia trzask.

– Tobie lepiej, Mary, bo będziesz miała do czynienia tylko z jedną krewną. Mnie czeka towarzystwo dwudziestu czterech osób, z których każda będzie miała coś do powiedzenia na temat Toma i mojego małżeństwa. Na samą myśl o tym robi mi się słabo.

– Pobyt z rodziną dobrze chłopcom zrobi.

– Tak mi przykro, gdy pomyślę, że będziesz tylko z teściową.

Wsiadłszy do furgonetki, Mary ruszyła w kierunku domu, ale pod wpływem nagłego impulsu zawróciła, postanawiając pojechać nad ocean popatrzeć na gwiazdy. U zbiegu trzech ulic rzuciła okiem na pusty plac i zdumiała się, widząc stojącego samotnie pod słupem Jesúsą Garcíę. Po zmianie świateł wjechała na plac. Uśmiechnął się szeroko, rozpoznawszy białego dodge'a, i wykrzyknął ze zdziwieniem:

– Mary! – Ruszył ku niej szybkim krokiem, ale zatrzymał się, widząc jej krótkie, siwe włosy.

Mary odruchowo podniosła ręce do głowy.

– Okropnie wyglądam, nie uważasz?

– Pasuje ci.

– Wybieram się nad ocean. Ale pozwól, że najpierw odwiozę cię do domu.

– Nie masz nic lepszego do roboty?

– Nie – roześmiała się.

Wsiadł do furgonetki.

– W takim razie pojedę z tobą.

– Nad ocean?

Zawahał się.

– Jeżeli moje towarzystwo nie będzie ci przeszkadzać.

Mary poczuła, że się rumieni, wyjechała z pustej parceli i skierowała się ku drodze biegnącej wśród wzgórz.

– Może znowu zobaczysz spadającą gwiazdę – odezwał się Jesús, obdarzając Mary swym olśniewającym uśmiechem.

Mary zerkała od czasu do czasu na swego pasażera.

– Powiedziałeś kiedyś, że od lat nie widziałeś oceanu. Dlaczego? – zapytała.

– Brak czasu. Okoliczności. Inne zajęcia.

– Ale kiedyś jeździłeś tam z rodziną?

– Tak, zabierałem ich nad ocean. Ale nie kąpaliśmy się. Moja rodzina wyprowadziła się z Michigan, kiedy miałem piętnaście lat. Tamtego lata utonął jakiś chłopiec. Matka zabroniła mi wchodzić głębiej niż do kolan. Bała się, że porwą mnie fale odpływu.

– To mi przypomina moją matkę. W zimie bała się, że pęknie pode mną lód i wpadnę do wody.

– Moja matka miała sen. Przyśniło jej się, że utonąłem w morzu.

– To straszne. Straszne coś takiego usłyszeć.

– Nie umiem pływać. Do dziś nie wchodzę głębiej niż do kolan.

– Ale jesteś przecież taki silny.

– Synom też nie pozwalałem wchodzić głębiej.

– Twoja żona nie uważała, że masz bzika?

– Ona też wierzyła w przeczucia. W cuda.

Mary nie musiała pytać, czy i on w nie wierzy.

– Wróżenie ze spadających gwiazd.

– Oczywiście.

– Nigdy wiele nie pływałam.

– Bałaś się?

– Ale nie wody.

Resztę drogi odbyli w milczeniu, ukojeni widokiem wzgórz.

Po zaparkowaniu furgonetki na poboczu postanowili odbyć krótki spacer brzegiem morza. Zapadła noc, lecz Mary czuła się bezpiecznie w jego towarzystwie, kradnąc jego siłę, aby swobodnie iść po piasku.

– Ale ciemno – zauważyła.

– Dlatego stąd najlepiej ogląda się gwiazdy.

– Hej-su, jak powiedziec „gwiazdy” po hiszpańsku?

– *Estrellas*.

– *Es-trei-as* – powtórzyła. Podnosząc oczy do nieba, pomyślała z nagłym smutkiem o niezliczonych istotach, do których sama kiedyś należała, stojących teraz na zimnej posadzce z nosem w lodówce, ze strzykawką w ramieniu, z papierosem w kąciku ust. Wciągnęła słonawe powietrze w płuca, starając się utrwalić wspomnienie: wody, podmuchu bryzy na siwej, krótko ostrzyżonej głowie, widoku *estrellas*.

Na skraju wody zdjęli buty i zawinęli nogawki spodni.

– Kogo ci przypominam, Hej-su? – zapytała, zadowolona, że w ciemnościach nie może zobaczyć jej twarzy. – Powiedziałeś kiedyś, że kogoś ci przypominam.

– Moją nauczycielkę z piątej klasy. Pannę Maynard. Mary Maynard.

– Przypominam ci twoją nauczycielkę?

– Tamtego roku w listopadzie właśnie skończyłem dziesięć lat, złamałem nogę i przez całą zimę na wszystkich przerwach musiałem zostawać w klasie z panną Maynard. Dawała mi pałeczki lukrecji i dodatkowe zadania. Mówiła, jaki jestem zdolny. Raz pocałowała mnie w czoło. Marzyłem, żeby wiosna nigdy nie nadeszła.

– Była do mnie podobna?

– Wymawiała moje imię tak samo jak ty – Hej-su.

– Była gruba? Taka jak ja?

– Tak – odparł po prostu. – Pachniała cukierkami. Miała piękne, zielone oczy. Byłem w niej zadurzony po uszy.

Napływające i cofające się fale znaczyły ich wędrówkę wzdłuż plaży.

– Chodźmy w tamtą stronę – zaproponował Jesús.

– Hej-su! – zawołała z ciemności. – Nie widzę cię.

Jesús cofnął się i odnalazł ją na skraju wody.

– Podaj mi rękę.

Wyciągnąwszy rękę, natrafiła na jego palce; przyjemny szok łączących się dłoni. Szli przed siebie, zostawiając na piasku ślady, porywane momentalnie przez pulsującą wodę. Mary nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz trzymała Goocha za rękę. Gdyby wiedziała, co ma nadejść, nigdy by jej nie puściła.

– Widzisz tę grań, o tam? – odezwał się Jesús, wskazując ciemniejący w oddali kształt. – Można stamtąd świetnie obserwować wieloryby. Podpływają bardzo blisko brzegu.

– Chciałabym to zobaczyć.

– One migrują dopiero wiosną.

Mary przystanęła, nagle wiedziała.

– Na wiosnę już mnie tutaj nie będzie.

– Do tego czasu twój mąż zdąży wrócić.

Patrzył w gwiazdy. Mary poszła za jego przykładem.

– Mój mąż nie wróci.

– Miałaś od niego wiadomość?

Zaprzeczyła w ciemności ruchem głowy.

– Nie. Chciałam po prostu powiedzieć to na głos. Zobaczyć, jak się poczuję.

– I jak się poczułaś?

– Mniej więcej tak, jak sobie wyobrażałam.

– Masz dosyć czekania?

Mary milczała.

Jesús wziął ją za ramiona i obrócił, wskazując niebo.

– O tej porze roku dobrze widać gwiazdozbiór Andromedy. – Mary pobiegła wzrokiem we wskazanym kierunku. – Perseusz. A tu, niżej, widzisz ten trójkąt? To Andromeda. A poniżej, ten kwadrat, to Pegaz. – Przez chwilę przeszukiwał oczami niebo. – *Pisces*. Ryby. Widzisz je?

– Ryby. Ja jestem spod znaku Ryb. Podobno mam być wrażliwa i mieć artystyczne zacięcie.

– A jesteś taka?

Obróciła się w ciemnościach twarzą do niego, ujęła jego twarz w obie dłonie i przycisnęła

usta do jego warg w odruchu równie niepojętym dla całującej, jak dla całowanego. Poczwała chłód jego zaciśniętych warg i cofnęła się.

– Strasznie przepraszam.

– Nie przepraszaj.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłam.

– Już zapomniałem – powiedział uprzejmie. – Chodź. Pospacerujmy jeszcze.

Palilo ją upokorzenie.

– Nie myślałam... Nie myślę...

– Proszę cię, Mary.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło – ciągnęła. – Boję się. Boję się, że nikt mnie już nigdy nie pocałuje. Mój mąż nie wróci. Mój mąż nie wróci. – Morska bryza porwała jej słowa i poniosła snującym nic przeznaczenia Parkom.

– Chodź, pospacerujemy – rzekł. Wziął ją za rękę i szybkim krokiem ruszył przez plażę.

Mary szła za nim, potykając się.

– Możemy się zatrzymać? Proszę.

Zatrzymał się.

– Przez dwadzieścia pięć lat byłam żoną Goocha.

– To szmat czasu.

– Jeżeli przestanę być jego żoną, to nie wiem, kim będę.

– Sama musisz to rozstrzygnąć.

– Więc co mam robić, Hej-su?

– To, co robiłaś dotąd.

– Nic nie robię.

– Więc zrób coś, Mary.

– To nie takie proste.

– A kto powiedział, że ma być prosto i łatwo? – zapytał. – Powtarzaj sobie, że najtrudniejsze masz już za sobą.

– A najgorsze, że nawet się nie pożegnałam – rzuciła, ale natychmiast zdała sobie sprawę, w jak okrutny sposób los odebrał Jesúsowi możliwość pożegnania się z rodziną. – Och, Hej-su, nie chciałam, strasznie cię przepraszam.

Wyrwał rękę z jej dłoni.

– Nie lituj się nade mną, bardzo cię proszę – powiedział sucho. – Nie musisz mi współczuć.

Zdumiała ją ta nagła przemiana.

– Nie miałam zamiaru...

– Nie spodziewaj się ode mnie gotowych odpowiedzi. Ja o tym nie rozmawiam. Nie zastanawiam się nad tym. Nie stosuję żadnej strategii przetrwania. Wystarczają mi, jak każdemu, stare banały: idź krok za krokiem, żyj z dnia na dzień. Nie chciałem robić ci złudzeń. – Mary otworzyła usta. – Nie przepraszaj. Nie tłumacz się. Po prostu nic nie mów.

Energia, jaka płynęła między nimi, zmieniła kierunek. Kontakt się urwał. Dobrnęli bez słowa przez plażę do zaparkowanej przy drodze furgonetki. Wracali do Hundred Oaks w ciężkim milczeniu, jak poróżnieni kochankowie, którzy nie są pewni, które zadało pierwszy cios ani co właściwie i dlaczego tak bardzo ich zabolalo.

Po zaparkowaniu samochodu przy krawężniku przed jego domem, Mary czekała, patrząc na Jesusa Garcíę, który zawahał się z ręką na klamce.

– Dobranoc – powiedzieli jednocześnie.

Ruszył przez chodnik, ale nagle zawrócił. Mary opuściła szybę, masując sobie mostek,

pod którym pękało jej serce.

– Boże Narodzenie! – powiedział, krzywiąc się.

– Tak.

– Za dwa dni.

– Za dwa dni? No, tak.

– Twoja teściowa wróci na święta?

Skinęła głową.

– Tak.

– Nieprawda.

– Zostaje na święta w Santa Barbara.

– Będziesz sama.

– To nic.

– Nie możesz być sama w Boże Narodzenie.

– To nic.

– Przyjedź do nas.

– Nie, Hej-su, nie mogę. Twoi krewni będą się czuli skrępowani.

– Nawet nie zauważą. – Błysnął tym swoim olśniewającym uśmiechem. – Przyjadę po ciebie rano furgonetką, kiedy będą w kościele. Nie przyjmę odmowy.

Po krótkim wahaniu odrzekła:

– Dziękuję.

Dobro czynione nieznanym. Pewnie po jego niewyobrażalnej tragedii ktoś okazał Jesúsowi podobną troskę, a on odpłaca się teraz światu za okazaną mu dobroć. Odchrząknęła.

– Wiem, że mnie nie... Wiem na pewno, że nie możesz mnie...

– Miło jest pobyc z osobą, która wcześniej nas nie znała – powiedział.

– Tak. To prawda.

– Przyjadę po ciebie o dziesiątej.

Przytaknęła skinieniem głowy, kurcząc się z bólu, który przewędrował teraz z serca w miejsce na czole między oczami.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – skłamała.

– Na pewno?

Skinęła głową.

Idąc ku domowi, Jesús García dwukrotnie obejrzał się przez ramię, a przed wejściem do środka podniósł rękę w geście pożegnania.

W drodze do Willow Lowlands Mary próbowała zrobić kilka głębokich oddechów na uspokojenie, ale nie mogła złapać tchu. Ból między oczami stał się nie do zniesienia.

Kiedy wreszcie znalazła się w kuchni, sięgnęła do sportowej torby po tabletki przeciwbólowe. Serce waliło jej w piersiach w rytmie cykady za rozsuwanymi, szklanymi drzwiami.

A jak zaryczę! – pomyślała.

nocny zegar

Nazajutrz rano Mary nie mogła skupić uwagi na gazecie. Wracając uparcie myślami do Jesúsa Garcíi, odtwarzała w wyobraźni wczorajszą scenę nad oceanem i czekała z niepokojem na świąteczną wizytę w jego domu. Była pewna, że i Jesús, podobnie jak ona, żałuje teraz swego pochopnego zaproszenia. Czuła, że tylko popsuje im święta, a jeżeli Jesús nie chce jej współczucia, to ona też nie potrzebuje jego litości. Przemknęło jej przez głowę, aby pojechać do agencji czyszczenia basenów i zostawić Jesúsowi wiadomość, ale bała się, że jego pracodawca mógłby to opacznie zrozumieć. Nastawiając w kuchni wodę na herbatę, zatęskniła za Eden.

Puściła mimo uszu zarówno głos lodówki, jak i nawoływania szafek kuchennych, wsiadła do wielkiej furgonetki i pojechała do banku. Emery Carr nie okazał zdziwienia, gdy poprosiła o pomoc w wyjęciu z konta trzech tysięcy dolarów w gotówce. Jego spojrzenie mówiło: „Do dzieła, dziewczyno!”. Poczł się jednak w obowiązku zwrócić jej uwagę:

– Nie powinnaś nosić przy sobie tyle gotówki, Mary.

Czując ciężar pieniędzy w granatowej torbie, nie zastanawiała się, czy uszczuplenie konta bankowego zmusi Goocha do powrotu. W gruncie rzeczy nie brała go pod uwagę przy podejmowaniu decyzji, a jeśli nawet, to jedynie po to, by złagodzić swoje poczucie winy. Wygrane na loterii pieniądze przyniosły wyzwolenie, ale i zniewolenie. Umożliwiły ucieczkę i odbycie podróży. Ich istnienie łączyło ją z Goochem, a ona chciała z tej więzi zrezygnować, tak jak zrezygnowała z czekania na zbiegłego męża. Zdawała sobie, rzecz jasna, sprawę, że pieniądze będą jej potrzebne do ułożenia sobie przyszłości, lecz była tak zmęczona, zbyt zmęczona na to, by wybiegać myślą poza najbliższe plany.

Zastanawiała się, czy nie pojechać do centrum handlowego w Hundred Oaks po prezenty dla dzieci z domu Jesúsa Garcíi, ale nie miała pojęcia, ile ich jest i w jakim są wieku. Zauważywszy na półce w drogerii pudełko świątecznych kartek z napisem *Feliz Navidad*, postanowiła do każdej koperty włożyć jeden ze studolarowych banknotów, które Emery Carr wypłacił jej w banku – zarówno dla dorosłych, jak i dla dzieci. Miała nadzieję, że Jesús nie poczuje się tym urażony, a jeśli nawet, to jego sprawa, ona nie będzie się tym przejmować. Stanąwszy przed kasą, ledwo trzymając się z głodu na nogach, wzięła z półki zdrowy batonik, który natychmiast odłożyła, bo na samą myśl o mazi w ustach zrobiło jej się niedobrze.

Był późny ranek i na narożnej parceli stało tylko paru mężczyzn, kiedy Mary skierowała swoją wielką furgonetkę na piaszczysty plac. Podeszła do czekających przy słupie mężczyzn i rozdała między nich wyjmowane z torby studolarowe banknoty, mówiąc: *Feliz Navidad*, gdy dziękowali jej za hojność. Unikała ich wzroku. Nie chciała wdzięczności za uwolnienie się od ciężącego jej brzemienia.

Nie spodziewała się zastać na placu Jesúsa Garcíi, niemniej jednak jego nieobecność sprawiła jej zawód.

Niezwykłe ciepły, nawet jak na południową Kalifornię, grudniowy dzień. Mary wróciła myślami do Leaford. Czas odmierzany porami roku. Jesienne jazdy nad jezioro, by popatrzeć na zmieniające kolory liście drzew. Irma idąca po solniczkę, aby posypać kwaśne jabłka kupione na przydrożnym straganie. Gradobicia. Skrzypienie śniegu pod podszwami. Burze z piorunami. Zasnute chmurami niebo. Poszczekujące w oddali psy państwa Merkel.

Słońce przypiekało skórę Mary, gdy zmierzała w stronę basenu. Miała wiele do przemyślenia, zimna woda ją ożywi. Przepłynąwszy jedną długość basenu, stanęła w wodzie i brodziła w niej, dopóki nie rozboleły jej mięśnie nóg. Resztką sił wspięła się po drabince, rozłożyła znalezione koło basenu łóżko i położyła się na brzuchu, czekając, aż słońce wysuszy jej

nagie ciało. Stukanie siedzącego na eukaliptusie tuż nad jej głową dziecięcia przypominało dźwięk tykającego przy łóżku nocnego zegara, przywołując w pamięci Mary jej dawne życie, ale tak jakby należało do innej osoby. Skupiła myśli na biciu własnego serca.

Od wyjazdu z Leaford Mary często miewała erotyczne sny. Najczęściej występował w nich Gooch, ale niekiedy, czemu trudno się dziwić, ich bohaterem bywał Jesús García. Pewnego razu owo wyśnione erotyczne zbliżenie z niebezpiecznie przystojnym Meksykaninem było tak gorące, że obudziła się wstrząsana drgawkami orgazmu. Kiedy więc poczuła, że czyjeś palce dotykają jej stopy i usłyszała łagodny szept: „Mary!”, wzięła to w pierwszej chwili za kolejny sen. Otworzyła jednak oczy i przekonała się, że słońce przesunęło się na niebie, a nad nią stoi Jesús García w swym granatowym roboczym kombinezonie, trzyma w ręku zgarbiacz do wody i wpatruje się w jej wielkie, spalone słońcem na czerwono, białe ciało.

– O mój Boże! – wyszeptała.

– Spiekłaś się.

Chciała się podnieść, ale wołała nie obnażać się jeszcze bardziej.

– W domu. Przez tylne drzwi. Leży szlafrok.

Jesús wrócił po chwili i aż się skrzywił na widok jej zaczerwienionych pleców i ud.

– Musisz się czymś wysmarować.

– Tak. Eden na pewno ma jakąś maść w domu – odparła, otulając się szlafrokiem.

– Masz bardzo jasną cerę. Czy to dobry pomysł opalać się nago w tutejszym słońcu?

– Do czyszczenia basenu normalnie przychodzicie jutro. Zasnęłam.

– Masz szczęście, że przyszedłem dzisiaj.

– Tak mi wstyd.

Wzruszył ramionami.

– Jedna przyrumieniona Kanadyjka wystarczy za wszystkie.

– Dlaczego przyszedłeś dzisiaj? – spytała.

– Zmieniłem dzień. Wczoraj wieczorem robiłaś wrażenie... – Widząc, że Mary nie jest w stanie iść o własnych siłach, wziął ją pod rękę i zaprowadził do kuchni.

– Poszukam jakiejś maści. – Pojękując z bólu, ruszyła do holu.

Powstrzymał ją.

– Idź się położyć. Sam poszukam w łazience.

Doczłapała do łóżka w sypialni Jacka i padła plackiem z odrzuconymi na boki rękami.

Cienki szlafrok ciążył nieznośnie i boleśnie drażnił spieczone pośladki.

Jesús wrócił po chwili, niosąc znaną w salonie dużą roślinę w doniczce.

– Aloes – oznajmił, ułamując mięsisty, kolczasty liść i wyciskając z niego chłodny, przezroczysty żel na spalone łydki Mary. – Powinien przynieść ci ulgę. Łagodzi stany zapalne skóry.

– Dziękuję – powiedziała z trudem. – To takie okropne. Przepraszam cię. Nie musisz tego robić.

– W porządku. Mnie to nie przeszkadza.

– Doprawdy, Hej-su.

– Nie można tego tak zostawić.

Jego dłonie posuwały się coraz wyżej, rozmasowując żel na udach, ale zatrzymały się na krawędzi szlafroka.

– Jesteś... dosięgniesz ręką pleców?

Zapominając o nagości, pragnąc jedynie poczuć zbawczy chłód żelu na poparzonej skórze, zrzuciła z siebie szlafrok.

– Proszę – rzekła cicho.

Zamknęła oczy, więc nie widziała, jak przełamuje następny liść aloesu, ani z jakim wyrazem twarzy wyciska żel na jej ramiona, zrasza nim niższe partie pleców i szkarłatne pośladki z ich dołeczkami. Rozsmarowując aloesowy żel po jej wypukłościach, dotykał jej ciała w sposób profesjonalny, jak lekarz albo matka.

Mary stłumiła westchnienie.

– Dziękuję – powiedziała.

– Masz szczęście, że jest grudzień, a nie lipiec. Chyba nie jest aż tak źle, jak wygląda.

– Szkoda, że nie można tak powiedzieć o wszystkim. Nie jest tak źle, jak wygląda.

Ułamał następny liść, i jeszcze jeden, w miarę jak jej skóra wchłaniała uzdrowicielski płyn. Wyobraziła sobie, że dłoń mężczyzny zastyga na moment na jej udzie. Wyobraziła sobie, że czuje zmianę nastroju. Na dźwięk telefonu drgnęli oboje. Mary zdjęła słuchawkę ze stojącego koło łóżka aparatu.

– Halo? – Spodziewała się usłyszeć głos Eden. Albo Ronni. Po śmierci Jacka liczba telefonów wyraźnie zmalała. Usłyszała nagraną reklamę i szybko odłożyła słuchawkę.

Jesús wyprostował się.

– Czas na mnie – powiedział.

– Poczekaj. Nie jesteś głodny? – zapytała, podnosząc się z łóżka.

Jadł pokrojony przez nią chleb i warzywną lasagnię, którą odgrzała dla niego w mikrofalówce. Ich swoboda dziwnie przypominała nastrój ludzi po stosunku: ona w szlafroku włożonym na gołą skórę, Jesús z opuszczoną do pasa górą kombinezonu, w białym podkoszulku opinającym masywny tors, poznaczone błękitnymi żyłkami, wypukłe bicepsy. Czowała jego zapach, zapach ziemi z odcieniem chloru.

– Nic nie jesz – zauważył. – Mary wzruszyła ramionami. – Ja przez długi czas nie byłem w stanie jeść – dodał.

– Nie mów o tym, jeżeli nie chcesz.

– Niczego nie mogłem przełknąć. Wielka gula tkwiła mi w gardle.

– Przez całe życie starałam się powstrzymać od obżerania się. A teraz w ogóle nie mogę jeść.

– Możesz – zachęcił ją, wtykając jej do ręki widelec.

– Nie mogę. *Fait accompli*. Nie mogę.

– Nie można żyć, nic nie jedząc.

– Będę liczyła na cud.

– Jesz, bo musisz. Smakujesz, bo masz smak. Czasami cieszysz się, bo żyjesz.

– Jakaś wyczytana sentencja?

– Moja dewiza. – Nabrał na widelec trochę jedzenia z jej talerza i podsunął Mary do ust.

Wolno pokręciła głową. – Otwórz usta – szepnął.

Przytrzymała jego rękę.

– A jeśli nie będę mogła przestać? Jak raz zacznę jeść? I nie będę mogła przestać?

– Wszystko zależy od ciebie – zapewnił ją. – To będzie twój cud.

Rozchyliła usta, nie mogąc się oprzeć zapachom pomidorów, czerwonej papryki i cukinii. Wzięła do ust jedzenie z widelca.

– Pogryź.

Zaczęła gryźć, rozpoznając znajomą słodycz śmietankowego sera, lekką goryczkę oregano, ostrość bazylii. Smak. Zapach. Kiedy podsunął jej następną porcję, Mary z zadowoleniem smakowała jego minę, minę małego chłopca, któremu udało się znęcić zdziczałego kota. Chciała, żeby nie przestawał jej karmić, ale Jesús oddał jej widelec i przykazał:

– Jeszcze kilka kęsów.

Spodziewała się ataku mdłości, jednakże nic takiego nie nastąpiło. Jesús poczekał, aż Mary zje jeszcze trochę lasagnii, potem zebrał talerze i zaniósł je do zlewu. Patrząc na jego plecy, oceniała siłę jego nóg i ramion.

– Możesz wejść głębiej niż po kolana – oświadczyła. – Możesz, Hej-su. Wejść do oceanu głębiej niż tylko po kolana.

Uśmiechnął się i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zadzwonił jego telefon komórkowy, więc przeprosił ją i zaczął mówić szybko po hiszpańsku, a Mary patrzyła jak zahipnotyzowana na jego wargi poruszające się pod osłoną krótkich wąsów. Zamknąwszy komórkę po skończonej rozmowie, powiedział:

– Muszę jechać, Mary. Do zobaczenia jutro.

– Będę gotowa.

Pochylił się i tak delikatnie musnął wargami jej policzek, że nie była pewna, czy był to pocałunek.

– *Feliz Navidad* – powiedział.

– *Feliz Navidad*.

Wprawdzie nocny zegar nie tykał, nie mruczał, ani nie wydawał żadnych innych dźwięków, to jednak poparzona skóra tak ją bolała i swędziała, że Mary nie mogła znaleźć sobie w łóżku miejsca. Zerwała z krzaku aloesu ostatni mięsisty liść i wyciśniętym z niego sokiem skropiła tył łydek i ramiona.

Nie została przyłapana przez swoje odbicie, lecz sama go poszukała, stając na wprost lustra na drzwiach garderoby i zsuwając z ramion szlafrok. Pamiętała tamtą dziewczynę, samotną, niepewną siebie Mary Brody. Pannę młodą z jej sekretem. Żonę, którą się stała. Jej zżerane głodem życie. Nie była już tamtą kobietą. W postaci, którą widziała, w jej fizycznych odruchach, tajemniczych zamysłach i uniwersalnych konkluzjach, dostrzegała piękno. Przywołujące na myśl pofałdowane wzgórza na horyzoncie. Wspinające się grzywy fal oceanu. Ból głowy ustąpił. Serce przestało łomotać. Światła, które w sobie czuła, było tyle, że mogłoby porazić ją prądem.

Wyszła po omacku na patio, nie zapalając światła, podeszła do basenu i wstąpiła do chłodnej wody. Unosząc się na jej powierzchni pod rozgwieżdżonym niebem, wspomniła dzień, w którym rzuciła pracę w drogerii Raymonda Russella. Dzień remanentu. „Długą przebyłaś drogę, moja droga”, powiedziała do siebie, ale zaraz sobie przypomniała, że słowa pochodzą z reklamy papierosów, więc nie bardzo się nadają na motto wyzwolonej kobiety.

Wspomniła też zadawane w czasopismach pytania podsumowujące życie celebrytów, i postanowiła przeredagować większość własnych odpowiedzi. Na pytanie: „Największa życiowa przygoda?”, odpowiedź dziś brzmiała: Mary Gooch wdrapała się na szczyt Golden Hills. Pokonała bestię. Poszukiwała Boga. Zaakceptowała samą siebie. „Czego najbardziej żałujesz?” Skończyła z próżnymi żalami. A co z pytaniem: „Największa miłość?” Zachowa obraz Goocha w medalionie zawieszonym na szyi. Wydrukuj na koszulce. Wypisz jego imię na tylnej szybie samochodu.

Kiedy Mary pomyślała o swojej przyszłości, nowe możliwości wiwatowały szumem drzew rosnących za basenem. Może wspiąć się na Mount Everest albo wstąpić do Greenpeace. Pójść na studia, nauczyć się hiszpańskiego, przeczytać dzieła klasyków. Wziąć udział w wyborach. Widząc przed sobą nową, to wznoszącą się, to opadającą, biegnącą ostrymi zakosami ponad poszarpanymi urwiskami drogę, wspomniła zalecenia pani Bolt. Koniec z wydeptanymi ścieżkami. Z dreptaniem wygodną koleiną. Olśniewająca egzystencja wabiła swą nieprzewidywalnością. Dowód na to, że cuda się zdarzają.

Nadeszło jutro, i o bladym świcie Mary powstała jak feniks. Owinięta szlafrokiem Jacka,

poszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Była głodna. Nie, żeby umierała z głodu. Albo chciała się rzucić na jedzenie. Nie była głodna jak wilk. Była po prostu głodna. Jak każdy, kto zgłodniał. Otworzyła szafkę i znalazła w niej puszkę tuńczyka. Pokroiła pomidora i awokado, wyjęła z lodówki parę kawałków gruboziarnistego chleba. Usiadła przy stole i zaczęła powoli jeść, starannie gryząc i przełykając kolejne kęsy, doceniając niuanse konsystencji i smaku, zadowolając się umiarkowaną ilością pożywienia. W jej brzuchu nie było potwora ani strażnika, ani niczego takiego.

To była po prostu Mary Gooch – pożywiająca się z umiarem.

podziękowania

Pragnę podziękować kobietom, które w ciągu lat służyły mi pomocą w życiu zawodowym we wspólnej pracy nad wydaniem trzech powieści. Szczególną wdzięczność winna jestem mojej agentce Denise Bukowski za jej szczerą w dyskusji i mądre rady oraz przyjaźń sięgającą poza sprawy zawodowe. Chcę również podziękować moim utalentowanym redaktorkom: Diane Martin z wydawnictwa Knopf Canada, Judy Clain z wydawnictwa Little, Brown and Company oraz Lennie Goodings i Urszuli Doyle z wydawnictwa Virago UK, które pomogły nadać kształt powieściom *Rush Home Road* i *The Girls* i których wnikliwe uwagi w istotny sposób zdecydowały o ostatecznej wersji *Opowieści żony*.

Dziękuję także Louise Dennys z wydawnictwa Knopf Canada, Michaelowi Piestchowi z wydawnictwa Little, Brown and Company oraz Richardowi Beswickowi z Virago. Swoje podziękowania kieruję również do Sharon Klein, Marion Garner, Deirdre Molina, Carolyn O'Keefe, Heather Fain, Davida Whiteside'a, Nathana Rostrona, Jericho Buendii i Genie Gorrell.

W bardziej osobistym tonie pragnę podziękować moim dzieciom, których miłość jest cudownym darem, oraz mężowi, który od dwudziestu pięciu lat nie przestaje mnie inspirować. A ponieważ zbieranie materiału do książki polegało w głównej mierze na obserwacjach i rozmowach, podziękowania składam moim rodzicom, Judy i Philowi; moim braciom – Toddowi i Curtowi; Kelley (siostrze i przyjaciółce w jednej osobie); oraz Sherry i Joyce – najstarszym i najdroższym przyjaciółkom. Dziękuję rodzinie mego męża oraz licznej grupie bliskich znajomych, obejmującej nie tylko żony, a nawet nie tylko kobiety, z którymi przez lata dzieliliśmy się zwierzeniami i którzy wzbogacili fabułę *Opowieści żony* bardziej, niż mogliby sądzić.

Nie mogę nie wspomnieć o tym, jak wiele zawdzięczam upamiętnionym w hrabstwie Baldoon południowo-zachodnim rejonom Ontario. Na koniec chciałabym podziękować memu plemieniu z południowej Kalifornii – grupie matek ze szkoły w Topanga, które w trakcie pisania przeze mnie opowieści o poszukującej swego miejsca cudzoziemce przyjęły do swego grona przesiedloną Kanadyjkę.

